

WIELKI MISTRZ PRZYGODY



CLIVE CUSSLER



VIXEN 03

CUSSLER CLIVE
Dirk Pitt V - Vixen 03

CLIVE CUSSLER

Przekład Władysław J Wojciechowski

Rocznikowi '49 ze szkoły średniej w Alhambrze, który wreszcie zorganizował zjazd

Baza lotnicza Buckley Field, Kolorado, styczeń 1954 Nicość

Samolot stratosferyczny typu Boeing C-97 wyglądał jak grobowiec. Być może ze względu na mroźną, zimową noc, a może z powodu zamieci i śniegu zbierającego się na skrzydłach i kadłubie. Słabe światło z kabiny pilotów i niewyraźne cienie pracowników obsługi potęgowały niesamowitą atmosferę tej sceny.

Majorowi Raymondowi Vylanderowi z lotnictwa Stanów Zjednoczonych widok ten specjalnie się nie spodobał. Patrzył w milczeniu na odjeżdżającą i znikającą w burzowej ciemności cysternę z paliwem.

Z tyłu kadłuba, wielkiego jak brzuch wieloryba, opuszczono rampę załadowniczą, luk towarowy otworzył się wolno, rzucając prostokąt światła na potężny podnośnik widłowy. Vylander spojrzał w bok na dwa rzędy białych świateł wyznaczających długi na trzy tysiące trzysta metrów, biegnący po równinach Kolorado pas startowy Morskiej Bazy Lotniczej Buckley. Upiorny blask reflektorów rozświetlał noc i stopniowo znikał za zasłoną padającego śniegu.

Odwrócił wzrok i popatrzył na zmęczoną twarz, odbijającą się w okiennej szybie. Czapkę zsunął niedbale na tył głowy, odsłaniając gęste brązowe włosy. Lekko pochylony do przodu sprawiał wrażenie napiętego jak sprinter czekający na strzał startera. Niewyraźne odbicie jego postaci na tle majaczącego w dali samolotu spowodowało, że mimowolnie zadygotał. Zamknął oczy, zepchnął tę scenę w niepamięć i ponownie spojrzał na pomieszczenie.

Siedzący na krawędzi biurka admirał Walter Bass starannie złożył mapę meteo, otarł chusteczką spocone czoło, a potem skinął na Vylandera.

–Od wschodnich zboczy Gór Skalistych zbliża się front. Powinien pan wyrwać się z niego gdzieś nad kontynentalnym działem wodnym.

–Pod warunkiem, że wcześniej uda mi się poderwać tego dupiastego ptaszka z ziemi.

–Na pewno.

–Poderwanie do lotu ciężkiej maszyny z pełnym zapasem paliwa i ładunkiem o wadze czterdziestu ton, podczas śnieżycy, przy bocznym wietrze wiejącym z prędkością czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę, a na dodatek z lotniska na wysokości półtora tysiąca metrów nad poziomem morza to z pewnością nie jest zwyczajny start.

–Každy czynnik został dokładnie przeanalizowany – odparł chłodno Bass. – Koła powinny oderwać się od ziemi z zapasem dziewięćuset metrów do końca pasa. Vylander opadł na fotel jak balon, z którego uszło powietrze.

–Czy warto ryzykować w ten sposób życie mojej załogi, admirale? Co jest tak cholernie ważne dla marynarki Stanów Zjednoczonych, że w samym środku nocy ściąga nie

wiadomo gdzie samolot należący do lotnictwa, by transportował jakiś złom na

jedną z

wysepek Pacyfiku?

Na twarzy Bassa pojawił się na moment rumieniec emocji, lecz po chwili jego oblicze złagodniało. Gdy się odezwał, mówił delikatnie, prawie przepraszająco:

–To jest dziecinnie proste, majorze. Ten złom, jak pan powiedział, jest ładunkiem

o

bezwzględnym pierwszeństwie, przeznaczonym do supertajnego programu badawczego.

Ponieważ pański samolot stratosferyczny był jedynym środkiem ciężkiego transportu w

promieniu tysiąca kilometrów, lotnictwo zgodziło się wypożyczyć go czasowo marynarce. A

zatem to oni wrobili pana i pańską załogę w ten interes. To wszystko.

Vylander rzucił Bassowi przenikliwe spojrzenie.

–Nie chciałbym, żeby to wyglądało na niesubordynację, admirale, ale to nie jest wszystko. W każdym razie w przypadku zadania, które może się nie powieść.

Bass obszedł biurko i usiadł.

–Niech pan uważa ten lot za rutynowy, nic więcej.

–Byłbym panu wdzięczny, sir, gdyby zechciał pan rzucić parę szczegółów i oświecić mnie, co stanowi zawartość pojemników załadowanych do mojego przedziału towarowego.

–Przykro mi – odparł Bass unikając wzroku majora – ale ta sprawa jest ściśle tajna.

Vylander wiedział, że admirał kłamał. Podniósł się ciężko, wziął do ręki plastikową teczkę z mapami i planem lotu i ruszył w stronę drzwi. Tam jednak zatrzymał się i odwrócił.

–Na wypadek, gdybyśmy musieli awaryjnie...

–Nic z tych rzeczy! Gdyby w powietrzu zaistniała sytuacja awaryjna – oznajmił z namaszczeniem Bass – sprowadzicie maszynę na ziemię na nie zamieszkanym terenie.

–Prosi pan o zbyt wiele.

–To nie jest prośba, lecz rozkaz! Panu i pańskiej załodze nie wolno opuścić samolotu na trasie stąd do miejsca przeznaczenia bez względu na to, jak skrajne okoliczności mogą zaistnieć.

Twarz Vylandera spochmurniała.

–W takim razie myślę, że to już wszystko.

–Jest jeszcze coś.

–Mianowicie?

–Powodzenia – powiedział Bass, a na jego wargach pojawił się delikatny uśmiech. Ten uśmiech zupełnie nie spodobał się Vylanderowi. Otworzył drzwi i, nie odpowiadając, wyszedł na mróz.

W kabinie pilotów porucznik Sam Gold, drugi pilot, pochylony tak nisko, że jego głowa znajdowała się o pół metra poniżej zagłówka, zajęty był wykazem czynności

kontrolnych, podczas gdy tuż za nim, po jego lewej stronie kapitan George Hoffman, nawigator, bawił się kątomierzem. Kiedy Vylander wszedł do kabiny z przedziału towarowego, nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

–Kurs ustalony? – spytał Hoffmana.

–Całą tę wstępną paskudną robotę załatwili spece z marynarki. Chociaż nie powiem,

żeby spodobało mi się wytyczenie naszej trasy. Zbyt wydumane. Każą nam lecieć nad

najbardziej odludną częścią Zachodu.

Na twarzy Vylandera pojawił się niepokój, co Hoffman od razu zauważył. Major spojrzął przez ramię na wielkie stalowe pojemniki, przymocowane pasami w sekcji towarowej, i próbował wyobrazić sobie ich zawartość.

Zamyślenie przerwał mu starszy sierżant Joe Burns o kamiennej twarzy Bustera Keatona, inżynier pokładowy, który pracował przy wejściu do kabiny.

–Wszystko zapięte na ostatni guzik i gotowe do odlotu w siną dal, majorze.

Vylander skinął głową, nie spuszczając wzroku z pojemników.

–W porządku, ruszajmy w drogę tym horrorem na kółkach.

Pierwszy silnik obrócił i zagdakał, a zaraz po nim ożyły trzy pozostałe. Wtedy odłączono dodatkowe zasilanie, wyciągnięto klocki spod kół i Vylander zaczął wolno kołować przeciążoną maszyną w stronę końca pasa startowego. Strażnicy i ludzie z obsługi odwrócili się i pobiegli schronić w ciepłe pobliskiego hangaru, a pęd powietrza walił ich po plecach.

Admirał Bass stał w wieży kontrolnej lotniska Buckley i obserwował, jak stratosferyczny samolot sunie niczym ociężały żuk po omiatanym śniegiem lotnisku. W dłoni trzymał słuchawkę i spokojnie mówił do mikrofonu:

–Może pan powiadomić prezydenta, że Vixen 03 przygotowuje się do startu.

–Jaki jest przewidywany czas przybycia na miejsce? – spytał stanowczym głosem Charles Wilson, sekretarz obrony.

–Biorąc pod uwagę tankowanie paliwa na Hickam Field na Hawajach, Vixen 03 powinien wylądować w rejonie prób mniej więcej o godzinie czternastej czasu waszyngtońskiego.

–Ile zaplanował nas na jutro, na ósmą rano. Nalega, żeby dostarczyć mu szczegółowe sprawozdanie ze zbliżających się prób i na bieżąco informować o locie Vixen 03.

–Natychmiast wylatuję do Waszyngtonu.

–Chyba nie muszę dokładnie wyjaśniać, admirale, co by się stało, gdyby ten samolot rozbił się w pobliżu jakiegoś większego miasta.

Bass milczał przez długą chwilę pełną przerażającej ciszy.

–Tak, panie sekretarzu, to byłby koszmar, z którym żaden z nas nie potrafiłby żyć.

–Ciśnienie i moment obrotowy nieznacznie za małe – ogłosił sierżant Burns.

Wpatrywał się w tablicę wskaźników jak sroka w gnat.

–Wystarczy, żeby go poderwać? – spytał z nadzieją Gold.

–Przykro mi, poruczniku. W rozrzedzonym powietrzu Denver silniki spalinowe nie pracują równie dobrze jak na poziomie morza. Przy uwzględnieniu tego wskazania mierników odpowiadają sytuacji.

Vylander popatrzył na wstęgę asfaltu przed nimi. Śnieżycą zelżała, więc prawie mógł dojrzeć oznaczenie połowy długości pasa. Serce zaczęło mu bić trochę szybciej, dotrzymując tempa gwałtownym ruchom wycieraczek na szybach. Boże, pomyślał, on nie wygląda na dłuższy niż stół bilardowy. Zupełnie jak w transie sięgnął po mikrofon.

–Vixen 03 do wieży. Gotowy do startu. Over.

–Ta maszynka w całości należy do pana – zatrzeszczał znajomy głos admirała Bassa. – Niech pan ocali dla mnie tę pękatą amerykańską lalunię.

Vylander odmeldował się, zwolnił hamulce i wszystkie cztery manetki przesunął aż do oporu.

C-97 pchnął swój przypominający kartofel nos w sypiący śniegiem wiatr i zaczął sunąć z wysiłkiem wzdłuż długiej wstęgi pasa. Tymczasem Gold informował monotonicznie o rosnącej prędkości:

–Siedemdziesiąt pięć na godzinę.

O wiele za wcześnie mignął obok znak z dużą cyfrą 9.

–Przed nami dwa tysiące siedemset metrów – mówił jednostajnie Gold. –

Prędkość sto
pięć.

Białe światła wyznaczające pas ginęły za końcami skrzydeł. Maszyna parła do przodu – potężne silniki marki Pratt-Whitney pracowały na pełnych obrotach, a czterołopatkowe śmigła chwyciły rozrzedzone powietrze. Vylander tak mocno zacisnął dłonie na wolancie, że zbieleły mu knykcie. Mruczał na przemian modlitwy i przekleństwa.

–Prędkość sto pięćdziesiąt, zostało dwa tysiące metrów.

Burns nie spuszczał wzroku z tablicy przyrządów, uważnie obserwował każde drgnięcie wskaźników, gotów natychmiast wykryć najmniejszy objaw zapowiadający kłopoty. Hoffman mógł tylko siedzieć bezsilnie i przyglądać się, jak pas startowy znika z nadmierną, jak mu się wydawało, prędkością.

–Sto osiemdziesiąt.

Vylander zaczął walczyć z kolumną sterowniczą, gdy maszynę zaatakował porywisty boczny wiatr. Kropelka potu spłynęła mu niepostrzeżenie po policzku i spadła na udo. Ze zniecierpliwieniem czekał na jakikolwiek znak, że samolot robi się lżejszy, lecz nadal miał wrażenie, iż jakaś gigantyczna dłoń dociska kabinę do ziemi.

–Prędkość dwieście. Właśnie minęliśmy znacznik tysiąc pięćset metrów.

–No, leć, dziecinko, leć – błagał Hoffman, a meldunki Golda posypały się jeden za drugim.

–Dwieście piętnaście. Zostało nam tysiąc metrów. – Zwrócił się do Vylandera: – Właśnie minęliśmy punkt krytyczny – podrywać się albo hamować.

–No i mamy margines bezpieczeństwa admirała Bassa – mruknął.

–Za chwilę sześćset metrów. Prędkość dwieście trzydzieści.

Vylander widział już czerwone światła końca pasa startowego.

Zdawało mu się, że steruje skałą. Gold spoglądał na niego nerwowo, wyczekując ruchu łokci, co by znaczyło, że major zaczął podrywać maszynę. Vylander nadal siedział nieruchomo jak worek portlandzkiego cementu.

–O Boże... znacznik trzystu metrów... bliżej, bliżej, za nami.

Vylander delikatnie ściągnął wolant na siebie. Przez prawie trzy sekundy, które dłużyły się jak wieczność, nic się nie działo. Lecz nagle samolot oderwał się od asfaltu i wzniósł – zaledwie pięćdziesiąt metrów przed końcem pasa startowego.

–Schować podwozie! – powiedział ochryple Vylander.

Minęło jeszcze kilka nerwowych chwil, dopóki podwozie nie zamknęło się w gniazdach, i dopiero wtedy Vylander poczuł lekkie zwiększenie prędkości.

–Podwozie schowane – oznajmił Gold.

Klapy zostały podniesione na wysokości stu dwudziestu metrów i wszyscy czterej mężczyźni odetchnęli z ulgą, gdy Vylander położył maszynę w lekki skręt na północny zachód. Pod lewym skrzydłem zamigotały światła Denver, lecz wkrótce zniknęły za chmurami. Vylander nie rozluźnił się, dopóki prędkość względem powietrza nie zwiększyła się do trzystu kilometrów na godzinę, a wysokość do tysiąca metrów.

–Hop, hop i poszło – odetchnął Hoffman. – Przyznam, że tam w dole miałem trochę stracha.

–Witamy w klubie – uśmiechnął się Burns.

Gdy Vylander przebił się przez powłokę chmur i wyrównał lot na pułapie czterech tysięcy ośmiuset metrów w kierunku zachodnim nad Góry Skaliste, zwrócił się do Golda:

–Przejmij stery. Pójdę sprawdzić, co słychać z tyłu.

Gold spojrzał badawczo na majora, gdyż ten zazwyczaj nie oddawał sterów tak wcześnie.

–Mam – zameldował, kładąc dłonie na wolancie.

Vylander odpiął pasy bezpieczeństwa i wszedł do przedziału ładunkowego, uważnie zamykając za sobą drzwi do kabiny.

Naliczył trzydzieści sześć błyszczących pojemników z nierdzewnej stali, mocno przytroczonych do drewnianych klocków na podłodze. Zaczął uważnie sprawdzać powierzchnię każdego z nich. Szukał stosowanych w armii, wytłaczanych oznaczeń wagi, daty produkcji, inicjałów inspektora kontroli, instrukcji transportu... Nie znalazł niczego.

Prawie po kwadransie miał już zamiar zrezygnować i wrócić do kabiny, gdy spostrzegł niewielką aluminiową plaketkę, która spadła między drewniane kloce. Na odwrotnej stronie miała przyklepic i Vylander poczuł odrobinę zadowolenia, dopasowując blaszkę do lepkiego miejsca na pojemniku. Uniósł plaketkę do słabego światła i spojrzał z ukosa na jej gładką powierzchnię. Malutki, wgłębiony znak potwierdził jego najgorsze obawy.

Przez pewien czas stał, przyglądając się małej, aluminiowej płytce.

Z odrętwienia wyrwał go nagły przechył maszyny. Rzucił się przez przedział

ładunkowy i szarpnięciem otworzył drzwi kabiny. Była pełna dymu.

–Maski tlenowe! – krzyknął, z ledwością rozróżniając zarysy Hoffmana i Burnsa. Gold był całkowicie ukryty w niebieskawej mgle.

Doszedł po omacku do swego fotela i zaczął szukać maski tlenowej, krzywiąc się od gryzącego zapachu spalonych kabli.

–Wieża w Buckley, tu Vixen 03! – krzyczał do mikrofonu Gold. – Mamy dym w kabinie. Proszę o instrukcje awaryjnego lądowania. Over.

–Przejmuję stery – rzucił Vylander.

–Należą do ciebie – odparł bez wahania Gold.

–Burns?

–Tak?

–Co się, do cholery, zepsuło?

–W tym dymie nie potrafię stwierdzić na sto procent, majorze. – Spod maski tlenowej głos Burnsa brzmiał głucho. – Wygląda mi to na krótkie spięcie gdzieś w okolicy nadajnika.

–Wieża w Buckley, tu Vixen 03! – wołał uparcie Gold. – Odezwiście się.

–To nie ma sensu, poruczniku – wysapał Burns. – Oni nas nie słyszą. Nikt nie może nas usłyszeć. Poszedł bezpiecznik sprzętu radiowego.

Oczy Vylandera łzawiły tak mocno, że ledwie widział.

–Wracamy do Buckley – oznajmił chłodno.

Ale zanim zdołał wykonać zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, poczuł gwałtowne drgania samolotu i usłyszał jakiś metaliczny odgłos. Dym zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a do kabiny wdarł się podmuch lodowatego powietrza, atakując skórę ludzi niczym rój os. Samolot miał najwyraźniej zamiar rozlecieć się na kawałki.

–Urwała się łopata śmigła trzeciego silnika! – krzyknął Burns.

–Jezu Chryste! Jak nie urok to... Wyłącz trzeci! – rzucił Vylander. – I ustaw równolegle to, co zostało ze śmigła.

Gold momentalnie zaczął manipulować przy tablicy rozdzielczej i wkrótce wibracje ustały. Z drżącym sercem Vylander delikatnie wypróbował stery. Oddychał szybko, a gdzieś w środku poczuł rosnące przerażenie.

–Łopata śmigła przebiła powłokę kadłuba – poinformował Hoffman. – W luku ładunkowym mamy wyrwę na dwa metry. Wszędzie wiszą kable i przewody hydrauliczne.

–To wyjaśnia zniknięcie dymu – odezwał się złowrogo Gold. – Został wyssany, gdy w kabinie spadło ciśnienie.

–To również wyjaśnia, dlaczego nie reagują lotki i ster pionowy – dodał Vylander. – Możemy się wznosić i zniżyć lot, lecz nie możemy skręcać i pochylać maszyny na skrzydło.

–A może udałoby się obrócić go, otwierając i zamykając maski na pierwszym i czwartym silniku – zaproponował Gold. – To powinno wystarczyć, by skierować samolot do lądowania w Buckley.

–Nie dolecimy do Buckley – stwierdził Vylander. – Bez trzeciego silnika tracimy

wysokość w tempie prawie trzystu metrów na minutę. Będziemy musieli posadzić go w Górach Skalistych.

Reakcją na te słowa była głucha cisza. Dowódca widział, jak w oczach członków załogi wzbiera strach, mógł go prawie poczuć.

–Mój Boże – jęknął Hoffman. – Tego nie da się zrobić. Jak nic rozwalimy się o skały.

–Ciągle jeszcze mamy trochę mocy i sterowności – stwierdził Vylander. – Ponadto wyszliśmy z chmur, więc przynajmniej widać, dokąd lecimy.

–Dzięki niebiosom za nawet tak niewielką łaskę – mruknął Burns.

–Jaki mamy kurs? – spytał Vylander.

–Dwa-dwa-siedem, południowy zachód – odparł Hoffman. – Zepchnęło nas prawie o osiemdziesiąt stopni od wyznaczonego kierunku.

Vylander tylko skinął. Nie było nic więcej do powiedzenia.

Całą uwagę skupił na prowadzeniu samolotu w linii zbliżonej do poziomu. Niestety, nie mógł zapobiec szybkiemu opadaniu.

Nawet przy maksymalnych obrotach trzech silników nie było sposobu, by utrzymać pułap tak mocno obciążonej maszyny. On i Gold mogli tylko siedzieć bezsilnie, podczas gdy samolot rozpoczął długi ślizg w kierunku ziemi przez doliny otoczone szczytami Gór Skalistych Kolorado sięgających do wysokości ponad czterech tysięcy metrów.

Wkrótce rozróżniali już drzewa wystające ze śniegu okrywającego góry. Na wysokości trzech i pół tysiąca metrów poszczerbione szczyty zaczęły wznosić się ponad końcami skrzydeł. Gold włączył światła lądowania i wyteżał wzrok, wypatrując kawałka otwartej przestrzeni. Hoffman i Burns siedzieli nieruchomo, oczekując w napięciu nieuniknionej katastrofy.

Wskazówka wysokościomierza opadła poniżej kreski trzech tysięcy metrów. Trzy tysiące metrów. To cud, że zeszli tak nisko, cud, że żadna skała nie stanęła im nagle na drodze. A potem, prawie dokładnie przed nimi drzewa rozstąpiły się i w światłach reflektorów ukazał się płaski, zasypany śniegiem teren.

–Łąka! – krzyknął Gold. – Cudowna, wspaniała górską łąka pięć stopni na prawo!

–Widzę ją – przytaknął Vylander. Delikatnie zmienił kurs, ustawiając odpowiednio manetki i klapy silników.

Nie było czasu na formalne procedury lądowania. Chodziło o przeżycie, podręcznikowe lądowanie ze schowanym podwoziem.

Morze drzew zniknęło pod kadłubem, a Gold wyłączył zapłon, gdy Vylander sprowadził samolot na wysokość zaledwie trzech metrów nad ziemią. Silniki umilkły, olbrzymi cień w dole rósł szybko, aż spotkał się z opadającym kadłubem.

Uderzenie było mniej gwałtowne, niż którykolwiek z nich miał prawo oczekiwać. Brzuch samolotu musnął śnieg i uderzył lekko, raz, drugi, a potem opadł jak gigantyczna narta. Vylander nie potrafił określić, jak długo trwała ta koszmarna, nie kontrolowana jazda.

Sekundy dłużyły się w nieskończoność. Wreszcie samolot zatrzymał się i zapadła

głucha cisza – śmiertelna i złowroga.

Pierwszy zareagował Burns.

–Na Boga, udało się nam – wyszeptał drżącymi wargami.

Gold miał ziemisty kolor twarzy. Wyrzał przez okno, lecz zobaczył wyłącznie biel. Za szybą znajdowała się nieprzenikniona warstwa śniegu. Odwrócił się wolno do Vylandera i otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz nie zrobił już tego nigdy. Słowa zamarły mu w gardle.

Dudniące drgania wstrząsnęły samolotem, po nich dał się słyszeć ostry, trzeszczący hałas i skrzywienie wyginanego i skręcanego metalu. Biel za szybami ustąpiła miejsca ścianie gęstej, zimnej czerni. Potem nie było już nic, zupełnie nic.

W biurze kwatery głównej marynarki w Waszyngtonie admirał Bass przyglądał się apatycznie mapie pokazującej zaplanowany rejs Vixen 03. Wszystko było wypisane w jego zmęczonych oczach, na zrytych zmarszczkami zapadniętych policzkach, w zwieszonych, znużonych ramionach. W ciągu ostatnich czterech miesięcy Bass postarzał się ponad swój wiek. Zadzwoił telefon, więc podniósł słuchawkę.

–Admirał Bass? – odezwał się znajomy głos.

–Tak, panie prezydencie.

–Sekretarz Wilson powiadomił mnie, że chce pan odwołać poszukiwania Vixen 03.

–To prawda – odparł spokojnie. – Nie widzę sensu w przedłużaniu tej agonii.

Okręty marynarki, samoloty lotnictwa i jednostki wojska przeczesaly każdy skrawek ziemi i morza na szerokość siedemdziesięciu kilometrów po każdej stronie zaplanowanej trasy przelotu Vixen 03.

–Co pan o tym sądzi?

–Podejrzewam, że wrak samolotu leży na dnie Pacyfiku – odparł Bass.

–Myśli pan, że udało im się przekroczyć linię Zachodniego Wybrzeża?

–Tak.

–Módlmy się, żeby miał pan rację, admirale. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli ten samolot rozbił się na ziemi.

–Gdyby tak się stało, do tej pory już byśmy o tym wiedzieli – odrzekł Bass.

–Taaak – prezydent zawahał się – sądzę, że tak. – Znowu przerwał. – Zamknijcie akta sprawy Vixen 03. Ukryjcie je, i to głęboko.

–Dopilnuję tego osobiście, panie prezydencie.

Bass odłożył słuchawkę na widełki i opadł z powrotem na krzesło – człowiek pokonany przy końcu długiej i, co tu mówić, wzorowej kariery. Jeszcze raz zerknął na mapę.

–Gdzie? – powiedział głośno do siebie. – Gdzie jesteś? Dokąd, do diabła, doleciałeś?

Odpowiedź nie nadeszła. Nie znaleziono rozwiązania zagadki, nie poznano losów nieszczęsnego samolotu stratosferycznego. Wyglądało na to, że major Vylander i jego załoga odlecieli w nicość.

Część I Vixen 03

Kolorado, wrzesień 1988 1

Dirk Pitt obudził się, ziewnął szeroko i rozejrzał po pomieszczeniu. Było ciemno,

kiedy przyjechał do tej górskiej chaty, a płomienie w kominku zbudowanym z wielkich głazów i światło lamp naftowych wydzielających gryzący zapach nie rozjaśniały wystarczająco tego wnętrza z sękatego sosnowego drewna. Zatrzymał wzrok na ściennym zegarze firmy Setha Thomasa. Poprzedniego wieczoru nastawił go i nakręcił, wydawało mu się, że tak właśnie powinien postąpić. Potem przyjrzał się potężnej głowie łosia, pokrytej pajęczyną, spoglądającej na niego przykurzonymi, szklanymi ślepiami. Tuż za łosiem znajdowało się duże okno z zapierającym dech widokiem na niedostępny górski łańcuch Sawatch, w głębi Gór Skalistych w stanie Kolorado.

Kiedy otrząsnął się w końcu ze snu, stanął przed podjęciem pierwszej tego dnia decyzji – czy pozwolić oczom rozkoszować się pięknem górskiej scenerii, czy też cieszyć je widokiem kształtnej ciała członkini Kongresu Loren Smith, która siedziała nago na pikowanym pledzie, pochłonięta ćwiczeniami jogi.

Pitt, słusznie zresztą, opowiedział się w myślach po stronie członkini Kongresu Loren Smith. Nogi skrzyżowała w pozycji lotosu, łokcie i głowę wsparła na pledzie. Pitt doszedł do wniosku, że widoczne między udami gniazdko i małe, naprężone wzniesienia piersi o niebo przewyższają granitowe szczyty łańcucha Sawatch.

–Jak nazywasz tę niegodną damy akrobatyczną pozycję? – spytał.

–Ryba – odparła, nie poruszając się. – Świetnie wpływa na mięśnie klatki piersiowej.

–Jako mężczyzna – stwierdził Pitt, udając powagę – nie przepadam za cyckami twardymi jak kamień.

–Wołałbyś, żeby były sflaczałe i obwisłe? – Zwróciła w jego stronę swoje fiołkowe oczy.

–No cóż... niezupełnie. Ale może odrobina silikonu tu i tam...

–Na tym właśnie polega problem z umysłem samca – rzuciła, siadając i zaczesując w tył długie, kasztanowe włosy. – Czy uważasz, że wszystkie kobiety powinny mieć mleczarnie nadmuchane jak balony, tak jak te pozbawione smaku dziwki z rozkładówek w szowinistycznych czasopismach?

–Żeby mieć, wystarczy chcieć. Rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

–Trudno, będziesz musiał zadowolić się moimi dwójeczkami. To wszystko, co mam.

Wyciągnął rękę, objął jej ciało potężnym ramieniem i wciągnął do połowy na łóżko.

–Olbrzymie czy małe – pochylił się i delikatnie pocałował obie sutki – żadna kobieta nie będzie oskarżać Dirka Pitta o dyskryminację.

Wyprężyła się i ugryzła go w ucho.

–Całe cztery dni sami, tutaj. Bez telefonów, bez spotkań komitetu, przyjęć i denerwujących mnie pracowników. To chyba zbyt piękne, by było prawdziwe. –

Wsunęła

dłoń pod koldrę i zaczęła głaskać go po brzuchu. – Co powiesz na odrobinę gimnastyki przed

śniadaniem?

–Och, to magiczne słowo. Spojrzała na niego zaczepnie.

–Gimnastyka czy śniadanie?

–To, o czym mówiłaś wcześniej, twoja pozycja jogi. – Pitt wyskoczył z łóżka, puszczając Loren, tak że opadła na swoją kształną pupę. – Którędy do najbliższego jeziora?

–Jeziora?

–Jasne. – Pitt roześmiał się na widok zdumienia malującego się na jej twarzy. – Tam, gdzie jest jezioro, są ryby. Nie możemy tracić dnia na łóżkowych figlach, skoro soczysty pstrąg z zapartym tchem czeka na okazję połknięcia haczyka.

Popatrzyła na niego pytająco, przechylając głowę. Stał wyprostowany – sto osiemdziesiąt osiem centymetrów umięśnionego, opalonego, z wyjątkiem wąskiego pasa dokoła bioder, ciała. Zmierzwiłone czarne włosy sprawiały, że twarz robiła wrażenie srogiej, lecz jednocześnie zdolnej do uśmiechu, który rozgrzałby zatłoczony ludźmi pokój. W tym momencie nie uśmiechał się, lecz Loren знаła Pitta wystarczająco dobrze, by rozpoznać radość w zmarszczkach wokół nieprawdopodobnie zielonych oczu.

–Ty wielki, zarozumiały dzwońcu – wyrzuciła z siebie. – Nabierasz mnie.

Poderwała się z podłogi i wyrznęła go głową w brzuch, powalając na łóżko. Nawet przez chwilęnie łudziła się swoją pozorną siłą. Gdyby Pitt nie rozluźnił się i nie poddał jej pędowi, odbiłaby się od niego jak piłka od ściany.

Zanim zdążył udać, że protestuje, Loren wczółgała mu się na piersi i siadła okrakiem, rękami przytrzymując jego ramiona. On naprężył się, objął ją i ścisnął dłońmi jej jędrne pośladki. Poczwała, jak pod nią rośnie, jak jego żar promieniuje poprzez jej skórę.

–Na ryby? – powiedziała zaczepnie. – Jedyne kija, jakim potrafisz się posługiwać, nie ma przecież kołowrotka.

Śniadanie zjedli koło południa. Pitt wziął prysznic, ubrał się i wrócił do kuchni. Loren pochylała się nad zlewem, energicznie szorując przypaloną patelnię. Miała na sobie fartuszek, nic więcej. Stał w progu, obserwując, jak kołyszą się jej małe piersi, i bez pośpiechu zapinając koszulę.

–Ciekaw jestem, co powiedzieliby twoi wyborcy, gdyby mogli cię teraz zobaczyć.

–Chrzanię wyborców – odparła, uśmiechając się diabolicznie. – Moje prywatne życie to nie ich zasrany interes.

–”Chrzanię wyborców” – powtórzył poważnie Pitt, udając, że robi notatki. – Jeszcze jedno hasło w skandalicznym życiu małej Loren Smith, reprezentantki styranizowanego łapówkarstwem siódmego okręgu w stanie Kolorado.

–To wcale nie jest śmieszne. – Odwróciła się i zamachnęła na niego patelnią. – W siódmym okręgu nie ma żadnych szwindli politycznych, a w Kapitolu ja jestem ostatnią z tych, których można by oskarżyć o wyciąganie łapy po forszę.

–Aha... a twoje wybryki seksualne? Pomyśl tylko, ile zamieszania mogłyby wokół tego narobić gazety. Właściwie ja sam mógłbym cię wykorzystać i napisać o tobie bestseller.

–Nie możnamnie tknąć, dopóki moi kochankowie nie figurują na liście płac

mojego biura i dopóki nie zabawiam się z nimi na koszt Kongresu.

–A co ze mną?

–Ty przecież zapłaciłeś już swoją działkę, pamiętasz? – Wytarła patelnię i odłożyła do szafki.

–I jak tu robić interes – powiedział smutno – skoro tak tanio sprzedają się kochance?

Objęła go za szyję i pocałowała w brodę.

–Kiedy następnym razem podczas przyjęcia w Waszyngtonie będziesz podrywał jakąś

napaloną dziewczynę, proponuję, żebyś najpierw zażądał wyciągu z jej konta.

Wielki Boże, przypomniała sobie to okropne party, zepsute przez sekretarza do spraw środowiska. Nie cierpiała towarzystwa kongresowego. Kiedy jej działanie nie dotyczyło interesów stanu Kolorado lub jakiegoś zadania jej komisji, szła zwykle po pracy do domu, do pewnego parszywego kota o imieniu Ichabod, i gapiała się na byle jaki film w telewizji.

Pitt stał w połyskliwym świetle pochodni trawnikowych i jak magnes przyciągnął jej wzrok. Przyglądała się mu beczelnie, prowadząc jednocześnie ożywioną rozmowę z kongresmanem Partii Niezależnych, Mortonem Shawem z Florydy. Czuła swoje przyspieszone, co rzadko się zdarzało, tętno i zastanawiała się nad przyczyną tego

przyspieszenia akurat teraz. Facet nie był przystojny, w każdym razie nie tak jak Paul Newman, ale męski. Wydawało się, że cechuje go powaga. Wysoki, a ona lubiła wysokich.

Był sam, z nikim nie rozmawiał. Obserwował otaczających go ludzi spojrzeniem oznaczającym raczej prawdziwe zainteresowanie niż wyniosłość pełną znudzenia. Kiedy zdał sobie sprawę, że ona na niego patrzy, zwyczajnie odpowiedział jej takim samym, szczerym spojrzeniem.

–Kto to jest, ten, co podpira ścianę, tam w cieniu? – spytała Mortona Shawa.

Shaw odwrócił się i spojrzał w kierunku, który Loren wskazała ruchem głowy.

Oczy mu rozbłysły i uśmiechnął się, gdy poznał Pitta.

–Jesteś w Waszyngtonie od dwóch lat i nie wiesz, kto to jest?

–Gdybym wiedziała, nie pytałabym – odrzekła niedbale.

–Nazywa się Pitt, Dirk Pitt Jest dyrektorem projektów specjalnych w NUMA, Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Wiesz co? To jest ten gość, który

prowadził operację podnoszenia "Titanica".

Poczuła się głupio na myśl, że go nie poznała. Jego zdjęcie i opis zakończonej powodzeniem akcji publikowano przez kilka tygodni. A więc to był mężczyzna, który podjął się tego, co niemożliwe, i dopiął swego. Przeprosiła Shawa i poszła przez tłum w stronę Pitta.

–Panie Pitt – powiedziała i udało jej się tylko tyle. Wiatr poruszył płomieniami pochodni i wówczas w oczach Pitta pojawił się szczególny błysk. Loren poczuła skurcz żołądka. Wcześniej przytrafiło jej się to tylko jeden raz, gdy była jeszcze

bardzo młoda i zakochała się w pewnym zawodowym narciarzu. Cieszyła się, że słabe światło ukryło rumieniec, który z pewnością pojawił się na jej policzkach.

–Panie Pitt – zaczęła na nowo. Chyba nie potrafiła znaleźć właściwych słów. Spojrzał na nią z góry i czekał. Ty głupia, krzyknęła w myślach, przedstaw się. Lecz zamiast tego wydukała: – Skoro już podniósł pan "Titanica" z dna, czego będzie dotyczył pański kolejny projekt?

–To bardzo trudne zadanie – odparł uśmiechając się miło. – W każdym razie mój nowy projekt wiąże się z osobistą satysfakcją i będę się nim delektował z największą przyjemnością.

–Mianowicie?

–Będzie to uwiedzenie członkini Kongresu, Loren Smith. Loren zrobiła wielkie oczy.

–Pan raczy żartować?

–Seks z kobietą, która jest jednocześnie zachwycającym politykiem, zawsze traktuję serio.

–Jest pan bardzo miły. Czy wynajęła pana do tego opozycja?

Pitt nie odpowiedział. Wziął ją pod rękę, poprowadził przez dom przepelniony waszyngtońską elitą władzy i wyprowadził na zewnątrz, do swego samochodu. Poszła za nim nie protestując, bardziej z ciekawości niż posłuszeństwa.

Kiedy wyjechał na trzypasmową trasę, w końcu spytała:

–Dokąd mnie pan zabiera?

–Etap pierwszy – tu błysnął onieśmielającym uśmiechem – znaleźć zaciszny barek, w którym będziemy mogli się odprężyć i zwierzyć z najintymniejszych pragnień.

–A drugi? – spytała cicho.

–Zabiorę panią na przejażdżkę wodolotem wyścigowym po zatoce Chesapeake z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

–Z tą dziewczyną to nie przejdzie.

–Mam następującą teorię – ciągnął Pitt. – Przygoda i podniecenie zawsze przemieniają cudowne kobiety z Kongresu w szalone, nienasycone bestie.

Potem, kiedy ciepłe promienie słońca muskały dryfującą łódź, Loren stwierdziła, że jest ostatnią osobą na ziemi, która chciałaby zaprzeczyć teorii uwodzenia Dirka Pitta. Ze zmysłowym zadowoleniem spostrzegła dowody ślady swoich zębów i zadrapania na jego ramionach.

Loren wypuściła Pitta z uścisku i pchnęła w stronę drzwi kabiny.

–No, dosyć zabawy. Mam do załatwienia cały plik korespondencji, zanim jutro zjedziemy do Denver na rundę po sklepach. Może wypuścisz się na parę godzin na wycieczkę po okolicy. Później przygotuję nam tuczącą kolację, a potem spędzimy kolejny pełen zepsucia wieczór, tuląc się do siebie przy kominku.

–Myślę, że już jestem zepsuty do szpiku kości – odparł przeciągając się. – Poza tym zdecydowanie nie lubię wycieczek w plener.

–A więc wybierz się na ryby. Popatrzył na nią przeciągle.

–Tylko że jeszcze mi nie powiedziałaś, gdzie mam iść.

–Pół kilometra za wzgórzem, za chatą. Table Lake. W tym jeziorze tatuś zawsze łowił swoją normę pstrągów.

–Przez ciebie – spojrzał na nią poważnie – późno zacznę.

–Gbur.

–Nie wziąłem ze sobą sprzętu wędkarskiego. Czy twój tatko zostawił tu coś takiego?

–Jest na dole, w garażu. Ojciec miał zwyczaj trzymać tam cały swój sprzęt. Klucze są nad kominkiem.

Nie używany od dawna zamek stawiał opór. Pitt splunął na klucz i przekręcił na tyle mocno, by go nie złamać. W końcu zapadki poddały się i Pitt otworzył stare, skrzypiące, podwójne drzwi. Zaczekał trochę, by przyzwycząić wzrok do panujących ciemności, zrobił krok do przodu i rozejrzał się. Zakurzony warsztat z narzędziami wiszącymi na swoich miejscach, na półkach – różnej wielkości puszki, jedne z farbą, inne z gwoździami i różnymi metalowymi drobiazgami.

Po chwili znalazł pod warsztatem pudło ze sprzętem wędkarskim.

Nieco więcej czasu zajęło mu odszukanie wędki. Ledwie wypatrzył ją w ciemnym kącie. Na drodze stanęło mu jakieś urządzenie, okryte starą zasłoną. Nie mógł dosięgnąć wędki, więc spróbował przejść nad przeszkodą. Przechyliła się pod jego ciężarem i Pitt poleciał w tył, chwytając się zasłony dla odzyskania równowagi, lecz po chwili i on, i zasłona leżeli na podłodze garażu. Zaklął, zły na siebie, i spojrzał na to, co przeszkodziło mu w popołudniowym wędkowaniu. Na jego twarzy pojawiło się zdziwienie. Ukląkł i przesunął dłońią po dwóch przypadkowo odsłoniętych dużych przedmiotach. Potem wstał, wyszedł na zewnątrz i zawołał Loren.

Wyszła na balkon.

–Coś się stało?

–Zejdź tu na chwilę.

Niechętnie zarzuciła na siebie beżowy trencz i zeszła na dół. Pitt wprowadził ją do garażu i wskazał palcem mówiąc:

–Gdzie twój ojciec to znalazł? Pochyliła się i rzuciła przelotne spojrzenie.

–A co to jest?

–To okrągłe i żółte, to lotniczy zbiornik tlenowy. To drugie – przednie zawieszenie samolotu, razem z kołami i oponami. Cholernie stare, sądząc po brudzie i stopniu skorodowania.

–To dla mnie zupełna nowość.

–Z pewnością widziałaś to już wcześniej. Nigdy nie korzystasz z tego garażu?

Pokręciła głową.

–Nie, odkąd kandydowałam na moje stanowisko. Jestem tu pierwszy raz od czasu śmierci ojca w wypadku trzy lata temu.

–Nigdy nie słyszałaś, żeby gdzieś tutaj rozbił się samolot? – zagadnął Pitt.

–Nie, ale to nie znaczy, że nic takiego się nie wydarzyło. Rzadko widuję sąsiadów, więc mam mało okazji, by posłuchać miejscowych plotek.

–Którędy?

–Co?

–Najbliżsi sąsiedzi. Gdzie oni mieszkają?

–W dół drogą, z powrotem w kierunku miasta. Na rozstaju w lewo.

–Jak się nazywają?

–Raferty. Lee i Maxine Raferty. On jest emerytowanym oficerem marynarki. –

Loren wzięła Pitta za rękę i lekko uścisnęła. – Dlaczego o to wszystko pytasz?

–Ciekawość, nic więcej. – Uniósł jej dłoń i pocałował. – Wrócę akurat na tę

tuczającą kolację – dodał, po czym odwrócił się i zaczął wolno biec drogą.

–Nie idziesz na ryby?! – zawołała za nim.

–Nigdy nie lubiłem tego sportu.

–A nie chcesz wziąć jeepa?

–Wyprawa w plener to był twój pomysł, zapomniałaś?! – krzyknął przez ramię.

Loren patrzyła za Pittem, dopóki nie zniknął wśród sosen. Pokręciła głową na myśl o

niepojętych męskich kapryсах i wbiegła z powrotem do chaty, by schronić się przed wczesnojesiennym chłodem.

Maxine Raferty wyglądała jak typowa kobieta Zachodu. Tęga, ubrana w luźny dres z nadrukiem, okulary bez oprawy, na niebieskawosrebrnych włosach miała siateczkę. Siedziała skulona na progu chaty z cedrowego drewna, czytając tani kryminał. Lee Raferty, wysoki jak tyczka, przycupnął na piętach, zajęty smarowaniem łożyska przedniej osi w starej furgonetce typu International, kiedy Pitt podbiegł i pozdrowił ich:

–Dzień dobry.

Lee Raferty wyjął z ust nie zapaloną, mocno wyzutą końcówkę cygara i odparł:

–Witam.

–Ładny dzień, jak na gimnastykę – stwierdziła Maxine, badawczo przyglądając się Pittowi znad książki.

–Chłodny wietrzyk pomaga – odparł Pitt.

Na przyjacielskich twarzach dwojga starszych ludzi malowała się obawa przed obcymi wchodzącymi na ich teren, zwłaszcza tymi o wyglądzie mieszczuchów. Lee wytarł ręce w brudną ścierkę i podszedł do Pitta.

–Czy mógłbym panu w czymś pomóc?

–Mógłby pan, jeżeli państwo są Lee i Maxine Raferty. Maxine podniosła się z progu.

–Tak, to my.

–Nazywam się Dirk Pitt. Jestem gościem Loren Smith, która mieszka tu niedaleko. Niepokój ustąpił miejsca szerokim uśmiechom.

–Mała Loren Smith, taaak – powiedziała Maxine, rozpromieniona. – W tej okolicy wszyscy jesteśmy z niej dumni za to, że reprezentuje nas w Waszyngtonie, i w ogóle.

–Pomyślałem sobie, że być może mogliby państwo opowiedzieć mi troszkę o tych terenach.

–Z przyjemnością – odrzekł Lee.

–Nie stój tam jak kołek – rzuciła Maxine do męża. – Przynieś panu coś do picia. Wygląda na spragnionego.

–Jasne. Może piwko?

–Brzmi zachęcająco – odparł Pitt uśmiechając się.

Maxine otworzyła drzwi i gestem zaprosiła Pitta do środka.

–Zostanie pan u nas na lunchu. – To był raczej rozkaz niż prośba i Pitt nie miał innego

wyjścia, jak tylko przytaknąć.

Salonik był wysoki, a na poddaszu znajdowała się sypialnia.

Umeblowanie stanowiły drogie meble w stylu *art deco*. Pitt miał wrażenie, że cofnął się w lata trzydzieste. Lee ruszył dziarsko do kuchni i szybko wrócił z dwoma otwartymi piwami. Pitt zauważył, że na butelkach nie ma nalepek.

–Mam nadzieję, że lubi pan piwo własnej roboty – zagadnął Lee. – Cztery lata zajęło

mi odpowiednie dobieranie składników, żeby nie było za słodkie ani za cierpkie. Ma jakieś

osiem procent alkoholu.

Pitt delektował się smakiem – innym, niż tego oczekiwał. Gdyby nie ledwo wyczuwalny zapach drożdży, powiedziałyby, że przypomina to, które można kupić w sklepach.

Maxine nakryła stół i przywołała ich. Na stole ustawiła duży półmisek sałatki z kartofli, garnek pieczonej fasoli i tacę z cienko pokrojonymi plasterkami mięsa. Szybko opróżnione butelki piwa Lee zastąpił nowymi i zaczął podawać talerze.

Sałatka z kartofli była dobrze doprawiona, a pieczona fasola obficie polana miodem. Pitt nie rozpoznał mięsa ani jego smaku, lecz stwierdził, że jest wyśmienite. Mimo że ledwie godzinę wcześniej posilił się razem z Loren, aromat domowego jedzenia sprawił, że spałaszował je jak parobek.

–Długo już tu mieszkacie? – spytał między jednym a drugim kęsem.

–Od późnych lat pięćdziesiątych spędzaliśmy w Sawatch wakacje – odparł Lee. – Sprowadziliśmy się tu na stałe, gdy przeszedłem na emeryturę. Byłem nurkiem pracującym na dużych głębokościach. Przez chorobę kesonową wcześniej odszedłem z pracy. Zaraz, zaraz, to musiało być latem siedemdziesiątego pierwszego.

–Siedemdziesiątego – poprawiła Maxine męża. Lee Raferty mrugnął do Pitta.

–Max nigdy niczego nie zapomina.

–Czy słyszeliście o jakimś wraku samolotu, powiedzmy w promieniu dziesięciu kilometrów?

–Nie przypominam sobie. – Lee spojrzał na żonę. – A ty, Max?

–Na Boga, Lee, gdzie twoja głowa? Nie pamiętasz tego biednego doktora i jego rodziny, jak wszyscy zginęli, kiedy ich samolot rozbił się po drugiej stronie Diamond...? Jak smakuje fasola, panie Pitt?

–Jest wyśmienita – odrzekł Pitt. – Czy Diamond to pobliskie miasteczko?

–Kiedyś tak. Teraz jest tam tylko skrzyżowanie dróg i rancho dla wycieczkowiczów.

–Przypominam sobie – powiedział Lee, sięgając wolno po mięso. – Taki jednosilnikowy samolocik. Usmażył się jak frytka. Nic nie zostało. Wydział szeryfa potrzebował tygodnia na zidentyfikowanie szczątków.

–To było w kwietniu siedemdziesiątego czwartego – stwierdziła Maxine.

–Mnie interesuje o wiele większa maszyna – wyjaśnił cierpliwie Pitt. – Samolot komunikacyjny. Prawdopodobnie spadł trzydzieści lub czterdzieści lat temu.

Maxine wykrzywiła swoją okrągłą twarz i spojrzała z namysłem w sufit. W końcu pokręciła głową.

–Nie, nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek słyszała o jakiegokolwiek tak wielkiej katastrofie. A w każdym razie nie w tych okolicach.

–Dlaczego pan pyta, Pitt? – spytał Lee.

–W garażu panny Smith znalazłem jakieś stare części samolotu. Z pewnością zostawił je tam jej ojciec. Pomyślałem, że być może znalazł je gdzieś niedaleko w górach.

–Charlie Smith – powiedziała z zadumą Maxine. – Świeć, Panie, nad jego duszą.

Umiął wymyślić więcej sposobów wzbogacenia się niż bezrobotny defraudant żyjący na garnuszku opieki społecznej.

–Już raczej kupił te stare rupiecie w jednej ze składnic części zamiennych w Denver, by budować któryś z tych swoich nie działających wynalazków.

–Odnoszę wrażenie, że ojciec Loren był zwiariowanym wynalazcą.

–Biedny stary Charlie rzeczywiście był kimś takim. – Lee zaśmiał się. –

Przypominam sobie, jak próbował skonstruować automat do zarzucania wędki. Ta przekłeta machina rzucała przynętę wszędzie tylko nie w wodę.

–Dlaczego powiedział pan "biedny stary Chariiie"?

Na twarzy Maxine pojawił się smutek.

–Chyba z powodu strasznej śmierci, jaka go spotkała. Czy Loren nie opowiadała panu?

–Tylko tyle, że było to trzy lata temu. Lee wskazał na prawie pustą butelkę Pitta.

–Jeszcze jedno piwko?

–Nie, dziękuję. To wystarczy.

–Prawda jest taka – powiedział Lee – że Charlie wysadził się w powietrze.

–Wysadził się w powietrze?

–Dynamitem, jak sądzę. Nikt nigdy tego nie sprawdził. Wszystko, co znaleźli i co udało im się zidentyfikować, to jeden but i palec.

–W raporcie szeryfa napisali, że kolejny wynalazek Charliego nie zadziałał jak należy – dodała Maxine.

–Gówno prawda! – mruknął Lee.

–Wstydziłbyś się. – Maxine rzuciła mężowi stanowcze spojrzenie.

–Właśnie takie mam o tym zdanie. O materiałach wybuchowych Charlie wiedział więcej niż ktokolwiek. Był w armii ekspertem od burzenia. W końcu, do cholery, to on rozbrajał bomby i pociski artyleryjskie po całej Europie podczas drugiej wojny światowej.

–Niech pan nie zwraca na niego uwagi – powiedziała wyniośle Maxine. – Lee ubzdurał sobie, że Charlie został zamordowany. Ale to śmieszne. Charlie Smith nie miał ani jednego wroga. Jego śmierć to czysty przypadek.

–Každy ma prawo do własnego zdania – oznajmił Lee.

–Proszę poczęstować się deserem, panie Pitt – powiedziała Maxine. – Upiekłam placki z jabłkami.

–Nie, dziękuję. Nie wbiłbym w siebie już ani jednego kęsa.

–A ty, Lee?

–Już nie jestem głodny – odparł mrukliwie Raferty.

–Niech się pan nie przejmuje, panie Raferty – powiedział pojednawczo Pitt. – Wygląda na to, że poniosła mnie fantazja, Znalazłszy w górach części samolotu... pomyślałem, oczywiście, że pochodzą z miejsca katastrofy.

–Mężczyźni bywają czasem tak dziecinni. – Max uśmiechnęła się do Pitta jak dziewczynka. – Mam nadzieję, że smakował panu lunch.

–To była gratka dla smakosza – odparł Pitt.

–Chyba powinnam potrzymać te ostrzygi nieco dłużej na ogniu. Były troszeczkę

nie dopieczone. Nie sądzisz, Lee?

–Dla mnie były w porządku.

–Ostrygi w Górach Skalistych? – zdziwił się Pitt.

–Tak, tak – odparła Maxine. – Smażone bycze jądra.

–Powiedziała pani...”Jądra”?

–Lee domaga się, żebym je podawała przynajmniej dwa razy w tygodniu.

–Są o niebo lepsze niż zwykły kawałek mięsa – powiedział Lee, uśmiechając się nagle.

–Nie jestem o tym przekonany – mruknął Pitt, spoglądając na swój brzuch.

Zastanawiał się, czy Raferty’owie mają alka-seltzer, gorzko żałując, że zrezygnował z łowienia ryb.

O trzeciej nad ranem Pitt był już zupełnie rozbudzony. Leżał obok wtulonej w niego Loren i przez panoramiczne okna patrzył na zarysy gór, a obrazy w jego myślach zmieniały się jak w kalejdoskopie. Ostatni fragment zupełnie wiarygodnej, jak się okazało, układanki, nie pasował do całości. Niebo na wschodzie zaczęło jaśnieć, kiedy Pitt wysunął się z łóżka, wciągnął spodenki i cicho wyszedł.

Jeep stał na podjeździe. Pitt sięgnął do środka, ze schowka wyjął latarkę i wszedł do garażu. Odciągnął na bok zasłonę i przyjrzał się butli tlenowej. Miała kształt cylindra i według oceny Pitta nieco ponad metr długości i pół metra średnicy. Jej powierzchnia była odrapana i powgniatana, lecz Pitt zwrócił uwagę na stan połączeń. Po kilku minutach zajął się zawieszeniem samolotu.

Dwa koła umocowane na wspólnej osi razem z pionową kolumną tworzyły kształt podobny do litery T. Bieżnik balonowych opon był względnie dobry. Koła miały dziewięćdziesiąt centymetrów wysokości i, co zadziwiające, ciągle były napompowane.

Skrzypnęły drzwi. Pitt odwrócił się i zobaczył Loren zaglądającą w ciemność. Poświecił na nią latarką. Ubrana tylko w niebieski nylonowy peniuar, miała potargane włosy, a jej twarz wyrażała mieszaninę strachu i niepewności.

–Czy to ty, Dirk?

–Nie – odparł, uśmiechając się w ciemności. – To twój zaprzyjaźniony górski mleczarz.

Odetchnęła z ulgą, podeszła bliżej i żeby czuć się bezpieczniej, chwyciła go za rękę.

–Dowcipniś z ciebie nie najlepszy. A poza tym, co ty tutaj robisz?

–To nie dawało mi spokoju. – Skierował światło latarki na fragmenty samolotu. – Ale teraz już wiem, w czym rzecz.

Loren drżąc stała w brudnym, pełnym kurzu garażu.

–Robisz z igły widły – mruknęła. – Sam przecież powiedziałeś, że państwo Raferty przedstawili logiczne wyjaśnienie sposobu, w jaki ten bezużyteczny złom tutaj trafił. Tatuś prawdopodobnie wziął to ze złomowiska.

–Nie jestem tego taki pewien – odparł Pitt.

–On zawsze kupował różne stare rupiecie – obstawała przy swoim. – Rozejrzyj się tylko. To miejsce pełne jest dziwacznych, nie dokończonych wynalazków.

–Nie dokończonych, zgoda. Lecz z innych rupieci coś przynajmniej skonstruował. Tymczasem nie tknął butli tlenowej i kół. Dlaczego?

–Nie ma w tym nic tajemniczego. Najprawdopodobniej zginął, nim zdążył się do nich zabrać.

–Być może.

–W porządku, już wyjaśnił mi sprawę – stwierdziła stanowczo – więc wracajmy do łóżka, zanim zamarznę na śmierć.

–Przykro mi, ale ja jeszcze nie skończyłem.

–A co ci jeszcze nie pasuje?

–Coś tu nie gra – odrzekł. – Spójrz tutaj, na łączniki butli. Oparła się o jego ramię.

–Są połamane. A czego się spodziewałeś?

–Gdyby to wymontowano z samolotu przeznaczonego na złom, klamry i połączenia zostałyby odkręcone albo odcięte palnikiem lub nożycami. A te były skręcone i oderwane z wielką siłą. To samo z zawieszeniem. Kolumna zgięta i ułamana poniżej amortyzatora hydraulicznego. Chociaż coś mi tu nie gra: samo złamanie nie miało charakteru jednorazowego. Widać wyraźnie, że prawie cała powierzchnia pęknięcia jest zardzewiała, ale niewielka jej część na samej krawędzi wygląda dość świeżo. Wydaje się, że główne uszkodzenie i ostateczne odłamanie nastąpiły w odstępie wielu lat.

–A czego to wszystko dowodzi?

–Niczego, co wstrząsnęłoby ziemią. Jednak wskazuje, że te elementy nie pochodzą ani z warsztatów lotniczych, ani ze składnicy części zamiennych.

–Czy jesteś już usatysfakcjonowany?

–Niezupełnie. – Bez trudu podniósł butlę tlenową, wyniósł na zewnątrz i włożył do jeepa. – Z kołami sam sobie nie poradzę. Będziesz musiała mi pomóc.

–Co ty kombinujesz?

–Powiedziałaś, że mamy zjechać z gór do Denver po zakupy.

–I co z tego?

–Otóż kiedy ty będziesz chodziła po sklepach, ja pojedę z tym gipsem na lotnisko Stapleton i znajdę kogoś, kto potrafi zidentyfikować samolot, z którego to pochodzi.

–Posłuchaj, Pitt – powiedziała. – Nie jesteś Sherlockiem Holmesem. Po co zadajesz sobie tyle trudu?

–Żeby mieć jakieś zajęcie. Jestem znudzony. Ty masz swoją korespondencję kongresową, a mnie męczy gadanie do drzew przez cały dzień.

–Ale za to masz moją niepodzielną uwagę w nocy.

–Nie samym seksem człowiek żyje.

Z niemą fascynacją obserwowała, jak bierze dwie belki i kładzie na otwartej klapie jeepa.

–Gotowa? – spytał.

–Nie jestem ubrana odpowiednio na tę okazję – odparła oziębłym głosem, czując gęsią skórę na ciele.

–Więc się rozbierz, żeby się nie wybrudzić.

Zupełnie jak we śnie powiesiła peniuar na gwoździu, nie mogąc zrozumieć, dlaczego kobiety ulegają mężczyznom w ich chłopięcych zabawach. Oboje – Pitt w spodenkach, Loren nago – unieśli i załadowali zakurzone zawieszenie na zaimprovizowaną rampę przy jeepie. Kiedy Pitt mocował łańcuchem klapę, Loren stała w blasku wczesnego świtu, patrząc na swoje brudne uda i brzuch. Zastanawiała się, co też ją podkusiło, żeby wziąć sobie tak zwariowanego kochanka.

Harvey Dolan, główny inspektor techniczny w okręgowym biurze transportu lotniczego FAA, Federalnej Agencji Aeronautyki, podniósł okulary do światła i nie znalazłszy najmniejszych śladów brudu, włożył je z powrotem na nos w kształcie piramidy.

– Powiada pan, że znalazł to w górach?

– Około pięćdziesięciu kilometrów na północ od Leadville, w łańcuchu Sawatch - odrzekł Pitt.

Musiał mówić głośno, żeby przekrzyczeć hałas podnośnika widłowego, który przewoził zawieszenie i butlę tlenową z jeepa przez wielkie, otwarte wrota do hangaru inspekcyjnego FAA.

– Właściwie nie ma punktu zaczepienia – stwierdził Dolan.

– Ale może pan zgadywać, wykorzystując swoje doświadczenie. Dolan wzruszył z rezerwą ramionami.

– To jest jak z policjantem, który znajduje małe, zagubione dziecko, wędrujące po ulicach. Gliniarz widzi, że to chłopiec z dwiema rękami i dwiema nogami, w wieku około dwóch lat. Jest ubrany w dżinsy i podkoszulek, na nogach ma adidas. Twierdzi, że na imię mu Joey, lecz nie zna swojego nazwiska, adresu ani numeru telefonu. Panie Pitt, jedziemy na tym samym wózku, co tamten gliniarz.

– Czy mógłby pan przełożyć tę alegorię na konkretne szczegóły? – spytał Pitt, uśmiechając się.

– Proszę zwrócić uwagę – zaczął Dolan z nutą zawodowej retoryki w głosie. Z kieszeni na piersi wyjął długopis i używał go jako wskazówki. – Oto mamy przed sobą przednie zawieszenie samolotu, który ważył w przybliżeniu czterdzieści ton. To była maszyna śmigłowa, ponieważ opony nie są skonstruowane tak, by mogły wytrzymać nacisk odrzutowców lądujących z dużą szybkością. Ponadto kolumny o takiej konstrukcji nie stosuje się już od lat pięćdziesiątych. Dlatego wiek tego sprzętu oceniam na trzydzieści do czterdziestu pięciu lat. Opony pochodzą z firmy Goodyear, a koła z Rantoul Engineering w Chicago. Jeśli zaś chodzi o producenta samolotu i jego właściciela, to obawiam się, że daleko nie zajedziemy.

– A zatem tutaj zabawa się kończy?

– Zbyt wcześnie się pan poddaje – odrzekł Dolan. – Na kolumnie widnieje doskonale czytelny numer seryjny. Jeżeli uda się nam określić typ maszyny, dla której opracowano tego

rodzaju zawieszenie, to wystarczy odszukać numer seryjny u producenta, by poznać samolot, z którego to pochodzi.

– Mówi pan, jakby to było dziecinnie proste.

– Są jakieś inne szczątki?

– Tylko to, co pan widzi.

– A skąd pomysł, żeby je tu przywieźć?

– Pomyślałem, że jeśli ktokolwiek potrafi je zidentyfikować, to będzie FAA.

– Żeby nas w to wrobić, co? – spytał Dolan, uśmiechając się.

– Nic złośliwego nie miałem na myśli – odparł Pitt, odpowiadając uśmiechem.

–Śladów nie ma zbyt wiele – dodał Dolan – lecz nigdy nic nie wiadomo. Może się nam poszczęści.

Kciukiem opuszczonym w dół wskazał wymalowany na betonowej posadzce czerwony krąg. Operator podnośnika widłowego skinął głową i opuścił paletę z leżącymi na niej częściami. Potem wycofał podnośnik, skręcił o dziewięćdziesiąt stopni w prawo i odjechał ze szczękiem w drugi kąt hangaru.

Dolan podniósł butlę tlenową, obrócił ją w dłoniach jak koneser sztuki podziwiający grecką wazę, a potem odstawił.

–Nie ma szans, by stwierdzić, skąd to pochodzi – stwierdził stanowczo. – Kilka firm

ciągle produkuje takie znormalizowane butle dla dwudziestu różnych typów samolotów.

Dolan chyba dał się wciągnąć w tę zabawę. Uklęknął i uważnie obejrzał całą powierzchnię zawieszenia. W pewnym momencie poprosił Pitta, żeby pomógł mu ustawić je w innym położeniu. Minęło pięć minut, a on nie powiedział ani słowa...

W końcu Pitt przerwał milczenie:

–Czy coś pan z tego wnioskuje?

–Bardzo wiele. – Dolan wyprostował się. – Chociaż niestety nie to, co jest najważniejsze.

–To chyba beznadziejna sprawa – zagadnął Pitt. – Głupio mi, że wpędziłem pana w kłopoty.

–Nonsens – zapewnił go Dolan. – Właśnie za to płaci mi skarb państwa. W aktach FAA zapisano całe tuziny zaginionych samolotów, których losy pozostają tajemnicą. Przy każdej sposobności odfajkowania takiego przypadku gorliwie się na to rzucamy.

–A w jaki sposób moglibyśmy poznać producenta tego samolotu?

–Normalnie wezwałbym speców z naszego oddziału technicznego. Ale sądzę, że zaryzykuję i pójdę na skróty. Phil Devine, szef techniczny w United Airlines, jest chodzącą

encyklopedią lotniczą. Jeśli ktokolwiek potrafi nam cokolwiek powiedzieć, rzuciwszy tylko okiem, to z pewnością on.

–Jest aż tak dobry? – spytał Pitt.

–Może mi pan zaufać – odparł Dolan z uśmiechem i absolutną pewnością. – On jest naprawdę dobry.

–Kiepski z ciebie fotograf. Masz beznadziejne oświetlenie.

Phil Devine przyglądał się zrobionemu polaroidem zdjęciu zawieszenia, a z ust zwiślał mu papieros bez filtra. Devine był trochę w typie W.C. Fieldsa – w średnim wieku, gruby, z płaczącym głosem.

–Nie przyszedłem tutaj, by prosić o ocenę artystyczną – odrzekł Dolan. – Czy potrafisz określić producenta, czy nie?

–Wygląda dziwnie znajomo, coś jak kawałek starego B-29.

–To za mało.

–A czego oczekiwałeś po pliku zamazanych zdjęć? Absolutnej, niepodważalnej identyfikacji?

–Owszem, miałem nadzieję na coś takiego – odpowiedział Dolan nie wzruszony.

Pitt zaczął się zastanawiać, czy będzie sędziował w walce. Devine wychwycił jego niepewne spojrzenie.

–Spokojnie, panie Pitt – powiedział, uśmiechając się. – W godzinach pracy Harvey i ja nigdy nie jesteśmy dla siebie uprzejmi. Ale tuż po piątej kończymy szarpaninę, wychodzimy i idziemy razem na piwo.

–Za które ja zazwyczaj płacę – dorzucił oschle Dolan.

–Wy, faceci z rządu, macie więcej okazji o dorobienia na boku – odciął się Devine.

–A jeśli chodzi o to zawieszenie... – powiedział Pitt, sondując nieśmiało.

–Ach, tak! Coś chyba uda mi się wykopać – Devine podniósł się ciężko zza biurka i otworzył szafkę zapelnioną grubymi, oprawionymi w czarne tworzywo księgami. – Stare podręczniki obsługi – wyjaśnił. – Jestem prawdopodobnie jedynym wariatem w lotnictwie cywilnym, który trzyma ciągle takie rzeczy. – Wybrał ze sterty konkretny tom i zaczął kartkować. Po minucie znalazł to, czego szukał, i przesunął otwartą książkę przez stół. – Czy to wam wystarczy?

Pitt i Dolan pochylili się i przyjrzelili powiększonemu rysunkowi technicznemu jakiegoś przedniego zawieszenia.

–Koła, części i wymiary – Dolan stukał palcem w kartkę – są identyczne.

–Jaki to samolot? – spytał Pitt.

–Stratosferyczny boeing. Właściwie niewiele się pomyliłem, mówiąc, że to B-29.

Maszynę stratosferyczną skonstruowano na podstawie planów tego bombowca.

Wersję dla

lotnictwa oznaczono symbolem C-97.

Pitt zajrzał na początek książki i popatrzył na zdjęcie samolotu w locie. Dziwna maszyna: dwupokładowy kadłub wyglądał jak wielki, brzuchaty wieloryb.

–Przypominam sobie, że jako chłopak widywałem go – powiedział Pitt. – Latali na nich w Pan American.

–Podobnie w United – odrzekł Devine. – Wykorzystywaliśmy je na linii hawajskiej. To był cholernie dobry samolot.

–I co teraz? – Pitt zwrócił się do Dolana.

–Teraz wyślę numer seryjny zawieszenia do fabryki Boeinga w Seattle razem z prośbą o dopasowanie go do konkretnego samolotu. Zadzwonię też do Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu Lotniczego w Waszyngtonie, tam mi powiedzą, czy mają w aktach zapis o samolocie stratosferycznym, który zaginął nad kontynentem.

–A co, jeżeli okaże się, że taki zaginął?

–FAA rozpocznie oficjalne śledztwo, by rozpracować tę zagadkę – odrzekł Dolan.

– A potem zobaczymy, co dalej.

Dwa następne dni Pitt spędził w wynajętym helikopterze, krążąc nad górami i przeszukując coraz większy obszar. On i pilot dwa razy natknęli się na miejsca katastrof, lecz były to przypadki znane i opisane. Po kilku godzinach spędzonych w powietrzu pośladki mu zdrętwiały od siedzenia, a reszta ciała była wyczerpana wibracją silników i rzucaniem maszyny przez prądy powietrzne i boczny wiatr. Autentycznie się ucieszył, gdy ujrzał domek Loren, a pilot posadził helikopter na pobliskiej łące.

Płozy zapadły się miękko w brązowawej trawie, a łopaty wirnika zwolniły i zatrzymały się. Pitt odpiął pasy, otworzył drzwi i wysiadł, po czym zrelaksował się kilkoma prostymi ćwiczeniami na rozciąganie mięśni.

–Jutro o tej samej porze, panie Pitt? – Pilot mówił przez nos, w sposób typowy dla mieszkańców Oklahomy, a na dodatek, co też było typowe, miał krótko obcięte włosy.

Pitt przytaknął.

–Spróbujemy na południu, w niższym końcu doliny.

–Myśli pan o przeszukaniu zboczy tuż nad drzewami?

–Gdyby ten samolot rozbił się na otwartej przestrzeni, nie pozostałby nie odnaleziony przez trzydzieści lat.

–Nigdy nic nie wiadomo. Pamiętam, jak treningowy odrzutowiec lotnictwa walnął w zbocze góry w łańcuchu San Juan. Uderzenie wywołało lawinę i resztki samolotu zasypał śnieg. Ofiary ciągle leżą pod skałami.

–Sądzę, że to mało prawdopodobne – powiedział Pitt, znużony.

–Jeśli chce pan poznać moje zdanie, sir, to jest jedyna możliwość. – Pilot przerwał na chwilę, by wydmuchnąć nos. – Mały, lekki samolot mógłby runąć w drzewa i zniknąć na całą wieczność, ale nie czterosilnikowy samolot komunikacyjny. Nie ma szans, żeby sosny i osiki okryły tej wielkości wrak. A nawet jeżeli tak się stało, do tej pory jakiś myśliwy z pewnością natknąłby się na niego.

–Jestem otwarty na wszelkie prawdopodobne teorie – oznajmił Pitt. Kątem oka spostrzegł, jak Loren biegnie przez łąkę. Zatrzasnął drzwiczki i pomachał pilotowi, odwrócił

się i nawet nie spojrzął za siebie, gdy silnik jęknął do startu. Helikopter wzniósł się i zniknął

za czubkami rosnących w pobliżu drzew.

Loren rzuciła mu się w ramiona, pozbawiona tchu sprintem w rozrzedzonym powietrzu. W obcisłych białych spodniach i czerwonym golfie wyglądała na ożywioną i pełną wigoru. Wydawało się, że jej ładna twarz jaśnieje w popołudniowym słońcu, a padające pod

małym kątem promienie powiększały wrażenie, nadając skórze złoty odcień. Zakręcił ją dokoła i wsunął język między jej wargi, patrząc prosto w wilgotne, fiołkowe oczy, które odpowiedziały mu tym samym. Za każdym razem bawiło Pitta, że podczas pocałunków lub łóżkowych figlów Loren nigdy nie zamyka oczu, twierdząc,

że niczego nie chce przeoczyć. W końcu złapała oddech i odepchnęła go, kręcąc nosem.

–Fuj! Ty śmierdzisz.

–Przykro mi, lecz siedzenie przez cały dzień w plastikowej kabinie jest jak odwadnianie się w cieplarni.

–Nie musisz się tłumaczyć. W męskim, piżmowym zapachu jest coś, co kobiety rajcuje. Oczywiście fakt, że jednocześnie zajeżdża od ciebie benzyną i olejem, nie poprawia wrażenia.

–A zatem natychmiast ruszam i wskakuję pod prysznic. Loren zerknęła na zegarek.

–Później. Jeśli się pospieszymy, może go jeszcze zastaniesz.

–Zastaniesz? Kogo?

–Harveya Dolana. Telefonował.

–Ale jak? Przecież nie masz tu telefonu.

–Wiem tylko tyle – przyjechał do mnie leśniczy i powiedział, że masz zatelefonować do Dolana, do jego biura. To ważne.

–Gdzie znajdziemy telefon?

–A gdzie by? U państwa Raferty.

Lee pojechał do miasta, za to Maxine zachwyciła się możliwością udostępnienia telefonu Pittowi. Posadziła go przy starodawnym sekretarzyku z roletą i podała słuchawkę. Telefonistka błyskawicznie połączyła rozmowę i w niecałe dziesięć sekund Dolan odezwał się na drugim końcu linii.

–Skąd, u diabła, pan dzwoni, że ma to iść na mój rachunek? – narzekał Dolan.

–Rząd może sobie na to pozwolić – odparł Pitt. – Jak przekazał pan wiadomość?

–Przez radio CB w moim samochodzie. Sygnał przez satelitę telekomunikacyjnego dotarł do straży w parku narodowym White River. Poprosiłem ich, żeby pana zawiadomili.

–I co pan ma?

–Dwie wiadomości – dobrą i złą.

–Niech więc pan mówi w tej samej kolejności.

–Dobra wiadomość to fakt, że dogadałem się z Boeingiem. To zawieszenie zainstalowano na maszynie o numerze seryjnym 75 403. Zła wiadomość jest taka, że samolot

ten przekazano armii.

–A więc dostało go lotnictwo.

–Tak to wygląda. W każdym razie Narodowa Rada Bezpieczeństwa Transportu nie ma żadnych zapisów o zaginionym samolocie stratosferycznym. Obawiam się, że to już wszystko, co mogłem znaleźć. Od tej chwili, jeżeli zechce pan kontynuować swoje śledztwo jako prywatny obywatel, będzie pan musiał wejść w kontakt z wojskiem. Ich wydział bezpieczeństwa nie podlega naszej jurysdykcji.

–Zrobię to – odrzekł Pitt. – Choćby tylko po to, żeby zaspokoić wyobraźnię w sprawie tajemniczych samolotów.

–Miałem nadzieję, że powie pan właśnie coś takiego – oznajmił Dolan. – I w

związku z tym pozwoliłem sobie wysłać, oczywiście w pańskim imieniu, pytanie do głównego inspektora bezpieczeństwa w bazie lotniczej Norton w Kalifornii o aktualny stan boeinga 75 403. Niejaki pułkownik Abe Steiger skontaktuje się z panem, jak tylko coś znajdzie.

–Ten Steiger, jaką on ma funkcję?

–Zasadniczo jest moim odpowiednikiem. Prowadzi śledztwa w sprawie wypadków w lotnictwie wojskowym w regionie zachodnim.

–A zatem wkrótce będziemy mieli rozwiązanie zagadki.

–Na to się zanosi.

–A co pan o tym sądzi? – spytał Pitt. – Tylko szczerze, proszę.

–Cóż... – zaczął ostrożnie Dolan. – Nie będę kłamał, Pitt. Osobiście uważam, że pański zaginiony samolot odnajdzie się u jakiegoś handlarza, który upłynnia rządowe nadwyżki złomu.

–A ja już myślałem, że mieliśmy piękny początek przyjaźni.

–Chciał pan poznać prawdę, więc ją panu powiedziałem.

–Naprawdę, Harvey, jestem panu wdzięczny za pomoc. Kiedy następnym razem będę w Denver, wpadnę na lunch.

–Nigdy nie odmawiam darmowego żarcia.

–To dobrze. Już się na to cieszę.

–Ale zanim odłoży pan słuchawkę... – Dolan wziął głęboki oddech – jeżeli mam rację i istnieje zupełnie przyziemny powód obecności tego zawieszenia w garażu panny Smith, to co wtedy?

–Mam przeczucie, że tak nie jest – odrzekł Pitt.

Dolan odłożył słuchawkę na widełki, usiadł i wpatrzył się w nią. Dziwny chłód przeleciał mu po plecach i wywołał gęsią skórę. Głos Pitta brzmiał jak zza grobu.

Loren sprzątnęła talerze po kolacji, a tacę z dwoma kubkami gorącej kawy zniosła na taras. Pitt siedział na krześle odchyłony w tył ze stopami opartymi o poręcz. Pomimo chłodnego wrześniowego powietrza miał na sobie tylko blezer bez rękawów.

–Kawy? – spytała Loren.

Odwrócił się jak w transie i spojrzął na nią.

–Co? – Po chwili mruknął: – A, przepraszam, nie słyszałem, jak wychodziłaś.

Fiołkowe oczy spoglądały na niego badawczo.

–Ty chyba jesteś nawiedzony – powiedziała nagle, nie wiedząc nawet dlaczego.

–Możliwe, że zaczyna mi odbijać – odparł, uśmiechając się lekko. – O

czymkolwiek

pomyślę, zacznam widzieć wraki samolotów.

Podsunęła mu kubek, a drugi objęła dłońmi, grzejąc się jego ciepłem.

–Te cholerne rupiecie ojca. Odkąd tu przyjechaliśmy, o niczym innym nie myślisz.

Rozdmuchałeś tę sprawę ponad wszelką miarę.

–Ja też tego nie rozumiem. – Przerwał na chwilę, by wypić łyk kawy. – Nazwijmy to syndromem Pitta: nie potrafię porzucić problemu, dopóki nie znajdę rozwiązania. –

Odwrócił się do niej. – Czy to brzmi dziwnie?

–Podejrzewam, że niektórzy ludzie czują się zmuszeni do szukania odpowiedzi na to, co nieznane.

Ciągnął dalej, jakby wspominając:

–Już nie pierwszy raz mam takie silne przeczucie.

–I zawsze masz rację?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

–Prawdę mówiąc, współczynnik moich sukcesów wynosi jeden do pięciu.

–A jeśli okaże się, że te graty nie pochodzą z samolotu, który rozbił się gdzieś w pobliżu, to co wtedy?

–Wówczas zapomnę o nich i wrócę do codziennej rzeczywistości.

Ogarnęła ich cisza. Loren podeszła i usiadła Pittowi na kolanach, próbując w chłodnym górskim powietrzu ogrzać się ciepłem jego ciała.

–Do wejścia na pokład samolotu lecącego do Waszyngtonu mamy jeszcze dwanaście

godzin. Nie chcę, by cokolwiek popsulo naszą ostatnią, samotną noc. Proszę cię, wejdźmy do

domu i chodźmy do łóżka.

Pitt uśmiechnął się i czule ucałował jej oczy. Wziął ją na ręce i wstał z krzesła z taką łatwością, jakby trzymał szmacianą lalkę.

Potem wniósł ją do domku.

Wiedział, że chwila nie jest odpowiednia, by wyznać, iż sama wróci do stolicy, a on zostanie tutaj, żeby kontynuować poszukiwania.

Wieczorem dwa dni później Pitt siedział przygnębiony przy stole, uważnie przeglądając mapy topograficzne. Odchylił się na krześle i potarł oczy. Skutkiem jego działań była wściekłość dziewczyny oraz potężny rachunek z firmy, w której wynajął helikopter.

Na schodach prowadzących na frontowy taras rozległy się kroki. Po chwili całkiem wygolona głowa z twarzą o przyjacielskich, piwnych oczach i wąsami w stylu cesarza Wilhelma pojawiła się w górnej, otwartej części holenderskich drzwi.

–Witam domowników – zabrzmiał głos, który, jak się zdawało, dochodził z pary butów numer dwanaście.

–Proszę dalej – odpowiedział Pitt, nie podnosząc się.

Przysadzisty mężczyzna miał potężną klatkę piersiową i według oceny Pitta ważył blisko sto dziesięć kilogramów. Przybysz wyciągnął muskularną dłoń.

–Pitt to z pewnością pan.

–Tak, nazywam się Pitt.

–W porządku. Znalazłem pana za pierwszym podejściem. Bałem się, że w ciemności skręcę w niewłaściwą drogę. Nazywam się Abe Steiger.

–Pułkownik Steiger?

–Zapomnijmy o stopniach. Jak pan widzi, przyjechałem w cywilnych ciuchach.

–Nie spodziewałem się, że odpowie pan na moją prośbę osobiście. Wystarczyłby list.

Steiger uśmiechnął się szeroko.

–Rzecz w tym, iż nie chciałem dopuścić do tego, by cena znaczka powstrzymała mnie przed okazją do wycieczki poszukiwawczej.

–Wycieczki poszukiwawczej?

–Powiedziałbym, że piekę dwie pieczenie przy jednym ogniu. Po pierwsze, w przyszłym tygodniu mam w planach wykład na temat bezpieczeństwa w bazie lotniczej Chanute w Illinois. Po drugie, siedzi pan w samym środku okręgu kopalnianego stanu Kolorado, a ponieważ mam bzika na punkcie poszukiwań, pozwoliłem sobie zatrzymać się tutaj, żeby przed wykładami pomachać trochę sitem do wypłukiwania złota.

–Z przyjemnością pana ugoszczę. Zresztą i tak w tej chwili prowadzę kawalerskie życie.

–Przyjmuję pańską gościnę, panie Pitt.

–Ma pan jakiś bagaż?

–Tak, na zewnątrz, w wynajętym samochodzie.

–Niech go pan przyniesie, ja tymczasem przygotuję kawę. – Po chwili namysłu dodał: – A może zje pan kolację?

–Dzięki, ale zanim wyruszyłem tutaj, przekąsiłem co nieco z Harveyem Dolanem...

–A zatem widział pan to zawieszenie.

Steiger skinął głową i położył na stole starą skórzaną teczkę. Rozpiął suwak na bokach i podał Pittowi aktówkę.

–Raport o stanie należącego do lotnictwa samolotu Boeing C-97, numer seryjny

403, dowodzonego przez majora Vylandera. Niech pan to przejrzy, kiedy będę się rozpakowywał. Jak będzie pan miał jakieś pytania, proszę tylko zawołać.

Zainstalowawszy się w drugiej sypialni, Steiger przyłączył się do siedzącego przy stole Pitta.

–Czy to zaspokaja pańską ciekawość?

Pitt spojrzał znad teczki.

–Piszą tu, że 03 zniknął nad Pacyfikiem podczas rutynowego lotu gdzieś między Kalifornią a Hawajami w styczniu 1954 roku.

–Tak mówią raporty lotnictwa.

–A jak pan by wyjaśnił obecność przedniego zawieszenia tutaj, w Kolorado?

–Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Najprawdopodobniej ta część samolotu została w jakimś momencie jego pracy wymieniona na nową. To nie jest niespotykane. Może mechanicy znaleźli jakąś wadę. Albo twarde lądowanie i kolumnę diabli wzięli, została uszkodzona podczas holowania. Można znaleźć tuzin powodów do wymiany części.

–A czy w książce napraw mówi się o takiej wymianie?

–Nie.

–Czy to nie wydaje się panu trochę dziwne?

–Może niezgodne z przepisami, ale nie dziwne. W lotnictwie obsługa naziemna znana jest ze swoich umiejętności technicznych, a nie administracyjnych.

–Mówi się tu również, że nigdy nie znaleziono żadnych śladów ani po tym samolocie, ani po jego załodze.

–Ta sprawa też nie jest skomplikowana. Akta wskazują, że poszukiwania prowadzono na wielką skalę, o wiele większą od normalnej procedury ratunkowej na morzu. A jednak połączone jednostki lotnictwa i marynarki nic nie zdziałały. – Steiger skinął głową, dziękując Pittowi za podaną filiżankę gorącej kawy. – Takie rzeczy się zdarzają. Nasze akta są zapchane opisami samolotów, które odleciały w nicość.

–"Odleciały w nicość". To bardzo poetyckie. – Pitt nie ukrywał cynizmu.

Steiger zignorował jego ton i upił łyk kawy.

–Dla inspektora bezpieczeństwa w lotnictwie każda nie wyjaśniona katastrofa jest solą w oku. Jesteśmy jak lekarze, którym czasami pacjent umiera na stole operacyjnym. Samoloty, które znikają, nie dają nam spać po nocach.

–A 03? – spytał obojętnie Pitt. – Czy ten też nie daje wam spać?

–Pyta mnie pan o wypadek, który miał miejsce, gdy miałem cztery lata. Nie mam z nim bezpośredniego związku. Jeżeli chodzi o mnie i o lotnictwo, zniknięcie 03 jest już zamkniętą księgą. Ta maszyna spoczywa na dnie morza od wielu lat, a wraz z nią tajemnica jej tragedii.

Pitt popatrzył przez chwilę na Steigera, a potem znowu nalał kawy.

–Pan się myli, pułkowniku Steiger, i to cholernie. Odpowiedź istnieje, i to nie pięć tysięcy kilometrów stąd.

Po śniadaniu Pitt i Steiger poszli każdy w swoją stronę – Pitt postanowił zbadać głęboki wąwóz, zbyt wąski, żeby można go było obejrzeć z helikoptera, a Steiger

poszukać strumienia, w którym mógłby wyplukać trochę złotego piasku. Powietrze było rzeńskie. Nad szczytami gór wisiały nieliczne chmury, a temperatura niewiele przekraczała piętnaście stopni. Minęło południe, kiedy Pitt wyszedł z wąwozu i skierował się z powrotem do domku. Szedł słabo widocznym, prowadzącym wśród drzew śladem i wyszedł na brzeg Table Lake. Przeszedł brzegiem kilometr, aż natknął się na wpadający do jeziora strumień. Powędrował w górę jego biegu i wkrótce spotkał Steigera. Pułkownik siedział zadowolony na płaskim kamieniu pośrodku strumienia i obracał sitem w wodzie.

–Szczęście dopisało?! – krzyknął Pitt.

Steiger odwrócił się, pomachał ręką i zaczął iść w stronę brzegu.

–Nie złożę depozytu w Fort Knox. Będę szczęśliwy, jeśli znajdę chociaż ziarno złotego piasku. – Spojrzał na Pitta przyjacielsko, a zarazem sceptycznie. – A co u pana?

Znalazł pan to, czego szukał?

–Zmarnowany czas – wyznał Pitt. – Chociaż wycieczka była krzepiąca.

Steiger zaproponował papierosa. Pitt odmówił.

–Wie pan co? – powiedział Steiger, przypalając. – Jest pan klasycznym przykładem uparciucha.

–Tak mówią – odparł Pitt i zaśmiał się.

Steiger usiadł, zaciągnął się głęboko i mówił wypuszczając dym:

–Niech pan spojrzy na mnie. Jestem człowiekiem, który szybko rezygnuje w sprawach, które nie mają znaczenia. Krzyżówki, nudne książki, różne zadania domowe,

wszywane makatki – takich rzeczy nigdy nie kończę. Myślę, że bez całego tego stresu pożyję

dziesięć lat dłużej.

–To szkoda, że nie może pan rzucić palenia.

–Słusznie – przyznał Steiger.

I właśnie wtedy minęła ich, płynąc na zaimprovizowanej tratwie, para nastolatków –chłopak i dziewczyna. Śmiali się młodzieńczo, żywiołowo, absolutnie nieświadomi obecności mężczyzn na brzegu. Pitt i Steiger obserwowali ich w milczeniu, aż tamci zniknęli za zakrętem.

–Proszę, to jest życie – powiedział Steiger. – Sam spływałem tratwą po rzece Sacramento, gdy byłem takim dzieciakiem. Próbował pan kiedy tego?

Pitt nie usłyszał pytania. Stał zamyślony, wpatrując się w miejsce, w którym zniknęli chłopak i dziewczyna. Nagle go olśniło – wyraz jego twarzy zmienił się gwałtownie.

–Co się z panem dzieje? – spytał Steiger. – Wygląda pan tak, jakby miał objawienie.

–Miałem to ciągle przed oczami, lecz nie zwracałem uwagi – mruknął Pitt.

–Na co?

–A to dowodzi, że najtrudniejsze problemy rozwiązuje się najprostszymi metodami.

–Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

–Butla tlenowa i przednie zawieszenie – powiedział Pitt. – Wiem, skąd one się wzięły. Steiger popatrzył na Pitta wzrokiem pełnym sceptycyzmu.

–Zmierzam do tego – ciągnął Pitt – że ciągle pomijaliśmy wspólną cechę tych dwóch rzeczy.

–Nie widzę związku – odezwał się Steiger. – Po zainstalowaniu w samolocie pracują w dwóch różnych układach – jedna w gazowym, druga hydraulicznym.

–Owszem, ale wystarczy wyjąć je z samolotu, a wówczas zyskują jedną wspólną cechę.

–Mianowicie?

Pitt patrzył na Steigera i śmiał się przez dłuższą chwilę. Potem wypowiedział niemal magiczne słowa:

–Unoszą się na wodzie.

Przy wysmukłych odrzutowcach komunikacyjnych Catlin M-200 prezentował się jak latająca ropucha. Chociaż wolniejszy w locie, miał jedną niezwykłą cechę, której nie posiadał żaden inny samolot tej samej wielkości – catlina zaprojektowano tak, że z ładunkiem dwukrotnie większym od własnej masy lądował i startował w różnych nieprawdopodobnych miejscach.

Słońce połyskiwało na zdobiącym kadłub niebieskawozielonym emblemacie, kiedy pilot położył samolot precyzyjnie na skrzydło i ustawił go nad asfaltową wstęgą lotniska Lake County nieopodal Leadville. Zatrzymał się gwałtownie z zapasem prawie sześciuset metrów do końca pasa i podkołował do miejsca, w którym czekali Pitt i Steiger. Napis NUMA był dobrze widoczny. Catlin zatrzymał się, silniki umilkły, a po minucie pilot wysiadł i podszedł do czekających mężczyzn.

–Dzięki, kolego – powiedział i uśmiechnął się do Pitta.

–Za co? Za beztraskie i z góry opłacone wakacje w Górach Skalistych?

–Nie, za oderwanie mnie w samym środku nocy od pewnej rudej świruski, żeby pozbierać manele i przylecieć z nimi z Waszyngtonu.

–Pułkowniku Abe Steiger, chciałbym przedstawić panu Ala Giordina, czasami zdolnego pomocnika, a na ogół straszego zrzędę z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

Giordino i Steiger wyglądali jak dwaj zawodowi bokserzy. Gdyby nie to, że Steiger był wygolony i miał semickie rysy, a Giordino zwodniczy włoski uśmiech i furę czarnych, kręconych kudłów, mogliby uchodzić za braci. Mieli tę samą budowę ciała: identyczny wzrost, wagę, a rysujące się pod ubraniem mięśnie sprawiały wrażenie pochodzących z tej samej formy. Giordino wyciągnął dłoń.

–Pułkowniku, mam nadzieję, że nigdy nie wejdziemy sobie w drogę.

–Podzielim tę nadzieję – odparł Steiger, uśmiechając się ciepło. Giordino skinął głową.

–Musiałem trochę pokombinować. Jeżeli admirał dowie się o twoim prywatnym projekcie, dostanie jednego ze swoich znanych napadów złego humoru.

–Admirał? – zdziwił się Steiger. – Nie rozumiem, jaki związek może mieć z tym marynarka.

–Bo i nie ma – odrzekł Pitt. – Emerytowany admirał James Sandecker całkiem przypadkowo jest szefem NUMA. Niestety, ma tę samą cechę charakteru co słynny skąpiec

Scrooge: wkurza się na nieprzewidziane wydatki, które musi upychać w budżecie agencji.

Steiger uświadomił sobie nagle, co się stało, jego brwi gwałtownie się uniosły.

–Chce pan powiedzieć, że kazał pan Giordinowi przelecieć przez pół kraju rządowym samolotem na koszt państwa, bez upoważnienia, nie wspominając już o potajemnym zagarnięciu wyposażenia?

–Coś w tym stylu.

–Jesteśmy w tym zupełnie nieźli – z kamienną twarzą oznajmił Giordino.

–To zaoszczędza nam mnóstwo czasu – dodał obojętnie Pitt. – Biurokraci bywają

tacy nudni.

–To niewiarygodne – powiedział cicho Steiger. – Najprawdopodobniej skażą mnie za współudział.

–Nie, jeżeli zaraz weźmiemy się do roboty – stwierdził Pitt. – Gdybyście zatem wy dwaj zechcieli wypakować ładunek ja podjechałbym jeepem do samolotu – rzucił i skierował się w stronę parkingu.

Steiger przez chwilę patrzył za nim, a potem zwrócił się do Giordina:

–Od dawna go pan zna?

–Od pierwszej klasy. Był prymusem. Kędy sprowadził się na moją ulicę i pierwszy raz przyszedł do szkoły, napracowałem się nad nim nieźle.

–Pokazał mu pan, kto jest najważniejszy

–Niezupełnie. – Giordino sięgnął i otworzył luk bagażowy. – Kiedy rozkwaśłem mu nos i podbiłem jedno oko, on podniósł się i kopnął mnie w jaja. Jeszcze przez tydzień chodziłem jak połamany.

–Mówi pan o nim, jakby był wyjątkowo przebiegły.

–Wystarczy powiedzieć, że Pitt to facet z ikrą i niezwykłym umysłem. Ma też nieprawdopodobny wprost dar pokonywała każdej przeszkody, jaka stanie mu na drodze, bez względu na to, czy to człowiek, czy rzecz. Jest czuły dla dzieci i zwierząt, a na ruchomych schodach pomaga staruszkom. O ile wiem, nigdy w życiu nie ukradł ani centa ani nie wykorzystywał swoich niezwykłych talentów dla osobistego zysku. A tak poza tym to kawał porządnego chłopca.

–Czy nie sądzi pan, że tym razem posunął się za daleko?

–Ma pan na myśli jego opinię o nie istniejącym samolocie?

Steiger skinął głową.

–Jeżeli Pitt mówi, że święty Mikołaj istnieje, trzeba wieszać pończochę na półce nad kominkiem i wierzyć, że tak naprawdę jest.

Pitt przysiadł na piętach na dnie aluminiowej łodzi wiosłowej i dostrajał monitor. Steiger siedział na dziobie i zmagał się z wiosłami. Giordino płynął drugą łodzią, jakieś sześć metrów przed nimi, prawie ukryty za stosem nadajników zasilanych akumulatorami. Wiosłując uważał na znikający w wodzie za rufą kabel, który prowadził do spuszczonej pod powierzchnię kamery telewizyjnej.

–Obudźcie mnie, jak dadzą dobry horror – zażartował Giordino, ziewając.

–Niech pan wiosłuje dalej – burknął Steiger. – Zaczynam pana doganiać.

Pitt nie przyłączył się do żartów. Skoncentrował uwagę na ekranie. Zimny popołudniowy wiatr spłynął z gór i lekko pofalował szklistą powierzchnię jeziora. Teraz Steigerowi i Giordinowi trudniej było utrzymać jednakowy kurs.

Od wczesnego ranka przed obiektywem kamery pojawiały się wyłącznie wystające z mulistego dna pojedyncze odłamki skał, gnijące resztki drzew, których bezlistne konary wyciągały swe palce w stronę kamery, i nieliczne, zdziwione pstrągi tęczowe, z szacunkiem ustępujące miejsca kamerze.

–Czy nie byłoby łatwiej prowadzić poszukiwania nurkując? – spytał Steiger, przerywając Pittowi uważne śledzenie monitora.

Pitt potarł zmęczone oczy.

–Kamera jest o wiele skuteczniejsza. Miejscami jezioro ma sześćdziesiąt metrów głębokości, nurek mógłby tam przebywać zaledwie kilkanaście minut. A w dodatku

piętnaście metrów pod powierzchnią temperatura wody zbliża się do zera – w sumie to

cholernie niekorzystne warunki. Człowiek miałby dużo szczęścia gdyby jego ciało wytrzymało tam dłużej niż dziesięć minut.

–A jeśli coś znajdziemy?

–Wtedy założę skafander i zejdem, by się rozejrzeć, ale na pewno nie wcześniej.

Na monitorze coś się pokazało. Pitt pochylił się i osłonił ekran czarnym płótnem, by przyrzeć się dokładniej.

–Zdaje się, że natrafiliśmy wreszcie na horror Giordina – powiedział.

–Co to jest? – domagał się wyjaśnień podniecony Steiger.

–Wygląda jak stara chata z drewnianych bali

–Chata z bali?

–Niech pan zobaczy sam.

Steiger pochylił się nad ramieniem Pitta i spojrział na ekran.

Kamera zanurzona na głębokość czterdziestu metrów w lodowatej wodzie przekazała obraz zniszczonej konstrukcji. Migotliwe światło słoneczne, przedostające się przez drobne fale, i słaba widoczność robiły upiorne wrażenie.

–A skąd, do diabła, to się tam wzięło? – spytał zaskoczony Steiger.

–Żadna tajemnica – odparł Pitt. – Table Lake jest dziełem ludzkich rąk. W 1945 roku strumień przegrodzono zaporą. Kiedy woda się podniosła, stary młyn pod nią zniknął. A ta drewniana chata to pewnie jeden z szałasów.

Giordino podpłynął, by też zerknąć na ekran.

–Brakuje tylko napisu ”na sprzedaż”.

–Zadziwiająco dobrze zachowane – mruknął Steiger.

–To konserwujące działanie zimnej wody – dodał Pitt. – No, ale dość lokalnych atrakcji turystycznych. Jedziemy dalej?

–Długo jeszcze? – spytał Giordino. – Chętnie napełniłbym czymś żołądek, najlepiej jakimś mocniejszym płynem.

–Za parę godzin będzie ciemno – stwierdził Steiger. – Sądzę, że powinniśmy na dzisiaj skończyć.

–Jestem za. – Giordino spojrzał na Pitta. – Co ty na to, kapitanie Nemo? Mam wciągnąć kamerę?

–Nie, zostaw ją w wodzie. Pociągniemy z powrotem w zanurzeniu.

Giordino obrócił łódź o sto osiemdziesiąt stopni i zaczął wiosłować do domu.

–Coś mi się zdaje, że w tym miejscu pańska teoria znajduje swe zakończenie – powiedział Steiger. – Dwa razy przepłynęliśmy środkiem jeziora, a jedyne, czym możemy się

pochwalić, to zmęczone mięśnie i obraz zniszczonego szalasu. Niech pan spojrzysz prawdziwie w

oczy, Pitt: w tym jeziorze nie ma nic interesującego, oczywiście poza rybami. – Steiger

przerwał i wskazał głową wyposażenie. – A skoro mówimy o mieszkańcach głębin, to

przyznam, że każdy wędkarz wiele by dał za posiadanie takiego sprzętu.

Pitt popatrzył z namysłem na Steigera.

–Al! Skieruj się na tego starszego gościa, który łowi ryby z brzegu.

Giordino odwrócił się, żeby zobaczyć kierunek wskazany przez Pitta. Skinął bez słowa i zmienił kurs. Steiger zrobił to samo. Po kilku minutach wiosłowania łodzie znalazły się na tyle blisko starszego mężczyzny, który precyzyjnie zarzucał przynętę obok potężnej skały wystającej z wody, że mógł on już słyszeć głosy. W odpowiedzi na pozdrowienie Pitta podniósł wzrok i dotknął obwieszzonego muszkami runda.

–Szczęście dopisuje?

–To niezbyt oryginalne – mruknął Steiger.

–Czy pan często łowi ryby w Table Lake?

–Z przerwami od dwudziestu dwóch lat.

–Czy mógłby nam pan powiedzieć, w której części jeziora znika najwięcej przynęty?

–Jak proszę?

–Czy w Table Lake jest takie miejsce, w którym wędkarze tracą najwięcej przynęt?

–Tam, w kierunku tamy, jest pod wodą kloc, który, jeśli o to chodzi, spisuje się znakomicie.

–Na jakiej głębokości?

–Trzy, może cztery metry.

–Szukam głębszego miejsca, o wiele głębszego – powiedział Pitt.

Stary wędkarz pomyślał przez chwilę.

–Na północ, w stronę tych dużych moczarów, jest wielki dół. Zeszłego lata właśnie tam straciłem moje dwa najlepsze błyski, kiedy ciągnąłem na dużej głębokości. Gdy jest gorąco, dużo ryb pływa w głębokiej wodzie. Nie zachęcam, żeby próbował pan tam szczęścia. Chyba że ma pan sklep wędkarski.

–Wielkie dzięki za pomoc – powiedział Pitt i pomachał. – Powodzenia!

–Nawzajem! – odrzekł stary wędkarz. Powrócił do zarzucania i po kilku chwilach jego wędzisko wygięło się w pałąk pod ciężarem.

–Słyszalesz, Al?

Giordino z utęsknieniem spojrzał w stronę domku, a potem na północny, odległy o pół kilometra koniec jeziora. Z rezygnacją podciągnął trochę kamerę, żeby nie zaryła się w dno, a potem włożył rękawiczki i chwycił wiosła. Steiger spojrzał wymownie na Pitta, ale dał sobie spokój.

Pół godziny zmagania się z porywistym bocznym wiatrem mijало bardzo wolno. Steiger i Giordino trudzili się w milczeniu – Giordino pełny ślepej ufności w przeczucie Pitta, Steiger na myśl, że Giordino mógłby go przetrzymać. Pitt wpatrywał się w monitor, co chwila podając Giordinowi wskazówki o zanurzeniu kamery.

Dno jeziora zaczęło się wznosić, kiedy zbliżyli się do moczarów. Potem nagle dno i wodorosty zapadły się, a woda pociemniała. Zatrzymali się, by opuścić kamerę, a potem wrócili do wiosłowania. Przepłynęli ledwie kilka metrów, gdy na ekranie pojawił się jakiś zaokrąglony kształt. Był niewyraźny, lecz jego wygląd nie pasował do naturalnego otoczenia.

–Przestańcie wiosłować! – nakazał szorstko Pitt.

Steiger opadł na ławeczkę, zadowolony z przerwy, a Giordino patrzył przenikliwie przez dzielącą ich łodzie odległość. Ten ton głosu Pitta już kiedyś słyszał.

W dole, w zimnych głębinach kamera zbliżała się do obiektu, coraz wyraźniej widocznego na monitorze. Pitt siedział znieruchomiał, kiedy przed jego oczami pojawiła się duża biała gwiazda na granatowym tle. Czekał, aż kamera przesunie się dalej, w ustach miał sucho, jak na pustyni w Kansas.

Giordino podpłynął bliżej i przytrzymał się burty łodzi. Steiger uświadomił sobie napięcie, podniósł głowę i pytająco spojrzał na Pitta.

–Ma pan coś?

–Samolot z wojskowymi oznaczeniami – odparł Pitt, opanowując podniecenie. Steiger przesunął się na rufę i niedowierzająco zerknął w monitor.

Kamera przepłynęła nad skrzydłem i teraz opadała wolno, sunąc wzdłuż kadłuba. Pojawił się kwadratowy otwór ładunkowy, a nad nim napis Military Air Transport Service, czyli Wojskowa Lotnicza Służba Transportowa.

–Słodki Jezu! – sapnął Giordino. – Transportowiec MATS.

–Czy potrafi pan określić model? – zapytał niecierpliwie Steiger. Pitt pokręcił głową.

–Jeszcze nie. Kamera ominęła elementy, które łatwiej zidentyfikować – silniki i nos maszyny. Przesunęła się nad końcem lewego skrzydła i, jak pan widzi, płynie w kierunku ogona.

–Numer seryjny powinien być wymalowany na stateczniku pionowym – powiedział

cicho Steiger, zupełnie jakby się modlił.

Siedzieli spięci, a w dole roztaczał się nieziemski widok. Samolot utknął głęboko w mule. Kadłub pękł tuż za skrzydłami, ogon przekrzywił się pod niewielkim kątem.

Giordino szarpnął lekko wiosłami i pociągnął kamerę w innym kierunku, zmieniając pole widzenia. Widoczność była tak dobra, że prawie mogli rozróżnić nity w aluminiowej powłoce. To było dziwne i niesamowite. Trudno było uwierzyć w to, co przekazywała kamera. Po chwili wstrzymali oddech, kiedy od prawej strony ekranu zaczął pojawiać się tłoczony numer seryjny. Pitt zmienił trochę ogniskową, żeby nie mieć żadnych wątpliwości. Najpierw pojawiła się siódemka, potem piątka i czwórka, a za nimi 03. Steiger wpatrywał się przez chwilę w Pitta. Szokująca prawda, której nie chciał zaakceptować, poraziła go i sprawiła, że jego oczy załśniły jak u somnambulika.

–Mój Boże! To jest 03. Ale to przecież niemożliwe.

–Jest to, co widać – powiedział Pitt.

Giordino wyciągnął rękę i uściśnął Pittowi dłoń.

–Nie wątpię, partnerze, nawet przez chwilę.

–Doceniam ufność, jaką we mnie pokładasz – odparł Pitt.

–I co teraz?

–Rzucimy boję znacznikową, i na tym koniec na dzisiaj. Jutro zejdziemy pod wodę i zobaczymy, co jest we wraku.

Steiger siedział, kręcąc głową i powtarzając:

–Ale on nie powinien tu być... Nie powinien tu być. Pitt uśmiechnął się.

–Nasz dobry pułkownik najwyraźniej nie wierzy własnym oczom.

–Nie o to chodzi – powiedział Giordino. – Steiger ma pewien problem psychologiczny.

–Jaki problem?

–On nie wierzy w świętego Mikołaja.

Chociaż poranne powietrze było zimne, Pitt pocił się w stroju płetwonurka. Sprawdził regulator aparatu tlenowego, uniósł kciuk w kierunku Giordina i rzucił się za burtę. Odczuł prawie elektryczny wstrząs, kiedy lodowata woda wypełniła przestrzeń pomiędzy skórą a wewnętrzną powierzchnią gumowego skafandra o grubości pół centymetra.

Przez kilka chwil unosił się tuż pod powierzchnią, cierpiąc ukłucia lodowatych szpilek i czekając, aż woda uwięziona między skafandrem a skórą trochę się ogrzeje. Kiedy jej temperatura zrobiła się znośna, odetkał uszy i machnął płetwami, opuszczając się w niesamowity świat, który nie zna wiatru i powietrza. Lina od boi opadała w głębiny, Pitt płynął obok niej. Miał wrażenie, że dno się podnosi i zbliża do niego. Nim wyhamował i zatrzymał się, prawą płetwą zahaczył o muł, podrywając szarą chmurę, która wyrosła jak kłęb dymu po wybuchu tankowca.

Sprawdził głębokość. Głębokościomierz na przegubie ręki wskazywał czterdzieści metrów. A to oznaczało, że ma w przybliżeniu dziesięć minut na nurkowanie bez potrzeby dekompresji.

Jego głównym wrogiem była temperatura. Lodowate zimno drastycznie zmniejszy

koncentrację i sprawność. Wkrótce wyczerpie ciało, zmuszając je do nadmiernego wysiłku.

Widzialność nie była większa niż dwa i pół metra, ale to mu akurat nie przeszkadzało. Boja stanęła naprawdę blisko zatopionego samolotu i wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby dotknąć metalowej powierzchni kadłuba. Pitt zastanawiał się wcześniej, jakiego dozna

wrażenia. Był pewien, że strach i obawy wyciągną swoje macki, ale się nie pojawiły. Zamiast tego poczuł rodzaj swoistego spełnienia. Wydawało mu się, że dotarł do końca długiej i wyczerpującej podróży.

Przepłynął nad łagodnie wygiętymi niczym płatki irysów łopatomami śmigieł, nad zimnymi, martwymi silnikami. Minął okienka kabiny. Szkło było nienaruszone, lecz pokrywający je szlam nie pozwalał zajrzeć do środka.

Pitt zauważył, że wykorzystał prawie dwie minuty z czasu na zanurzenie. Mocniej poruszył nogami i popłynął w kierunku pęknięcia kadłuba, precyzyjnie się przemieszczając i włączył latarkę.

Najpierw rozróżnił w mroku duże stalowe pojemniki. Pasy, którymi były przymocowane podczas lotu, popękały przy uderzeniu, więc pojemniki leżały rozrzucone po podłodze luku towarowego. Prześlizgnął się ostrożnie między nimi i przez otwarte drzwi wpłynął do kabiny nawigacyjnej.

Na czterech fotelach siedziały cztery szkielety, podtrzymywane pasami bezpieczeństwa w groteskowych pozach. Ten, który znajdował się przy tablicy przyrządów, siedział odchylony z czaszką zwróconą na bok. Kościste palce nawigatora były ciągle zaciśnięte.

Pitt posunął się dalej, czując w piersi coś więcej niż strach i obrzydzenie. Bąbelki powietrza z aparatu tlenowego unosiły się i zbierały pod sufitem w kącie kabiny. Nieziemski charakter tej sceny potęgował fakt, że chociaż postacie były pozbawione ciała, to jednak miały na sobie mundury. Lodowata woda hamowała procesy gnilne przez całe dziesięciolecie i załoga siedziała umundurowana dokładnie tak jak w chwili śmierci.

Drugi pilot tkwił sztywno wyprostowany, z rozwartymi szczękami, co skojarzyło się Pittowi z jakimś upiornym krzykiem. Pierwszy pilot opadł do przodu, jego głowa prawie dotykała tablicy przyrządów.

Z kieszeni na piersi wystawała mu niewielka metalowa płytką. Pitt delikatnie wyjął ją i wetknął za mankiet. Obok siedzenia pilota zwisiała winylowa teczka i ją Pitt też zabrał.

Zerknął na zegarek i wiedział już, że jego czas minął. Nie potrzebował zaproszenia do skierowania się w stronę powierzchni i przyjaznych promieni słońca. Zimno zaczęło wsączać się do jego krwi i przyćmiewać umysł. Mógłby przysiąc, że szkielety odwróciły się do niego i spoglądały pustymi oczodołami.

Wycofał się pospiesznie z kabiny i odwrócił, gdy pozwoliła na to przestrzeń przedziału towarowego. W tej samej chwili za jednym z pojemników spostrzegł nogę, a właściwie samą jej kość. Pozostała część ciała była przywiązana pasami do kilku kółek

służących do mocowania ładunku. W przeciwieństwie do tych w kabinie na tym szkielecie widać jeszcze było resztki mięśni przylegające do kości.

Pitt powstrzymał rosnącą w gardle kulę żółci i przyjrzał się bliżej temu, co kiedyś było żywym, oddychającym człowiekiem. Mundur nie był w kolorze typowym dla lotnictwa, lecz khaki, taki jak dawniej nosiły wojska lądowe. Przeszukał kieszenie – były puste.

W głowie Pitta odezwał się alarm. Ręce i nogi zaczęły tracić czucie i sztywnieć od przenikającego je zimna, ruchy stały się wolne, jakby był zanurzony w syropie. Jeżeli wkrótce nie ogrzeje trochę ciała, ten stary samolot będzie miał jeszcze jednego pasażera. Umysł miał zaćmiony i wpadł na moment w panikę, kiedy stracił orientację w kierunkach. Potem zauważył bąbelki powietrza, jak wymykają się z ładowni i unoszą ku powierzchni.

Z wielką ulgą odwrócił się od szkieletu i popłynął za bąbelkami w otwartą wodę. W odległości trzech metrów od powierzchni widział już dno kołyszącej się łodzi, w rozszczepionym świetle wyglądała jak motyw z surrealistycznego filmu. Rozróżnił nawet odłączoną od ciała, jak mu się wydawało, głowę wychyloną za burtę Giordina.

Resztką sił wyciągnął rękę i chwycił za wiosło. Po chwili Giordino i Steiger wspólnie unieśli go do łodzi tak lekko jakby był małym dzieckiem.

–Niech mi pan pomoże zdjąć z niego to mokre bondi – rozkazał Giordino.

–Mój Boże, jak on zsiniał!

–Jeszcze pięć minut tam w dole i wszedłby w stan hipotermii.

–Hipotermii? – spytał Steiger, ściągając z Pitta kurtkę.

–Znaczne obniżenie temperatury ciała – wyjaśnił Giordino. – Znałem nurków, którzy umarli z tego powodu.

–Nie nadaję się... powtarzam – nie nadaję się jeszcze do kostnicy – zdołał wymamrotać Pitt między kolejnymi dreszczami.

Ściągnęli z niego skafander, energicznie roztarli go ręcznikami i owinęli w grube wełniane koce. Kończyny odzyskiwały powoli czucie, a ciepłe promienie słońca ogrzewały przyjemnie skórę. Popijał gorącą kawę z zakrętki termosu, wiedząc, że jej pobudzające działanie jest raczej psychologiczne niż fizjologiczne.

–Zachowałeś się jak głupiec – rzucił Giordino, raczej w trosce o przyjaciela niż ze złości. – Niemal się zabiłeś, pozostając pod wodą tak długo. Na tej głębokości temperatura

jest chyba bliska punktu zamarzania.

–I co pan tam znalazł? – zapytał Steiger. Pitt usiadł przytomniejąc powoli.

–Aktówka. Miałem aktówkę.

Giordino podniósł ją.

–Ciągle masz. Zacisnąłeś ją w dłoni jak w imadle.

–A ta mała metalowa tabliczka?

–Ja mam – powiedział Steiger. – Wypadła panu z rękawa.

Pitt oparł się wygodnie o burtę łodzi i wypił kolejny łyk parującej kawy.

–Przedział ładunkowy jest zapełniony dużymi pojemnikami, sądząc z minimalnej

ilości korozji, wykonanymi ze stali nierdzewnej. Tylko kto zgadnie, co zawierają?

Nie ma na

nich żadnych oznaczeń.

–Jaki mają kształt? – spytał Giordino.

–Są cylindryczne.

Steiger popatrzył z namysłem.

–Nie potrafię sobie wyobrazić, jaki ładunek wojskowy wymagałby zamykania w pojemnikach ze stali nierdzewnej. – Po chwili Steiger zaczął intensywnie myśleć i

spojrzał

przenikliwie na Pitta. – Co z załogą? Czy znalazł pan ślady załogi?

–To, co z nich pozostało, ciągle tkwi przypasane do foteli.

Giordino uchylił delikatnie winylową aktówkę.

–Może da się odczytać te papiery. Sądzę, że w domku uda mi się je porozdzielać i wysuszyć.

–Prawdopodobnie plan lotu – powiedział Steiger. – Niektórzy piloci starszej daty wolą nadal tamte stare teczki od nowych plastikowych.

–Być może dowiemy się z tego, co załoga robiła tak daleko od wyznaczonej trasy przelotu

–Ja też mam taką nadzieję – oznajmił Steiger. – Chcę mieć w ręku wszystkie fakty, a rozwiązanie tajemnicy pięknie opakowane i przewiązane kokardką, zanim rzucę je a biurko w Pentagonie.

–Eeee...Steiger...

Steiger spojrzał pytająco na Pitta.

–Naprawdę niechętnie wyjawiam wieści, które pokrzyżują pańskie skrzętnie ułożone plany; lecz sprawa Air Force 03 jest bardziej skomplikowana, niż się wydaje, i to o wiele bardziej.

–Znaleźliśmy wrak w stanie nienaruszonym, prawda? – Steiger siłą woli utrzymywał głos na zwykłym poziomie. Nikt nie mógł odebrać mu chwili tryumfu. – Odpowiedzi leżą zaledwie kilkadziesiąt metrów pod nami. Teraz to już tylko kwestia wydobycia go z jeziora. A co tam jeszcze jest?

–Dość niemiły dylemat, z którym żaden z nas się nie liczył.

–Jaki dylemat?

–Obawiam się – powiedział spokojnie Pitt – że mamy tu również do czynienia z morderstwem.

Giordino rozłożył na stole kuchennym zawartość aktówki – w sumie sześć arkuszy. Mała aluminiowa płytką, którą Pitt znalazł w kieszeni pilota, moczyła się w bulgoczącym roztworze, przygotowanym przez Giordina w celu wykrycia śladów trawienia na metalu, Pitt i Steiger stali przy trzaskającym ogniu i popijali kawę. Kominek zbudowany z odłamków miejscowych skał ogrzewał cały pokój.

–Czy zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji, jakie może pociągnąć za sobą to, co pan sugeruje? – zapytał Steiger. – Sugeruje pan poważne przestępstwo, nie mając najmniejszego dowodu...

–Niech pan posłucha uważnie – odparł Pitt. – Mówi pan tak, jakbym ja oskarżał całe lotnictwo Stanów Zjednoczonych o morderstwo. A ja nikogo nie oskarżam. To prawda, dowody są pośrednie, ale gotów jestem iść o zakład i postawić oszczędności całego mojego życia, że lekarz sądowy potwierdzi moją teorię. Człowiek, którego szkielet znalazłem w przedziale towarowym, nie umarł trzydzieści cztery lata temu razem z tamtą załogą.

–Skąd ta pewność?

–Nie zgadza się parę szczegółów. Po pierwsze, nasz nieprzewidziany pasażer ma jeszcze ciało na kościach. Tamci zostali z niego odarci już wiele lat temu. A to wskazuje, że został przywiązany za ręce i nogi do kółek do mocowania ładunku. Wystarczy odrobina wyobraźni, żeby dostrzec w tym piętno starych gangsterskich metod zabijania.

–Zaraz się pan rozplynie w melodramacie.

–Bo tak to wygląda. Jedna tajemnica zupełnie nielogicznie wiąże się z drugą.

–W porządku, zajmijmy się tym, co jest niewątpliwe – powiedział Steiger. – Samolot o numerze seryjnym 75 403 znalazł się nie tam, gdzie powinien, ale tak czy owak istnieje. Moim zdaniem – ciągnął dalej – możemy spokojnie założyć, że we wraku znajduje się pierwotna załoga. Jeśli zaś chodzi o dodatkowego pasażera, to może zapomniano wspomnieć o nim w raporcie. Może przydzielono go w ostatniej chwili – jakiś inżynier pomocniczy albo mechanik, który tuż przed katastrofą przypiął się do kółek w luku ładunkowym.

–Wobec tego jak by pan wyjaśnił fakt, że byli ubrani w różne mundury? Ten ma na sobie khaki, a nie granatowy mundur lotnictwa.

–Nie potrafię na to odpowiedzieć, tak samo jak pan nie potrafi z całą pewnością stwierdzić że został zabity wiele lat po kraksie.

–Istnieje pewien punkt zahaczenia – powiedział spokojnie Pitt. – Mam swoje zdanie na

temat naszego nieproszonego gościa. I jeżeli mam rację, spowodowanie jego śmierci przez

osobę lub osoby nam nie znane staje się pewne.

Brwi Steigera uniosły się.

–Słucham – mruknął. – Kogo ma pan na myśli?

–Człowieka, który zbudował ten domek. Nazywał się Charlie Smith i był ojcem członkini Kongresu Loren Smith.

Steiger przez kilka chwil siedział w milczeniu, trawiając potworność usłyszanych słów. W końcu powiedział:

–Jaki dowód mógłby pan przedstawić?

–Ruchomości, i to dosłownie. Z pewnego źródła wiem, że w pośmiertnej notatce o tym człowieku napisano, iż spowodowany przez niego samego wybuch rozerwał go na kawałki. Znalaziono jedynie but i palec. Niezły chwyt, co? Załatwione elegancko i precyzyjnie. Muszę o tym pamiętać, kiedy będę chciał się kogoś pozbyć.

Spowodować wybuch, a gdy tylko opadnie kurz, rzucić na skraju wyrwy w ziemi kawałek ubrania i plasterek najłatwiejszej do rozpoznania części ciała ofiary. Potem znajomi identyfikują but, a biuro szeryfa nie może nie uzyskać pozytywnego wyniku, robiąc odcisk palca. Tymczasem ja ukrywam ciało tam, gdzie jak mam nadzieję, nikt nigdy go nie znajdzie. Śmierć ofiary uznaje się za wypadek, a ja beztrąsko ruszam w swoją stronę.

–Chce pan powiedzieć, że szkieletowi w samolocie brakowało buta i palca?

Pitt tylko skinął potwierdzająco głową.

O pół do dziesiątej Giordino był gotów. Zaczął od wykładu dla Pitta i Steigera, jakby to roił na lekcji chemii w szkole średniej.

–Jak panowie widzą, po ponad trzydziestu latach zanurzenia w wodzie winylowa teczka jest nienaruszona, lecz zawarty w niej papier zmienił się prawie w papkę.

To były

odbitki z powielacza, poprzednika cudu zwanego, kserokopiarką. Przykro mi to mówić, ale

tusz zniknął i żadne laboratorium na świecie nie będzie w stanie odtworzyć treści, nawet pod

wielkim powiększeniem. Trzy arkusze to przypadki beznadziejne. Nie pozostało na nich nic,

co dawałoby się odczytać. Czwarty wygląda na informację meteorologiczną. Tu daje się

odczytać pewne słowa na temat wiatru, wysokości i temperatury powietrza.

Jedyne zdanie,

jakie zdołałem odcyfrować, brzmi: "Niebo czyste poza zachodnimi stokami".

–"Stoki zachodnie" oznaczają Góry Skaliste w Kolorado – powiedział Pitt.

Steiger chwycił dłońmi krawędź stołu.

–Chryste! Czy macie pojęcie, co to może oznaczać?

–To znaczy, że 03 nie wyruszył z Kalifornii, jak napisano w raporcie – odparł Pitt.

– Musieli wystartować gdzieś na wschód od tego miejsca, skoro załoga interesowała się warunkami pogodowymi nad działem kontynentalnym.

–Tyle na temat arkusza czwartego – wtrącił Giordino. – Natomiast arkusz piąty jest w porównaniu z poprzednimi prawdziwym skarbem informacji. Tutaj można rozszyfrować pewne kombinacje słów, w tym nazwiska dwóch członków załogi. Brakuje wielu liter, ale przy odrobinie wyobraźni powinniśmy odgadnąć znaczenie. Na przykład popatrzcie tutaj.

Giordino wskazał arkusz i dwaj pozostali nachylili się bliżej.

D w dc: Ma ay on V I nde

–Teraz wypełniamy wolne miejsca – ciągnął Giordino – i otrzymujemy: "Dowódca: Major Raymond Vylander".

–A tutaj inna kombinacja liter – powiedział Pitt, wskazując palcem. – To nazwisko i stopień inżyniera pokładowego.

–Joseph Burns – potwierdził Giordino. – W następnych liniijkach brakuje zbyt wiele liter, by odgadnąć znaczenie całości. Dalej mamy to. – Giordino wskazał niższą część arkusza.

yg ł yw.: ix n 03

–Tajny sygnał wywoławczy – wtrącił Pitt. – Otrzymuje go każdy samolot podczas trudniejszego lotu. Na ogół rzeczownik, a po nim dwucyfrowy numer.

Steiger spojrział na Pitta wzrokiem pełnym uznania.

–Skąd pan wie?

–Gdzieś o tym słyszałem – odparł Pitt, wzruszając ramionami. Giordino wskazywał puste miejsca.

–Teraz więc mamy: "sygnał wywoławczy, coś 03".

–A jakie rzeczowniki mają w środku "ix"? – zastanawiał się Steiger.

–Możliwe, że brakującą literą po "x" jest "e" lub "o".

–Co powiecie na "Nixon"? – zasugerował Giordino.

–Wątpię, żeby zwykły samolot transportowy nazwali nazwiskiem wiceprezydenta – odparł Pitt. – "Vixen 03" jest chyba bliżej prawdy.

–Vixen 03 – powtórzył cicho Steiger. – To równie dobre założenie jak każde inne.

–Jedziemy dalej – rzucił Giordino. – Ostatnim dającym się odczytać fragmentem wiadomości na stronie piątej jest "P-puste-P, Rongelo 060-puste".

–Przewidywany czas przybycia, szósta rano na Rongelo – przetłumaczył Steiger, nadal z wyrazem niedowierzania na twarzy. – Ale, do cholery, gdzie to jest? Vixen 03 miał lądować na Hawajach.

–Mówię tylko o tym, co widzę – odrzekł Giordino.

–A co z szóstym arkuszem? – spytał Pitt.

–Niewiele. Wszystko pogmatwane z wyjątkiem daty i kodu bezpieczeństwa na dole strony. Sami zobaczcie.

Ozk z d ia 2 ty zn. 954 W dan pr z: rł ltr B s ŚC L TAN: KOD 1A

Steiger pochylił się nad tekstem.

–W pierwszej linijce mamy: rozkaz wydany w styczniu, gdzieś między dwudziestym a dwudziestym dziewiątym, w 1954 roku.

–A druga chyba tak: "wydany przez", lecz nie ma nazwiska oficera – powiedział Pitt. – Ale pasuje stopień generała.

–A na końcu "ściśle tajne, kod 1A" – dodał Giordino. – Tajne dane nie mogą być już bardziej tajne.

–Moim zdaniem – powiedział Pitt – możemy spokojnie założyć, że jakaś szycha z Pentagonu lub Białego Domu, a może nawet z jednego i drugiego, opracowała wprowadzający w błąd raport o katastrofie Vixen 03, by zatuszować całą sprawę.

–Przez tyle lat pracy w lotnictwie nigdy o czymś takim nie słyszałem. Po co

zmyślać tak ohydne kłamstwo w przypadku zwykłego samolotu odbywającego rutynowy lot?

–Niech się pan dokładniej przyjrzy faktom, pułkowniku. Vixen 03 nie był zwykłym samolotem. W raporcie napisano, że lot rozpoczął się w bazie lotniczej Travis w pobliżu San Francisco i że maszyna miała lądować na Hickam Field na Hawajach. A teraz wiemy, że załoga kierowała się do miejsca o nazwie Rongelo.

Giordino podrapał się po głowie.

–Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek słyszał o jakimś tam Rongelo.

–Ani ja – dodał Pitt. – Ale tę tajemnicę możemy rozwikłać, jak tylko wpadnie nam w ręce atlas świata.

–Co zatem mamy? – spytał Steiger.

–Niewiele – przyznał Pitt. – Tylko to, że w drugiej połowie stycznia 1954 roku samolot typu C-97 wystartował w tajnej misji ze wschodniej lub środkowowschodniej części Stanów Zjednoczonych. Nad Kolorado coś poszło nie tak, jakieś problemy techniczne zmusiły załogę do posadzenia samolotu w najgorszym z możliwych miejsc. Mieli szczęście albo tak im się zdawało. Unikając w cudowny sposób zderzenia ze skałami, Vylander znalazł kawałek płaskiego terenu i wykonał lądowanie awaryjne. Ale to, czego nie mogli widzieć, a pamiętajcie, że był styczeń i niewątpliwie wszystko pokrywał śnieg, było w smutnej rzeczywistości zamarzniętym jeziorem.

–I kiedy maszyna zatrzymała się, jej ciężar podzielał – powiedział nieprzytomnie Steiger – lód załamał się i samolot utonął.

–Dokładnie tak. Gwałtowne wtargnięcie wody do wnętrza maszyny, oszałamiający szok wywołany lodowatą wodą i... załoga nie miała nawet szans zareagować. Utonęli siedząc w swoich fotelach. Nie było świadków katastrofy, w nocy woda zamarzała na nowo, zamykając grobowiec i skrywając wszystkie ślady tragedii. Prowadzone później poszukiwania nie dały żadnych rezultatów, więc zmyślono raport o wypadku Vixen 03 i stosownie o nim zapomniano.

–Wymyśliłeś niezły scenariusz – stwierdził Giordino – ale dobrze się odgrywa. Tylko gdzie do akcji wchodzi Charlie Smith?

–Z pewnością łowiąc ryby zahaczył o butlę tlenową. A ponieważ był dociekliwy, prawdopodobnie przedragował to miejsce i oderwał złamane już przednie zawieszenie samolotu.

–Musiał mieć ciekawy wyraz twarzy, kiedy koła wyskoczyły na powierzchnię jak sople – dodał Giordino uśmiechając się.

–Nawet jeśli zaakceptuję wersję z zamordowaniem Smitha – powiedział Steiger – to i tak nie widzę motywu.

Pitt podniósł wzrok i popatrzył na Steigera.

–Zawsze znajdzie się motyw, by pozbawić człowieka życia.

–Ładunek – rzucił Giordino, nie dowierzając własnej teorii. – To był ściśle tajny lot. A zatem słuszny wydaje się wniosek, że Vixen 03 transportował coś, co dla kogoś było bardzo cenne. Na tyle cenne, by zabić.

–Skoro ładunek był tak wartościowy – powiedział Steiger, kręcąc przecząco głową – to dlaczego nie został wydobyty przez Smitha lub jego zabójcę? Z tego, co mówi

Pitt, towar ciągle tam leży.

–I to szczelnie zamknięty – dodał Pitt. – Na ile potrafię to ocenić, pojemniki nigdy nie były otwierane.

Giordino odchrząknął.

–Następne pytanie.

–No, jazda, mów.

–Co jest w tych pojemnikach?

–Musiałeś o to spytać – powiedział Pitt. – No cóż, jeden domysł zasługuje na rozważenie. Samolot transportujący cylindryczne pojemniki w tajnej misji gdzieś na Pacyfik i to w 1954 roku...

–Oczywiście – przerwał Giordino. – W tamtym czasie na Bikini przeprowadzano próby jądrowe.

Steiger podniósł się i stanął nieruchomo.

–Sugeruje pan, że Vixen 03 przewoził głowice atomowe?

–Ja niczego nie sugeruję – odparł spokojnie Pitt. – Ja tylko przedstawiam jedną z możliwości, i to na dodatek bardzo intrygującą. W przeciwnym razie po co lotnictwo miałoby ukrywać fakt zaginięcia samolotu i puszczać zasłonę dymną w formie mylących informacji o jego zniknięciu? Dlaczego, gdyby było inaczej, załoga ryzykowałaby życie, lądując uszkodzonym samolotem w górach, zamiast skakać na spadochronach i pozwolić, by maszyna roztrzaskała się w pobliżu lub nawet na zamieszkanym terenie?

–Jest jeden ważny element, który nie pasuje do pańskiej teorii: rząd nigdy nie zrezygnowałby z szukania zagubionego ładunku głowic atomowych.

–Przyznaję, przyszpilił mnie pan. Wydaje się dziwne, żeby ładunek zdolny zmieść z powierzchni ziemi połowę tego kraju porzucić jak furę śmieci w lesie.

Steiger pokręcił nagle nosem.

–A co to za okropny smród?

Giordino wstał szybko i podszedł do pieca.

–Myślę, że płytka jest gotowa.

–Co pan tam gotuje?

–Mieszanina octu i proszku do pieczenia. Tylko tyle znalazłem do wykonania tej sztuczki.

–Jest pan pewien, że dzięki temu napis da się odczytać?

–Tego nie wiem. Nie jestem chemikiem. Ale to na pewno nie zaszkodzi. Steiger podniósł ręce w przesadnym geście rozpaczy i zwrócił się do Pitta:

–Wiedziałem, że lepiej by było zatrzymać to wszystko dla zawodowców i techników...

Giordino zignorował słowa Steigera i posługując się dwoma widelcami, ostrożnie wyjął płytkę z wrzątku. Następnie osuszył ją na ściereczce do naczyń, a potem podniósł do światła, przechylając pod różnymi kątami.

–Co tam widzisz? – spytał Pitt.

Giordino położył płytkę na stole. Wciągnął głęboko powietrze, a jego twarz przybrała śmiertelnie ponury wyraz.

–Symbol – powiedział w napięciu. – To jest symbol radioaktywności.

Część II Operacja “Dzika róża”

Natal, Afryka Południowa, wrzesień 1988

Przypadkowemu obserwatorowi wielki pień martwego baobabu wydałby się jednym z tysięcy podobnych drzew rosnących na północno-wschodniej równinie prowincji Natal w Afryce Południowej. Trudno było powiedzieć, dlaczego i jak dawno temu drzewo uszło. Pełne groteskowego piękna bezlistne konary wyciągały ku lazurowemu niebu swoje sękaty palce, podczas gdy butwiejąca kora przemieniała się na ziemi w pachnący lekarstwami humus. Istniała jednak pewna niewielka różnica między tym martwym baobabem a innymi - jego pień był wydrążony, a wewnątrz siedział skulony człowiek, który wykorzystując niewielką szparę uważnie obserwował teren przez lornetkę.

Kryjówka była idealna, zaprojektowana na podstawie dawno zapomnianego podręcznika dla partyzantów. Marcus Somala, dowódca oddziału Afrykańskiej Armii Rewolucyjnej, był dumny ze swego dzieła. Poprzedniego dnia potrzebował dwóch godzin, by wydłubać porowaty rdzeń drzewa i ukradkiem rozrzucić jego resztki w otaczających zaroślach. Kiedy już usadowił się wygodnie, nie musiał długo czekać, by poddać swoją kryjówkę pierwszej próbie.

Wkrótce po świcie czarny robotnik rolny z farmy, którą Somala obserwował, przechodził w pobliżu, zatrzymał się, a potem oparł o pień baobabu. Somala obserwował go, uśmiechając się w duchu.

Kusiło go, by wysunąć przez szparę swój długi, zakrzywiony marokański nóż i odciąć robotnikowi penis. Pokusa ta wydała się Somali zabawna, nic więcej. Jako zawodowy żołnierz i oddany rewolucjonista, zaprawiony weteran prawie stu akcji nie ulegał głupim zachciankom. Był dumny, że służy w awangardzie krucjaty wymierzonej przeciwko pozostałościom angielskiej zarazy na kontynencie afrykańskim.

Minęło dziesięć dni, odkąd swój dziesięcioosobowy oddział wyprowadził z obozu w Mozambiku przez granicę do Natalu. Poruszali się wyłącznie w nocy, omijając trasy patroli policyjnych, kryjąc się w zaroślach przed helikopterami południowoafrykańskich oddziałów obrony. To była wyczerpująca wędrówka. Październikowa wiosna półkuli południowej była niezwykle chłodna, a podszycie zdawało się lepkie od ciągle padających deszczów.

Kiedy wreszcie dotarli do niewielkiego rolniczego osiedla Umkono, Somala rozlokował ludzi zgodnie z planem przekazany mu przez wietnamskiego doradcę. Każdy

miał obserwować farmę lub wyposażenie wojskowe przez pięć dni i zbierać informacje do wykorzystania podczas przyszłych rajdów. Somala wyznaczył sobie farmę Fawkesa.

Kiedy robotnik wolno odszedł, by zająć się swoją codzienną pracą, Somala zmienił ogniskową lornetki i uważnie przyjrzał się całej farmie Fawkesa. Większość terenu, dzięki stałej walce z nacierającym morzem zarośli i trawy, była przeznaczona pod uprawę trzciny cukrowej.

Pozostałą część stanowiły pastwiska dla niewielkich stad bydła i krów mlecznych, a pośrodku niej znajdowały się małe polatki tytoniu i herbaty. Za głównym

budynkiem był ogród warzywny rodziny Fawkesów.

W wybudowanej z kamienia stodole przechowywano pożywienie dla bydła i maszyny rolnicze. Pół kilometra dalej, z tyłu, nad wijącym się strumieniem stały zabudowania dla, według oceny Somali, około pięćdziesięciu robotników i ich rodzin, razem z bydłem i kozami.

Dom Fawkesa stał na wzgórzu. Była to duża posiadłość, przyozdobiona rzędami mieczyków i lilii, posadzonych na skraju krótko przyciętego trawnika. Ten malowniczy obrazek psuło otaczające dom, wysokie na trzy metry siatkowe ogrodzenie ze zwojami drutu kolczastego na szczycie.

Somala przyjrzał się uważnie tej barierze. Solidne ogrodzenie – słupki grube i bez wątpienia głęboko zabetonowane. Oceniał, że tylko czołg dałby radę tej sieci. Przesunął lornetkę i ujrzał dobrze zbudowanego mężczyznę z pistoletem maszynowym zawieszonym na ramieniu.

Strażnik opierał się niedbale o niedużą, stojącą przy bramie budkę.

Strażników można zaskoczyć i z łatwością się ich pozbyć, przewidywał Somala, ale cienkie przewody łączące budkę z budynkiem osłabiły jego pewność. Nie potrzebował wzywać inżyniera elektryka, żeby się domyślić, że ogrodzenie jest podłączone do prądu. Mógł tylko spekulować na temat napięcia prądu biegnącego przez siatkę. Przewód prowadzący do budki strażników oznaczał, że strażnik musi wyłączać prąd za każdym razem, gdy trzeba otworzyć bramę. I to była pięta achillesowa systemu obrony farmy Fawkesa.

Zadowolony z tego odkrycia, Somala rozsiadł się w swej kryjówce, obserwował i czekał.

Kapitan Patrick McKenzie Fawkes, emerytowany oficer Królewskiej Marynarki, przemierzał werandę równie energicznie jak dawniej pokład swego statku, kiedy zbliżali się do portu. Potężny mężczyzna, nieco ponad metr dziewięćdziesiąt pięć bez butów, ważył ponad sto czterdzieści kilogramów. Miał smutne, szare oczy, ciemne jak wody Morza Północnego podczas listopadowego sztormu. Porządnie przyczesane włosy piaskowego koloru, podobnie siwiejąca bródka w stylu króla Jerzego V. Wyglądał jak kapitan żeglugi z Aberdeen, kim rzeczywiście był, zanim został farmerem w Natalu.

–Dwa dni! – zagrział. – Nie mogę zostawić farmy na dwa dni. To nieludzkie. Tak jest, to nieludzkie. – W jakiś cudowny sposób herbata z filiżanki trzymanej w ręce, którą wymachiwał, nie wylała się.

–Skoro minister obrony osobiście prosił o spotkanie, to nie masz innego wyjścia.

–Niech to wszyscy diabli, kobieto! Tylko że on nie wie, o co prosi! – Fawkes pokręcił głową. – Jesteśmy w trakcie karczowania nowych terenów. Jutro mają przywieźć tego byka z odznaczeniami, którego kupiłem w Durban. Trzeba zająć się traktorami. Nie, nie mogę jechać.

–Lepiej rozgrzej silnik samochodu. – Myrna Fawkes odłożyła szycie i podniosła wzrok na męża. – Już spakowałam ci rzeczy i przygotowałam lunch, żebyś był w dobrym

nastroju do przyjazdu pociągu ministra do Pembroke.

Fawkes górował nad żoną i rzucał groźne spojrzenia, ale zupełnie niepotrzebnie. W ciągu dwudziestu pięciu lat nigdy się nie poddała. Z samego uporu spróbował innej taktyki.

–Byłoby z mojej strony zaniedbaniem, gdybym zostawił ciebie i dzieci, kiedy ci przekłęci pogańscy terroryści kryją się po zaroślach i na prawo i lewo mordują bogobożnych chrześcijan.

–Czy ty przypadkiem nie mylisz powstania ze świętą wojną?

–Dlaczego? Zaledwie parę dni temu – upierał się Fawkes – zrobili w Umoro zasadzkę na pewnego farmera i jego żonę.

–Ale Umoro leży sto dwadzieścia kilometrów stąd – stwierdziła trzeźwo Myrna.

–To może się zdarzyć również i tutaj.

–Pojedziesz do Pembroke i spotkasz się z ministrem obrony. – Wypowiedziała te słowa z wyjątkową stanowczością. – Mam ciekawsze rzeczy do roboty niż siedzieć cały ranek na werandzie i kłócić się z tobą, Patricku Fawkesie. A teraz zabieraj się i w Pembroke trzymaj z daleka od knajp.

Myrna Fawkes nie była kobietą, którą można lekceważyć. Chociaż szczupła i nieduża, miała w sobie twardości za dwóch mężczyzn.

Fawkes rzadko widział ją ubraną inaczej niż w jedną z jego wielkich koszul w kolorze khaki i granatowe dżinsy wetknięte w buty z cholewami. Potrafiła robić prawie wszystko to co on: odebrać cielaka podczas porodu, obsztorcować zgraję miejscowych robotników, naprawić sto różnych maszyn, zaopiekować się chorymi i rannymi, kobietami i dziećmi z farmy, gotować jak francuski kucharz. Dziwne jedynie

było to, że nigdy nie opanowała jazdy samochodem ani konno, ale zupełnie się tym nie przejmowała. Utrzymywała dobrą kondycję dzięki codziennym, bardzo długim spacerom.

–Nie martw się o nas – mówiła dalej. – Mamy pięciu uzbrojonych strażników.

Jenny i

Patrick Junior potrafią z pięćdziesięciu metrów odstrzelić głowę mamby. W razie kłopotów

mogę wezwać przez radio policję. I nie zapominaj o ogrodzeniu pod napięciem.

Nawet jeżeli

partyzanci przedostaną się przez nie, będą jeszcze musieli stawić czoło staremu Lucyferowi. –

Wskazała starą dubeltówkę kalibru 12 mm marki Holland Holland, opartą o futrynę drzwi.

Zanim Fawkes zdążył wyrzucić z siebie ostatnią odpowiedź, pod dom zajechali bushmasterem córka i syn i zaparkowali przed werandą.

–Zatankowany do pełna i gotowy do jazdy, kapitanie! – zawołał Patrick Junior.

Dwa miesiące wcześniej skończył dwadzieścia lat, rysy twarzy i szczupłość odziedziczył po matce, lecz wzrostem przewyższał ojca o osiem centymetrów. Jego siostra, dziewczyna o grubej kości i dużych piersiach, uśmiechała się wesoło buzią nakrapianą piegami.

–Skończył mi się olejek do kąpieli, tato – powiedziała Jenny. – Pamiętaj, proszę, i kup mi trochę, gdy będziesz w Pembroke.

–Olejek do kąpieli – stęknął Fawkes. – To jakiś cholerny spisek. Całe moje życie jest jednym wielkim spiskiem organizowanym przez ciało z mego ciała i krew z mojej krwi. Uważacie, że poradzicie sobie beze mnie? A więc niech tak będzie. Ale w moim dzienniku okrętowym wszyscy jesteście zapisani jako buntownicy.

Ucałowany przez uśmiechniętą Myrnę, stojącą w towarzystwie syna i córki, wsiadł niechętnie do swego terenowego samochodu z napędem na cztery koła. Czekając, aż strażnik otworzy bramę, odwrócił się i popatrzył na dom. Oni stali jeszcze na stopniach werandy, na tle pergoli obsypanej kwiatami bugenwilli. Cała trójka pomachała mu, on odpowiedział tym samym gestem. Po chwili wrzucił kolejne biegi, wyjeżdżając bushmasterem na drogę i wznosząc za sobą chmurę kurzu.

Somala obserwował odjazd kapitana i uważnie przyglądał się czynnościom strażnika -jak włącza i włącza prąd przed otwarciem i po zamknięciu bramy. Jego ruchy były automatyczne. To dobrze, pomyślał Somala. Jest najwyraźniej znudzony. Tym lepiej, zwłaszcza gdy nadejdzie czas natarcia.

Spojrzał przez lornetkę w stronę gęstej trawy ze zwartymi kępami zarośli wyznaczających zygzakowate granice farmy. Byłby nie zauważył.

Nie zauważyłby, gdyby nie krótki jak mgnienie oka błysk odbitego światła słonecznego. Instynktownie zamrugał i przetarł oczy. Po chwili spojrzał znowu.

Na wzniesionej nad ziemią platformie, częściowo skryty za liśćmi drzewa akacjowego, leżał inny Murzyn. Gdyby nie to, że robił wrażenie młodszego, a jego skóra była nieco jaśniejsza, mógłby uchodzić za Somalę. Intruz miał na sobie

identyczny mundur polowy i chiński pistolet maszynowy CK-88 z taśmą naboją, standardowe wyposażenie żołnierza Afrykańskiej Armii Rewolucyjnej. Somali wydawało się, że spogląda w ustawione w oddali lustro.,

Nie mógł pozbierać myśli. Wszyscy ludzie z jego oddziału mieli swój przydział zadań. Tego nie poznawał. Czyżby wietnamski komitet doradczy wysłał szpiega, by przekonał się o umiejętnościach Somali w prowadzeniu obserwacji? Bo przecież jego lojalność wobec AAR była niekwestionowana. W tym momencie Somalia poczuł na karku zimny dreszcz.

Ten drugi żołnierz nie patrzył na niego. Obserwował przez lornetkę dom Fawkesów.

Wilgoć wisiała jak nasączony wodą koc i uniemożliwiała parowanie wody z zagłębień terenu. Fawkes zerknął na zegarek wmontowany w tablicę wskaźników – była trzecia trzydzieści pięć. Za godzinę powinien dojechać do Pembroke. Zaczął odczuwać coraz większą ochotę na zdrową porcję whisky.

Minął dwóch czarnych chłopców, którzy przykucnęli w przydrożnym rowie. Nie zwrócił na nich większej uwagi, więc nie zauważył, że zerwali się na nogi i zaczęli biec w tumanach kurzu za bushmasterem.

Sto metrów dalej droga zwężała się. Z bagniska po prawej stronie sterczało gnijące sitowie. Po lewej jar opadał przeszło trzydzieści metrów do błotnistego koryta strumienia. Na środku drogi stał trzeci chłopak, szesnastolatek z ręką zaciśniętą na zuluskiej pice o szerokim ostrzu.

W drugiej trzymał kamień.

Fawkes zahamował gwałtownie. Chłopak nie ruszył się z miejsca i z ponurą determinacją patrzył na brodatą twarz za szybą samochodu. Był ubrany w poszarpane spodenki i podarty, brudny, z pewnością nigdy nie prany podkoszulek. Fawkes opuścił szybę i wysunął głowę. Uśmiechnął się i odezwał niskim, przyjaznym tonem:

–Jeśli masz, chłopcze, zamiar bawić się ze mną w świętego Jerzego i smoka, to radzę ci się zastanowić.

Odpowiedzią było milczenie. Potem Fawkes zobaczył i uświadomił sobie trzy rzeczy jednocześnie, a jego mięśnie naprężyły się. Błyszczące kawałki szkła niedbale wdeptane w rozmytą deszczem koleinę. Równoległe ślady opon prowadzące na skraj wąwozu. I -najbardziej konkretne – odbicie w bocznym lusterku dwóch chłopców nacierających od tyłu. Jeden z nich, gruby i niezdarny, celował ze starego karabinu. Drugi wzniosł nad głowę pordzewiałą maczetę.

Mój Boże, pomyślał Fawkes, wpadłem w zasadzkę urządzoną przez dzieciaki!

Jego jedyną bronią był ukryty w schowku nóż myśliwski. Rodzina wypchnęła go w drogę tak szybko, że zapomniał zabrać swój ulubiony rewolwer magnum kalibru 44.

Nie tracąc czasu na przeklinanie własnego niedbalstwa, wrzucił wsteczny bieg i wcisnął gaz. Opony bez poślizgu szarpnęły bushmastera do tyłu. Minął chłopaka z maczetą, lecz trafił tego z karabinem – uderzenie odrzuciło go w bagno. Fawkes zahamował, wrzucił jedynekę i ruszył ostro w stronę chłopaka gotowego rzucić piką i kamieniem.

W oczach czarnego nastolatka nie było śladu strachu, kiedy stał pewnie na bosych nogach i trzymał w górze jednocześnie obie ręce.

W pierwszej chwili Fawkes pomyślał, że chłopak mierzy wysoko – usłyszał, jak pika odbija się od dachu. Potem przednia szyba rozsypała się gradem błyszczących odłamków, kamień wylądował na sąsiednim siedzeniu. Fawkes poczuł, jak odłamki szkła tną mu twarz, lecz jedyne, co później pamiętał, to zimne, nienawistne spojrzenie napastnika.

Uderzenie zważyło chłopaka z nóg jak kukłę i rzuciło pod koła. Fawkes wcisnął hamulec, lecz w ten sposób tylko pogorszył sytuację. Zablokowane koła podskoczyły

na ciele i prześlizgnęły się po nim, zdzierając skórę z mięśni.

Fawkes wysiadł z samochodu i cofnął się ostrożnie. Chłopiec nie żył, miał prawie spłaszczoną czaszkę, a nogi zmiażdżone na czerwone kikuty. Grubas leżał na skraju pokrytego algami bagniska z głową odrzuconą do tyłu tak daleko, że dotykała kręgosłupa. Jego kolegi nie było widać, zniknęli w mokradle.

Fawkes podniósł karabin. Zamek był otwarty, a pocisk zablokowany w komorze. Wyciągnął go i przyjrzał się. Grubas nie wystrzelił, bo zwyczajnie nie mógł z powodu beznadziejnie zgiętej iglicy. Z całej siły rzucił karabin jak najdalej w błoto, patrząc, jak z pluskiem i gulgotem znika pod powierzchnią.

W jarze leżała przewrócona do góry kołami mała ciężarówka. W otwartych, pogiętych drzwiach widać było dwa ciała: kobiety i mężczyzny, brutalnie okaleczone, obsiadłe rojem much. Zrozumiał, że ci trzej afrykańscy chłopcy obrzucili kamieniami niczego nie podejrzewających podróżnych, zranili kierowcę i zepchnęli ciężarówkę do wąwozu, gdzie zatłukli na śmierć uwięzionych w samochodzie pozostałych przy życiu podróżnych. Następnie upojeni i zbyt pewni siebie po łatwym zwycięstwie zasadzili się i czekali na następną ofiarę.

–Głupie szczeniaki – mruknął wśród otaczającej śmierć ciszy. – Przeklęte, głupie szczeniaki.

Jak maratończyk, który odpadł z biegu na kilometr przed metą, Fawkes cierpiał z wyczerpania i żalu. Wrócił wolno do bushmastera, ocierając chusteczką spływające po policzku krople krwi. Sięgnął do wnętrza samochodu, nastawił częstotliwość i wywołał konstabla z Pembroke. Gdy zakończył raport, stał, kłął i rzucał niecelnie kamieniami w nadlatujące sępy.

Spóźnia się – powiedział w języku afrikaans Pieter De Vaal, minister południowoafrykańskich sił obronnych.

Podniósł okno i wychylił się, przepatrując drogę obok bocznic kolejowej. Jego słowa były skierowane do wysokiego, szczupłego mężczyzny o nieodparty, niebieskich oczach, ubranego w uniform pułkownika armii.

–Skoro Patrick Fawkes się spóźnia – stwierdził pułkownik, obracając w dłoni szklankę

z drinkiem – to musi mieć po temu ważny powód.

De Vaal odwrócił się od okna i obiema dłońmi przeczesał bujną czuprynę siwych, pofalowanych włosów. Wyglądał raczej na profesora, specjalistę od języków starożytnych niż na wyjątkowo stanowczego dowódcę drugiej pod względem wielkości potęgi militarnej na kontynencie. Rzecz może nie w tym, iż odziedziczył upragnione stanowisko. De Vaal był piątym ministrem obrony w ciągu siedmiu lat. Każdy z jego poprzedników pracował nie dłużej niż pięć miesięcy.

–Typowo angielskie zachowanie – powiedział zniecierpliwiony. – Anglicy żyją wyłącznie dla dżinu, królowej i wyćwiczonej postawy obojętności. Na nich nie można

polegać.

–Jeżeli chociaż wspomni pan o tym przy nim, na pewno zniechęci się do współpracy,

Herr Minister. – Pułkownik Joris Zeegler wychylił drinka i nalał sobie następnego.
– Fawkes

jest Szkotem. Z całym szacunkiem sugeruję, sir, żeby pan o tym nie zapominał.

De Vaala nie rozgniewał niesubordynowany ton Zeeglera. Radę swojego szefa wywiadu potraktował poważnie. W ministerstwie nie było tajemnicą, że sukcesy De Vaala w powstrzymaniu uderzeń terrorystów z zewnątrz i tłumieniu wewnętrznych powstań były w większości wynikiem przebiegłej infiltracji organizacji powstańczych, prowadzonej przez świetnie wyszkolonych agentów Zeeglera.

–Anglik, Szkot... Wolałbym mieć do czynienia z Afrykanerem.

–Zgoda – powiedział Zeegler – ale Fawkes ma najlepsze kwalifikacje do zaopiniowania tego projektu. Dowiodły tego całomiesięczne komputerowe poszukiwania

doświadczzonego personelu wojskowego. – Otworzył aktówkę. – Dwadzieścia pięć lat w

Królewskiej Marynarce, z tego piętnaście w technice okrętowej. Dwa lata był kapitanem na

HMS "Audacious". Ostatnie lata służby przepracował jako dyrektor techniczny Królewskiej

Stoczni Wojskowej w Grimsby. Kupił farmę w północnym Natalu i osiedlił się na niej

jedenaste lat temu.

–A co mówi twój komputer o tym, że on bardzo się troszczy o swoich robotników

z plemienia Bantu?

–Muszę przyznać, że przekazywanie czarnuchom i kolorowym części zysków farmy jest gestem liberała, lecz nie sposób zaprzeczyć, iż Fawkes w wyjątkowo krótkim czasie stworzył najlepszą posiadłość w północnym Natalu. Jego ludzie są nieprawdopodobnie lojalni. Biada radykałowi, który próbowałby siać zamęt na farmie Fawkesa.

De Vaal był w trakcie formułowania kolejnego pesymistycznego stwierdzenia, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Wszedł młody oficer.

–Przepraszam, że przerywam, Herr Minister, lecz przyjechał kapitan Fawkes.

–Proszę go wprowadzić – odparł De Vaal.

Fawkes schylił głowę w niskich drzwiach i wszedł do środka. De Vaal w milczeniu podniósł na niego wzrok. Nie spodziewał się kogoś o takich rozmiarach ani też kogoś o twarzy świeżo pokaleczonej w co najmniej dwunastu miejscach. Wyciągnął rękę.

–Kapitanie Fawkes, jest mi naprawdę miło – odezwał się De Vaal w miejscowym języku. – Dobrze, że wybrał się pan na tę wycieczkę.

Fawkes miążdżąc ucisnął dłoń ministra.

–Proszę mi wybaczyć, sir, lecz nie mówię pańskim językiem.

De Vaal przeszedł gładko na angielski:

–Przepraszam – powiedział z lekkim uśmiechem. – Zapomniałem, że wy, Ang... eee... Szkoci, nie uczycie się obcych języków.

–Chyba jesteśmy po prostu tępakami.

–Niech pan się nie obrazi, kapitanie, ale wygląda pan, jakby się golił jakąś ciernistą gałęzią.

–Wpadłem w zasadzkę. Przeklęte małe diabły stłukły mi przednią szybę.

Zatrzymałbym się w miejscowym szpitalu, lecz już byłem spóźniony na to spotkanie.

De Vaal wziął Fawkesa pod ramię i podprowadził do fotela.

–Sądzę, że powinien pan dostać drinka. Joris, zechciej pełnić honory domu.

Kapitanie

Fawkes, to jest pułkownik Joris Zeegler, dyrektor Południowoafrykańskiej Obrony Wewnętrznej.

Zeegler skinął głową i podniósł butelkę.

–Podejrzewam, że woli pan whisky, kapitanie?

–Tak jest, pułkowniku.

De Vaal podszedł do drzwi i otworzył je.

–Poruczniku Anders, niech pan powiadomi doktora Steedta, że mamy tu dla niego pacjenta. Pewnie znajdzie go pan w jego przedziale, śpiącego. – Zamknął drzwi i odwrócił się

do swoich gości. – Najpierw to, co najważniejsze. A zatem, kapitanie, podczas gdy będzie pan

czekał na naszego dobrego doktora, może zechce pan dokładniej opisać tę zasadzkę.

Lekarz przyszedł i poszedł, mrużąc coś dobrodusznie o gruboskórności

Fawkesa. Z wyjątkiem dwóch ran, z których każda wymagała założenia trzech szwów, resztę zostawił bez bandażowania.

–Ma pan szczęście, że te zadrapania nie pasują do śladów po paznokciach, bo inaczej musiałby się pan gęsto tłumaczyć swojej żonie – zażartował zatrzasnąwszy walizeczkę.

–Jest pan pewny, że ten atak nie był zorganizowany? – spytał Zeegler, kiedy lekarz wyszedł.

–Mało prawdopodobne – odparł Fawkes. – To były tylko brudne dzieciaki z buszu. Bóg jeden wie, ki diabeł ich podkusił, żeby brać się za zabijanie.

–Obawiam się, że pański wypadek z krwiożerczymi nastolatkami nie jest odosobniony – powiedział cicho De Vaal.

Zeegler skinął potwierdzająco.

–Pańska opowieść, kapitanie, pasuje do tego samego brutalnego *modus operandi* z jakim spotkaliśmy się przynajmniej dwadzieścia razy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

–Jeżeli chce pan poznać moją opinię – prychnął Fawkes – to za tym stoi ta przeklęta A AR.

–Winą można pośrednio obarczyć Afrykańską Armię Rewolucyjną. – Zeegler wyjął cienkie jak ołówek cygaro.

–Połowa chłopców w wieku od dwunastu do osiemnastu lat stąd po Kapsztad oddałaby własne jaja, by zostać żołnierzami AAR – wtrącił De Vaal. – Można to nazwać

swoistym kultem bohatera.

–Trzeba oddać diabłu to, co mu się należy – powiedział Zeegler. – Hiram Lusana jest równie znakomitym psychologiem jak propagandzistą i taktikiem.

–Tak jest – odparł Fawkes, spoglądając na pułkownika. – Wiele słyszałem o tym draniu. W jaki sposób został przywódcą AAR?

–Samozwańczy. On jest amerykańskim Murzynem. Wygląda na to, że nieźle zarobił na międzynarodowym przemyśle narkotyków, ale bogactwo mu nie wystarczało. Marzył o władzy i potędze, więc sprzedał interes, przyjechał do Afryki i zaczął organizować i wyposażać swoją własną armię wyzwolenczą.

–Jak na jednego człowieka, to chyba nie jest zbyt pewne przedsięwzięcie – stwierdził Fawkes – nawet bogatego.

–Nie tak bardzo niepewne, kiedy ma się pomoc, i to liczną – wyjaśnił Zeegler. – Chińczycy dostarczają broń, a Wietnamczycy szkolą jego ludzi. Na szczęście nasze siły bezpieczeństwa potrafią utrzymać ich w stanie prawie ciągłej klęski.

–Tylko że nasz rząd z pewnością upadnie, jeżeli będziemy poddawani przedłużającej się blokadzie gospodarczej – dodał De Vaal. – Lusana chciałby toczyć czysto podręcznikową wojnę. Bez terroryzmu, bez zabijania niewinnych kobiet i dzieci. Jak do tej pory, jego oddziały atakowały wyłącznie obiekty wojskowe. Odgrywając dobroczynnego zbawiciela, może zyskać absolutne moralne i finansowe poparcie Stanów Zjednoczonych, Europy i Trzeciego Świata. A kiedy osiągnie ten cel, będzie mógł wykorzystać swoje nowe wpływy, by odciąć nas od kontaktów

gospodarczych ze światem zewnętrznym. Wówczas koniec białej Afryki Południowej będzie już tylko kwestią tygodni.

–Nie ma sposobu, by powstrzymać Lusane? – spytał Fawkes.

Krzaczaste brwi De Vaala uniosły się.

–Owszem, jedna możliwość istnieje, jednak pod warunkiem, że pan da jej swoje błogosławieństwo.

Z wyrazem absolutnego zdumienia Fawkes spojrział przeciągle na ministra.

–Ale przecież ja jestem tylko wyciągniętym na mieliznę marynarzem i farmerem.

Nic

nie wiem o prowadzeniu działań powstańczych. Jak mógłbym służyć Ministerstwu Obrony?

De Vaal nie odpowiedział, lecz zwyczajnie podał Fawkesowi oprawny w skórę tom wielkości cienkiej księgi meldunkowej.

–Nazywa się operacja "Dzika róża".

W zapadającym zmierzchu światła Pembroke zapalały się jedno po drugim. Lekki deszcz bębnił o okna wagonu, spływając kaskadą strumyków po zakurzonej szybie. Osadzone na wielkim nosie Fawkesa okulary do czytania powieszały jego oczy, gdy nieprzerwanie przebiegał wzrokiem kolejne strony dokumentu. Lektura tak bardzo go pochłonęła, że gryzł bezmyślnie cybuch fajki, która już dawno się wypaliła.

Kilka minut po ósmej zamknął okładki operacji "Dzika róża". Przez dłuższą chwilę siedział jak pogrążony w kontemplacji, w końcu, znużony, pokręcił głową.

–Modłę się do Boga, żeby nigdy do tego nie doszło – powiedział cicho.

–Podziela pańskie uczucia – odezwał się De Vaal – lecz wkrótce może nadejść dzień, w którym zostaniemy przyparci do muru, a operacja "Dzika róża" będzie naszą ostatnią nadzieją na uniknięcie zagłady.

–Mimo to ciągle nie rozumiem, czego panowie ode mnie chcą.

–Pańskiej opinii, kapitanie – odrzekł Zeegler. – Przebadaliśmy możliwości realizacji tego planu i wiemy, co o szansach na sukces mówią komputery. Mamy nadzieję, że pańskie wieloletnie doświadczenie okaże się źródłem argumentów za i przeciw z ludzkiego punktu widzenia.

–Mogę wam powiedzieć, że ten plan jest prawie niewykonalny – odparł Fawkes. – A jeśli chodzi o moją opinię, to równie dobrze możecie dodać "szaleńczy". To, co proponujecie, jest terroryzmem w najokropniejszym wydaniu.

–To prawda – zgodził się De Vaal. – Wykorzystując siłę uderzeniową, która będzie udawać Afrykańską Armię Rewolucyjną, jesteśmy w stanie przenieść międzynarodową sympatię z czarnej na białą sprawę Afryki Południowej.

–Do przetrwania potrzebujemy wsparcia takich krajów jak USA – wyjaśnił Zeegler.

–Wydarzenia z Rodezji mogą powtórzyć się i tutaj – mówił dalej De Vaal. – Cała własność prywatna, farmy, sklepy, banki – wszystko przejęte i znacjonalizowanie. Czarni i biali zabijani na ulicach, tysiące wypędzonych z kontynentu za ledwie w ubraniu na grzbiecie. Nowy, komunistycznie zorientowany rząd, despotyczna plemienna dyktatura, gnębi i wykorzystuje własny lud, praktycznie wprowadzając niewolnictwo. Może pan być pewny, kapitanie Fawkes, że jeżeli nasz rząd upadnie,

na jego miejsce nie zjawi się taki, który będzie miał na względzie demokratyczne rządy większości.

–Nie ma pewności, że tak się stanie – powiedział Fawkes. – A gdybyśmy nawet mogli zajrzeć do wnętrza kryształowej kuli i przewidzieć najgorsze, i tak nie mielibyśmy usprawiedliwienia dla rozpoczęcia operacji "Dzika róża".

–Nie interesuje mnie osąd moralny – oznajmił surowo De Vaal. – Stwierdził pan, że plan jest niewykonalny, i ja przyjmuję tę opinię.

Kiedy Fawkes wyszedł, De Vaal nalał sobie następnego drinka.

–Muszę przyznać, że ten kapitan to szczyry gość.

–Poza tym miał zupełną rację – powiedział Zeegler. – "Dzika róża" jest terroryzmem w najgorszym wydaniu.

–Być może – mruknął De Vaal – Ale czy ma się inne wyjście, kiedy wygrywa się bitwy, a jednocześnie przegrywa wojnę?

–Nie jestem wielkim strategiem – odparł Zeegler – ale uważam, że operacja "Dzika róża" nie jest właściwym rozwiązaniem, panie ministrze. Usilnie pana nakłaniam, żeby odłożyć ją na półkę.

De Vaal trawił przez chwilę słowa Zeeglera.

–W porządku, pułkowniku. Niech pan zbierze wszystkie dane dotyczące tej operacji i zamknie je w podziemiu ministerstwa razem z innymi planami.

–Tak jest, sir – odpowiedział z wyraźną ulgą Zeegler.

De Vaal przyglądał się zawartości trzymanej w ręku szklanki. Po chwili podniósł wzrok z wyrazem zastanowienia na twarzy.

–Szkoda, wielka szkoda. To właśnie można było zrealizować.

Fawkes był pijany.

Gdyby jakaś wielka łapa opuściła się i odstawiła długi, mahoniowy bar w "Pembroke Hotel", padłby na swoją zabandażowaną twarz. Widział jak przez mgłę, że jest jedynym pozostałym klientem. Zamówił jeszcze jednego drinka, zauważając z niemal sadystycznym zadowoleniem, że pora zamknięcia dawno już minęła, a barman o wzroście mniej niż średnim nie bardzo ma odwagę poprosić go o opuszczenie lokalu.

–Wszystko w porządku, sir? – spróbował ostrożnie barman.

–Niech to cholera, nie! – ryknął Fawkes. – Czuję się pioruńsko źle.

–Bardzo przepraszam, ale skoro czuje się pan tak źle, po co pan to pije?

–Nie z powodu whisky flaki się we mnie przewracają. Chodzi o operację "Dzika róża".

–Że co, proszę?

Fawkes rozejrzał się ukradkiem po sali, potem nachylił się nad barem.

–Co byś powiedział na to, że niecałe trzy godziny temu spotkałem się z ministrem obrony, na stacji w jego prywatnym wagonie?

Na ustach barmana pojawił się chytry uśmieszek.

–Ten minister musi być niezłym czarodziejem, panie Fawkes.

–Czarodziejem?

–Żeby być w dwóch miejscach jednocześnie.

–Wyjaśnij mi to, człowieku.

Barman sięgnął pod kontuar i rzucił na blat gazetę. Wskazał artykuł na pierwszej stronie i głośno przeczytał tytuł:

–”Minister obrony Pieter De Vaal przybywa na operację do Port Elizabeth Hospital”.

–To niemożliwe!

–Gazeta jest aktualna, z dzisiejszego wieczoru – powiedział barman. – Musi pan przyznać – minister ma nie tylko nadzwyczajną siłę samouzdrawiania, ale i szybki pociąg. Port Elizabeth leży ponad tysiąc kilometrów stąd na południe.

Fawkes chwycił gazetę, otrząsnął mgłę z oczu, włożył okulary i przeczytał artykuł. Niedbale rzucił w barmana plikiem zmiętych banknotów, wytoczył się przez drzwi, korytarz hotelowy i wyszedł na ulicę.

Kiedy dotarł na stację kolejową, była pusta. Na szynach połyskiwało światło księżyca. Pociąg De Vaala zniknął.

Przyszli o wschodzie słońca. Somala naliczył ze trzydziestu, ubranych w ten sam rodzaj munduru polowego co on. Obserwował, jak wyczołgują się niby cienie z buszu i znikają wśród trzciny cukrowej.

Przez lornetkę, przyjrzał się uważnie drzewu akacjowemu. Obserwator w masce zniknął. Prawdopodobnie wymknął się, by dołączyć do oddziału, wnioskował Somala. Tylko kim oni są? Nikt z tej grupy nie wydał mu się znajomy. Czyżby byli członkami innej organizacji powstańczej? Jeśli tak, to dlaczego nosili charakterystyczne dla AAR czarne berety? Bardzo go kusilo, żeby wyjść z kryjówki w baobabie i zbliżyć się do nich, lecz zastanowił się i został na swoim miejscu.

Takie miał rozkazy i chciał być im posłuszny.

Farma Fawkesów budziła się powoli do życia. Robotnicy zaczęli się rozchodzić do swojej codziennej pracy. Patrick Fawkes Junior przeszedł przez podłączaną do prądu bramę i skierował się ku wielkiej kamiennej stodole, gdzie zaczął majstrować przy traktorze.

Strażnicy zmieniali się i ten, który kończył nocną zmianę, stał w otwartych wrotach rozmawiając ze zmiennikiem, kiedy ni stąd, ni zowąd, cicho upadł na ziemię. W tej samej chwili drugi strażnik zgiął się wpół i też padł.

Przerażony Somala z rozdziawionymi ustami przyglądał się, jak żołnierze wyskakują w luźnym szyku z pola trzciny cukrowej i zbliżają się do zabudowań. Większość była uzbrojona w chińskie CK-88, lecz dwóch przykłękło i wycelowało z karabinów z drugimi lufami, celownikami i tłumikami.

Odezwały się CK-88. Wydawało się, że Fawkes Junior ocknął się dopiero wtedy, gdy co najmniej dziesięć pocisków przeszło jego ciało.

Wyciągnął ręce, jakby chwytając się powietrza, lecz po chwili opadł w poprzek nie zakrytego silnika traktora. Huk salwy zaalarmował Jenny, która podbiegła do okna na piętrze.

–O mój Boże! Mamo! – wrzasnęła. – Na podwórzu są żołnierze. Zabili Pata!

Myrna Fawkes chwyciła dubeltówkę i pobiegła do frontowych drzwi. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, by zrozumieć, że ochrona została pokonana. Murzyni w mundurach w brązowe i zielone plamy już przedzierali się przez otwartą bramę, nie stanowiącą przeszkody, gdyż prąd został odłączony. Zatrzasnęła drzwi, zamknęła zamek i popędziła schodami do Jenny.

–Wezwij przez radio policję.

Potem usiadła spokojnie, włożyła w lufy swojej dwunastki dwa naboje i czekała.

Nagle rozgorzała gwałtowna strzelanina i z zabudowań dla robotników dały się słyszeć krzyki kobiet i przerażonych dzieci. Nie oszczędzono nawet odznaczanego na wystawach bydła Fawkesów. Myrna starała się nie słuchać przeraźliwego, śmiertelnego ryku, tłumiąc szloch bez łez w obliczu niszczenia tego wszystkiego. Uniosła dubeltówkę, kiedy pierwszy napastnik z hukiem sforsował drzwi.

Był najprzystojniejszym Afrykaninem, jakiego kiedykolwiek widziała. Miał zdecydowanie kaukaskie rysy, chociaż skórę prawie idealnie granatowoczną. Podniósł broń, jakby miał zamiar rozwalić jej głowę na kawałki, i rzucił się przez

pokój. Myrna pociągnęła za oba spusty i stary Lucyfer plunął ogniem.

Salwa z tak małej odległości prawie odstrzeliła Afrykaninowi głowę. Jego twarz rozprysnęła się mieszaniną odłamków kości i czerwonawoszarej tkanki. Rzuciło nim w tył na framugę drzwi, potem upadł na podłogę, a jego tors drżał w ostatnim tchnieniu.

Niemal obojętnie, jakby brała udział w zawodach strzeleckich, Myrna na nowo załadowała broń. Ledwie zatrzasnęła zamek, kiedy przez drzwi wpadło jeszcze dwóch mężczyzn. Stary Lucyfer pierwszego trafił dokładnie w pierś, rzucając go od razu na ziemię. Drugi skoczył nad ciałem kolegi, przez co Myrna wycelowała odrobinę za nisko – trafiła go w krocze. Żołnierz wrzasnął, odrzucił na bok broń i chwycił się rękami za ranę. Zamamrotał niezrozumiale i wycofał się na werandę.

Myrna ponownie załadowała. Szyba w oknie rozleciała się na kawałki i nagle na tapecie za fotelem Myrny pojawiły się dziury. Nie czuła tnącego bólu. Spojrzała w dół. Przez granatowy materiał jej dżinsów zaczęła przesączać się krew.

Na górze rozległ się donośny huk i Myrna zorientowała się, że to Jenny strzela na podwórze z kapitańskiego magnum 44.

Następny Afrykanin był ostrożniejszy. Wygarnął szybką serię zza drzwi i zaczekał. Nie słysząc odpowiedzi nabrał zbytnej pewności i wpadł do środka. Porcja grubego śrutu oderwała mu lewą rękę. Przez kilka chwil patrzył nieprzytomnie na leżący u jego stóp kikut, którego palce jeszcze drgały. Krew chlusnęła z pustego rękawa i spływała na dywan. Ciągle jak w transie opadł na kolana i jęczał cicho na widok wypływającego z niego życia.

Myrna niezdarnie zajęła się Lucyferem. Trzy pociski wystrzelone przez ostatniego napastnika trafiły ją w przedramię i nadgarstek.

Złamała niezręcznie broń i wyrzuciła gilzy. Miała wrażenie, że porusza się w mazi. Nowe naboje wyslizgnęły się z wilgotnych palców i upadły poza zasięgiem ręki.

–Mamo?!

Myrna uniosła wzrok. Jenny stała w połowie schodów z rewolwerem zwisającym w dłoni, bluzkę na piersi miała przesiąkniętą krwią.

–Mamo... Jestem ranna...

Zanim Myrna zdążyła odpowiedzieć, kolejna postać wpadła do pokoju. Jenny spróbowała unieść rewolwer, niestety zbyt wolno.

Mężczyzna wystrzelił pierwszy – Jenny upadła i stoczyła się po stopniach jak stara szmaciana lalka.

Myrna mogła tylko siedzieć i trzymać Lucyfera. Ubytek krwi odebrał jej siłę i zamglił wzrok. Patrzyła obojętnie na stojącego nad nią mężczyznę. Przez gęstniejącą mgłę widziała, jak wylot lufy pistoletu przysuwa jej do czoła.

–Przebacz mi – powiedział.

–Dlaczego? – spytała nieprzytomnie. – Dlaczego dopuściliście się tej okropności?

W zimnych ciemnych oczach nie było odpowiedzi. Kwiaty bugenwilli na zewnątrz werandy wybuchły Myrnie jaskrawością i zamieniły się w czerń.

Somala chodził wśród trupów, wpatrując się w odrętwieniu w znieruchomiałe na zawsze twarze, zszokowany i zdumiony. Zabito bezwzględnie prawie wszystkich

robotników i ich rodziny. Najwyżej garstka zdołała uciec do buszu. Podpalono siano i maszyny w stodole, płomienie wysuwały już swoje pomarańczowe jęzory z okna na piętrze domu Fawkesów.

Bardzo dziwne, pomyślał Somala. Ci ludzie posprząтали pole walki i po cichu jak duchy zabrali swych zabitych. Ich ruchy były wyćwiczone i precyzyjne. Gdy rozległ się daleki odgłos nadlatującego helikoptera południowoafrykańskich Sił Obronnych, nie było żadnej paniki.

Napastnicy zwyczajnie zniknęli w otaczających domostwo zaroślach równie niepostrzeżenie jak wtedy, gdy tu przyszli.

Somala wrócił do swojego baobabu po sprzęt i pobiegł w stronę osiedla. Myślał tylko o zebraniu ludzi i powrocie do obozu po drugiej stronie granicy z Mozambikiem. Nie oglądał się na trupy rozrzucone po farmie. Nie widział nadciągających sępów. Nie usłyszał również strzału z karabinu, którego pocisk trafił go w plecy.

Z Pembroke do Umkono Patrick Fawkes jechał jak w transie. Obracał kierownicą i naciskał pedały niczym automat. Patrzył, nie mrugając, szklistym wzrokiem, gdy pokonywał stromizny i instynktownie brał ostre zakręty.

Akurat kupował w drogerii olejek kąpielowy dla Jenny, kiedy odszukał go sierżant z komisariatu w Pembroke i jękając się opowiedział w skrócie przebieg tragedii. W pierwszej chwili Fawkes nie chciał uwierzyć. Dopiero wtedy, gdy połączył się przez radio z policjantem z Umkono, Shawnem Francisem, pojął to, co najgorsze.

–Wróć lepiej do domu, Patrick – zatrzeszczał przez głośnik nienaturalny głos Francisza.

Policjant oszczędził kapitanowi szczegółów, zresztą ten nie domagał się ich.

Słońce stało jeszcze wysoko, kiedy Fawkes znalazł się w pobliżu swojej farmy. Z domu zostało niewiele. Tylko kominek i fragment werandy. Z reszty pozostała ledwie kupa popiołu. Po drugiej stronie podwórza spalone opony oblepiły felgi i wydzielały gęsty czarny dym. Robotnicy leżeli ciągle tam, gdzie padli. Sępy szarpały ścierwo odznaczanego medalami bydła.

Shawn Francis i kilku żołnierzy z Sił Obronnych stali przy trzech nakrytych kocami ciałach, kiedy Fawkes zatrzymał się na podwórzu. Francis podszedł do niego, gdy ten wyskoczył z zabłoconego bushmastera. Twarz konstabla była szara jak popiół.

–Wielki Boże! – krzyknął Fawkes. Spojrzał Francisowi w oczy, próbując wypatrzeć w

nich choćby promyk nadziei. – Moja rodzina. Co z moją rodziną?

Francis wysiłał się, by sklecić odpowiedź, lecz zrezygnował i tylko wskazał głową w kierunku okrytych kocami ciał. Fawkes odepchnął go na bok i potykając się przeszedł przez podwórze. Jednak po chwili konstabl zatrzymał go, obejmując w pół.

–Zostaw ich, Patrick. Już ich zidentyfikowałem.

–Niech to diabli, Shawn, tam przecież leży moja rodzina.

–Błagam cię, przyjacielu, nie patrz na nich.

–Puść mnie. Muszę sam zobaczyć.

–Nie! – sprzeciwił się Francis, trzymając go uparcie, wiedząc, że nie stanowi przeszkody dla potężnej siły Fawkesa. – Myma i Jenny bardzo ucierpiały w pożarze. Ich już

nie ma, Patricku. Tych, których kochałeś, już z nami nie ma. Zapamiętaj ich lepiej żywych niż umarłych.

Francis poczuł, że napięcie mięśni Fawkesa maleje, więc i sam zwolnił uścisk.

–Jak do tego doszło? – spytał cicho Fawkes.

–Nikt nie zna szczegółów. Wszyscy twoi robotnicy zostali albo zabici, albo stąd zabrani. Nie ma rannych, którzy mogliby o tym opowiedzieć.

–Ktoś przecież musi wiedzieć... Ktoś musiał to widzieć.

–Znajdziemy świadków. Do rana choć jeden znajdzie się na pewno. Obiecuję ci.

Tę ponurą rozmowę przerwało lądowanie helikoptera. Żołnierze delikatnie

przenieśli ciała Mymy, Jenny i Patricka do kabiny i przymocowali je pasami. Fawkes nie wykonał żadnego ruchu, by do nich podejść. Stał tylko i z wielkim smutkiem w oczach obserwował, jak śmigłowiec wznosi się w powietrze i kieruje w stronę kostnicy w Umkono.

–Kto jest za to odpowiedzialny? – zapytał Fawkes Francisa. – Powiedz mi, kto zamordował moją żonę, moje dzieci i moich robotników, i kto spalił moją farmę.

–Jedna czy dwie plastikowe łuski od CK-88, w domu spalona ręka z chińskim zegarkiem na przegubie, ślady wojskowych butów. Chociaż są to dowody pośrednie, wskazują na AAR.

–Co znaczy, “jedna czy dwie łuski”? – rzucił Fawkes. – Te sukinsyny powinny zostawić całą górę.

Francis machnął bezradnie rękami.

–Typowy napad AAR. Oni zawsze sprzątajają teren zaraz po ataku. Dlatego trudno ich

oskarżać na podstawie konkretnych dowodów. Przed międzynarodową komisją antyterrorystyczną udają niewinnych, wskazując palcem inne organizacje wyzwolenicze.

Gdyby nie nasze owczarki alzackie, nigdy nie znaleźlibyśmy ani tych łusek, ani spalonej ręki.

Ślady prowadzą z buszu przez pole trzciny cukrowej do domu. Domyślam się, że zastrzelili strażników podczas zmiany, kiedy brama była otwarta, a prąd wyłączony. Pata Juniora zabili przy tamtym wypalonym traktorze. Myrna i Jenny leżały blisko siebie w salonie. Wszystko było niemiłosiernie zsiekane pociskami. Na szczęście, jeśli to może być jakimkolwiek pocieszeniem, nic nie wskazuje na gwałt czy znęcanie się.

Konstabl Francis przerwał, by napić się z menażki. Zaproponował też Fawkesowi, lecz ten tylko pokręcił głową.

–Pociągnij sobie, to whisky.

Fawkes znowu odmówił.

–Moje biuro odebrało przez radio od Jenny wezwanie o pomoc. Powiedziała, że Pat

został zabity i że farmę atakują ludzie w mundurach polowych. Razem z Myrną musiały tu

zawzięcie walczyć. Na podwórzu za domem znaleźliśmy cztery oddzielne kałuże krwi. Poza

tym sam widzisz, że to, co zostało z podłogi werandy, jest pokryte krwią. Ostatnie słowa

Jenny brzmiały: ”Wielki Boże! Oni strzelają do dzieci robotników!” Zebraliśmy nasze siły i

przyjechali tak szybko, jak tylko pozwalała na to prędkość helikopterów. Zajęło nam to trzynaście minut. Niestety, wszystko już płonęło, a napastnicy zniknęli. W tej chwili szukają ich w buszu dwa plutony i helikopter.

–Moi ludzie – mruknął Fawkes, wskazując nieruchome postacie, leżące w różnych

miejskach podwórza. – Nie możemy zostawić ich sępom.

–Twój sąsiad Brian Vogel przyjedzie ze swoimi ludźmi, by ich pogrzebać. Powinni tu być lada chwila. Do tej pory moi ludzie będą odpędzać to draństwo.

Kiedy Fawkes wchodził po stopniach werandy, szedł jak we śnie. Ciągłe nie mógł ogarnąć ogromu tragedii. Jeszcze chyba oczekiwał, że ujrzy trójkę swoich najdroższych na tle pergoli obrośniętej bugenwillą. Prawie wyobraził sobie tę scenę – stali tam machając mu na pożegnanie, gdy wyjeżdżał do Pembroke.

Weranda była poznaczona krwią. Rozmazane ślady prowadziły z dymiących resztek domu po schodach na podwórze, gdzie się urywały. Fawkes stwierdził, że zanim podpalono dom, wyciągnięto z niego trzy, może cztery ciała. Krew zakrzepła w popołudniowym słońcu. Wielkie, opalizujące muchy pasły się na niej i krążyły całymi chmarami.

Fawkes oparł się o pergolę i poczuł pierwsze, nie kontrolowane drżenie. Z domu, który sam zbudował, zostały teraz szerniałe, groteskowe ruiny, absurdalnie sterczące z wykoszonego trawnika, grządek mieczyków i lilii, które zostały nietknięte na swoim miejscu. Nawet wspomnienie wyglądu samego domu zaczynało się zniekształcać. Osunął się na stopnie i ukrył twarz w dłoniach.

Siedział tam jeszcze pół godziny później, kiedy konstabl Francis podszedł i delikatnie go dotknął.

–Chodź, Patricku. Zabiorę cię do siebie. Nic nie zyskasz, zostając tutaj.

Francis poprowadził nie stawiającego oporu Fawkesa do bushmastera i posadził na fotelu pasażera. Kiedy pojazd mijał bramę, Fawkes nie obejrzał się, patrzył prosto przed siebie. Wiedział, że już nigdy nie zobaczy ani nie postawi nogi na swojej farmie.

Kiedy Hiram Lusana obudziło pukanie do drzwi, wydawało mu się, chociaż przespał siedem godzin, że ledwo zdążył przyłożyć głowę do poduszki. Zegarek leżący na stoliku wskazywał szóstą. Lusana zaklął, przetarł swoje ciemnobrązowe oczy i usiadł.

–Wejść.

Pukanie powtórzyło się.

–Powiedziałem: wejść! – burknął głośno.

Do pokoju wszedł kapitan John Mukuta i stanął sztywno na baczność.

–Przepraszam, że pana budzę, sir, ale oddział czternasty wrócił właśnie ze zwiadu w

Umkono.

–Więc po co ten rwetes? Mogę przejrzeć ich raport później.

Mukuta patrzył dalej w ten sam punkt na ścianie.

–Patrol miał kłopoty. Dowódca został postrzelony i ciężko ranny leży w szpitalu.

Nalega, żeby złożyć raport panu i nikomu innemu.

–Kto to jest?

–Nazywa się Marcus Somalia.

–Somalia? – Brwi Lusany uniosły się. Wstał z łóżka. – Powiedz mu, że zaraz przyjdę.

Kapitan zasalutował i wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi, udając, że nie zauważył skulonej w atłasowej pościeli drugiej osoby.

Lusana wyciągnął rękę i ściągnął prześcieradło. Felicja Collins spała jak kamień. Jej fryzura typu afro połyskiwała w świetle. Wargi miała pełne, rozchylone, skórę barwy kakao. Jędrne piersi z ciemnymi sutkami poruszały się w rytm oddechu.

Uśmiechnął się i zostawił prześcieradło odsunięte. Jeszcze nie do końca rozbudzony, począł do łazienki i zimną wodą spryskał sobie twarz. Patrzące z lustra oczy były przekrwione. Twarz pomarszczona i wymęczona nocą mocno zakrapianą alkoholem i urozmaicaną seksem. Otarł lekko rącznikiem zniszczoną stoczonymi walkami twarz, wrócił do sypialni i ubrał się.

Lusana był człowiekiem niskim, żylastym, średniej budowy ciała, o skórze jaśniejszej niż którykolwiek z jego podwładnych. "Amerykański brąz" – tak nazywają go za jego plecami. Uwagi na temat wyglądu i wielkopańskich manier nie miały jednak źródła w braku szacunku. Ludzie podchodzili do niego z prymitywnym strachem przed tym, co nadprzyrodzone. Lusana roztaczał wokół siebie atmosferę pewności, tak charakterystyczną

dla bokserów wagi lekkiej w początkach ich kariery. Można by to nazwać atmosferą arogancji.

Ostatni raz spojrzął z zadowoleniem na Felicję, potem westchnął i poszedł przez obóz do szpitala polowego.

Chiński lekarz nie był nastawiony optymistycznie.

–Pocisk wszedł z tyłu, oderwał połowę płuca, potrzaskał żebra i wyszedł pod lewą pierś. To cud, że ten człowiek jeszcze żyje.

–Może mówić? – spytał Lusana.

–Tak, lecz każde słowo pozbawia go sił.

–Jak długo...

–...jeszcze pożyje?

Lusana skinął głową.

–Marcus Somala jest niewiarygodnie silnym człowiekiem – odparł lekarz. – Wątpię jednak, by przeżył dzisiejszy dzień.

–Czy mógłby pan dać mu coś, aby odzyskał przytomność na kilka minut?

Doktor zastanowił się.

–No cóż, przyspieszenie tego, co nieuniknione, będzie chyba bez znaczenia. –

Odwrócił się i szeptem przekazał instrukcje pielęgniarce, która zaraz wyszła z sali.

Lusana spojrzał na Somalę. Twarz dowódcy oddziału była wykrzywiona, a klatka piersiowa unosiła się lekko w płytkich, spazmatycznych oddechach. Ze stojaka przy łóżku zwisała płatanina plastikowych przewodów, doprowadzających kroplówkę do rąk i nosa. Na piersi nałożony był duży opatrunek pooperacyjny!

Pielęgniarka wróciła i podała doktorowi strzykawkę. On wbił igłę i wstrzyknął specyfik. Po kilku sekundach Somala zamrugał, uchylił oczy i jęknął.

Lusana gestem nakazał lekarzowi i pielęgniarce, żeby wyszli na korytarz, i zamknął drzwi. Pochylił się nad łóżkiem.

–Somala, tu Hiram Lusana. Rozumiesz mnie?

Szept Somali był chrapliwy, lecz nie pozbawiony emocji.

–Nie widzę pana dobrze, generale. Czy to rzeczywiście pan? Lusana wziął Somalę za rękę i uścisnął mocno.

–Tak, mój dzielny żołnierzu. Przyszedłem, by wysłuchać twego raportu. Leżący mężczyzna uśmiechnął się, a potem w jego oczach pojawiło się zdumienie.

–Dlaczego... Dlaczego pan mi nie zaufał, generale?

–Ja? Nie zaufałem?

–Dlaczego nie powiedział mi pan, że wysyła ludzi, by dokonali napadu na farmę Fawkesa?

Lusana był wstrząśnięty.

–Powiedz, co widziałeś. Opowiedz wszystko. Niczego nie przeocz.

Po dwudziestu minutach, wyczerpany wysiłkiem Marcus Somala z powrotem stracił przytomność. Umarł jeszcze przed południem.

Patrick Fawkes zgarniał łopata gliniastą ziemię przypominającą melasę na trumny swoich bliskich. Ubranie miał przemoczone od lekkiego deszczu i własnego potu. Tak sobie zażyczył – osobiście wykopać wspólny grób i samemu go zasypać. Uroczystości pogrzebowe dawno się już skończyły, znajomi i sąsiedzi odjechali, zostawiając go z tym smutnym zadaniem.

W końcu przyklepał ostatnią grudę ziemi, odsunął się o krok i popatrzył. Nagrobka jeszcze nie przywieziono, sam kopiec wśród starszych grobów wyglądał pusto i ponuro. Tamte były zadbane, obsiane trawą i prościutkimi rządками kwiatów. Padł na kolana i sięgnął do kieszeni leżącej na ziemi kurtki. Wyciągnął z niej garść płatków bugenwilli i rozrzucił po wilgotnej ziemi.

Potem dał upust swej rozpacz. Płakał długo, aż słońce schowało się za horyzont. Płakał tak długo, że w końcu z oczu nie mogły już płynąć łzy.

Myślami przebiegł dwanaście ostatnich lat, a obrazy z przeszłości przesuwają się jak film. Ujrzał Myrnę i dzieci w niewielkim domku w pobliżu Aberdeen nad Morzem Północnym. Zobaczył wyraz zaskoczenia i szczęścia na ich twarzach, kiedy powiedział, że się pakują i wyjeżdżają do Natalu, by tam założyć farmę. Widział, jak chorowita białoskóra Jenny i Pat Junior stoją obok innych szkolnych dzieci w Umkono i jak szybko nabierają opalenizny i siły. Ujrzał, jak Myrna z żalem opuszcza Szkocję, by całkowicie zmienić sposób życia, a potem zakochać się w Afryce chyba nawet bardziej niż on sam.

–Nie stajesz się dobrym farmerem, dopóki nie wyciśniesz potu z własnych żył - miała zwyczaj mówić.

Jej głos zdawał mu się tak wyraźny, że nie umiał przyjąć faktu, że oto leży już w ziemi, na której klęczy, i że już nigdy więcej nie zobaczy słońca. Teraz został sam i ta myśl go nie opuszczała. Kiedy kobieta traci męża – przypomniał sobie, że gdzieś to słyszał – uczy się na nowo swojego życia i trwa. Lecz kiedy mężczyzna traci kobietę, sam w połowie umiera.

Odepchnął wspomnienie tych dawnych, szczęśliwych chwil i spróbował wyobrazić sobie mglistą, zagadkową postać mężczyzny. Twarz nie miała żadnych wyrazistych cech, ponieważ Fawkes nigdy wcześniej jej nie widział: twarz Hiramusa Lusany.

Nagle miejsce wielkiego żalu zajęła zimna nienawiść. Zaciśnął pięści i walił nimi w wilgotną ziemię, aż wreszcie napięcie ustało.

Potem westchnął mocno i ułożył płatki bugenwilli tak, że stworzyły napis – imiona żony i dzieci.

Wstał. Już wiedział, co ma zrobić.

Lusana siedział zamyślony przy końcu owalnego stołu konferencyjnego i bawił się długopisem. Popatrzył na zawsze uśmiechniętego pułkownika Duc Phon Lo, głównego doradcę wojskowego Afrykańskiej Armii Rewolucyjnej, a potem na pozostałych siedzących w napięciu oficerów.

–Jakiś krwiożerczy idiota wpada na pomysł zaatakowania farmy najbardziej szanowanego obywatela Natalu, a wy wszyscy siedzicie sobie tutaj, udając niewinnych jak

zuluskie dziewice. – Przerwał na chwilę, badając ich twarze. – No, no, panowie. Skończmy z

tymi zagrywkami. Kto za tym stoi?

Lo pochylił głowę i położył dłonie na stole. Jego migdałowe oczy i krótko przycięte proste włosy powodowały, że nie pasował do pozostałych. Mówił wolno i dokładnie wypowiadał każde słowo.

–Ma pan moje słowo, generale, że za to nie jest odpowiedzialny nikt z tych, którymi pan dowodzi. Sprawdziłem rozmieszczenie wszystkich oddziałów w czasie, gdy to się zdarzyło. Żaden z nich, z wyjątkiem samego Somali, nie znajdował się bliżej niż sto kilometrów od Umkono.

–Wobec tego, jak pan to wyjaśni?

–Nie potrafię.

Wzrok Lusany zatrzymał się chwilę na Lo, oceniając wyraz twarzy Azjaty. Usatysfakcjonowany faktem, że w przyklejonym uśmiechu nie ma nic oszukańczego, spojrział na innych i też przyjrzał się im uważnie.

Po jego prawej stronie siedział major Thomas Machita, główny analityk strategiczny. Obok niego pułkownik Randolph Jumana, zastępca Lusany. Naprzeciwko siedzieli Lo i pułkownik Oliver Makeir, koordynator programów propagandowych AAR.

–Macie jakiś pogląd na ten temat? – spytał Lusana.

Jumana już po raz dziesiąty poprawił plik papierów, unikając wzroku Lusany.

–A jeżeli Somalia wymyślił sobie napad na Fawkesów? Może ujrzał go w delirium? Marszcząc brwi Lusana pokręcił głową, zirytowany.

–Zapomina pan, pułkowniku, że to ja odebrałem raport od Somali. To był naprawdę dobry człowiek. Najlepszy dowódca oddziału ze wszystkich, jakich mieliśmy. On nie był w delirium ani nie zmyślił bajki, wiedząc, że wkrótce umrze.

–Nie ma żadnej wątpliwości, że napad się odbył – powiedział Makeir. – Gazety i telewizja południowoafrykańska nadały tej sprawie znaczny rozgłos. Ich relacje zgadzają się z

tym, co opowiedział Somalia, z wyjątkiem tego, że rządowe Siły Obronne mają jeszcze znaleźć wiarygodnego świadka, który opisałby atakującą grupę. Mieliśmy szczęście, że Somalia zdołał wrócić ze swojej misji i, zanim umarł, szczegółowo opowiedzieć wszystko, co widział.

–Czy on widział, kto do niego strzelił? – spytał Jumana.

–Trafiono go z tyłu z dużej odległości – odparł Lusana. – Prawdopodobnie

snajper. Ten biedak zdołał doczołgać się pięć kilometrów do miejsca, w którym umówił się z resztą swojej grupy obserwacyjnej. Oni udzielili mu pierwszej pomocy, a potem pognali z powrotem do obozu.

Thomas Machita pokręcił głową, niczego nie rozumiejąc.

–Nic tu się nie zgadza. Wątpię, żeby jakikolwiek inny ruch wyzwoleńczy przebrał się i udawał żołnierzy AAR.

–Z drugiej strony – odezwał się Makeir – może wymyślili ten rajd, by winą obarczyć nas, a sobie dać trochę wytchnienia.

–Jestem w kontakcie z moimi rodakami, doradcami waszych rewolucyjnych braci – powiedział pułkownik Lo. – Wszyscy oni są wściekli jak rozdrażnione szerszenie. Napad na farmę Fawkesów nikomu nie przyniósł korzyści. Jeśli już, to wzmocnił postanowienie białych, Hindusów, kolorowych, a i wielu czarnych, by stanowczo przeciwstawiać się interwencji z zewnątrz.

Lusana oparł brodę o złożone dłonie.

–W porządku. Skoro oni tego nie zrobili, a my wiemy, że my też tego nie zrobiliśmy, to kto pozostaje głównym podejrzanym?

–Południowoafrykańscy biali – odparł zwyczajnie Lo.

Wszystkie oczy skierowały się na wietnamskiego doradcę. Lusana wbił wzrok w jego nieodgadnione oczy.

–Czy zechciałby pan powtórzyć to zdanie?

–Ja tylko sugeruję, że być może ktoś w rządzie południowoafrykańskim wydał rozkaz zamordowania rodziny Fawkesów i ich robotników.

Przez kilka chwil wszyscy patrzyli na niego w milczeniu. W końcu Machita przerwał ciszę:

–Nie widzę w tym celu.

–Ani ja – odrzekł Lo i wzruszył ramionami. – Ale zastanówmy się nad tym. Kto inny miałby środki do wyposażenia grupy komandosów w broń i mundury identyczne z naszymi? Dalej, a to jest najważniejsze, czy nie wydaje wam się dziwne, panowie, że chociaż grupa

napadająca na farmę wycofała się słysząc odgłos helikopterów Sił Obronnych, to żaden z jej członków nie został złapany? Dla partyzanta kwestią życia jest co najmniej godzina, aby mieć realną szansę na ucieczkę. Mniej niż dziesięć minut wyprzedzenia wobec sił wykorzystujących helikoptery i psy oznacza samobójstwo.

–Intrygująca myśl – stwierdził Lusana, bębniąc palcami po blacie. – Nawet na moment nie uznałem jej za prawdopodobną. Jednakże nie zawadzi sprawdzić. – Zwrócił się do Machity: – Czy ma pan zaufanego informatora w Ministerstwie Obrony?

–Kogoś wysoko postawionego – odparł Machita. – Sporo nas kosztuje, ale na jego informacjach można polegać. Chociaż, prawdę mówiąc, to jakiś dziwak. Nigdy nie pokazuje się w tym samym przebraniu dwa razy w jednym miejscu.

–Z tego, co pan mówi, wynika, że to jakiś mistyk – stwierdził Jumana.

–Może i tak – zgodził się Machita. – Emma materializuje się, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa.

-Emma?

-To jego kryptonim.

-Albo ten człowiek ma spalone poczucie humoru, albo jest transwestytą – rzucił Lusana.

-Nie umiem tego powiedzieć, generale.

-Jak się z nim kontaktujecie?

-Nie kontaktujemy się. To on szuka z nami łączności, kiedy ma do sprzedania użyteczne informacje.

Twarz Jumany nachmurzyła się.

-A jaką mamy gwarancję, że nie wciska nam fałszywych danych?

-Jak do tej pory wszystko, co przekazał nam z ministerstwa, sprawdziło się w stu procentach.

Lusana popatrzył na Machitę.

-Sam polecę do Pretorii i zaczekam na następne pojawienie się Emmy. Jeżeli ktokolwiek potrafi rozwiązać tę tajemnicę, to na pewno będzie nim on.

Baza Afrykańskiej Armii Rewolucyjnej nie była obozem w dosłownym znaczeniu, raczej kwaterą główną na terenie dawnego uniwersytetu dla Portugalczyków, kiedy jeszcze rządili Mozambikiem. Nowy uniwersytet dla czarnych mieszkańców kraju zbudowano w sercu pewnego nowego miasta, zagarniętego na terenach północnych nad jeziorem Malawi. Niewielkim wysiłkiem uniwersytet został przekształcony w bazę armii Lusany. Akademiki przeznaczono dla żołnierzy, w kawiarenkach urządzono stołówki, urządzenia sportowe wykorzystywano do ćwiczeń bojowych, wygodne kwatery przeznaczono dla oficerów, a świeżo udekorowaną salę balową na wydarzenia towarzyskie. Frederick Daggat, przedstawiciel demokratów i jeden z trzech czarnych kongresmanów ze stanu New Jersey, był pod wielkim wrażeniem. Prawdę mówiąc, spodziewał się typowego ruchu rewolucyjnego, działającego na zasadach plemiennych i wyposażonego w sowieckie rakiety, byle jakie chińskie mundury i głoścącego puste, wyświechtane marksistowskie slogany. Tymczasem z przyjemnością stwierdził, że organizacja jest prowadzona w stylu amerykańskich firm naftowych.

Lusana i jego oficerowie wyglądali raczej na biznesmenów niż partyzantów.

Podczas koktajlu wszystko przebiegało zgodnie z nowojorskim protokołem. Gospodyni przyjęcia, Felicja Collins, mogłaby okryć chwałą nawet niejedno party na Manhattanie.

Spojrzenia Daggata i Felicji spotkały się, dziewczyna przeprosiła grupę emablujących ją prawodawców somalijskich. Podeszła i położyła mu dłoń na ramieniu.

–Dobrze się pan bawi, kongresmanie?

–Znakomicie.

–Hiram i ja myśleliśmy, że może zostanie pan tutaj do końca tygodnia.

–Niestety, jutro po południu muszę być w Nairobi, na spotkaniu z Kenijskim Komitetem Edukacyjnym.

–Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z kwatery. Jesteśmy trochę za bardzo na uboczu, by dostać licencję na "Hiltona".

–Muszę przyznać, że gościnność pana Lusany znacznie przekracza to, na co liczyłem.

Daggat spojrział na nią z góry. Tego wieczoru po raz pierwszy widział Felicję Collins

z tak bliska. Sławna piosenkarka nagrodzona trzema złotymi płytami, aktorka uhonorowana trzema nagrodami Emmy i Oscarem za trudną rolę czarnej sufrażystki w filmie "Makowa droga". W każdym calu równie zachwycająca jak na ekranie.

Felicja stała spokojna i opanowana w lekkim, krepdeszynowym stroju wieczorowym. Bluzeczka bez ramiączek, związana w talii, i spodnie pozwalające podziwiać jej kształtne nogi. Włosy miała uczesane w szykowną, krótką fryzurę afro.

–Wie pan, Hiram stoi na progu wielkości. Uśmiechnął się, słysząc tak górnołotne oświadczenie.

–Wyobrażam sobie, że to samo powiedziano kiedyś o Atylli, królu Hunów.

–Rozumiem teraz, dlaczego korespondenci waszyngtońscy tak licznie przybywają na pańskie konferencje prasowe, kongresmanie. – Nie zdjęła dłoni z jego ramienia. – Ma pan cięty język.

–Mówią o nim "ostrze Daggata".

–Dzięki temu łatwiej panu gnębić biały establishment, prawda?

Ujął jej dłoń i ścisnął coraz mocniej, aż wreszcie jej duże, mahoniowe oczy rozszerzyły się nieco.

–Proszę mi powiedzieć, panno Collins, co sprowadza do dżungli tak piękną i uznaną aktorkę?

–To samo, co czarne *enfant terrible* wyciąga z Kongresu Stanów Zjednoczonych - odparowała. – Chęć pomocy człowiekowi, który walczy dla dobra i rozwoju naszej rasy.

–Byłbym raczej skłonny wierzyć, że Hiram Lusana walczy o rozwój swojego prywatnego konta bankowego.

Felicja uśmiechnęła się drwiąco.

–Pan mnie rozczarowuje, kongresmanie. Gdyby zadał pan sobie trud odrobienia zadania domowego, wiedziałby pan, że to nieprawda.

Daggat usztywnił się. Rękawica została rzucona. Puścił jej dłoń i zbliżył swoją twarz do jej twarzy.

–Skoro pół świata przygląda się narodom afrykańskim, czekając i zastanawiając się,

kiedy zaczną działać razem i usuną ostatni bastion białej supremacji, jakież inny mesjasz

miałby się pojawić nie wiadomo skąd z trafnym powiedzonkiem na każdą okazję, jak nie pani

przyjacielski, międzynarodowy szmugler narkotyków, Hiram Lusana? Zupełnie jakby miał

objawienie w środku nocy, rzuca dobrze prosperujący interes, by zająć się biednym,

śmierdzącym czarnym motłochem Afryki Południowej. A teraz, mając po swojej stronie

naiwną opinię czarnych, nagabywany przez prasę światową, spragnioną osobowości,

jakiegokolwiek osobowości, przystojny Hiram znajduje nagle swoją twarz na okładkach nie

mniej niż czternastu czasopism o ogólnym nakładzie ponad sześćdziesięciu milionów. Zatem

na niebie świeci słońce, a Hiram Lusana jest na całym świecie podziwiany za swoją

pobożność przez dewotów Biblii. Przedstawicielstwa zagraniczne ubiegają się o jego obecność na przyjęciach. On żąda i otrzymuje nieprawdopodobne sumy za wykłady. A tacy frajerzy ze świata showbiznesu jak pani, panno Collins, całują go w tyłek i ciężko pracują za niewielki procent dochodów uzyskiwanych w pełnym blasku

jupiterów. Na pięknej twarzy Felicji zapłonął gniew.

–Celowo mówi pan tak obraźliwie.

–Szczerze mówiąc, być może. – Daggat przerwał i przez chwilę cieszył się zmieszaniem Felicji. – A pani zdaniem, co by się stało, gdyby Lusana wygrał

swoją wojnę, a

biały reżim w Afryce Południowej się poddał? Czy, jak Cincinnatus, odrzuciłby szlify

generalskie i zajął się uprawą roli? To mało prawdopodobne. Tak naprawdę nie wątpię, że on

sam siebie ogłosi prezydentem i da początek autentycznej dyktaturze. A potem, mając w

kieszeni olbrzymie zasoby najbardziej rozwiniętego kraju Afryki, odwróci kierunek swojej

krucjaty i albo siłą, albo podstępem podporządkuje sobie słabsze czarne narody.

–Pan jest ślepcem – rzuciła opryskliwie. – Hiram kieruje się w życiu swoją

wspaniałą

moralnością. Według mnie, niemożliwe jest, aby kiedykolwiek pomyślał o

zaprzędaniu

swoich ideałów dla osobistych zysków.

Felicja nie zauważyła ostrzeżenia w spojrzeniu Daggata.

–Jestem w stanie tego dowieść, panno Collins, ale będzie to panią kosztowało – jeśli pani przegra – jednego amerykańskiego dolara.

–Absolutnie błędna ocena, kongresmanie. Pan najwyraźniej zupełnie nie zna

generała.

–Założymy się?

Felicja zastanowiła się przez moment, a potem podniosła wzrok.

–W porządku.

Daggat uklonił się nonszalancko i odprowadził ją do miejsca, w którym Lusana omawiał taktykę z oficerem armii mozambickiej. Lusana przerwał rozmowę i powitał

ich:

–Oho, moi współobywatele Amerykanie. Widzę, że już się poznaliście.

–Czy mógłbym porozmawiać z panem i panną Collins na osobności, generale? – spytał Daggat.

–Ależ oczywiście.

Lusana przeprosił oficera i poprowadził do niewielkiego gabinetu, wygodnie urządzonego w nowoczesnym stylu afrykańskim.

–To wspaniałe – powiedział Daggat.

–Mój ulubiony motyw dekoracyjny. – Lusana gestem wskazał fotele. – W końcu, czemu nie? Czyż nie wykorzystuje tradycyjnych miejscowych wzorów?

–Osobiście preferuję nową twórczość egipską – powiedział obojętnie Daggat.

–A o czym chciałby pan porozmawiać? Daggat od razu przeszedł do rzeczy:

–Jeżeli wolno mi być szczerym, generale, to jedynym powodem urzędzenia tego dzisiejszego widowiska była nadzieja, że uda się panu nakłonić mnie do

wykorzystania moich

wpływów w Komitecie Spraw Zagranicznych na korzyść AAR. Zgadza się?

Lusana nie potrafił ukryć zatroskanego wyrazu twarzy, ale nie zapomniał o ostrożności.

–Proszę mi wybaczyć, panie Daggat. Nie zamierzałem postępować w tak oczywisty sposób. Owszem, miałem nadzieję przekonać pana do udzielenia wsparcia naszej sprawie. Ale manipulacja? Nic z tych rzeczy. Nie jestem na tyle głupi, żeby próbować wpuszczać w maliny człowieka o pańskiej reputacji, człowieka tak przebiegłego.

–I na tym zakończylibyśmy wstęp. Co ja będę z tego miał?

Lusana popatrzył na Daggata zafascynowany. Tak bezpośredniego podejścia do sprawy zupełnie nie oczekiwał. Jego plany opierały się na bardziej długotrwałym uwodzeniu. Został więc zaskoczony. Otwarta propozycja wzięcia łapówki zdumiała go. Postanowił zagrać nieśmiało, by zyskać czas do namysłu.

–Nie bardzo rozumiem, panie kongresmanie.

–To nic wielkiego, naprawdę. Jeżeli chce pan mnie mieć po swojej stronie, będzie to pana kosztowało.

–Nadal nie rozumiem.

–Niech pan przestanie się zgrywać, generale. Pochodzimy z tego samego rynsztoka. Nie odepchnęliśmy biedy i dyskryminacji, by dojść tam, gdzie jesteśmy, bez czerpania po drodze pewnych korzyści.

Lusana odwrócił się i wolno, dokładnie przypalił papierosa.

–Czy chce pan zacząć negocjacje od oferty za pańskie usługi?

–To nie jest konieczne. Ja już mam na myśli pewną... rzecz.

–Niech pan ją wymieni.

W kącikach ust Daggata pojawił się uśmiech.

–Panna Collins.

Lusana podniósł wzrok, zaskoczony.

–Rzecz wyjątkowo urodziwa. Tylko że nie rozumiem, co ona...

–Pan da mi Felicję Collins, a ja dopilnuję, żeby mój komitet głosował za sfinansowaniem programu dozbudowania pańskiej rewolucji.

Felicja zerwała się na równe nogi z płonącymi oburzeniem oczami.

–Nie mogę w to uwierzyć!

–Proszę to potraktować jako niewielką ofiarę na rzecz szlachetnej sprawy – powiedział sarkastycznie Daggat.

–Hiram, na Boga! – rzuciła. – Powiedz temu indykowi, żeby się pakował i spływał.

Lusana nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się we własne kolana i strzepywał wyimaginowany pyłek z zaprasowanej w idealny kant nogawki. W końcu odezwał się cicho:

–Wybacz mi, Felicjo, ale nie mogę dopuścić, żeby sprawę walki łączyć z sentymentami.

–Co za gówno! – Popatrzyła na niego niedowierzająco. – Obydwaj jesteście szaleni,

zwariowani, jeżeli myślicie, że możecie mnie sobie przekazywać jak pałeczkę.

Lusana wstał, podszedł do niej i musnął ustami jej czoło.

–Nie znienawidź mnie. – Zwrócił się do Daggata: – Panie kongresmanie, życzę zadowolenia z łupu.

Wyszedł z gabinetu.

Przez dłuższą chwilę Felicja stała z wyrazem wrogości i zmieszania na twarzy.

Potem zrozumiała i do oczu napłynęły jej łzy. Nie protestowała, nie wykonywała gestów rezygnacji, kiedy Daggat przyciągnął ją delikatnie i pocałował.

–Ty skurwielu – szepnęła. – Ty obrzydliwy draniu. Mam nadzieję, że jesteś usatysfakcjonowany.

–Jeszcze nie całkowicie.

–Przecież wygrałeś swój funt mięsa. Czego jeszcze chcesz?

Z kieszeni na piersi wyjął chusteczkę i otarł jej wilgotne oczy.

–Zapomniałaś – powiedział, uśmiechając się sardonicznie – że jesteś mi winna
jeszcze
dolara.

Pieter De Vaal zamknął teczkę z aktami masakry u Fawkesów. Kiedy podniósł wzrok, twarz miał wymizerowaną i zmęczoną.

–Jestem wstrząśnięty tą okropną tragedią. To było tak bezsensowne.

Fawkes siedział niewzruszony po drugiej stronie biurka ministra obrony i nabijał tytoniem swoją starą fajkę. W gabinecie panowała cisza, przez duże okna wychodzące na Burger Park syczał się tylko stłumiony hałas ruchu ulicznego.

W końcu De Vaal wsunął teczkę do szuflady i kiedy przemówił, starał się nie patrzeć Fawkesowi w oczy.

–Żałuję, że nasze patrole nie zdołały złapać winnych tego dzikusów.

–Odpowiedzialny jest tylko jeden człowiek – powiedział ponuro Fawkes. – Ludzie, którzy zabili moją rodzinę, działali na jego rozkaz.

–Wiem, o kim pan myśli, kapitanie Fawkes, ale nie mamy żadnego dowodu, że za tym stoi Lusana.

–Ja jestem przekonany, że tak jest.

–Cóż mogę powiedzieć? Gdybyśmy nawet mieli pewność, on i tak jest poza naszymi granicami. Nie mamy sposobu, żeby go tknąć.

–Ja mogę go tknąć.

–Jak?

–Oferując wam poprowadzenie operacji "Dzika róża".

De Vaal wyczuł, że w Patricku Fawkesie wrze mściwa nienawiść. Minister podniósł się i stanął przy oknie, przyglądając się morzu rosnących w mieście drzew jacaranda.

–Rozumiem pańskie uczucia, kapitanie, i współczuję panu. Jednak moja odpowiedź brzmi: nie.

–Ależ człowieku, dlaczego?

–"Dzika róża" to potworna koncepcja. Gdyby operacja się nie powiodła, dla naszego rządu konsekwencje byłyby tragiczne.

Fawkes walnął fajką w biurko ministra tak, że złamał cybuch.

–Nie, do ciężkiej cholery! Moja farma była dopiero wstępem. Należy powstrzymać Lusane i ten jego wredny motłoch, zanim cały kraj zmieni w jatkę.

–Ryzyko znacznie przekracza ewentualne korzyści.

–Ja nie zawiodę – oznajmił zimno Fawkes.

De Vaal sprawiał wrażenie niezdecydowanego. Chodził nerwowo po gabinecie, a potem zatrzymał się i spojrzał w dół na Fawkesa.

–Ale nie mogę obiecać, że w odpowiedniej chwili uda mi się pana ewakuować. Ministerstwo Obrony oczywiście zaprzeczy, że ma jakikolwiek związek ze sprawą, jeżeli zostanie pan rozszyfrowany.

–Rozumiem. – Fawkes odetchnął z wielką ulgą. Po chwili wpadła mu do głowy pewna myśl. – Pociąg, panie ministrze. Jak to się stało, że tak szybko przyjechał pan z łóżka szpitalnego w Durban na stację w Pembroke?

De Vaal uśmiechnął się po raz pierwszy.

–To prosty fortel. Wszedłem do szpitala frontowym wejściem, a wyszedłem tylnym. Karetka odwiozła mnie do bazy lotniczej Heidriek, skąd wojskowym

odrzutowcem przyleciałem na lotnisko w pobliżu Perabroke. Pociąg należy do naszego prezydenta. Pożyczyłem go tylko na kilka godzin, kiedy prowadzony był na przegląd techniczny.

–Ale po co cała ta skomplikowana maskarada?

–Często stwierdzam, że muszę ukrywać swoje ruchy – odparł De Vaal. – Ponadto zgodzi się pan, że operacja "Dzika róża" nie jest tym, co chcielibyśmy rozgłaszać.

–To zrozumiałe.

–A pan, kapitanie Fawkes? Czy pan potrafi zniknąć, nie zwracając na to uwagi wścibskich ludzi?

Fawkes skinął poważnie.

–Wyjechałem z Umkono pełen żalu. Moi przyjaciele i znajomi myślą, że wróciłem do Szkocji.

–Zatem w porządku. – De Vaal przeszedł za biurko, napisał coś na kartce papieru i podał ją Fawkesowi. – Oto adres hotelu piętnaście kilometrów za miastem. Proszę wziąć sobie pokój i czekać na potrzebne dokumenty oraz sygnał rozpoczęcia akcji. Od tej chwili rząd Afryki Południowej uważa pana za martwego. – Zwiesił ramiona i dodał: – Teraz niech Bóg pomoże nam obu.

–Bóg? Nie, nie sądzę. – W oczach Fawkesa pojawił się zły błysk. – Szczerze wątpię, żeby chciał mieć w tym swój udział.

Piętro niżej, pod gabinetem ministra, pułkownik Zeegler samotnie i nerwowo chodził przed swoim biurkiem, na którym leżały błyszczące fotografie. Pierwszy raz w swojej wojskowej karierze czuł się zbity z tropu. Wokół napadu na farmę Fawkesów wyczuwało się atmosferę intrygi, ponieważ nie odbył się on tak jak wcześniejsze ataki terrorystyczne. Jak na

AAR cel został osiągnięty zbyt precyzyjnie i w sposób zbyt wyrafinowany. Poza tym to nie było w stylu Lusany. Owszem, może wydawać rozkazy zabijania białych żołnierzy, ale nigdy nie kazałby zabić robotników z plemienia Bantu, a już na pewno nie kobiety i dzieci. Ten element był zupełnie sprzeczny ze strategią tego przywódcy.

–A więc kto? – zastanawiał się Zeegler głośno.

Z całą pewnością nie dokonały tego czarne oddziały południowoafrykańskich Sił Obronnych. To by nie było możliwe bez jego wiedzy.

Zatrzymał się i przejrzał fotografie zrobione po napadzie przez grupę śledczą. Nie znaleziono żadnego świadka i nie złapano żadnego z napastników. Cały rajd był zbyt doskonały, za bardzo dopracowany.

Nie znajdował klucza, lecz lata doświadczenia mówiły mu, że jest gdzieś tutaj, w tle. Zupełnie jak chirurg oglądający uważnie zdjęcia rentgenowskie przed rozpoczęciem operacji, Zeegler wziął do ręki szkło powiększające i po raz dwudziesty zaczął przypatrywać się fotografiom.

Odrzutowiec linii Air Malawi ze stolicy Mozambiku Lourenco Marques wylądował i podkołował do terminalu lotniska w Pretorii. Gdy tylko ucichł gwizd silników, podstawiono trap, pasażerowie pożegnali skinieniem głowy piękną afrykańską stewardesę i skierowali się do budynku lotniska. Major Thomas Machita szedł z grupą pasażerów i kiedy przyszła jego kolej, podał urzędnikowi biura imigracji swój fałszywy paszport mozambicki.

Biały urzędnik przyjrzał się uważnie fotografii i nazwisku George Yariko, po czym uśmiechnął się chytrze.

–To już trzecia podróż do Pretorii w ciągu ostatniego miesiąca, panie Yariko. – Wskazał głową kurierski neseser, przymocowany łańcuszkiem do nadgarstka Machity. –

Wygląda na to, że wasz konsul otrzymuje ostatnio dużo instrukcji. Machita wzruszył ramionami.

–Jeżdżę tam, gdzie wysyła mnie nasz Departament Spraw Zagranicznych. I proszę mnie źle nie zrozumieć, ale wolałbym podróżować do Paryża lub Londynu. Urzędnik gestem wskazał mu wyjście.

–Do zobaczenia następnym razem – powiedział z udawaną kurtuazją. – Życzę miłego pobytu.

Machita uśmiechnął się, i obojętnie przeszedł przez budynek do postoju taksówek. Wolną ręką dał znak pierwszemu z długiego rzędu wozów. Kierowca skinął i uruchomił silnik. Nagle, zanim zdążył podjechać do klienta, z końca kolejki wyrwała się inna taksówka, i podjechała ostro do Machity w kakofonii klaksonów i gniewnych okrzyków kierowców, czekających na swoją kolejność.

Całe to zajście wydało się Machicie zabawne. Wrzucił bagaż na tylne siedzenie, sam też tam usiadł.

–Do konsulatu Mozambiku – powiedział zaradnemu kierowcy.

Taksówkarz musnął daszek czapki, złamał chorągiewkę i włączył się do ruchu. Machita rozparł się wygodnie i leniwie patrzył na mijaną okolicę. Odpiął łańcuch z nadgarstka i wrzucił go do walizeczki.

Sympatyzujący z AAR konsul Mozambiku pozwalał Machicie i jego ludziom udawać mozambickich kurierów dyplomatycznych. Przesiedziawszy odpowiedni czas w gościnnym konsulacie, ludzie ci przenosili się do pewnego nie rzucającego się w oczy hotelu i brali się do swojej szpiegowskiej roboty.

W pewnej chwili umysł Machity nadał sygnał alarmowy. Wyprostował się więc i rozejrzał – kierowca nie wybrał najkrótszej drogi do konsulatu, zamiast tego jechał w stronę ruchliwego, handlowego przedmieścia Pretorii.

Machita klepnął kierowcę w ramię.

–Nie jestem turystą, którego można oszukiwać, przyjacielu. Proponowałbym jazdę do

konsulatu najkrótszą drogą, jeżeli, oczywiście, chcesz otrzymać zapłatę.

W odpowiedzi kierowca tylko obojętnie wzruszył ramionami. Po kilku minutach

przedzierania się w gęstym ruchu skręcił na podziemny parking jakiegoś supermarketu. Machita nie potrzebował nadzwyczajnego wyczucia, żeby się zorientować, że wpadł w pułapkę. Zaschło mu w gardle, serce zaczęło mocniej bić. Ostrożnie uchylił walizeczkę i wyciągnął z niej automatyczny mauser kalibru 38.

Kierowca zjechał na najniższy poziom i zatrzymał taksówkę na wolnym miejscu przy ścianie, po przeciwnej stronie wjazdu. Odwrócił się i stwierdził, że wylot lufy pistoletu trzymanego przez pasażera znajduje się tuż przy czubku jego nosa.

W tym momencie Machita pierwszy raz zobaczył twarz taksówkarza. Gładka ciemna skóra i rysy charakterystyczne dla Hindusów, których w Afryce Południowej było ponad pół miliona. Mężczyzna uśmiechnął się promiennie. Nie było po nim widać ani odrobiny napięcia, jakiego oczekiwał Machita.

–Uważam, że możemy darować sobie to przedstawienie, majorze Machita – powiedział taksówkarz. – Nic panu nie zagraża.

Dłoń trzymająca pistolet ani drgnęła. Machita nie śmiał się odwrócić i rozejrzeć po parkingu w poszukiwaniu armii uzbrojonych po zęby ludzi, którzy, był tego pewien, kryli się w pobliżu.

–Cokolwiek się stanie, umrzesz razem ze mną – rzucił.

–Porywcy z pana gość – zauważył kierowca. – A właściwie głupi. To zły znak, kiedy człowiek pańskiego fachu reaguje jak szczeniak przyłapany na kradzieży w sklepie ze słodyczami.

–Przestań truć, człowieku – warknął Machita. – Co jest grane?

Kierowca zaśmiał się.

–Powiedziane jak przystało na prawdziwego Amerykanina, którym pan przecież jest.

Luke Sampson z Los Angeles, alias Charlie Le Mat z Chicago, alias major Thomas Machita z

AAR i Bóg jeden wie, ilu jeszcze innych.

Zimny dreszcz przebiegł Machicie po plecach. W myślach intensywnie szukał odpowiedzi na pytanie, kim jest taksówkarz i skąd tak dużo o nim wie.

–Mylisz się. Nazywam się Yariko. George Yariko.

–Jak pan sobie życzy – odparł taksówkarz. – Mam jednak nadzieję, że wybaczy mi pan, jeśli dalej będę rozmawiał z majorem Machita?

–Kim jesteś?

–Jak na człowieka inteligentnego, okropnie brakuje panu wyczucia. – Głos kierowcy zmienił się trochę i teraz brzmiał z angielska z lekką domieszką miejscowego akcentu. – Spotkaliśmy się już dwa razy.

Machita wolno opuścił broń.

–Emma?

–Aha, mgła opada.

Machita odetchnął z wielką ulgą i schował pistolet z powrotem do walizeczki.

–Skąd, do diabła, wiedziałeś, że przylecę właśnie tym rejssem?

–Z kryształowej kuli – odrzekł Emma, nie chcąc, co oczywiste, ujawniać źródła swoich informacji.

Machita przyglądał się mężczyźnie siedzącemu na fotelu kierowcy, każdą chwilę wykorzystując do zapamiętania rysów jego twarzy. Nie znalazł podobieństwa do ogrodnika i kelnera, którzy poprzednio podawali się za Emmę.

–Miałem nadzieję, że skontaktujesz się ze mną, ale nie spodziewałem się tego tak szybko.

–Mam coś, co, jak sądzę, zainteresuje Hirama Lusanę.

–Ile tym razem? – spytał oschle Machita. Odpowiedź padła natychmiast:

–Dwa miliony amerykańskich dolarów. Machita wykrzywił usta w grymasie.

–Nie ma informacji, która byłaby tyle warta.

–Nie mam czasu na roztrząsanie tej kwestii – powiedział Emma i podał Machicie niewielką kopertę. – Tu jest krótki opis pewnej ściśle tajnej akcji wymierzonej przeciwko

AAR, operacji "Dzika róża". Zawarty w tej kopercie materiał wyjaśnia koncepcję i cel tego

planu. Proszę przekazać go Lusanie. Jeżeli, przeczytawszy go uważnie, zgodzi się na moją

cenę, dostarczę całość.

Koperta wylądowała w walizeczce, na łańcuszku i mauserze.

–Generał otrzyma to nie później niż jutro wieczorem – obiecał Machita.

–Wspaniale. A teraz odwiozę pana do konsulatu.

–I jeszcze jedno.

Emma spojrzał przez ramię na majora.

–Słucham.

–Generał chciałby się dowiedzieć, kto napadł na farmę Fawkesów w Natalu. Emma uważnie spojrzał na Machitę swoimi ciemnymi oczami.

–Pański generał ma dziwaczne poczucie humoru. Pozostawione na miejscu dowody

łączą tę masakrę z waszą wspaniałą AAR.

–AAR jest niewinna. Musimy znać prawdę. Emma skinął przytakująco.

–W porządku, postaram się i o to.

Potem wrzucił wsteczny bieg i wyjechał z parkingu. Osiem minut później wypuścił Machitę przed konsulatem Mozambiku.

–I jeszcze jedna rada, majorze. Machita nachylił się do okna kierowcy.

–Jaka?

–Dobry agent nigdy nie wsiada do pierwszej taksówki. Zawsze wybiera drugą lub trzecią z kolejki. W ten sposób można sobie zaoszczędzić wielu kłopotów.

Stosownie upomniany, Machita stał na krawężniku i obserwował taksówkę, aż wchłonął ją panujący w Pretorii duży ruch uliczny.

Promienie późnopołudniowego słońca prześlizgnęły się nad barierką i oświetliły rozleniwioną postać, leżącą na balkonie jednego z droższych apartamentów hotelu "New Stanley" w stolicy Kenii, Nairobi. Felicja Collins miała na sobie kolorowy biustonosz i równie kolorową spódnicę. Przewróciła się na bok, przypaliła papierosa i zamyśliła nad swoimi poczynaniami w ostatnich dniach. Przez lata sypiała z wieloma mężczyznami, ale nie zawracała sobie tym głowy. Pierwszy był jej szesnastoletni kuzyn, gdy ona sama miała dopiero czternaście lat. Na szczęście doświadczenie to z upływem czasu zatarło się w jej pamięci. Zanim skończyła dwadzieścia lat, przewinęło się jeszcze co najmniej dziesięciu innych. Zapomniała większość nazwisk, twarze były niewyraźne i trudne do rozróżnienia.

Kochankami, którzy włązili jej do łóżka, gdy walczyła o swoją karierę jako ambitna wokalistka, byli różni pracownicy firmy fonograficznej, dyskdżokeje, muzycy i kompozytorzy. Większość z nich w pewien sposób pomogła jej dojść na szczyt sławy. W nagłym wybuchu sukcesu przyszedł czas na Hollywood i całkiem nową pełnię życia wyższych sfer.

Twarze, pomyślała. Jakie to dziwne, że nie potrafiła przypomnieć sobie ich kształtu i rysów, za to wyraźnie widziała sypialnie i ich wystrój. Materac, wzór tapety, wyposażenie sąsiadującej z sypialnią łazienki – wszystko to pamiętała razem z najróżniejszymi sposobami upiększania sufitów.

Podobnie jak w przypadku wielu innych kobiet seks nie był dla Felicji czymś szczególnie przewyższającym inne formy rozrywki. Wiele razy żałowała, że zamiast niego nie może zwinąć się w kłębek z dobrą książką w rękę. Twarz Hiramusa Lusany również traciła wyrazistość i nikała w zapomnieniu razem z innymi.

Z początku nie cierpiała Daggata, nie mogła znieść myśli, że mógłby ją zainteresować. Obrażała go przy każdej sposobności, lecz mimo to on nadal pozostawał uprzejmy. Boże, ale to okropne, myślała. Niemal żałowała, że nie gardzi nią jak niewolnicą – to by przynajmniej usprawiedliwiało jej nienawiść – ale tak nie było. Frederick Daggat był zbyt przebiegły. Postępował z nią delikatnie, ostrożnie, jak wędkarz, świadomy, że ma na haczyku rekordowo dużą rybę.

Drzwi balkonu rozsunęły się i stanął w nich Daggat. Felicja usiadła i zdjęła okulary, gdy cień padł na jej ciało.

–Drzemiałaś?

Uśmiechnęła się do niego słodko.

–Tylko marzyłam.

–Robi się chłodno. Wejdź lepiej do środka.

Wziął ją za rękę i podciągnął. Ona przez chwilę patrzyła na niego figlarnie, a potem rozpięła biustonosz i przycisnęła swe nagie piersi do jego torsu.

–Jest jeszcze czas, by pokochać się przed obiadem.

To była zaczepka, oboje o tym wiedzieli. Od wspólnego wyjazdu z obozu Lusany na seksualne zabiegi Daggata reagowała z czułością robota. To była rola, której nigdy przedtem nie grała.

–Dlaczego? – spytał zwyczajnie.

Popatrzyła na niego uważnie swoimi ciemnymi oczami.

–Co dlaczego?

–Dlaczego opuściłaś Lusana i pojechałaś ze mną? Nie jestem mężczyzną, którego wygląd przyprawia kobiety o dreszcze. Od czterdziestu lat codziennie przyglądam się w

lustrze mojej brzydkiej twarzy i nie mam zamiaru wmawiać sobie, że jestem gwiazdorem. Nie

musiałaś zachowywać się jak sprzedana krowa, Felicjo. Lusana nie był twoim właścicielem,

ja nim nie jestem i chyba nikt nim nie będzie. Mogłaś obu nam powiedzieć, żebyśmy poszli

do wszystkich diabłów, a mimo to pojechałaś ze mną chętnie. Zbyt chętnie.

Dlaczego?

Poczuła skurcz w żołądku, gdy pochwyciła jego mocny męski zapach.

–Wyskoczyłam z łóżka Hiram i wskoczyłam do twojego tylko po to, by udowodnić

sobie, że skoro on mnie nie potrzebuje, ja też mogę się bez niego obejść.

–Prawdziwie ludzka reakcja.

Pocałowała go w brodę.

–Wybacz mi, Fredericku. W pewnym sensie Hiram i ja wykorzystaliśmy cię: on, bo zależało mu na poparciu Kongresu, a ja ze szczeniackiej chęci wywołania jego zazdrości.

Daggat uśmiechnął się.

–Pierwszy raz w życiu mogę powiedzieć, że jestem naprawdę szczęśliwy dlatego, że

mnie wykorzystano.

Wzięła go za rękę, zaprowadziła do sypialni i rozebrała, niezwykle wprawnie.

–Tym razem – powiedziała cicho – pokażą ci prawdziwą Felicję Collins.

Było już dobrze po ósmej, kiedy wreszcie dali sobie spokój.

Dziewczyna miała więcej energii, niż Daggat mógł podejrzewać. Nie było sposobu zaspokojenia jej żądzy. Przez kilka minut leżał słuchając, jak nuci sobie pod prysznicem.

Potem wstał ciężko, włożył krótkie kimono, usiadł przy biurku zarzuconym ważnymi na pozór dokumentami i zaczął je sortować.

Felicja wyszła z łazienki i włożyła szlafrok w czerwone i białe pasy. Odbicie w dużym lustrze zadowoliło ją, miała szczupłą i jędrną figurę. Dzięki dobrej kondycji fizycznej nie była zmęczona intensywnymi pieszczotami wczesnego wieczoru. Mam trzydzieści dwa lata, ale i tak jestem cholernie pociągająca, stwierdziła. Jeszcze kilka lat, zanim jej agent zacznie rozglądać się za rolami pań w średnim wieku, chyba że, co oczywiste, jeden z producentów wcześniej zaoferuje jakiś zabójczy scenariusz i godziwy procent z zysków.

–Czy sądzisz, że on może wygrać? – spytał Daggat, przerywając jej zamyślenie.

–Wybacz, ale o co pytałeś?

–Zapytałem, czy Lusana może pokonać południowoafrykańskie Siły Obronne.

–Nie jestem kimś, kto potrafiłby ocenić wynik tej rewolucji – odparła Felicja. –

Moim zadaniem w AAR było wyłącznie powiększanie zasobów finansowych.

Daggat uśmiechnął się.

–Nie mówiąc o zabawianiu wojska, a szczególnie generałów.

–Uboczna korzyść – odrzekła i zaśmiała się.

–Nie odpowiedziałś na moje pytanie.

Pokręciła głową.

–Nawet z milionową armią Hiram nie ma szans na pokonanie białych jednym, rozstrzygającym uderzeniem. Francuzi i Amerykanie przegrali w Wietnamie z tego samego

powodu, dla którego upadł rząd większości w Rodezji: partyzanci kryjący się w dżungli mają

absolutną przewagę. Na nieszczęście dla czarnych osiemdziesiąt procent powierzchni Afryki

Południowej to jałowa, otwarta przestrzeń, na której lepiej się walczy z pomocą ciężkiego

sprzętu i lotnictwa.

–Wobec tego o co mu chodzi?

–Hiram liczy na szerokie wsparcie międzynarodowe i sankcje gospodarcze, które wycieńczą sprawujących władzę białych i zmuszą ich do poddania się.

Daggat oparł brodę na swych dużych dłoniach.

–Czy on jest komunistą?

Felicja odchyliła głowę i roześmiała się.

–Ależ Hiram zbił swoją fortunę jako kapitalista. On jest zbyt zainteresowany robieniem pieniędzy, by przejść na stronę czerwonych.

–Jak zatem wytłumaczysz obecność wietnamskich doradców i darmowe dostawy

z

Chin?

–To stara metoda wyludzania, wymyślona przez niejakiego P.T. Barnuma.

Rewolucja napełnia Wietnamczyków tak wielkim szczęściem, że z radością przerzuciliby swoich doradców walki partyzanckiej na florydzkie mokradła, gdyby ktokolwiek wysłał im zaproszenie. A jeśli chodzi o hojność Chińczyków – po tym jak zostali wykopani z ośmiu krajów Afryki, pocałowaliby w tyłek każdego, byleby się utrzymać na tym kontynencie.

–Hiram może w ten sposób sam wpędzić się w pułapkę.

–Nie doceniasz go – odparła Felicja. – Każe się Azjatom pakować, gdy tylko staną się bezużyteczni dla AAR.

–Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać.

–On wie, co robi. Możesz mi wierzyć. Za dziewięć miesięcy Hiram Lusana będzie siedział w gabinecie premiera w Kapsztadzie.

–Ma taki plan? – spytał niedowierzająco Daggat.

–Co do dnia.

Daggat powoli położył papiery na biurku i ułożył je starannie.

–Pakuj rzeczy.

Felicja ze zdziwieniem uniosła brwi.

–Wyjeżdżamy z Nairobi?

–Lecimy do Waszyngtonu.

Zaskoczył ją ten nagły, autorytatywny ton.

–Dlaczego mam z tobą lecieć?

–Bo nie masz nic lepszego do roboty. Poza tym powrót do kraju u boku szanowanego kongresmana po rocznym związku ze znanym radykalnym rewolucjonistą może ci bardzo pomóc w odzyskaniu popularności wśród twoich fanów.

Udawała oburzenie, ale Daggat mówił całkiem logicznie. Sprzedaż jej nagrań spadła, a i producenci telefonowali coraz rzadziej. Nadszedł czas, zdecydowała szybko, by przywrócić karierze właściwy kierunek.

–Będę gotowa za pół godziny – odparła.

Daggat skinął i uśmiechnął się. Gdzieś wewnątrz zaczął odczuwać lekkie podekscytowanie. Jeżeli, jak powiedziała Felicja, Lusana ma szansę zostać pierwszym czarnym przywódcą Afryki Południowej, to on sam, opowiadając się na Kapitolu po stronie zwycięskiej sprawy, zyska olbrzymią popularność w samym Kongresie i wśród wyborców.

Warto spróbować. A jeśli będzie działał ostrożnie, mądrze dobierał słowa i programy, może... może wystartować na fotel wiceprezydenta, co byłoby wielkim krokiem na drodze do jego ostatecznego celu.

Lusana podniósł rękę na wysokość oczu i zarzucił wędkę szybkim ruchem nadgarstka. Kawalek sera na haczyku plusnął lekko i zniknął pod wodą. Lusana czekał, instynktownie czując, że ryby tu są. Stał po uda w wodzie, w cieniu pochylających się drzew, i wolno nawijał żyłkę.

Za ósmym razem miał silne branie, które prawie wyrwało mu wędkę z dłoni. Złowił rybę tygrysią, wywodzącą się ze Starego Świata kuzynkę krwiożerczej amazońskiej piranii. Dał rybie trochę luzu, odwijając sporo żyłki. Nie miał innego wyjścia, wędzisko wygięło się w pałak. Potem zupełnie nagle, nim walka rozkręciła się na dobre, ryba zatoczyła krąg wokół jakiegoś zatopionego pnia, zerwała się i uciekła.

–Nigdy nie podejrzewałem, że można zwabić tygrysią rybę na kawałek sera – zdziwił się pułkownik Jumana. Siedział na brzegu, opierając się o pień drzewa, w rękę trzymał kopertę ze streszczeniem operacji "Dzika róża".

–Kiedy ofiara jest głodna, przynęta nie ma znaczenia – stwierdził Lusana. Wyszedł na brzeg i zaczął mocować do żyłki nowy przypon.

Jumana ułożył się na boku i rozejrzał, by sprawdzić, czy ochroniarze Lusany są na swoim miejscu, gotowi do działania. Ale to był niepotrzebny gest. Byli to ludzie wybrani osobiście przez Lusaną, nie tyle dla ich odwagi i siły fizycznej, ile raczej z powodu cechującej ich inteligencji. Szczupli, twardzi, stali spokojnie w zaroślach, trzymając pewnie broń w niezawodnych rękach.

Lusana odwrócił się, wracając do łowienia ryb.

–Co pan o tym sądzi? – spytał.

Jumana popatrzył na kopertę i skrzywił się ze sceptycyzmem.

–Kant. Kant za dwa miliony dolców.

–A zatem nie kupuje pan tego?

–Nie. Szczerze mówiąc, nie. – Jumana wstał i poprawił swój mundur polowy. – Uważam, że ten Emma dostarczył majorowi Machicie bezwartościowe,

marginesowe

informacje będące częścią dużej sprawy. – Pokręcił głową. – Ten raport nic nam nie mówi.

Sygnalizuje tylko, że biali mają zamiar dokonać większego ataku terrorystycznego gdzieś na

świecie, wykorzystując do tego grupę Murzynów przebranych za żołnierzy AAR.

Tylko że

oni nie są tak głupi, żeby ryzykować międzynarodowe reperkusje, podejmując tak absurdalne

przedsięwzięcie.

Lusana zarzucił.

–Ale założmy, tylko założmy, że premier Koertsmann miał przecucie co do swojego marnego losu. Mogło go podkusić, by zagrać desperacko, zaryzykować ostatecznie.

–Ale jak? – zapytał Jumana. – Gdzie?

–Odpowiedzi na te pytania, przyjacielu, można zdobyć wyłącznie za dwa miliony

janekskich dolarów.

–Mimo wszystko mam wrażenie, że cała ta operacja "Dzika róża" to szwindel.

–Zasadniczo ten plan ma cechy genialności – mówił dalej Lusana. – Gdyby atak spowodował duże straty w ludziach, naród, przeciw któremu byłby wymierzony, od razu straciłby sympatię dla naszej sprawy i opowiedział się za dozbrojeniem i pomocą dla rządu Koertsmanna.

–Nic tylko same pytania – powiedział Jumana. – Jaki kraj można by wybrać na cel?

–Moim zdaniem Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Jumana rzucił kopertę na ziemię.

–Niech pan da sobie spokój z tym oszustwem, generale, i wykorzystaj pieniądze na

lepszy cel. Proszę rozważyć moją propozycję serii rajdów, które napełniłyby strachem serca białych.

Odpowiedzią było lodowate spojrzenie generała.

–Znacie moje zdanie na temat rzezi.

Jumana parł dalej:

–Tysiąc uderzeń na miasta, wioski i farmy, od jednego końca kraju po drugi, umożliwiłoby nam wejście do Pretorii jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

–Będziemy nadal prowadzili cywilizowaną wojnę – stwierdził chłodno Lusana. – Nie będziemy się zachowywać jak prymitywny motłoch.

–W Afryce często należy trzymać ludzi twardą ręką. Rzadko kiedy wiedzą, co jest dla nich najlepsze.

–Proszę mi powiedzieć, pułkowniku, bo zawsze chętnie się dowiaduję: kto wie, co jest najlepsze dla Afrykanów?

Twarz Jumany zmieniła się pod wpływem hamowanego gniewu.

–Afrykanie wiedzą, co jest najlepsze dla Afrykanów.

Lusana zignorował aluzję do swojej amerykańskiej krwi. Prawie czuł kłębiące się w Jumanie emocje: nienawiść do wszystkiego, co obce; wielkie ambicje i niedawno odkryty luksus władzy zmieszany z pogardą dla współczesności; niemal dziecinną akceptację krwiożerczej dzikości. Lusana zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełnił wielkiego błędu, wyznaczając Jumanę na tak wysokie stanowisko dowódcze.

Zanim Lusana zdążył się skupić na konfliktach jakie mogły się między nimi pojawić, z brzegu rzeki dobiegł odgłos miękkich kroków.

Ochroniarze naprężyli się, a potem rozluźnili, kiedy pojawił się biegnący truchtem major Machita. Zatrzymał się przed Lusana i zasalutował.

–Z Pretorii przyjechał właśnie jeden z moich agentów z raportem od Emmy na temat napadu na farmę Fawkesów.

–Czego się dowiedział?

–Emma twierdzi, że nie znalazł potwierdzenia, iż dokonały tego Siły Obronne. Lusana popatrzył z namysłem.

–A zatem wracamy do punktu wyjścia.

–Wydaje się niewiarygodne, żeby jakiś oddział zabił prawie pięćdziesiąt osób i uciekł nie zidentyfikowany – stwierdził Machita.

–Czyżby Emma kłamał?

–Być może, ale po co miałyby to robić?

Lusana nie odpowiedział, znowu przeniósł uwagę na łowienie ryb.

Żyłka szemrała nad płynącą wodą. Machita spojrzał pytająco na Jumanę, ale pułkownik unikał jego wzroku. Przez chwilę Machita stał zmieszany, zastanawiając się, co wywołało atmosferę napięcia między jego dwoma zwierzchnikami. Po długiej chwili krępującego milczenia skinął głową w stronę koperty.

–Czy podjął pan decyzję na temat operacji "Dzika róża", generale?

–Podjąłem – odrzekł Lusana, zwijając żyłkę na kołowrotek.

Machita nie odzywał się, czekał.

–Mam zamiar zapłacić Emmie jego trzydzieści srebrników za resztę planu – wyznał w

końcu Lusana.

Jumana wściekł się:

–Nie, to oszustwo! Nawet pan, generale, nie ma prawa tak głupio wyrzucać w błoto

pieniędzy naszej armii.

Machita wstrzymał oddech. Pułkownik przekroczył dopuszczalne granice. Mimo to Lusana dalej stał tyłem do brzegu i spokojnie zajmował się łowieniem ryb.

–Chciałbym panu przypomnieć – rzucił przez ramię ze spokojem charakterystycznym

dla wielkiego autorytetu – że lwia część zawartości naszego skarbca pochodzi ode mnie. To,

co jest moje, mogę odebrać lub wykorzystać, jak mi się tylko spodoba.

Jumana silnie zacisnął pięści, na szyi nabrzmiały mu żyły. Jego wargi rozchyliły się, odsłaniając zęby. Wykonał ruch w kierunku rzeki, lecz nagle, jak gdyby któryś obwód w jego

szarych komórkach przeładował się i odłączył, wściekłość zniknęła, ustępując miejsca uśmiechowi. Odezwał się spokojnie, choć z odrobiną goryczy:

–Proszę mi wybaczyć te uwagi. Jestem przemęczony.

W tym miejscu i w tym momencie Machita stwierdził, że pułkownik stanowi zagrożenie, na które trzeba uważać. Zrozumiał, że Jumana już nigdy nie zaakceptuje stanowiska człowieka numer dwa.

–Nie ma o czym mówić – odparł Lusana. – Teraz ważne jest, żeby plan "Dzika róża" znalazł się w naszych rękach.

–Zajmę się wymianą – powiedział Machita.

–Zrobi pan coś więcej – odrzekł Lusana, znowu stając twarzą do brzegu. – Przygotuje pan wymianę, a potem zabije Emmę.

Jumanie opadła szczęka.

–Nigdy nie zamierzał pan pozbywać się tych dwóch milionów dolarów? –

wybełkotał.

Lusana uśmiechnął się.

–Oczywiście, że nie. Gdyby był pan wystarczająco cierpliwy, mógłby zaoszczędzić nam swojego młodzieńczego wybuchu.

Jumana nie odpowiedział, bo i nie miał nic do powiedzenia.

Uśmiechnął się szerzej i wzruszył ramionami. I właśnie wtedy Machita zauważył minimalny ruch jego oczu. Jumana nie patrzył bezpośrednio na Lusana, patrzył na rzekę trzy metry w górę biegu od generała.

–Straż! – wrzasnął Machita, wskazując nerwowo. – Rzeka! Ognia! Na Boga, ognia!!

Ochroniarze zareagowali w niecałe dwie sekundy. Huk wystrzałów uderzył Machitę w

uszy i woda przed Lusana trysnęła setką gejzerów. Sześć metrów ohydneho brązowego cielska wyskoczyło na powierzchnię i zaczęło się gwałtownie obracać, waląc ogonem, gdy pociski jak grad bębniły w grubą skórę. Potem strzały umilkły, wielki gad jeszcze raz konwulsyjnie się obrócił i zniknął pod wodą.

Z szeroko otwartymi oczami Lusana stał jak skamieniały w wysokich gumowych butach. Patrzył nieprzytomnie na cielsko krokodyla, teraz już z gracją spływające z prądem rzeki. Stojący na brzegu Machita drżał, nie dlatego, że Lusana o włos uniknął śmierci, lecz z powodu szatańskiego spojrzenia neandertalskiej twarzy Jumany.

Ten sukinsyn wiedział, pomyślał Machita. Wiedział od chwili, gdy krokodyl ześlizgnął się z przeciwległego brzegu i skierował w stronę generała, a mimo to nic nie powiedział.

Zatoka Chesapeake, USA, październik 1988

Do świtu były jeszcze dwie godziny, kiedy Patrick Fawkes zapłacił taksówkarzowi i podszedł do mocno oświetlonej bramy Forbes Marine Scrap Salvage Company. Umundurowany strażnik odwrócił się od przenośnego telewizora i ziewnął, gdy Fawkes wsunął pod szybą niewielki dokument. Strażnik przyjrzał się uważnie podpisom i porównał mężczyznę na fotografii z tym, który stał przed nim. Potem oddał dokumenty.

–Witamy w Ameryce, kapitanie. Moi pracodawcy oczekują pana.

–Czy on tu jest? – spytał niecierpliwie Fawkes.

–Przycumowany w siódmym doku – odparł strażnik, przesuając przez otwór w oknie kopię mapy stoczni. – Niech pan uważnie patrzy pod nogi. Odkąd dostawy energii są limitowane, nocne oświetlenie stoczni jest wyłączane. Tam jest ciemniej niż w piekle.

Kiedy Fawkes przechodził pod gigantycznym dźwigiem w kierunku doku, od zatoki powiał wiatr, niosąc ze sobą ciężki portowy odór. Kapitan wciągnął: głęboko zmieszany zapach ropy, smoły i morskiej wody, który zawsze go ożywiał. Doszedł do doku i rozejrzał się szukając ludzi.

Nocna zmiana już dawno poszła do domu. Tylko siedząca na drewnianym palu mewa odpowiedziała Fawkesowi spojrzeniem jednego ze swoich paciorkowatych oczu.

Sto metrów dalej zatrzymał się przy wielkim widmowym kształcie, mającym w ciemności przy nabrzeżu. Następnie ruszył po trapie, stanął na pozornie nie kończącym się pokładzie i bez wahania skierował się na mostek przez labirynt stalowych konstrukcji.

Później, kiedy słońce wyrzało z za wschodniego krańca zatoki, opłakany stan zniszczonego statku stał się oczywisty. Fawkes nie widział jednak łuszczącej się farby, wielkich plam rdzy i śladów działalności ekipy remontowej. Podobnie jak ojciec okropnie zeszpeconej córki, widział w tej jednostce tylko piękno.

–Taaak, sympatyczny z ciebie okręt! – wykrzyknął, stojąc na pustym pokładzie. – Spiesz się znakomicie.

Część III Wrak

Waszyngton, listopad 1988 26

Zwierzchnicy z Pentagonu dwa miesiące siedzieli nad raportem o znalezieniu Vixen 03, zanim wezwali Steigera do Waszyngtonu. Steiger miał wrażenie, że bierze udział w jakimś potwornym koszmarze. Czuł się bardziej jak świadek przeciwnej strony niż główna osoba prowadząca poszukiwania.

Nawet mając przed oczami dowód w formie taśmy wideo, szef bezpieczeństwa w lotnictwie generał Ernest Burgdorf i zastępca w połączonym szefostwie sztabu, generał John O’Keefe, wyrażali wątpliwości co do znaczenia odnalezienia zatopionego samolotu, i dowodzili, że niczego się nie zyska, wyciągając sprawę na światło dzienne. W najlepszym razie sensacyjne relacje środków przekazu.

Steiger był oszołomiony.

–A rodziny? – protestował. – Przestępstwem byłoby ukrywanie faktu, że

odnaleziono ciała ich krewnych.

–Niech się pan opanuje, pułkowniku. Co dobrego mogłoby im przynieść ożywianie starych wspomnień? Rodzice członków załogi prawdopodobnie dawno już nie żyją. Żony zapewne ponownie wyszły za mąż. Dzieci były wychowywane przez nowych ojców. Lepiej niech wszyscy, których to dotyczy, żyją spokojnie obecnym życiem.

–Pozostaje jeszcze ładunek – powiedział Steiger. – Istnieje możliwość, że częścią ładunku Vixen 03 były głowice nuklearne.

–Wszystko to już wiemy – rzucił O’Keefe. – Komputerowa kontrola magazynów wojskowych potwierdziła, że nie brakuje żadnych głowic. Możemy się rozliczyć z każdego ładunku atomowego, nawet z bomby zrzuconej na Hiroszimę.

–A czy jest pan również świadom tego faktu, sir, że materiały nuklearne były i ciągle są transportowane w pojemnikach ze stali nierdzewnej?

–A czy przyszło panu do głowy, pułkowniku – odezwał się Burgdorf – że pojemniki, które pan znalazł, mogą być puste?

Steiger opadł na fotel, pokonany. Równie dobrze mógłby dyskutować z wiatrem. Traktowali go jak dziecko z wybujałą wyobraźnią, które twierdzi, że widziało słonia na polach kukurydzy w stanie Minnesota.

–Poza tym, jeżeli rzeczywiście jest to samolot, o którym do tej pory myślano, że zaginął nad Pacyfikiem – dodał Burgdorf – to uważam, że lepiej w ogóle tej sprawy nie ruszać.

–Że jak, sir?

–Sądzą, że lotnictwo wolałoby się nie chwalić powodami, dla których nastąpiła tak nieprawdopodobna zmiana kursu. Proszę się nad tym zastanowić. Przelot półtora tysiąca kilometrów w przeciwnym kierunku oznacza albo nieprawidłowe działanie pięciu różnych systemów pokładowych wspomaganie ślepą głupotą załogi, albo szaleństwo nawigatora, albo spisek całej załogi mający na celu kradzież samolotu w celach znanych wyłącznie Bogu.

–Ktoś jednak musiał autoryzować rozkazy – powiedział zdumiony Steiger.

–Tak było – odparł O’Keefe. – Pierwotne rozkazy zostały wydane przez niejakiego pułkownika Michaela Irwina w bazie lotniczej Travis w Kalifornii.

Steiger popatrzył sceptycznie na generała.

–Rozkazy lotu rzadko przetrzymuje się dłużej niż kilka miesięcy. Jak to możliwe, żeby akurat te zachowały się przez ponad trzydzieści lat?

O’Keefe wzruszył ramionami.

–Proszę mnie o to nie pytać, pułkowniku. Proszę mi wierzyć: plan ostatniego lotu Vixen 03 odnalazł się w starych aktach wydziału administracyjnego bazy w Travis.

–A co z tymi, które znalazłem we wraku?

–Niech pan spojrzy prawdzie w oczy – powiedział Burgdorf. – Papiery, które wydobył pan z tamtego jeziora, zbyt długo leżały w wodzie, by można było cokolwiek odcyfrować i być pewnym wyniku. Pan po prostu odczytał na nich coś, czego nie zapisano.

–Moim zdaniem – odezwał się rezolutnie O’Keefe – nie da się już wyjaśnić, dlaczego Vixen 03 zboczył z kursu. – Zwrócił się do Burgdorfa: – Czy pan się z tym

zgadza, generale?

–Zgadzam się.

O’Keefe popatrzył na Steigera.

–Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia, pułkowniku?

Zwierzchnicy Steigera siedzieli i czekali na jego odpowiedź, ale on nie znajdował odpowiednich słów. Płynący z tej rozmowy wniosek zawisnął nad jego głową jak miecz. Albo Abe Steiger zapomni o wszystkim, co wie na temat Vixen 03, albo jego kariera w lotnictwie zakończy się bardzo gwałtownie.

Na starannie skoszonym trawniku na tyłach Białego Domu prezydent wysiłał się, by trafić piłeczką do dołka odległego zaledwie o półtora metra. Żadna z kilkunastu nie trafiła do celu, co prezydentowi ostatecznie dowodziło, że golf nie jest jego sportem. Był w stanie zrozumieć współzawodnictwo w tenisie, piłce ręcznej, a nawet pływaniu, ale nie pojmował rywalizacji z własnymi słabościami.

–Teraz mogę umrzeć, zadowolony, że wszystko już widziałem.

Prezydent wyprostował się i popatrzył na uśmiechniętą twarz sekretarza obrony Timothy’ego Marcha.

–Wszystko to dowód na to, jak dużo mam czasu teraz, po wyborach, kiedy moje urzędowanie dobiega końca.

March, człowiek niski i przysadzisty, nie lubiący żadnej formy wysiłku fizycznego, wszedł na trawnik.

–Powinien pan być zadowolony z wyborów. Wygrała pańska partia i pański człowiek.

–Tak naprawdę w wyborach nie ma wygranych – mruknął prezydent. – O czym chcesz mówić, Tim?

–Pomyślałem, że zechce się pan dowiedzieć, iż ostatecznie zamknąłem sprawę tego starego samolotu, znalezionej w Górach Skalistych.

–To chyba było mądre posunięcie.

–Ale dość kłopotliwe – odrzekł March. – Poza sfalszowanymi planami lotu w aktach bazy Travis nie ma żadnego śladu po prawdziwej misji tamtej załogi.

–I niech tak pozostanie – powiedział prezydent, trafiając w końcu piłką do dołka. – Niech sobie tam zostaną. Skoro Eisenhower pogrzebał sprawę podczas swojej kadencji, to ja z pewnością nie będę jej odkopywał podczas mojej.

–Proponuję zabrać to, co zostało z załogi, i urządzić wojskowy pogrzeb. Jesteśmy im to winni.

–W porządku, tylko bez reklamy.

–Odpowiednio to wyjaśnię odpowiedzialnemu oficerowi lotnictwa.

Prezydent rzucił kij kręcącemu się w pobliżu człowiekowi z ochrony i gestem zaprosił Marcha, żeby poszedł razem z nim do gabinetu.

–Co o tym sądzisz, Tim, na podstawie swojego dużego doświadczenia? Co lke chciał zatuszować już w roku 1954?

–Przez to pytanie w ciągu kilku ostatnich nocy zamiast spać gapilem się nieustannie w sufit – odrzekł March. – Nie mam zielonego pojęcia.

Pomagając sobie łokciami, Steiger przepchnął się przez tłum czekający na wolne

stoliki w "Cottonwood Inn" i wszedł do baru. Pitt pomachał mu ręką z samego kąta sali i jednocześnie tym samym gestem wezwał kelnerkę. Steiger wślizgnął się na miejsce naprzeciwko Pitta, kiedy ubrana uwodzicielsko w króciutki strój kelnerka pochyliła nad stołem swój obfity biust.

–Martini z lodem – powiedział Steiger, gapiąc się na jej piersi. – Albo nie, niech będzie podwójne. Miałem dzisiaj jeden z tych gorszych poranków.

Pitt uniósł prawie pustą szklankę.

–Jeszcze jedną mocną.

–Chryste! – jęknął Steiger. – Jak pan to może pić?

–Słyszałem, że pomaga zachować linię – odparł Pitt. – Enzymy zawarte w soku grapefruitowym eliminują kalorie zawarte w wódce.

–Brzmi to jak babcina rada. Ale czy jest się czym przejmować? Przecież nie ma pan na sobie ani grama tłuszczu.

–A nie mówiłem? – zaśmiał się Pitt. – To działa!

Humor Pitta był zaraźliwy. Pierwszy raz tego dnia Steigerowi zachciało się śmiać. Jednak kiedy przyniesiono drinki, jego twarz znowu spochmurniała. Siedział milcząc i obracał szklankę w dłoni, nie próbując jej zawartości.

–Tylko niech mi pan nie mówi – zagadnął Pitt, domyślając się ponurych myśli pułkownika – że pańscy kumple z Pentagonu pokonali pana.

Steiger skinął wolno.

–Zrobili sekcję każdego zdania z mojego raportu, a resztki wyrzucili do waszyngtońskiej kanalizacji.

–Mówi pan poważnie?

–Nie chcieli o niczym słuchać.

–A co z pojemnikami i szkieletami?

–Twierdzą, że pojemniki są puste. A jeśli chodzi o pańską teorię na temat ojca Loren Smith, to nawet o niej nie wspomniałem. Nie widziałem powodu, dla którego miałbym jeszcze bardziej powiększać ich sceptycyzm.

–Odpada pan zatem z gry.

–Tak, jeżeli chcę przejść na emeryturę jako generał.

–Postraszyli pana?

–Nie musieli. To było widać w ich oczach.

–I co teraz?

Steiger popatrzył uważnie na Pitta.

–Miałem nadzieję, że sam pan się tym zajmie. Ich spojrzenia spotkały się.

–Czy chce pan, żebym podniósł ten samolot z dna jeziora?

–Czemu nie? Mój Boże! Przecież podniósł pan "Titanica" z czterech tysięcy metrów na samym środku Atlantyku. Dla człowieka o pańskich zdolnościach wydobywanie samolotu stratosferycznego z górskiego jeziora będzie dziecinną zabawą.

–Schlebia mi pan, ale jednocześnie zapomina, że nie jestem swoim własnym szefem. Do podniesienia Vixen 03 będzie potrzeba dwudziestu ludzi, kilka ciężarówek sprzętu, przynajmniej dwóch tygodni i budżetu w wysokości około czterystu tysięcy dolarów. Sam temu nie podołam, a admirał Sandecker nigdy nie udzieli naszej firmie

błogosławieństwa na projekt tej wielkości, jeżeli nie otrzyma zapewnienia o finansowym wsparciu ze strony rządu.

–Może wobec tego wyciągnąć jeden pojemnik i szczątki Smitha w celu przeprowadzenia pozytywnej identyfikacji?

–Żeby stwierdzić, że oto trzymamy w rękach przysłowiową puszkę Pandory?

–Warto spróbować – rzucił Steiger, a w jego głosie czuło się wzbierające podniecenie. – Jutro może pan polecieć z powrotem do Kolorado. Tymczasem ja załatwię kontrakt na wydobywanie ciał załogi, co uniezależni pana od Pentagonu i NUMA.

Pitt pokręcił głową.

–Przykro mi, ale będzie się pan musiał wstrzymać. Sandecker dał mi zadanie podniesienia pancernika, który podczas wojny domowej zatonął u wybrzeży

Georgii. –

Przerwał, by zerknąć na zegarek. – Za sześć godzin wsiadam do samolotu

leżącego do

Savannah.

Steiger westchnął i zwiesił ramiona.

–Może uda się panu wziąć za to kiedy indziej.

–Proszę przygotować ten kontrakt i trzymać go pod ręką. Wyrwę się do Kolorado przy najbliższej okazji. Obiecuję.

–Czy powiedział pan już Loren Smith o jej ojcu?

–Prawdę mówiąc, nie miałem odwagi.

–Obawia się pan pomyłki?

–To również.

Steiger spochmurniał.

–Jezu, co za bajzel! – Wypił podwójne martini, po czym smutno popatrzył na szklankę.

Kelnerka wróciła z kartami potraw. Zamówili. Steiger bezmyślnie przyglądał się jej plecom, kiedy odpływała w kierunku kuchni.

–Zamiast siedzieć tutaj i łamać sobie głowę nad tajemnicą, która nikogo nie obchodzi,

powiniennem wrócić do Kalifornii, do żony i dzieci.

–Ilu?

–Dzieci? Razem ośmioro. Pięciu chłopaków i trzy dziewczynki.

–Pewnie jest pan katolikiem. Steiger uśmiechnął się.

–Nazywając się Abraham Levi Steiger? Chyba pan żartuje!

–A przy okazji, zapomniał mi pan opowiedzieć, jak szczyhy w Pentagonie wyjaśniły plan lotu Vixen 03.

–Generał O’Keefe znalazł oryginał. Nie zgadzał się z analizą tego, który znaleźliśmy we wraku.

Pitt zastanowił się przez chwilę, a potem zapytał:

–Ma pan kopię? Czy mógłbym ją zabrać na pewien czas?

–Kopię planu lotu?

–Tylko szóstej strony.

–Mam ją w samochodzie. Dlaczego pan pyta?

–Wpadł mi do głowy pewien pomysł – odrzekł Pitt. – Mam przyjaciela w FBI, który przepada za łamigłówkami.

–Czy naprawdę musisz dzisiaj wyjechać? – spytała Loren Pitta.

–Rano muszę być na spotkaniu, podczas którego będziemy omawiali szczegóły pewnej akcji ratowniczej – odpowiedział z łazienki, gdzie właśnie pakował swoje przybory do golenia.

–Niech to diabli! – prychnęła z kwaśną miną. – Równie dobrze mogłabym mieć romans z komiwojażerem.

Pitt wszedł do sypialni.

–Daj spokój, przecież nie jestem dla ciebie niczym więcej jak tylko aktualną zabawką.

–Wcale tak nie jest. – Zarzuciła mu ręce na szyję. – Jesteś moim ulubionym mężczyzną, zaraz po Philu Sawyerze.

Pitt popatrzył na nią.

–Od kiedy widzisz się z sekretarzem prasowym prezydenta?

–Gdy ciebie nie ma, muszę sobie jakoś umilać życie.

–Ależ na Boga! Phil Sawyer! Przecież on nosi białe koszule i wyraża się, jakby był słownikiem wyrazów bliskoznacznych.

–Poprosił, żebym za niego wyszła.

–Chyba zwymiotuję.

Uścisnęła go mocno.

–Proszę cię, dzisiejszego wieczoru daj sobie spokój z sarkazmem.

–Żałuję, że nie mogę być bardziej adorującym kochankiem, ale jestem zbyt samolubny, by się tak angażować. Nie potrafię dać stu procent tego, czego potrzebuje kobieta

taka jak ty...

–Zgadzam się na jakikolwiek procent, jeśli dostanę go od ciebie. Pitt schylił się i pocałował ją w szyję.

–Dla Phila Sawyera byłabyś kiepską małżonką.

Thomas Machita zapłacił za wstęp i wszedł na teren wesołego miasteczka, jednego z wielu pojawiających się w okresie świąt w południowoafrykańskim krajobrazie. Była niedziela i grupy Bantu z całymi rodzinami gromadziły się przy diabelskim młynie, karuzeli i straganach z różnymi grami. Machita przeszedł do tunelu strachów, zgodnie z instrukcjami Emmy.

Nie był zdecydowany, czym zabić Emmę. Żyłka, przyklejona plastrem do lewego przedramienia, pozostawiała wiele do życzenia. Ten niewielki kawałek stali był bronią skuteczną z małej odległości, śmiertelnie wyłączone wtedy, gdy przeciąć nią tętnicę szyjną, co Machita uznał za niewykonalne ze względu na otaczający go tłum.

W końcu zdecydował się na szpikulec do lodu. Odetchnął z ulgą, jakby rozwiązał poważną naukową zagadkę. Szpikulec był dyskretnie wsunięty między sploty koszyka trzymanego w rękach. Drewniana rączka została zdjęta, a na jej miejscu, wokół cienkiego uchwyty owinięta taśma izolacyjna. Szybkie pchnięcie między żebra, prosto w serce, albo w oko lub ucho. Gdyby udało mu się wbić ostrze w trąbkę Eustachiusza, życie uleciałoby z Emmy bardzo szybko. Machita mocniej ścisnął koszyk ze szpikulcem i dwoma milionami dolarów. Nadeszła jego kolej. Zapłacił za bilet i wszedł na platformę.

Stojąca przed nim para, rechoczący mężczyzna i jego korpulentna żona, wpełznąła się do niewielkiego, mieszczącego dwie osoby wagonika. Mężczyzna z obsługi, stary, wynędzniały oberwaniec pociągający bez przerwy nosem, opuścił barierkę zabezpieczającą nad ich nogami i pchnął dużą, wystającą z podłogi dźwignię. Wagonik szarpnął do przodu i przetoczył się przez wahadłowe drzwi. Wkrótce z ciemnego wnętrza dały się słyszeć kobiece wrzaski.

Machita wszedł do następnego wagonika. Rozluźnił się i uśmiechnął na myśl o zwariowanej jeździe. Powróciły wspomnienia z dzieciństwa. Przypomniał sobie jazdę podobną kolejką i nacierające z ciemności, fosforyzujące zjawy.

Nie patrzył na pracownika w chwili zwalniania dźwigni i nie zareagował natychmiast, gdy stary mężczyzna zwinnie wskoczył do wagonika tuż za nim i opuścił barierkę zabezpieczającą.

–Mam nadzieję, że jazda się panu spodoba – powiedział głos, po którym Machita rozpoznał Emmę.

Kolejny raz tajemniczy informator chytrze wykorzystał nieuwagę Machity. Szansę sprzyjające łatwemu zabójstwu nagle wyparowały.

Dłonie Emmy błyskawicznie przeszukały jego ubranie.

–Postąpił pan bardzo mądrze, mój drogi majorze, przychodząc bez broni.

Punkt dla mnie, pomyślał Machita, trzymając swobodnie koszyk i zasłaniając szpikulec do lodu.

–Czy ma pan plany operacji "Dzika róża"? – zapytał oficjalnie.

–A czy pan ma dwa miliony amerykańskich dolarów? – odpowiedziała znajdująca się w cieniu obok niego postać.

Machita zawahał się i mimowolnie pochylił, gdy wagonik pomknął pod wielki stos spadających beczek, które zatrzymały się zaledwie parę centymetrów od ich głów.

–Tutaj, w koszyku.

Emma wyciągnął kopertę z brudnej marynarki.

–Pański szef z pewnością przeczyta to z wielkim zainteresowaniem.

–Pod warunkiem, że nie przecenił pan wartości tych papierów.

Machita rzucił okiem na dokumenty w kopercie, gdy nagle w kierunku wagonika wyskoczyły dwie groteskowo pomalowane, fluoryzujące w promieniach ultrafioletowych czarownice i wrzasnęły z ukrytych głośników. Emma zignorował woskowe postacie i otworzył koszyk, w purpurowym świetle przyglądając się nominałom. Wagonik pędził dalej, sprężyny wciągnęły czarownice do ich kryjówek i tunel znowu pogroził się w ciemności.

Teraz! – pomyślał Machita. Wyciągnął ze schowka szpikulec i dźgnął w miejsce, w którym, jak sądził, powinno znajdować się prawe oko Emmy. Jednak w tym samym ułamku sekundy wagonik skręcił gwałtownie i pomarańczowy blask rozświetlił brodatego szatana, złowrogo wymachującego widłami. Szpikulec nie trafił w cel, jego czubek wbił się w czaszkę tuż ponad brwią.

Ogłuszony informator krzyknął, odrzucił rękę Machity i wyrwał ostrze z czoła. Machita chwycił brzytwę i zamachnął się w stronę gardła Emmy płynnym, tnącym bekhendem. Niestety, pomarańczowy diabeł trafił go widłami w dłoń, łamiąc kość.

Diabeł okazał się prawdziwy – był nim współpracownik Emmy.

Machita zareagował odrzucając barierkę zabezpieczającą! zadając cios nogą. Trafił przebranego mężczyznę w krocze czując, jak but wbija się w miękką część ciała. Potem wagonik znowu wjechał w ciemność, a diabeł został w tyle.

Machita błyskawicznie odwrócił się w stronę Emmy, lecz miejsce obok było już puste. Po lewej stronie wagonika błysnął promień słońca, kiedy ktoś otworzył i zamknął drzwi. Emma zniknęła, zabierając ze sobą koszyk z pieniędzmi.

–Co za głupota – z szatańskim zadowoleniem stwierdził pułkownik Jumana. –

Musi mi

pan to wybaczyć, generale, ale mówiłem panu.

Pelen zadumy Lusana popatrzył przez okno na grupę mężczyzn ćwiczących na placu musztrę.

–Błąd w ocenie, pułkowniku, i nic więcej. Nie przegramy wojny tylko dlatego, że straciliśmy dwa miliony dolarów.

Zakłopotany Thomas Machita usiadł przy stole z twarzą oblaną potem. Patrzył bezmyślnie na zagipsowany nadgarstek.

–Skąd mogłem wiedzieć...

Zesztywniał, gdy Jumana poderwał się na nogi z wściekłością bijącą z twarzy, chwycił kopertę Emmy i rzucił ją Machicie w twarz.

–Nie wiedziałeś, że cię oszukują? Co za głupiec! Teraz siedzisz tutaj, nasz wspaniały asie wywiadu, a nawet nie potrafiłeś zabić człowieka w ciemności. Potem oddałeś mu jeszcze dwa miliony dolarów za kopertę zawierającą opis usunięcia jakiegoś wojskowego złomu.

–Dosyć! – warknął Lusana.

Nastąpiła cisza. Jumana odetchnął głęboko, a potem osunął się wolno na swoje krzesło. Jego oczy płonęły gniewem.

–Głupimi błędami – rzucił z goryczą w głosie – nie wygrywa się wojen wyzwoleniczych.

–Robi pan wokół tego zbyt wiele zamieszania – powiedział kamiennym tonem Lusana. – Jest pan wspaniałym dowódcą, pułkowniku Jumana, tygrysem w walce, ale – jak w przypadku większości zawodowych żołnierzy – brakuje panu odrobiny stylu administracyjnego.

–Błagam pana, generale, by nie przelewał pan swego gniewu na mnie. – Jumana wskazał oskarżycielsko palcem na Machitę. – To on zasłużył sobie na karę.

Lusanę ogarnęło uczucie zawodu. Bez względu na inteligencję i wykształcenie afrykański umysł zachował prawie dziecięce podejście do odpowiedzialności. Przesiąknięte krwią rytuały ciągle bardziej kojarzyły się tym ludziom z praworządnością niż poważna konferencja przy stole. Znużony popatrzył na Jumanę.

–To ja popełniłem błąd. Tylko ja jestem za to odpowiedzialny. Gdybym nie wydał majorowi Machicie rozkazu zabicia Emmy, operacja "Dzika róża" leżałaby przed nami już w

tej chwili. Nie myśląc o morderstwie major, tego jestem pewien, sprawdziłby zawartość koperty przed przekazaniem pieniędzy.

–Pan ciągle uważa ten plan za aktualny? – spytał niedowierzająco Jumana.

–Owszem – odparł stanowczo Lusana. – Kiedy w przyszłym tygodniu polecę do Waszyngtonu, to mi wystarczy, by przekonać Amerykanów do udzielenia pomocy narodom

afrykańskim.

–Pan powinien być tutaj – powiedział Machita, z błyskiem strachu w oczach. –

Błagam pana, generale, niech pan wyśle kogoś innego.

–Nie ma nikogo, kto by się lepiej do tego nadawał – zapewnił go Lusana. – Ciągle jestem obywatelem amerykańskim i mam wiele kontaktów na wysokim szczeblu, ludzi, którzy sympatyzują z naszą walką.

–Kiedy pan stąd wyjedzie, znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie.

–Wszyscy narażamy się na niebezpieczeństwo, prawda? – spytał Lusana. – Taki jest los bojowników. – Zwrócił się do Jumany. – Pułkowniku, podczas mojej nieobecności pan będzie tu dowodził. Przekażę panu wyraźne rozkazy dalszego prowadzenia naszych operacji. Oczekuję, że zostaną wykonane co do słowa.

Jumana skinął głową.

Machita odczuwał coraz większy strach i nie mógł powstrzymać myśli, że Lusana buduje drogę do własnego upadku i wywołania fali rozlewu krwi, która wkrótce mogłaby ogarnąć całą Afrykę.

Loren Smith podniosła się zza biurka i wyciągnęła rękę, gdy do jej gabinetu wprowadzono Fredericka Daggata. Uśmiechnął się swoim najmiłym uśmiechem polityka i powiedział:

–Mam nadzieję, że wybaczy mi pani wtargnięcie, pani... eee... członkini Kongresu. Loren mocno uścisnęła mu dłoń. Zawsze bardzo ją bawiło, kiedy inni głowili się nad

określeniem jej stanowiska. Nigdy nie mogli się połapać, jak ją nazwać.

–Jestem zadowolona z chwili przerwy – odparła, wskazując mu fotel.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu Loren wyjęła pudełko cygar. Poczęstował się jednym.

–To się nazywa powitanie. Nie spodziewałem się... Czy pozwoli pani, że zapalę?

–Bardzo proszę – odrzekła z uśmiechem. – Wiem, że to trochę niestosowne, by kobieta

częstowała cygarami, ale praktyczna wartość tego gestu ujawnia się dopiero wtedy, gdy ma

się świadomość, iż wśród moich gości mężczyźni mają nad kobietami przewagę liczebną w

stosunku dwadzieścia do jednego.

Daggat wypuścił w kierunku sufitu dużą niebieskawą chmurę i przypuścił pierwszy atak:

–Pani głosowała przeciwko mojej wstępnej propozycji przyznania pomocy dla Afrykańskiej Armii Rewolucyjnej.

Loren skinęła głową. Nie odezwała się, gdyż czekała, aż Daggat rozkręci się na dobre.

–Biały rząd Afryki Południowej stoi na krawędzi samounicestwienia. W ciągu ostatnich pięciu lat gospodarka tego kraju jeszcze bardziej podupadła. Jego budżet jest mocno

nadwerężony. Już zbyt długo biała mniejszość gnębi czarnych. Przez dziesięć lat, odkąd

czarni przejęli rządy w Rodezji, Afrykanerzy twardo i bezlitośnie traktowali swoich obywateli

z plemienia Bantu. Wewnętrzne rozruchy pochłonęły już ponad pięć tysięcy istnień ludzkich.

Przelewanie krwi nie może już dłużej trwać. Afrykańska Armia Rewolucyjna Hiramusa Lusany

jest jedyną nadzieją na pokój. Musimy jej pomóc zarówno finansowo, jak i militarnie.

–Miałam wrażenie, że Hiramusa Lusana jest komunistą.

Daggat pokręcił głową.

–Obawiam się, że się pani myli, panno Smith. Przyznaję, Lusana wykorzystuje usługi wietnamskich doradców wojskowych, ale osobiście mogę panią zapewnić, że nigdy nie był i nie jest zwolennikiem międzynarodowego komunizmu.

–Miło mi to słyszeć – powiedziała obojętnym tonem. Daggat próbował wcisnąć jej towar, którego nie miała zamiaru kupić.

–Hiram Lusana to człowiek o wspaniałych ideałach – ciągnął Daggat. – Nie pozwala na zabijanie niewinnych kobiet i dzieci. Nie dokonuje krwiożerczych ataków na miasta i wsie, czego dopuszczają się inne ruchy powstańcze. Jego wojna jest wymierzona wyłącznie przeciwko instytucjom rządowym i celom militarnym. Uważam, że Kongres powinien wesprzeć przywódcę, który prowadzi działania oparte na racjonalnym myśleniu.

–Niech pan zejdzie z krzyża, kongresmanie. Oboje doskonale wiemy, że Hiram Lusana to oszust-artysta. Przejrzałam jego akta w FBI. Czyta się je jak życiorys bandziora z mafii. Połowę życia spędził w więzieniu za najróżniejsze przestępstwa, od gwałtu po napad, że nie wspomnę o miganiu się od służby wojskowej i spisku mającym na celu podłożenie bomby w urzędzie stanowym w Alabamie. Po niezwykle dochodowej kradzieży na opancerzony samochód konwojentów zajął się rozprowadzaniem narkotyków i na tym zbił fortunę. Później zwiął z kraju, by uniknąć płacenia podatków. Chyba zgodzi się pan, że nie jest wzorem amerykańskiego bohatera.

–Nigdy nie został oskarżony o napad na przewożący pieniądze samochód opancerzony.

Loren wzruszyła ramionami.

–W porządku, w tym przypadku mu odpuszczę, ale pozostałe przestępstwa raczej nie kwalifikują go do roli przywódcy świętej wojny i wyzwoliciela gnębionych mas.

–Co było, minęło – odparł stanowczo Daggat. – Bez względu na mroczną przeszłość Lusana pozostaje naszą jedyną nadzieją na stworzenie stabilnego rządu, gdy czarni przejmą parlament Afryki Południowej. Nie może pani zaprzeczyć, że w najlepszym interesie Amerykanów leży uznanie go za przyjaciela.

–A po co wspierać którąkolwiek stronę? Brwi Daggata uniosły się gwałtownie.

–Czy mam to rozumieć jako skłonność do izolacjonizmu?

–Niech się pan zastanowi, co nam przyniosły zmiany w Rodezji – mówiła dalej Loren.

–W ciągu pięciu miesięcy od wprowadzenia w życie planu naszego byłego sekretarza stanu,

czyli przekazania rządów w ręce czarnej większości, między radykalnymi odłamami rozpętała

się wojna i cofnęła kraj o dziesięć lat. Czy jest pan w stanie obiecać, że to się nie powtórzy,

kiedy w Afryce Południowej dojdzie do tego, co nieuniknione?

Daggat nie lubił, gdy zapędzano go w kozi róg, a zwłaszcza gdy robiła to kobieta, jakakolwiek kobieta. Wstał z fotela i pochylił się nad biurkiem Loren.

–Jeżeli nie poprze pani mojej propozycji, którą wkrótce zamierzam przedstawić, wówczas, droga członkini Kongresu, obawiam się, że zacznie pani kopać tak wielki i głęboki

grób dla swojej kariery politycznej, iż nie zdąży pani z niego wyskoczyć na czas

przed następnymi wyborami.

Ku wielkiemu zdziwieniu i wściekłości Daggata Loren roześmiała się.

–Wielki Boże! A to ci dopiero! Czy pan mi grozi?

–Wystarczy, że nie udzieli pani poparcia dla sprawy afrykańskiego nacjonalizmu, a obiecuję, że straci pani wszystkie czarne głosy w swoim okręgu.

–Nie mogę w to uwierzyć.

–Niech się pani lepiej postara, bo będzie pani również świadkiem rozruchów, jakich w tym kraju jeszcze nigdy nie było, jeżeli nie opowiemy się stanowczo po stronie Hirama Lusany i Afrykańskiej Armii Rewolucyjnej.

–Skąd pan bierze te informacje? – spytała Loren.

–Jestem czarny i wiem.

–Jest pan również pełen gówna – rzuciła Loren. – Rozmawiałam z setkami czarnych w moim okręgu. Niczym się nie różnią od pozostałych obywateli Ameryki. Przejmują się wysokimi podatkami, rosnącymi kosztami żywności i energii, dokładnie tak jak biali, Azjaci, Indianie i Latynosi. Pan sam siebie oszukuje, Daggat, jeżeli uważa pan, że naszych czarnych w ogóle obchodzi, co Afrykanie partaczą w swoich krajach. Nic sobie z tego nie robią i powód jest prosty – Afrykanów nie obchodzą czarni Amerykanie.

–Popelnia pani poważny błąd.

–Nie, to pan jest w błędzie – odrzekła Loren. – Szuka pan problemów tam, gdzie ich nie ma. Dzięki edukacji czarna rasa ma takie same szansę jak każda inna. Po drugiej wojnie światowej dokonało tego drugie pokolenie imigrantów z Japonii. Po powrocie z obozów internowania pracowali na polach południowej Kalifornii, by posyłać swoje dzieci na UCLA i USC i kształcić je na adwokatów i lekarzy. I udało się im. Teraz przyszła kolej na czarnych. Im też się uda, pod warunkiem, że nie będą im przeszkadzać ludzie pańskiego pokroju, którzy podburzają motłoch przy każdej nadążającej się okazji. A teraz będę panu wdzięczna, jeżeli wyniesie się pan z mojego gabinetu do wszystkich diabłów.

Daggat patrzył na nią z wyrazem wściekłości na twarzy. Potem na jego ustach pojawił się nikły uśmiech. Wyciągnął przed siebie dłoń z cygarem i rzucił je na dywan. Następnie odwrócił się i wypadł z gabinetu.

–Wyglądasz jak chłopak, któremu przed chwilą ukradziono rower – powiedziała Felicja Collins. Siedziała w kącie limuzyny Daggata, opiłowując swoje długie paznokcie.

Daggat usiadł obok niej i gestem nakazał kierowcy, by ruszył. Kamiennym wzrokiem patrzył przed siebie, jego twarz była zupełnie bez wyrazu.

Felicja schowała pilniczek do torebki i czekała z wylęknionymi oczami. W końcu przerwała milczenie:

–Domyślam się, że to Loren Smith tak cię zdenerwowała.

–Wulgarna biała dziwka! – pchnął. – Ona myśli, że może mnie traktować jak czarnucha z plantacji sprzed wojny domowej.

–O czym ty mówisz? – spytała zaskoczona. – Znam Loren Smith. Ona nie ma żadnych uprzedzeń.

Daggat odwrócił się.

–Znasz ją?

–Chodziłyśmy razem do szkoły średniej. Do dzisiaj spotykamy się od czasu do czasu. – Na twarzy Felicji pojawiło się zmartwienie. – W swoim przebiegłym umyśle knujesz coś złego, Fredericku. O co chodzi?

–Muszę mieć poparcie Loren Smith, jeżeli mam przepchnąć ustawę o pomocy i wysłaniu broni dla AAR.

–Chciałbyś, żebym z nią porozmawiała? Myślisz o układzie na korzyść Hiramusa Lusany?

–To i jeszcze coś.

Starła się odgadnąć jego myśli.

–Jeszcze coś?

–Chcę, żebyś znalazła na nią jakiś haczyk. Coś, co wykorzystam do przeciągnięcia jej na naszą stronę.

Felicja spojrzała na niego, oszołomiona.

–Chcesz szantażować Loren? Chyba nie wiesz, o co mnie prosisz! Nie mogę szpiegować dobrej koleżanki. W żaden sposób.

–Twój wybór jest zrozumiały: szkolna przyjaźń jest ważniejsza niż wolność milionów naszych braci i sióstr, których gnębią rządy tyranów.

–A jeśli nie znajdę niczego brudnego? – spytała Felicja, próbując wymknąć się z niewygodnej sytuacji. – Nie jest tajemnicą, że jej kariera polityczna jest nieskalana.

–Nikt nie jest doskonały.

–Czego miałabym szukać?

–Loren Smith jest atrakcyjną, wolną kobietą. Ale przecież musi mieć jakieś życie seksualne.

–A jeśli ma, to co? Każda dziewczyna przeżywa swoją porcję romansów. I dopóki ona

nie ma męża, nie uda ci się spreparować skandalu na temat cudzołóstwa.

Daggat uśmiechnął się.

–Jakaś ty bystra. Przygotujemy dokładnie skandal.

–Loren zasługuje na coś lepszego.

–Jeżeli nas poprze, nie będzie się musiała martwić, że sprawa nabierze rozgłosu. Felicja przygryzła wargę.

–Nie, nie wbiję przyjaciółce noża w plecy. Poza tym Hiram nigdy by mi nie wybaczył

takiej złośliwości.

Daggat nie chciał grać według jej reguł.

–Czyżby? Może i sypiałaś z tym zbawicielem Afryki, ale wątpię, żebyś zdołała go dokładnie rozszyfrować. Któregoś dnia zapoznaj się z jego przeszłością. Przy Hiramie Lusanie Al Capone i Jesse James to szczeniaki. Uświadamiam to sobie za każdym razem, kiedy staję w jego obronie. – W tym momencie oczy Daggata zwęziły się. – Czy ty przypadkiem nie zapomniałaś, że ciebie właściwie mi sprzedał?

–Zapomniałam.

Felicja odwróciła się i wyjrzała przez okno. Daggat ścisnął jej rękę.

–Nie przejmuj się – powiedział, uśmiechając się. – Nie stanie się nic, co pozostawiłoby

po sobie trwałe ślady.

Podniosła jego dłoń i ucałowała, ale nie wierzyła ani jednemu jego słowu. Nawet przez chwilę.

W przeciwieństwie do "Monitora", sławnego poprzednika, "Chenago" był praktycznie nie znany nikomu z wyjątkiem garstki historyków żeglugi. Po uzbrojeniu w nowojorskiej stoczni w czerwcu roku 1862 statek od razu dostał rozkaz przyłączenia się do floty Unii, blokującej wejście do Savannah. Nieszczęsny "Chenago" nigdy nie wystrzelił ze swoich dział. Godzinę przed zaplanowanym miejscem postoju trafił na sztorm i zatonął na głębokości trzydziestu metrów z całą załogą czterdziestu dwóch ludzi.

Pitt siedział w sali konferencyjnej statku ratowniczego "Visalia" należącego do NUMA i przeglądał plik podwodnych zdjęć, przedstawiających wrak "Chenago". Jack Folsom, brązowoskóry mistrz ratownictwa morskiego, żuł dużą porcję gumy i czekał na pytania.

Pitt nie sprawił mu zawodu.

–Czy kadłub ciągle jest nienaruszony?

Folsom przesunął gumę w ustach.

–Nie widać żadnych poprzecznych pęknięć. Ale oczywiście nie wszystko można zobaczyć, gdyż dwa metry stępki tkwią w dnie, a wewnątrz kadłuba znajduje się metrowa

warstwa piasku. Podejrzewam jednak, że pęknięć podłużnych też nie ma.

Uważam, że uda się

go podnieść w całości.

–Jaką metodę proponujesz?

–Zbiorniki powietrzne Dollingera o zmiennej pojemności – odparł Folsom. – Zatapia się je parami obok kadłuba. Potem łączy pod spodem i napełnia powietrzem. Zasada ta sama, co podczas wydobycia okrętu podwodnego F-4, który zatonął na Hawajach jeszcze w 1915 roku.

–Będzie trzeba użyć pomp do wyssania piasku. Im statek lżejszy, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że się przełamie. Grube żelazne pokrycie wygląda dobrze, ale dębowa

konstrukcja wewnętrzna już dawno straciła wytrzymałość.

–Możemy jeszcze zdemontować działa – powiedział Folsom. – Jest do nich dostęp.

Pitt przyjrzał się uważnie kopii oryginalnych planów konstrukcyjnych "Chenago". Znany mu "Monitor" miał tylko jedną wieżyczkę armatnią, podczas gdy "Chenago" dwie, po jednej na każdym końcu kadłuba.

Z każdej z nich wystawało ważące kilka ton, trzydziestocentymetrowe działo Dahlgrena o gładkiej lufie.

–A te zbiorniki Dollingera – odezwał się Pitt, zamyśliwszy się nagle – jaką mają skuteczność przy podnoszeniu zatopionego samolotu?

Folsom przestał żuć gumę i popatrzył na Pitta.

–Jak dużego?

–Dziewięćdziesiąt ton, razem z ładunkiem.

–Z jakiej głębokości?

–Czterdzieści metrów.

Pitt niemal słyszał, jak pracują przekładnie w umyśle Folsoma. W końcu ratownik znowu zaczął przeżuwać i powiedział:

–Zalecałbym użycie dźwigów.

–Dźwigów?

–Dwa umieszczone na stabilnych platformach powinny z łatwością unieść taki ciężar. Poza tym samolot to delikatna konstrukcja. Drobny błąd synchronizacji przy stosowaniu zbiorników Dollingera mógłby spowodować rozerwanie maszyny na kawałki. – Przerwał na moment i pytająco popatrzył na Pitta. – Po co te wszystkie hipotetyczne pytania?

Pitt uśmiechnął się, zamyślony.

–Nigdy nie wiadomo, kiedy przyjdzie nam podnosić samolot. Folsom wzruszył ramionami.

–Dosyć fantazjowania. Wracając do "Chenago"...

Pitt uważnie śledził diagramy, które Folsom zaczął rysować na tablicy. Program nurkowania, zbiorniki na powietrze, statki na powierzchni i pancernik – wszystko nabrało kształtów w połączeniu z komentarzem Folsoma. Pozornie Pitt sprawiał wrażenie zainteresowanego, lecz nic z tego, co widział, nie zapadło mu w pamięci. Myślami znajdował się w odległości trzech tysięcy kilometrów stąd, w głębinach jeziora w stanie Kolorado.

W chwili gdy Folsom opisywał proponowany sposób holowania, kiedy wrak ujrzy już światło dzienne po stu dwudziestu pięciu latach przerwy, marynarz z "Visalii" wetknął głowę przez luk i przywołał gestem Pitta.

–Jest do pana rozmowa z brzegu, sir.

Pitt skinął głową i podniósł słuchawkę stojącego na półce telefonu.

–Mówi Pitt.

–Trudniej cię znaleźć niż igłę w stogu siana – odezwał się głos wśród zakłóceń na linii.

–Kto mówi?

–No i proszę, jak on mnie traktuje – skomentował sarkastycznie rozmówca Pitta. – Ślęcę nad biurkiem pełnym rupieci do trzeciej nad ranem, a ty nawet nie pamiętasz mojego imienia?

–Przepraszam cię, Paul – odparł Pitt uśmiechając się – ale przez radiotelefon twój głos brzmi o dwie oktawy wyżej.

Paul Buckner, dawny kumpel Pitta i agent FBI, zniżył głos do poziomu sprzączki u swojego paska.

–No jak, już lepiej?

–Znacznie. Masz coś dla mnie?

–Wszystko, o co prosisz, i jeszcze trochę.

–Zamieniam się w słuch.

–No więc na początek powiem ci, że oczywiście niewłaściwie odgadliście stopień człowieka, który autoryzował rozkazy dla Vixen 03.

–Ale pasował tylko stopień generała.

–Niekoniecznie. Chodziło o słowo siedmioliterowe, a można było odczytać tylko piątą – "R". Słuszne zatem było założenie, że skoro Vixen 03 był samolotem wojsk lotniczych, pilotowanym przez załogę wojsk lotniczych, to rozkazy mogły być autoryzowane przez oficera lotnictwa właśnie.

–Powiedz wreszcie to, czego nie wiem.

–Dobrze, mądralo. Przyznaję, że i ja utknąłem w ślepych zaułku, zwłaszcza kiedy przeszukując akta personelu lotniczego, nie znalazłem żadnego nazwiska, które pasowałoby do liter naszego tajemniczego oficera. Ale potem pomyślałem, że "admirał" to również słowo siedmioliterowe i że piątą literą też jest "R".

Pitt poczuł się tak, jakby aktualny mistrz wagi ciężkiej trafił go prawym hakiem w żołądek. "Admirał" – słowo to brzmiało jeszcze w jego myślach. Nikomu nie przyszło do głowy, że samolot wojsk lotniczych mógł transportować sprzęt należący do marynarki. Po chwili jednak pewna otrzeźwiająca myśl sprowadziła Pitta z powrotem na ziemię.

–A nazwisko? – spytał, prawie obawiając się odpowiedzi. – Znalazłeś nazwisko?

–To pestka dla takiego bystrzacha jak ja. Imię było proste. Sześć liter, trzy znane. Dwa puste miejsca, po nich "LT", znowu puste miejsce, a za nim "R". Z tego wyszedł "Walter". A teraz danie główne, czyli nazwisko. Cztery litery, pierwsza "B", ostatnia "S". A ponieważ miałem już stopień tego gościa i imię, przegląd komputerowych akt naszego biura i rejestrów marynarki doprowadził mnie do admirała Waltera Horatia Bassa.

Pitt sondował dalej:

–Skoro Bass był admirałem już w 1954 roku, to teraz albo ma ponad osiemdziesiąt lat, albo już nie żyje. Najprawdopodobniej nie żyje.

–Z tak pesymistycznym podejściem daleko nie zajdziesz – powiedział Buckner. – Bass był facetem sukcesu. Przeczytałem jego akta. Robią wrażenie. Pierwszą gwiazdkę otrzymał, gdy miał zaledwie trzydzieści osiem lat. Przez pewien czas zanosilo się, że zostanie szefem sztabu marynarki. Później jednak albo coś sknocił, albo nawtykał zwierzchnikowi, bo nagle został przeniesiony i otrzymał dowództwo jakiejś mało ważnej bazy na Oceanie Indyjskim, co dla ambitnego oficera marynarki jest jak zesłanie na pustynię Gobi. Odszedł na emeryturę w październiku 1959 roku. W grudniu skończy siedemdziesiąt siedem lat.

–Chcesz powiedzieć, że Bass jeszcze żyje?

–Jego nazwisko widnieje na liście płac dla emerytów.

–Masz może jego adres?

–Bass jest właścicielem gospody na południe od Lexington w stanie Wirginia. Lokal nazywa się "Anchorage House". Znasz ten typ – żadnych zwierząt, żadnych dzieci. Piętnaście pokoi z antyczną instalacją kanalizacyjną i łózkami z baldachimem. Oczywiście w każdym z nich sypiał George Washington.

–Paul, jestem ci winien jednego.

–Możesz powiedzieć mi coś konkretniejszego?

–Jeszcze za wcześnie.

–Jesteś pewien, że to nie jest numer, o którym nasze biuro powinno wiedzieć?

–To nie wasza działka.

–W porządku.

–Jeszcze raz dziękuję.

–Dobra, stary. Napisz, jak znajdziesz jakąś robotę.

Pitt odłożył słuchawkę, odetchnął wolno i uśmiechnął się. Z tajemnicy opadła kolejna zasłona. Postanowił, że nie będzie się kontaktował z Abe Steigerem, w każdym razie jeszcze nie teraz. Spojrzał na Folsoma.

–Czy mógłbyś podczas weekendu obejść się beze mnie?

Folsom też się uśmiechnął.

–Jestem daleki od sugerowania, że szef jest bez znaczenia dla całej operacji, ale, do diabła, uważam, że jakoś przetrwamy następne czterdzieści osiem godzin bez twojej wspaniałej osoby. Co tam kombinujesz?

–Trzydziestoczteroletnia zagadka – odrzekł Pitt. – Zamierzam poszukać odpowiedzi w pewnym kojącym, spokojnym i osobliwym wiejskim hoteliku.

Folsom przyglądał mu się przez kilka sekund, ale ponieważ w zielonych oczach Pitta niczego nie wypatrzył, zrezygnował i odwrócił się do tablicy.

Podczas porannego lotu do Richmond Pitt wyglądał jak jeden z kilkunastu drzemiących pozornie pasażerów. Oczy miał zamknięte, lecz myślami krążył wokół tajemnicy samolotu spoczywającego na dnie jeziora. To niewiarygodne, żeby lotnictwo ukrywało wypadek, pomyślał, W normalnych warunkach podjęto by zakrojone na wielką skalę śledztwo, by stwierdzić, dlaczego maszyna tak bardzo zboczyła z wyznaczonej trasy. Żadna logiczna odpowiedź jakoś nie przychodziła mu do głowy. Otworzył oczy, kiedy odrzutowiec Eastern Airlines wylądował i zaczął kołować do terminalu.

Wynajął samochód i ruszył w drogę. Cudowna okolica pachniała sosnami i deszczem. Tuż po południu skręcił z międzystanowej autostrady 81 i wjechał do Lexington. Nie zatrzymał się, by podziwiać osobliwą architekturę miasta, i wąską drogą skierował się na południe. Wkrótce dotarł do znaku malowniczo kontrastującego z wiejską okolicą. Wymalowana na nim żeglarska kotwica zapraszała gości i wskazywała żwirowaną drogę do gospody.

Za kontuarem nikogo nie było, ale Pitt z niechęcią pomyślał o przerywaniu błogiej ciszy zadbanego i starannie odkurzonego hallu.

Miał już zamiar zmienić zdanie i jednak uderzyć w dzwonek, kiedy taszcząc krzesło z wysokim oparciem weszła wyjątkowo wysoka, prawie dorównująca mu wzrostem kobieta w kowbojskich butach.

Miała chyba trochę ponad trzydzieści lat, dżinsowe spodnie i bluzę, a popielatoblond włosy związane czerwoną chustką. Jej skóra nie miała najmniejszego śladu opalenizny, przeciwnie, robiła wrażenie gładkiej jak u modelki. Widząc, z jakim spokojem reaguje na widok obcego, pomyślał, że to kobieta z klasą, jedna z tych, które nauczone są zachowywania rezerwy w każdych okolicznościach, no, może z wyjątkiem pożaru i trzęsienia ziemi.

–Przepraszam – powiedziała, stawiając krzesło obok cudownie proporcjonalnego świecznika. – Nie słyszałam, że pan podjechał.

–Interesujące krzesło – zagadnęła. – Prawdziwy antyk. Spojrzała na niego z uznaniem.

–Tak, wyprodukowane przez Eldera Henry’ego Blinna z Canterbury.

–Macie tu wiele cennych mebli.

–Admirał Bass, właściciel tego pensjonatu, znany jest z tego. – Przeszła za biurko. – Bo widzi pan, on jest autorytetem, jeśli chodzi o antyki.

–Nic o tym nie wiedziałem.

–Czy chciałby pan wynająć pokój?

–Tak, ale tylko na jedną noc.

–Szkoda, że nie może pan zostać dłużej. Pojutrze wieczorem w naszej stodole miejscowy teatr rozpoczyna przedstawienia.

–No cóż, rzadko udaje mi się zrobić cokolwiek w odpowiednim momencie – odparł Pitt uśmiechając się.

Odpowiedziała mu nikłym, oficjalnym grymasem. Odwróciła w jego stronę księgę meldunkową, by mógł się do niej wpisać.

–Pokój numer czternaście. Schodami na górę i trzecie drzwi po lewej stronie, panie

Pitt. – Przeczytała jego nazwisko do góry nogami, kiedy się podpisywał. – Nazywani się Heidi

Milligan. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę nacisnąć brzęczyk przy drzwiach.

Wcześniej czy później odbiorę wiadomość. Mam nadzieję, że sam pan zanieśie bagaż na górę?

–Poradzę sobie. Czy admirał jest wolny? Chciałbym z nim porozmawiać o... antykach.

Wskazała mu drzwi z podwójną siatką na końcu korytarza.

–Znajdzie go pan nad kaczym stawem. Oczyszcza go z nadmiaru lilii wodnej.

Pitt skinął i ruszył we wskazanym kierunku. Drzwi wychodziły na ścieżkę wijącą się w dół łagodnego wzniesienia. Admirał Bass słusznie postanowił, żeby wokół "Anchorage House" niczego nie zmieniać. Otaczający teren zostawiono w naturalnym stanie, z sosnami i późno kwitnącymi, dzikimi kwiatami. Pitt zapomniał na moment o swojej misji i cieszył się spokojem i ciszą dróżki prowadzącej do stawu.

Po chwili ujrzał starszego mężczyznę w wysokich gumowych butach, który w odległości jakichś dwóch metrów od brzegu energicznie atakował widłami okrągłe liście wodnych lilii. Admirał był człowiekiem postawnym, splątane pędy rzucał na brzeg z łatwością właściwą osobie młodszej o trzydzieści lat. Mimo wirgińskiego słońca nie miał kapelusza, pot spływał mu swobodnie po łysej głowie i skapywał z czubka nosa i brody.

–Admirał Walter Bass? – zagadnął Pitt, pozdrawiając go. Widły zatrzymały się w połowie ruchu.

–Tak, jestem Walter Bass.

–A ja nazywam się Dirk Pitt, sir, i zastanawiam się, czy mógłbym z panem porozmawiać.

–Jasne, śmiało – odrzekł Bass, kończąc rzut zielskiem. – Zechce mi pan wybaczyć, że

dalej będę się zajmował tym paskudztwem, ale chciałbym jak najwięcej zrobić przed

obiadem. Gdybym przed zimą nie robił tego przynajmniej dwa razy w tygodniu, na wiosnę cały staw byłby zarośnięty.

Pitt odsunął się, kiedy u jego stóp wylądowała porcja bulwiastych korzeni i sercowatych liści. Czuł się trochę niezręcznie i właściwie nie wiedział, jak ma się dalej zachować. Admirał był odwrócony do niego plecami i Pitt wahał się. Wreszcie wziął głęboki wdech i wypalił:

–Chciałbym zadać panu parę pytań o samolot oznaczony kodem Vixen 03.

Bass nie przerwał swojego zajęcia, lecz zbiegające kciuki dłoni zaciśniętych na trzonku nie uszły uwagi Pitta.

–Vixen 03 – mruknął i wzruszył ramionami. – Nic mi to nie mówi. A powinno?

–Ta maszyna należała do Military Air Transport Service. Zniknęła w 1954 roku.

–To kawał czasu. – Bass popatrzył obojętnie na wodę. – Nie, nie przypominam sobie, żebym miał związek z jakimkolwiek samolotem MATS – stwierdził stanowczo. – I nic dziwnego, w ciągu trzydziestu lat służby w marynarce moją specjalnością była ciężka artyleria.

–A czy przypomina pan sobie, by kiedykolwiek spotkał się z majorem lotnictwa o nazwisku Vylander?

–Vylander? – Bass pokręcił głową. – Chyba nie. – Potem przenikliwie zmierzył Pitta wzrokiem. – Zaraz, zaraz, jak pan się nazywa? I dlaczego zadaje mi pan te pytania?

–Nazywam się Dirk Pitt. Pracuję dla NUMA, Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Znalazłem pewne stare papiery, w których mówi się, że to pan podpisał rozkaz lotu dla Vixen 03.

–To jakaś pomyłka.

–Możliwe – odrzekł Pitt. – Może tajemnica się wyjaśni, kiedy wrak samolotu zostanie wydobyty i szczegółowo przebadany.

–Wydawało mi się, że powiedział pan "zniknęła".

–Znalazłem tę maszynę.

Pitt przyglądał się Bassowi, chcąc zauważyć choćby najmniejszą reakcję. Nic. Postanowił zostawić admirała samego, by mógł pozbierać myśli.

–Przepraszam, że sprawiłem panu kłopot, admirale. Najwyraźniej coś mi się pomieszało.

Odwrócił się i skierował ścieżką w stronę gospody. Przeszedł prawie dwadzieścia kroków, kiedy Bass krzyknął za nim:

–Panie Pitt!

–Tak?

–Czy zatrzymał się pan u nas?

–Na jedną noc. Jutro muszę jechać dalej.

Admirał skinął głową. Kiedy Pitt doszedł do sosen otaczających "Anchorage House", jeszcze raz spojrzął w kierunku stawu. Bass spokojnie wyrzucał zielsko na brzeg, jakby ich krótka rozmowa dotyczyła żniw i pogody.

Pitt z przyjemnością zjadł spokojnie kolację w towarzystwie innych gości zajazdu. Jadalnia była urządzona w stylu osiemnastowiecznej wiejskiej tawerny ze skałkowymi karabinami, cynowymi kuflami i różnymi starymi, wiejskimi sprzętami, zawieszonymi na ścianach i belkach. Jedzenie wydało mu się niemal domowej roboty. Zjadł dwie porcje pieczonego kurczaka, marchewki konserwowanej w brandy, pieczonej kukurydzy i słodkich kartofli, tak że ledwie starczyło mu sił na porcję szarlotki.

Heidi uwijała się między stolikami, podając kawę i gawędząc z gośćmi. Pitt zauważył, że większość z nich była w wieku emerytalnym.

Dla młodszych ludzi, pomyślał, spokój wiejskiego zajazdu prawdopodobnie był nudny. Dopił irlandzką kawę i wyszedł na ganek. Na wschodzie wstał księżyc w pełni, zmieniając barwę sosen z zielonej na srebrną. Pitt usiadł na bujanym krześle z giętego drewna, oparł stopy o barierkę i czekał, aż admirał Bass wykona następny ruch.

Kiedy księżyc wzniósł się o prawie dwadzieścia stopni, wyszła Heidi i wolno zbliżyła się do Pitta. Na moment stanęła za nim, a potem powiedziała:

–Księżyc nigdzie nie świeci tak jasno jak w Wirginii.

–Nie zamierzam się z panią spierać – odparł Pitt.

–Czy smakowała panu kolacja?

–Obawiam się, że oczy miałem większe niż żołądek. Porządnie się objadłem.

Uznanie dla szefa kuchni. Jego domowy sposób przyrządzania potraw to rozkosz dla podniebienia.

W świetle księżycyca uśmiech Heidi zmienił się z przyjacielskiego w uroczy.

–Ona z przyjemnością się o tym dowie. Pitt wykonał gest bezradności.

–Trudno wykorzenić szowinistyczne przyzwyczajenia całego życia.

Wsparła opięte ciasnymi džinsami siedzenie o barierkę i nagle popatrzyła na niego całkiem poważnie.

–Proszę mi powiedzieć, panie Pitt, po co pan przyjechał do "Anchorage House"?

Pitt przestał kołysać się na krześle i spojrzał jej prosto w oczy.

–Czy to ma być próba pani skuteczności w reklamowaniu firmy, czy też chodzi o czystą ciekawość?

–Przepraszam, nie chciałam wścibiać nosa w nie swoje sprawy, ale Walter robił wrażenie zdenerwowanego, kiedy wrócił wieczorem znad stawu. Pomyślałam, że może...

–I uważa pani, że to z powodu czegoś, co ja powiedziałem – dokończył Pitt.

–Sama nie wiem.

–Czy pani jest spokrewniona z admirałem?

To magiczne pytanie sprawiło, że od razu zaczęła opowiadać o sobie. Była porucznikiem marynarki, pracowała w stoczni wojskowej w Norfolk. Przeszła do armii z Wellesley College i pozostało jej jeszcze jedenaście lat do emerytury. Jej były mąż, pułkownik piechoty morskiej, rozkazywał jej jak rekrutowi. Miała częściowo usuniętą macicę, więc nie mogła mieć dzieci. Nie, nie była krewną admirała. Poznała go, kiedy dawał gościnny wykład podczas seminarium w Naval College. Przyjeżdżała do

”Anchorage House”, kiedy tylko mogła oderwać się od swoich zajęć. Nie ukrywała, że miała romans z Bassem. Ale gdy opowieść zaczęła robić się coraz ciekawsza, przerwała i spojrzała na zegarek.

–Lepiej pójdę już i zobaczę, co słychać u innych gości. – Uśmiechnęła się i...
znowu

zmieniła ton głosu. – Jeśli zmęczy pana siedzenie tutaj, proponuję spacer na szczyt

wzniesienia w pobliżu gospody. Stamtąd jest piękny widok na światła Lexington. Pittowi wydało się, że był to raczej rozkaz niż sugestia.

Heidi miała rację tylko w połowie. Widok ze wzniesienia był nie tylko cudowny, wprost zapierał dech w piersi. Księżyc rozjaśniał całą dolinę, a światła uliczne błyskały jak odległa galaktyka.

Pitt był tam ledwie minutę, gdy nagle uświadomił sobie, że ktoś za nim stoi.

–Admirał Bass? – spytał zwyczajnie.

–Proszę podnieść ręce do góry i nie odwracać się – zażądał szorstko Bass. Pitt zrobił, jak mu kazano.

Bass nie przeszukał go, tylko wyciągnął portfel i poświecił latarką na jego zawartość. Po kilku sekundach zgasił latarkę i wsunął portfel z powrotem właścicielowi do kieszeni.

–Może pan opuścić ręce, panie Pitt. I odwrócić się, jeśli pan chce.

–Jest jakiś powód tak melodramatycznego przedstawienia? – Pitt kiwnął głową w stronę trzymanego przez Bassa rewolweru.

–Wygląda na to, że ekshumował pan kupę informacji na dawno już pogrzebany temat. Musiałem być pewny pańskiej tożsamości.

–Czy jest pan usatysfakcjonowany, że jestem tym, za kogo się podawałem?

–Tak, telefonowałem do pańskiego szefa w NUMA. Jim Sandecker służył przede mną na Pacyfiku podczas drugiej wojny światowej. Przedstawił mi robiący wrażenie spis pańskich

listów uwierzytelniających. Chciał również wiedzieć, co pan robi w Wirginii, skoro miał pan być na statku ratowniczym u wybrzeży Georgii.

–Nie zwierzałem mu się z mojego znaleziska.

–Którym, jak powiedział pan nad stawem, jest Vixen 03.

–Ten samolot istnieje, panie admirale. Dotykałem go własnymi rękami. Oczy Bassa błysnęły wrogością.

–Pan nie tylko blefuje, Pitt, ale również kłamie. Stanowczo domagam się wyjaśnienia dlaczego.

–Jestem daleki od kłamstwa – powiedział spokojnie Pitt. – Mam dwóch wiarygodnych świadków i taśmę wideo.

Na twarzy Bassa pojawił się wyraz niezrozumienia.

–Niemożliwe! On zniknął gdzieś nad oceanem. Szukaliśmy go przez wiele miesięcy i nie znaleźliśmy nawet najmniejszego śladu.

–Bo szukaliście w niewłaściwym miejscu, admirale. Vixen 03 spoczywa w jednym z górskich jezior stanu Kolorado.

Zacięta twarz Bassa złagodniała i nagle w świetle księżyca Pitt ujrzał zmęczonego, zniszczonego starego człowieka. Admirał opuścił broń i niepewnym krokiem podszedł do ławki na skraju wzniesienia.

Pitt wyciągnął rękę, by mu pomóc. Bass skinął w podziękowaniu i opadł na ławkę. –Bałem się, że któregoś dnia to nastąpi. Nie byłem na tyle głupi, by sądzić, że tajemnica będzie wieczna. – Podniósł wzrok i chwycił Pitta za rękę. – Ładunek! Co

ładunkiem?

–Pojemniki wyrwały się z mocowania, ale poza tym wyglądają na nienaruszone.

–Dzięki Bogu i za to – westchnął Bass. – Powiada pan: Kolorado. Góry Skaliste. A zatem major Vylander z załogą nigdy nie opuścił tego stanu.

–To ten lot zaczął się w Kolorado? – zdziwił się Pitt.

–Vixen 03 wystartował z bazy Buckley Field. – Bass objął rękami głowę. – Ale co tak wcześnie się popsulo? Musieli spaść wkrótce po starcie.

–Wygląda na to, że mieli jakieś problemy techniczne i próbowali znaleźć kawałek płaskiego terenu. Była zima, jezioro zamarznęte, więc pomyśleli, że lądują na łące. Ciężar samolotu załamał lód i maszyna utonęła. W głębokiej części jeziora. I kiedy wiosną lód rozmarzył, z powietrza nie można było wypatrzeć jej kształtu.

–A my przez cały czas myśleliśmy... – Admirał umilkł, lecz w końcu dodał cicho: – Te pojemniki trzeba wydobyć.

–Czy one zawierają materiał nuklearny? – spytał Pitt.

–Materiał nuklearny... – powtórzył niezdecydowanie Bass. – Tak pan sądzi?

–Data zapisana w planie lotu Vixen 03 mogłaby sugerować, że rejs tego samolotu miał związek z próbą atomową na Bikini. W mundurze jednego z członków załogi znalazłem też metalową tabliczkę. Był na niej symbol radioaktywności.

–Błędnie odczytał pan dowody, panie Pitt. To prawda, pierwotnie pojemniki te zaprojektowano do przenoszenia pocisków atomowych. Lecz tej nocy, gdy

Vylander zaginął

wraz ze swoją załogą, wykorzystywano je w zupełnie innym celu.

–Sugerowano, że są puste.

Bass siedział jak woskowa figura.

–Żeby to było tak proste – mruknął. – Niestety, istnieją jeszcze inne środki prowadzenia wojny, całkiem odmienne od głowic nuklearnych. Można powiedzieć, że Vixen

03 i jego załoga byli nosicielami.

–Nosicielami?

–Nosicielami plagi – odparł Bass. – Te pojemniki zawierają pewną substancję biologiczną – ”Dzień Sądu Ostatecznego”.

Kiedy Pitt zrozumiał potworność słów Bassa, zaległa między nimi męcząca cisza.

–Z pańskiego wyrazu twarzy wnioskuję, że jest pan wstrząśnięty – powiedział

Bass.

–Śmiercionośna biologiczna substancja – powtórzył cicho Pitt. – Jest w tym coś przerażająco nieodwołalnego.

–Celne określenie, zapewniam pana – odrzekł Bass. Właściwa nazwa biochemiczna robiła duże wrażenie. Trzydziestoliterowe słowo, którego nie można było wymówić. Chociaż z drugiej strony nazwa wojskowa była krótka i słodka.

Nazywaliśmy to zwyczajnie QD, czyli "szybka śmierć".

–Mówi pan o tym QD w czasie przeszłym.

Admirał bezradnie rozłożył ręce.

–Siła przyzwyczajenia. Do chwili pańskiego odnalezienia Vixen 03 sądziłem, że już nie istnieje.

–A co to dokładnie było?

–QD był ostatnim środkiem wyrafinowanego wojskowego uzbrojenia. Trzydzieści pięć lat temu mikrobiolog John Vetterly stworzył sztuczną formę życia.

Wywoływała ona

pewien łańcuch chorobowy, który był i nadal jest nieznaną. Najkrócej ujmując, niewykrywalny, nie dający się zidentyfikować czynnik bakteriologiczny, mogący uczynić

niezdolnym do życia zwierzę lub człowieka w ciągu kilkunastu sekund, niszcząc czynności

życiowe organizmu, i spowodować śmierć w ciągu trzech do pięciu minut.

–A czy gaz paraliżujący nie wywołuje tego samego skutku?

–Owszem, ale w idealnych warunkach. Wiatr, burza czy ekstremalne temperatury mogą rozrzedzić śmiertelną dawkę czynnika toksycznego, rozpylanego na dużych obszarach. Natomiast QD nie reaguje na pogodę i wywołuje miejscową, trwałą plagę.

–Ale przecież żyjemy w dwudziestym wieku. Z całą pewnością epidemie daje się opanować.

–Owszem, jeżeli mikroorganizmy można wykryć i zidentyfikować. W większości przypadków odkażanie, szczepienia i antybiotyki spowalniają lub powstrzymują szalejącą epidemię. Ale nic na tej ziemi nie było w stanie powstrzymać QD.

–Jak wobec tego załadowano to do samolotu w samym środku Stanów Zjednoczonych? – domagał się wyjaśnień Pitt.

–To proste. Przez ponad dwadzieścia lat zakłady w Górach Skalistych w pobliżu Denver były głównym producentem broni chemicznej i biologicznej.

Pitt milczał, pozwalając staruszkowi mówić dalej. Bass nie widzącymi oczami patrzył na panoramę miasta.

–Marzec pięćdziesiątego czwartego – powiedział, gdy w myślach zaczął wracać do

dawno zapomnianych wydarzeń. – Bomba atomowa miała eksplodować na Bikini. Powierzono mi dowództwo nad próbami QD, ponieważ doktora Vetterly'ego

finansowała

marynarka, a na dodatek ja byłem ekspertem od artylerii morskiej. Uważałem, że logicznie

byłoby przeprowadzić taki eksperyment w zamieszaniu wywołanym wybuchem jądrowym.

Kiedy świat zajmował się głównym wydarzeniem, my chcieliśmy przeprowadzić nasze próby

na wyspie Rongelo, sześćset kilometrów na północny wschód, i nikt by tego nie zauważył.

–Rongelo – powtórzył wolno Pitt. – Miejsce przeznaczenia Vixen 03.

Bass skinął głową.

–Jałowa, biała wysepka koralowa, wystająca z wody w środku oceanu. Nawet ptaki stronią od tego miejsca. – Bass przerwał, by zmienić pozycję na ławce. – Zaplanowałem dwie serie prób. Pierwszą było rozpylenie nad atolem niewielkiej ilości QD w postaci aerozolu. Za drugim razem mieliśmy wykorzystać okręt wojenny "Wisconsin". Stojąc trzydzieści kilometrów dalej, miał wystrzelić z głównej baterii pocisk zawierający QD. Ta próba nigdy nie miała miejsca.

–Major Vylander nie dowiózł towaru – domniemywał Pitt.

–Tak, pocisków nafaszerowanych QD – przyznał Bass.

–Mógł pan przecież zamówić następną dostawę.

–Mogłem – zgodził się Bass. – Ale prawdziwym powodem wstrzymania prób było to, co stwierdziliśmy po rozpyleniu pierwszej dawki. Rezultaty były straszne i wszystkich wtajemniczonych napełniły grozą.

–Mówi pan tak, jakby wyspa została spustoszona.

–Na oko nic się nie zmieniło – ledwie dosłyszalnym głosem wyjaśnił Bass. – Białe piasek plaży, nieliczne palmy... wszystko było na swoim miejscu. Oczywiście zwierzęta, które umieściliśmy na wyspie na czas prób, padły. Nalegałem, żeby poczekać dwa tygodnie i dopiero potem pozwolić naukowcom zbadać wyniki próby. Doktor Vetterly i trzech jego pomocników wylądowali na plaży w pełnych strojach zabezpieczających i z aparatami tlenowymi. Po siedemnastu minutach wszyscy już nie żyli.

Pitt z trudem się opanował.

–Jak to możliwe?

–Doktor Vetterly nie docenił swojego własnego odkrycia. Wraz z upływem czasu potencjał innych czynników maleje, a tymczasem QD nabiera coraz więcej śmiertelności

mocy. Niestety, nigdy nie mogliśmy stwierdzić, jakim sposobem środek ten przedostał się przez ubrania ochronne.

–Czy zabraliście stamtąd ciała?

–Nie, ciągle tam leżą – odparł Bass ze smutkiem w oczach. – Widzi pan, panie Pitt, okropna siła QD to dopiero połowa tragedii, Najstraszniejszą cechą tego środka jest wyjątkowa żywotność. Stwierdziliśmy później, że jego formy przetrwalnikowe, niezwykle trwałe, przedostają się do gruntu, a w przypadku Rongelo w głąb

korallowca, i mogą przeżyć zadziwiająco długi czas.

–Wydaje się niewiarygodne, że po trzydziestu czterech latach nikt nie może bezpiecznie wylądować na tej wyspie i zabrać z niej szczątków Vetterly’ego.

Głos Bassa wskazywał, że admirał źle się poczuł.

–Nie sposób przewidzieć konkretnej daty – mruknął – ale oceniliśmy, że w najlepszym

razie człowiek nie będzie mógł postawić nogi na Rongelo przez następne trzysta lat.

Fawkes, pochylony nad stołem nawigacyjnym, przeglądał plany i robił ołówkiem notatki. Po bokach stało dwóch potężnych, muskularnych mężczyzn. Spod kapeluszy widać było ich opalone i zamyślane twarze.

–Ta jednostka ma być wypatroszona, każdy przedział, każdy kawałek niepotrzebnej

rury i przewodów elektrycznych, nawet przegrody.

Mężczyzna z lewej strony Fawkesa prychnął szyderczo:

–Czyś pan z byka spadł, kapitanie? Po wycięciu przegród statek złamie się, gdy tylko

fala będzie większa niż na sadzawce w parku.

–Dugan ma rację – powiedział drugi. – Tych rozmiarów jednostki nie można wybebeszyć, nie naruszając jednocześnie najważniejszych elementów konstrukcji.

–Pilnie słucham waszych uwag, panowie – odparł Fawkes. – Ale żeby mógł pływać w małym zanurzeniu, trzeba go odchudzić o czterdzieści procent.

–Nigdy nie słyszałem, żeby wyrzucać ze statku wszystko tylko po to, by mniej zanurzał się w wodzie – powiedział Dugan. – Po co to wszystko robić?

–Możecie wyciąć osłony i usunąć maszyny pomocnicze – dodał Fawkes, ignorując pytanie Dugana. – Jak już się z tym uporacie, zajmiecie się demontażem wieżyczek.

–Chyba nie sądzi pan, kapitanie, że potraktuję to poważnie – rzucił Lou Metz, szef doku. – Pan żąda od nas zrujnowania tego, co kiedyś było cholernie porządnym statkiem.

–Zgadza się, to był dobry statek – przyznał Fawkes. – Uważam, że ciągle taki jest. Tylko że jego czas już minął. Wasz rząd sprzedał go na złom, a Afrykańska Armia Rewolucyjna zakupiła do pewnego konkretnego przedsięwzięcia.

–A to już co innego, i też nas wkurza – powiedział Dugan. – Zawracać nam tyłek, żeby jakaś banda czarnuchów mogła zabijać białych.

Fawkes odłożył ołówek i spojrzał na Dugana piorunującym wzrokiem.

–Coś mi się zdaje, że wy tu w ogóle nie rozumiecie ekonomicznego aspektu tej sprawy – stwierdził. – To, co AAR robi ze statkiem, kiedy wypłynie z doku, nie ma żadnego

związku z waszą radykalną filozofią. Ważne jest to, że oni płacą mi, wam i waszym ludziom,

których, o ile mnie pamięć nie myli, jest stu siedemdziesięciu. Jeżeli jednak będziecie

nalegali, to z przyjemnością przekażę wasze odczucia ludziom dysponującym pieniędzmi

AAR. Jestem przekonany, że znajdą inną stocznię, która okaże więcej chęci do współpracy.

Szkoda by było, zwłaszcza że w tej chwili to jest wasz jedyny kontrakt. Bez niego wszystkich

stu siedemdziesięciu pracowników należałoby zwolnić. Sądzę, że wasze obiekcje,

przez które będą musieli wylecieć na bruk, nie spodobają się ich rodzinom.

Dugan i Metz wymienili złe, zrezygnowane spojrzenia. Metz unikał wzroku Fawkesa i ponuro wpatrywał się w plany.

–No dobrze, kapitanie. To pan stawia warunki.

W skromnym uśmiechu Fawkesa odzwierciedlała się pewność siebie, jakiej nabrał przez długie lata dowodzenia ludźmi.

–Dziękuję, panowie. Czy możemy kontynuować, skoro już oczyściliśmy atmosferę z

nieporozumień?

Po godzinie dwaj pracownicy stoczni opuścili mostek i zeszli na główny pokład statku.

–Nie mogę uwierzyć w to, co usłyszałem – mruknął drętwo Metz. – Czy ten rąbnięty Szkot naprawdę kazał nam usunąć połowę nadbudówki, kominy, przednią i tylną wieżyczkę i zastąpić je pomalowanymi na szaro atrapami ze sklejki?

–Tak właśnie powiedział – odrzekł Dugan. – On chyba myśli, że usuwając to wszystko zdoła zdjąć ze statku piętnaście tysięcy ton wagi.

–W takim razie po co te atrapy?

–Żebym to ja wiedział. Może razem ze swoimi czarnymi kumplami chce na śmierć zablokować marynarkę Afryki Południowej?

–A to co innego – odparł Metz. – Gdybyś ty kupił statek i chciał go wykorzystać w jakiejś wojnie, to czy nie starałbyś się zachować wszystkiego w tajemnicy? Uważam, że oni chcą rozwalić Kapsztad w drobny mak.

–Drewnianymi działami? – burknął Dugan.

–Chciałbym móc powiedzieć temu przerośniętemu draniowi, żeby zabrał swój kontrakt i wetknął go sobie w tyłek – sapnął Metz.

–Ale nie możesz, trzyma nas w garści. – Dugan odwrócił się i popatrzył na niewyraźną postać za oknami mostka. – Nie uważasz, że on kwalifikuje się do kaftana bezpieczeństwa?

–Myślisz, że jest szurnięty?

–Pewnie.

–Może i jest narwany, ale wie, co robi, i właśnie to mnie najbardziej wkurza.

–A co, twoim zdaniem, ta AAR chce naprawdę zrobić, kiedy już przeprowadzi okręt do Afryki?

–Założę się, że on nigdy nie dopłynie do portu – powiedział Metz. – Jak wyrwiemy mu wszystkie bebechy, zrobi się tak niestabilny, że wywróci się do góry dnem przed wypłynięciem z zatoki Chesapeake.

Dugan przysiadł na masywnym kabestanie i spojrzał wzdłuż kadłuba. Potężna masa stali robiła wrażenie zimnej i wrogiej. Wydawało się, że wstrzymuje oddech, czekając na rozkaz uwolnienia swojej strasznej mocy. To wszystko śmierdzi stwierdził w końcu Dugan. Mam tylko nadzieję, że nie robimy niczego, czego moglibyśmy później żałować.

Fawkes sprawdził oznaczenia na wymiętych mapach nawigacyjnych.

Najpierw przekalkulował prędkość i zmiany prądu, potem ewentualne warunki

podczas przyływu. Zadowolony z uzyskanych wyników, mila po mili prześledził drogę do celu. Przyglądał się każdej boi na kanale i każdemu znacznikowi odległości. W końcu zapamiętał ich kolejność.

Stojące przed nim zadanie zdawało się niewykonalne. Nawet po przeanalizowaniu każdej przeszkody i skutecznego jej pokonania zostało jeszcze tak wiele zmiennych czynników, że trzeba było polegać na szczęściu i przypadku. Nie można było przewidzieć pogody z tak dużym wyprzedzeniem. Należało również brać pod uwagę możliwość kolizji z inną jednostką. Fawkes nie lekceważył żadnej z tych niewiadomych, a mimo to nie dopuszczał do siebie myśli o zdemaskowaniu lub udaremnieniu akcji. Przygotował się nawet do zignorowania ewentualnych zmian decyzji De Vaala, który przecież mógł wszystko odwołać.

Dziesięć minut przed północą Fawkes zdjął okulary i potarł zmęczone oczy. Wyjął z kieszeni zdjęcie oprawione w ramkę i popatrzył na twarze swoich bliskich, którzy dawno już odeszli. Potem westchnął i postawił fotografię na stoliczku obok przyniesionej do sterówki koi.

Przez pierwszy tydzień spał w kabinie kapitańskiej, ale teraz nie było już w niej wygodnych urządzeń: meble, sprzęty, nawet przegrody, które niegdyś otaczały kabinę, zostały zdemontowane.

Fawkes rozebrał się, wsunął swe potężne ciało do śpiwora, ostatni raz spojrzął na fotografię, po czym zgasił lampę i zapadł się w ciemność swojej samotności i niegasnącej nienawiści.

De Vaal obracał papierosa w swych szczupłych palcach.

–Czy sądzisz, że Fawkes zdąży na czas?

–Jeden z moich ludzi donosi, że goni robotników niczym sadysta – odparł Zeegler. – Uważam zatem, że nasz dobry kapitan rozpocznie akcję "Dzika róża" w wyznaczonym terminie.

–Co z jego czarną załogą?

–Znajduje się pod ochroną na frachtowcu zakotwiczonym w pobliżu jednej z wysp Azorów. – Zeegler usiadł naprzeciwko De Vaala i mówił dalej: – Kiedy wszystko będzie gotowe, załoga zostanie przerzucona na statek Fawkesa.

–Czy ci ludzie będą wiedzieli o prawdziwym celu akcji?

–Na frachtowcu prowadzone są ćwiczenia. Kiedy Fawkes rzuci cumy, każdy z nich będzie znał swoje zadanie.

–Co im powiedziano?

–Są przekonani, że zostali zwerbowani, by wyprowadzić statek w morze w celu przeprowadzenia prób przed rejssem do Kapsztadu.

De Vaal przez chwilę siedział zamyślony.

–Szkoda, że nie możemy mieć Lusany jako pasażera.

–Taka możliwość istnieje – odparł Zeegler. De Vaal podniósł wzrok.

–Mówisz poważnie?

–Moje źródła podają, że wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Śledzenie go w Afryce i

poznanie planu podróży jest praktycznie niemożliwe. Właściwie może się wymknąć z

kontynentu nie zauważony. Jednak nie może przyjechać do USA, nie pokazując się

publicznie. A kiedy będzie opuszczał Stany Zjednoczone, ja będę na niego czekał.

–Urowadzenie. – De Vaal wymówił to słowo bardzo wolno, z zadowoleniem akcentując każdą sylabę. – Oto dodatek, dzięki któremu operacja "Dzika róża" na pewno się powiedzie.

Liniowiec mozambickich linii lotniczych BEZA skręcił z głównego pasa startowego na rzadko używany odcinek drogi do kołowania i pochylił nos, gdy pilot uruchomił hamulce. Otworzyła się kłapa wjazdu. Z ciemności wynurzył się pracownik obsługi bagażowej ubrany w biały kombinezon i czerwoną czapkę i przystawił do kadłuba aluminiową drabinkę. W wewnętrznym świetle samolotu ukazała się jakaś postać, rzuciła pracownikowi na dole walizkę i zeszła po drabince. Potem kłapa zamknęła się, drabinkę zabrano. Silniki znowu głośniej ryknęły i samolot zaczął kołować w stronę międzynarodowego terminalu Dullesa.

Obyło się bez słów, kiedy bagażowy podał obcemu pasażerowi drugi kombinezon, a ten szybko go włożył. Obaj wsiedli na niewielki ciągnik z czterema pustymi wózkami bagażowymi i skierowali się w stronę obsługowej części lotniska. Po kilku

minutach krążenia wśród stojących samolotów ciągnik podjechał do mocno oświetlonej bramy. Strażnik wychylił się, ale poznając kierowcę ziewnął szeroko i przepuścił ich machnięciem ręki. Bagażowy odpowiedział tym samym gestem i pojechał na parking dla pracowników. Zatrzymał się przy granatowej limuzynie, której kierowca trzymał otwarte drzwi. Ciągłe milcząc, człowiek z samolotu usiadł na tylnym siedzeniu. Szofer wziął walizkę i zaniósł do bagażnika. Bagażowy ruszył swoją pustą karawaną w kierunku terminalu towarowego.

Dopiero kiedy samochód znalazł się w granicach Georgetown, Lusana odprężył się i zdjął z siebie kombinezon. W minionych latach przyjeżdżał do Stanów jak każdy inny obywatel zza oceanu. Było tak aż do chwili, gdy południowoafrykańskie Ministerstwo Obrony zaczęło się nim poważnie interesować. Obawy Lusany przed zamachem były w pełni uzasadnione. Z poczuciem ulgi obserwował, jak kierowca zatrzymuje samochód przed domem, w którego oknach na parterze paliło się światło. Ktoś przynajmniej był w domu.

Szofer zaniósł walizkę pod drzwi i cicho odjechał. Przez otwarte okna dobiegały dźwięki telewizora. Lusana nacisnął guzik dzwonka.

Zapaliło się zewnętrzne światło, a znajomy głos powiedział:

–Kto tam?

Wszedł w światło, tak że oświetliło mu twarz.

–To ja, Felicjo.

–Hiram? – spytała oszołomiona.

–Tak.

Drzwi otworzyły się wolno. Felicja była ubrana w zwiewną, seksowną szyfonową bluzkę i długą, lejącą się dżersejową spódnicę. Włosy miała związane chustką. Stała bez

ruchu, uważnie mu się przyglądając. Chciała powiedzieć coś stosownie mądrego, lecz nic nie przychodziło jej do głowy. Wydukała tylko:

–Wejdz.

Hiram wszedł do środka i postawił walizkę.

–Pomyślałem, że może tu będziesz – powiedział.

Spojrzenie jej ciemnych oczu szybko zmieniło się z zaskoczonego na spokojne.

–Przybywasz w samą porę. Właśnie wróciłam z Hollywood. Nagrałam nowy album

i

miałam próby do nowego serialu telewizyjnego.

–Ciesz się, że u ciebie wszystko dobrze idzie. Popatrzyła mu w twarz.

–Nigdy nie powinieneś być wysyłać mnie razem z Frederickiem.

–Jeżeli polepszy ci to samopoczucie, powiem, że często żałowałam tamtej

pochopej

decyzji.

–Mogłabym wrócić z tobą do Afryki. Pokręcił smutno głową.

–Kiedyś może tak, ale nie teraz. Tutaj więcej możesz zrobić dla naszej sprawy.

Odwrócili się jednocześnie, kiedy z salonu wyszedł Frederick Daggat, ubrany w szlafrok.

–Mój Boże, generał Lusana! Wydawało mi się, że poznałem pana głos. – Spojrzał na walizkę i jego twarz od razu spochmurniała. – Nie uprzedzono nas, że pan przyjeżdża. Czy są jakieś kłopoty? Lusana uśmiechnął się kwaśno.

–Świat nie jest bezpieczny dla rewolucjonistów. Uznałem, że powinienem przyjechać do Ziemi Wolnych Ludzi niepostrzeżenie.

–Ale linie lotnicze... urząd celny... ktoś musiał mieć informacje o pańskim przyjeździe. Lusana pokręcił głową.

–Podczas lotu z Afryki siedziałem w kabinie pilota. Zorganizowałem wszystko tak, by wysiąść z samolotu tuż po wylądowaniu i ominąć terminal Dullesa.

–Mamy prawa, które nie pozwalają na nielegalny wjazd do kraju.

–Ja jestem obywatelem tego kraju, więc co za różnica? Daggat położył dłonie na ramionach Lusany, lecz wyraz jego twarzy złagodniał.

–Jak będzie jakieś zamieszanie, moi ludzie się tym zajmą. Jest pan tutaj, i to się liczy najbardziej.

–Ale po co cały ten podstęp? – spytała Felicja.

–Istnieje ważny powód – powiedział zimno Lusana. – Mój wywiad zdobył pewną delikatną informację, której wykorzystanie może się okazać niezwykle kłopotliwe dla mniejszościowego rządu białych w Afryce Południowej.

–To poważne oskarżenie – stwierdził Daggat.

–To poważne zagrożenie – odparował Lusana.

W oczach Daggata pojawił się błysk zmieszania i ciekawości. Wskazał głową salon.

–Proszę wejść i usiąść, generale. Mamy wiele do omówienia.

–Za każdym razem, kiedy na ciebie patrzę, mam wrażenie, że spoglądam na starą fotografię. Ty w ogóle się nie zmieniasz. Felicja odwzajemniła pełne podziwu spojrzenie Loren.

–Komplement wypowiediany przez kobietę to prawdziwy komplement. – Leniwie poruszyła łód w szklance. – To zadziwiające, jak ten czas leci. Kiedy to było? Trzy czy cztery lata temu?

–Ostatni bal z okazji wyboru prezydenta.

–Przypominam sobie – powiedziała Felicja uśmiechając się. – Poszliśmy potem do tej knajpki nad rzeką i nieźle się zaprawiliśmy. Ty byłaś z takim wysokim smutasem o oczach spaniela.

–Z kongresmanem Louisem Carnadym. W następnych wyborach przegrał.

–Biedny Louis. – Felicja przypaliła papierosa. – Ja umówiłam się z Hiramem Lusana.

–Wiem.

–Rozstaliśmy się w zeszłym miesiącu w Afryce. – Felicja mówiła dalej, jakby Loren w ogóle się nie odezwała. – Zastanawiam się, czy nie zmarnowałam swojego życia. Gonitwa za każdą pojawiającą się wolnościową ideą, przyłączanie się do każdego, kto obiecuje zbawienie ludzkości.

Loren dała znak kelnerce, by przyniosła jeszcze dwa drinki.

–Nie możesz mieć do siebie pretensji za to, że ufasz ludziom.

–Na dodatek nie mam się czym chwalić. Do czegokolwiek się podłączałam, zawsze musiałam coś sknocić.

–Nie chciałabym wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale czy ty i Lusana nie zgadzaliście się w sprawach osobistych, czy może chodziło o kwestie polityczne?

–Czysto osobiste – odrzekła Felicja. Poczowała zdenerwowanie, gdyż Loren coraz bardziej zbliżała się do przynęty. – Przestałam mieć dla niego znaczenie. Jediną jego miłością

stała się walka. Na początku myślałam, że darzy mnie głębszym uczuciem, ale gdy walka się wzmogła i Hiram miał coraz więcej obowiązków, odsunął się ode mnie. Teraz wiem, że dawałam mu wszystko, czego kiedykolwiek zażądał. Traktował mnie jak jednego ze swoich żołnierzy, których można stracić na polu walki.

Loren spostrzegła, że do oczu Felicji napływają łzy.

–Musisz go bardzo nienawidzić.

Felicja podniosła wzrok, zdziwiona.

–Nienawidzić Hiram? Ależ nie, nie rozumiesz tego. Byłam wobec niego niesprawiedliwa. Pozwoliłam, by między nami stanęły moje własne pragnienia.

Powinnam

była okazać więcej cierpliwości. Być może spojrzy na mnie inaczej, kiedy jego walka o

przekazanie czarnym władzy w Afryce Południowej zakończy się zwycięstwem.

–Na twoim miejscu za bardzo bym na to nie liczyła. Znam jego życiorys. Lusana wykorzystuje swoich ludzi, tak jak my wszyscy wykorzystujemy pastę do zębów.

Wyciska

każdą tubkę, a gdy już jest pusta – zwyczajnie wyrzuca.

Twarz Felicji przybrała gniewny wyraz.

–Widzisz w Hiramie tylko to, co chcesz widzieć. Tymczasem w nim dobro przeważa

nad złem.

Loren westchnęła i odchyliła się, gdy kelnerka przyniosła drugą kolejkę.

–To niedobrze, kiedy przyjaciółki spierają się po tylu latach rozłąki – powiedziała cicho. – Zmieńmy temat.

–Zgoda – odparła Felicja i jej nastrój od razu się zmienił. – Co u ciebie, Loren?

Czy w twoim życiu jest jakiś mężczyzna?

–Aktualnie dwóch.

Felicja roześmiała się.

–To znana waszyngtońska plotka: jednym jest Phil Sawyer, sekretarz prasowy prezydenta. A kim jest ten drugi?

–Dyrektorem w NUMA. Nazywa się Dirk Pitt.

–Czy któregoś z nich traktujesz poważnie?

–Phil jest typem mężczyzny, za którego wychodzi się za męż. Lojalny, czuły, stawia cię na połączanym piedestale i chce, żebyś była matką jego dzieci.

–To brzmi niezwykle zachęcająco. A ten Pitt?

–Dirk? Prawdziwie zwierzęca siła. On niczego nie żąda. Przychodzi i odchodzi, kiedy chce. Dirka żadna kobieta nigdy naprawdę nie posiadzie, ale mimo to zawsze się zjawia w

chwili, gdy najbardziej go potrzebujesz. Kochanek, który doprowadzi cię do szaleństwa, ale nie zostanie na tyle długo, by się przy nim zestarzeć.

–Ten jest raczej w moim typie. Podeślij mi go, gdy wasz związek się rozpadnie. –

Felicja wypła łyk swego drinka. – To chyba dość śliski układ, kiedy z jednej strony udaje się

niewinną przed wyborcami, a z drugiej, na boku, ma się kochanka?

Na policzki Loren wystąpił rumieniec.

–To rzeczywiście jest trudne – przyznała. – Nigdy nie byłam dobrą intrygantką.

–Możesz nie zwracać uwagi na to, co myślą inni. W dzisiejszych czasach większość kobiet tak robi.

–Większość kobiet nie reprezentuje wyborców w Kongresie.

–Stara zasada podwójnej gry. Członek Kongresu może sobie pozwalać na wszystko, dopóki to nie ma wpływu na wydatki.

–Smutne, ale prawdziwe – odrzekła Loren. – Ja reprezentuję właściwie wiejski okręg. Moi wyborcy ciągle wierzą w katalog wysyłkowy Searsa, piwo Coors i Jedenaście Przykazań.

–A jak brzmi to jedenaste?

–Członkini Kongresu nie może się puszczać na prawo i lewo, jeśli chce wygrać następne wybory.

–Gdzie się spotykasz z tym Pittem?

–Ponieważ nie mogę sobie pozwolić, by mojego mężczyznę widziano, jak wychodzi ode mnie razem z mleczarzem, spotykamy się u niego lub wyjeżdżamy do jakiegoś niezbyt odległego wiejskiego zajazdu.

–To brzmi jak romans w drodze do pracy.

–Mówiłam ci już, że to niełatwe.

–Jeśli o to chodzi, to chyba mogłabym ci pomóc. Loren spojrzała zdziwiona na Felicję.

–Jak?

Felicja poszperała w torebce i wyjęła klucz. Wcisnęła go w dłoń Loren.

–Proszę, weź go. Adres jest na wisiorku.

–Po co mi to?

–Sypialnia, którą wynajęłam w Arlington. Jest do twojej dyspozycji zawsze, kiedy najdzie cię ochota.

–A co z tobą? Nie podejrzewam, żebyś wyprowadzała się na pięć minut przed moim przyjazdem.

–Nie będziesz mi się narzucać – odparła Felicja uśmiechając się. – Jestem gościem w

domu pewnego gogusia po drugiej stronie miasta. Tylko już nie protestuj, dobrze?

Loren przyjrzała się kluczowi.

–Boże! Czuję się jak dziwka.

Felicja wyciągnęła rękę i zacisnęła dłoń Loren na kluczu.

–Jeżeli samo myślenie na ten temat napawa cię lekko obscenicznym uczuciem, to lepiej przekonaj się, jakie wrażenie zrobi na tobie sypialenka na piętrze.

–Co pan o tym sądzi? – spytał siedzący przy biurku Daggat.

Hiram Lusana stał po drugiej stronie pokoju i z niepokojem na twarzy pochylał się nad krzesłem z wysokim oparciem. Dale Jarvis, dyrektor Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, zastanowił się przez chwilę. Miał przyjazną twarz i krótko przycięte brązowe włosy z wyraźnymi pasmami siwizny. Był ubrany w tweedowy garnitur i duży, wymięty czerwony krawat.

–Uważam, że operacja "Dzika róża" to tylko zagrywka.

–Zagrywka?! – sapnął Lusana. – Bzdura!

–Niekoniecznie – odparł spokojnie Jarvis. – W każdym kraju o rozwiniętym potencjale militarnym istnieje departament opracowujący tak zwane gry wojenne. Są to strategiczne i taktyczne scenariusze ewentualnych konfliktów, dalece przekraczające granice wszelkiego prawdopodobieństwa, w których opracowuje się sposoby walki w różnych nie przewidzianych okolicznościach. Potem odkłada się je na półkę, lecz gdyby nadszedł taki nieoczekiwany dzień, zostałyby odkurzone i wprowadzone w życie.

–Taka jest pańska opinia o "Dzikiej róży"? – spytał jadownicie Lusana.

–Tak, ponieważ nie znam wszystkich szczegółów. Śmiem twierdzić, że południowoafrykańskie Ministerstwo Obrony ma takie plany na wypadek ewentualnych

ruchów powstańczych w połowie krajów tego świata.

–Pan naprawdę w to wierzy?

–Jak najbardziej – stwierdził stanowczo Jarvis. – Proszę zachować to dla siebie, ale nasz rząd też posiada podobne, najdziksze scenariusze, jakie kiedykolwiek wymyślił człowiek i komputer: plany opanowania każdego narodu na świecie, w tym również naszych przyjaciół; szczegóły detonowania bomb atomowych w gettach na wypadek powstań mniejszości narodowych; bitewne plany oparcia się inwazjom z Meksyku i Kanady. Spośród dziesięciu tysięcy takich założeń żadne nigdy nie będzie wykorzystane, ale istnieje i czeka, tak na wszelki wypadek.

–Ubezpieczenie – powiedział Daggat. Jarvis skinął głową.

–Zabezpieczenie przed tym, co nie do pomyślenia.

–I co, myśli pan, że to już wszystko?! – wybuchnął Lusana. – Mamy uznać operację

"Dzika róża" za sen wariata?

–Obawiam się, generale, że zbyt poważnie potraktował pan tę sprawę. – Jarvis usiadł,

nie wzruszony wybuchem Lusany. – Musi pan spojrzeć prawdzie w oczy. Jak mawiał mój

dziadek – kupił pan kota w worku.

–Nie przyjmuję tego do wiadomości – upierał się Lusana.

Jarvis zdjął okulary i schował do etui.

–Oczywiście, wolno panu zasięgnąć opinii innych organizacji wywiadowczych, ale sądzę, a jestem tego prawie pewien, iż "Dzika róża" spotka się z takim samym

przyjęciem, gdziekolwiek pan ją zaprezentuje.

–Domagam się sprawdzenia, czy De Vaal ma zamiar urzeczywistnić tę akcję! – krzyknął Lusana.

Opanowując wzbierający gniew, Jarvis wstał, zapiął marynarkę i zwrócił się do Daggata:

–Kongresmanie, zechce mi pan wybaczyć, ale muszę już wracać do biura.

–Rozumiem – odparł Daggat. Wyszedł zza biurka i wziął Jarvisa pod ramię. – Odprowadzę pana do windy.

Jarvis skinął Lusanie, zmuszając się dyplomatycznie do przyjacielskiego uśmiechu.

–Generale?

Lusana drżąc stał z mocno zaciśniętymi pięściami i milczał. Odwrócił się i wyjrzał przez okno.

Gdy tylko wyszli na korytarz, Daggat odezwał się do Jarvisa:

–Przepraszam pana za tak gwałtowne zachowanie generała. Musi pan jednak zrozumieć, że w ostatnich miesiącach żył w ciągłym napięciu. Ponadto odbył wczoraj długi

lot z Mozambiku.

–Monotonia lotu odrzutowcem rozdrażnia ludzi. – Jarvis uniósł jedną brew. – A może

ma wyrzuty sumienia z powodu wejścia tylnymi drzwiami?

Daggat zwilżył wyschnięte wargi.

–Pan wie?

Jarvis uśmiechnął się przyjacielsko.

–To rutyna. Proszę się nie martwić, kongresmanie. Naszym zadaniem jest pilnowanie

ludzi pokroju generała. Narodowa Agencja Bezpieczeństwa nie zajmuje się ściganiem

przestępstw cywilnych. Poza tym niewiedza w tym przypadku w niczym wydziałowi

imigracji nie zaszkodzi. Chciałbym jednak udzielić panu pewnej rady: na pańskim miejscu

nie pozwoliłbym, żeby generał zbyt długo kręcił się po Waszyngtonie. Bliskie stosunki ze

znany radykalnym rewolucjonistą mogą okazać się niewygodne dla człowieka o pańskiej reputacji.

–Generał Lusana nie jest radykałem.

Jarvis wzruszył ramionami, bo odpowiedź Daggata nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

–To się dopiero okaże.

Nad wejściem do windy zapaliło się czerwone światelko ze strzałką w dół. Jarvis zaczął się odwracać.

–I jeszcze jedno – powiedział Daggat. – Proszę o przysługę. Zadzwięczał dzwonek

i drzwi się rozsunęły. Winda była pusta.

–Jeżeli tylko będę mógł – powiedział Jarvis, przenosząc wzrok z Daggata na swoją jedyną drogę ucieczki.

–Proszę sprawdzić operację "Dzika róża". Nie domagam się maksimum wysiłków ze strony pańskich ludzi – wyznał Daggat, po czym pośpiesznie dodał: – Tylko kilka testów, które potwierdzą lub odrzucą ostatecznie możliwość tej akcji.

Drzwi zaczęły się zamykać. Jarvis wysunął stopę i przytrzymał je, nie wchodząc do środka.

–Ale ostrzegam pana, kongresmanie, że to, czego się dowiemy, może się panu nie spodobać.

Po chwili drzwi zamknęły się i Jarvis zniknął.

Była dziesiąta, kiedy Daggat się ocknął. Był sam w swoim gabinecie. Pracownicy już dawno poszli do domu. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że przespał prawie godzinę. Potarł oczy i przeciągnął się, po czym usłyszał, że zewnętrzne drzwi biura otwierają się i zamykają. Nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, kto przyszedł, myśląc, że to sprzątaczką.

Dopiero wtedy, gdy nie dobiegły do niego znane odgłosy opróżniania śmietniczek i szumu odkurzaczy, zrozumiał, że to ktoś inny.

Felicja Collins opierała się niebale o framugę drzwi, milcząc i patrząc prosto na Daggata.

Przypomniał sobie o czymś, wstał i zrobił przeproszający gest.

–Wybacz mi, ale straciłem poczucie czasu. Zupełnie zapomniałem, że umówiliśmy się

na kolację.

–Zapomniałeś – powtórzyła.

Sięgnął po płaszcz.

–Pewnie umierasz z głodu.

–Po czwartym martini głód przestaje dokuczać. – Rozejrzała się po gabinecie. – Rozumiem, że razem z Hiramem miałeś tu jakąś konferencję.

–Tego popołudnia przekazałem go Departamentowi Stanu. Traktują go zwyczajnie, jak czwartej kategorii zagranicznego dygnitarza.

–Czy to bezpieczne, by pokazywał się publicznie?

–Dopilnowałem, żeby przydzielono mu całodobową ochronę.

–Nie jest już zatem naszym gościem.

–Nie, ma apartament w "Mayflower", dzięki grzeczności naszego rządu.

Felicja przeciągnęła swoje wspaniałe ciało i wpłynęła do gabinetu.

–Przy okazji – zjadłam lunch z Loren Smith. Zwierzyła mi się ze swojego życia seksualnego.

–Połknęła haczyk?

–Jeżeli masz na myśli klucz do twojej garsoniery w Arlington, odpowiedź brzmi – tak. Wziął ją w ramiona, patrząc łagodnie, ale nie bez zadowolenia.

–Nie pożałujesz, Felicjo. Z tego może wyniknąć tylko samo dobro.

–Spróbuj to powiedzieć Loren Smith – odrzekła odwracając się. Daggat puścił ją.

–Czy wymieniła jakieś nazwiska?

–Podejrzewam, że zachęca do małżeństwa Phila Sawyera, a jednocześnie, na boku puszcza się z pewnym facetem z NUMA.

–Mówiła ci, z którym?

–Nazywa się Dirk Pitt. – Daggat zrobił wielkie oczy. – Powiedziałaś Dirk Pitt? Przytaknęła.

Daggat wysiłał umysł, by uzyskane informacje powiązać w całość, po czym znalazł rozwiązanie.

–Niech to wszyscy diabli! To doskonale!

–O czym ty mówisz?

–O szanowanym senatorze z Kalifornii, George’u Pitcie. Nie skojarzyłaś tego? Członkini Kongresu Niewinna Smith zadaje się z synem senatora.

Felicja zadrżała, przejęta dreszczem.

–Na Boga, Fredericku, zapomnij o tym głupim zamiarze, zanim wymknie ci się z rąk.

–Nie sędzę, by się tak stało – odparł Daggat, uśmiechając się złowieszczo. – Robię to, co uważam za najlepsze dla tego kraju.

–Chciałaś chyba powiedzieć, że robisz to, co jest najlepsze dla Fredericka Daggata.

Wziął ją za rękę i poprowadził do gabinetu.

–Kiedy będziesz miała czas to przemyśleć, zrozumiesz, że miałem rację. –

Wyłączył

światło. – A teraz może byśmy coś zjedli, a potem przygotowali miłosne gniazdko Loren

Smith na jej pierwszą i ostatnią wizytę.

Admirał James Sandecker był niskim, bardzo energicznym człowiekiem o rudych włosach. Zmuszony do przejścia na emeryturę i zakończenia kariery w marynarce wojennej, wykorzystał swoje znaczne wpływy w Kongresie, by objąć stanowisko dyrektora rozwijającej się wówczas Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

Był to związek, który musiał zrodzić sukces. Sandecker przejął agencję zatrudniającą siedemdziesiąt osób i w ciągu siedmiu lat zmienił ją w potężną organizację z pięcioma tysiącami naukowców i innych pracowników oraz rocznym budżetem przekraczającym czterysta milionów dolarów.

Wrogowie oskarżali go, że zagrywa pod publiczność, że realizuje projekty oceaniczne, które przynoszą więcej rozgłosu niż danyh naukowych. Tymczasem jego mocodawcy cieszyli się, że z oceanografii uczynił dziedzinę równie popularną co badania kosmiczne. Admirał Sandecker był tak mocno okopany w NUMA, jak swego czasu J. Edgar Hoover w FBI.

Wypił ostatni łyk z butelki seven-up, zaciągnął się niedopałkiem wielkiego cygara i popatrzył na poważne twarze admirała Waltera Bassa, pułkownika Abe Steigera, Ala Giordina i Dirka Pitta.

–Najtrudniej mi zrozumieć absolutny brak zainteresowania ze strony Pentagonu.

Według mnie, zaprezentowanie przez pułkownika Steigera raportu o odnalezieniu Vixen 03,

popartego fotografiami, powinno dać im porządnego kopniaka. Tymczasem pułkownik mówi

nam, że jego przełożeni zachowywali się tak, jakby o całym tym epizodzie najlepiej byłoby

zapomnieć.

–Jeden powód ich obojętności chyba znam – odparł beznamiętnie Bass. – Generałowie O’Keefe i Burgdorf nie mają zielonego pojęcia o związku Vixen 03 z projektem QD, ponieważ nie istnieją żadne akta tych spraw.

–Jak to możliwe?

–Fakty poznane po śmierci doktora Vetterly’ego i jego pomocników wywarły wielki wpływ na wszystkich, którzy zapoznali się ze śmiercionośną siłą QD. Przekonały ich o konieczności pogrzebienia wszelkich dowodów i wymazania z pamięci istnienia tego organizmu, tak by nigdy więcej nie można go było wskrzesić.

–Chce pan powiedzieć, że ukryliście cały projekt obronny pod nosem sztabu głównego? – spytał nie dowierzając Sandecker.

–Na osobisty rozkaz prezydenta Eisenhowera w raporcie dla sztabu napisałem, że eksperyment się nie powiódł, a formuła QD zginęła razem z doktorem Vetterlym.

–I dali się na to nabrać?

–Nie mieli powodu, żeby nie wierzyć odrzekł Bass. – Oprócz prezydenta, sekretarza obrony Wilsona, mnie i jeszcze kilku naukowców nikt inny nie wiedział o odkryciu Vetterly’ego. A jeśli chodzi o sztab, to projekt ten był jednym z wielu niskobudżetowych eksperymentów w ponurej historii produkcji broni chemiczno-

biologicznej. Oni nie mieli wyrzutów sumienia ani nie zadawali kłopotliwych pytań przed odfajkowaniem tego jako kolejnego niepowodzenia.

–A jaki był cel oszukiwania struktury wojskowej?

–Eisenhower był starym żołnierzem i nienawidził broni masowego rażenia. –

Wydawało się, że Bass skurczył się w fotelu, zbierając myśli. – Jestem ostatnim żyjącym

członkiem grupy badającej QD – ciągnął wolno. – Na nieszczęście tajemnica nie umrze razem

ze mną, na co miałem nadzieję, ponieważ obecny tutaj pan Pitt przypadkiem odnalazł dawno

zagubione źródło tej choroby. Nie ujawniłem prawdy wtedy i nie zrobię tego teraz z obawy,

że ludzie kierujący Pentagonem mogliby wpaść na pomysł odzyskania ładunku Vixen 03 i

przechowywania go, oczywiście w imię bezpieczeństwa narodowego, do dnia, w którym

można by go użyć przeciwko jakiemuś nie znanemu dzisiaj wrogowi.

–A gdyby rzeczywiście zaistniała potrzeba obrony naszego kraju... –

zaprotestował

Sandecker.

Bass pokręcił głową.

–Pan chyba nie pojmuje okropności skutków zastosowania QD, admirale. Nic, co znamy, nie jest w stanie powstrzymać jego śmiertelności działania. Pozwoli pan, że dam

pewien przykład. Gdyby zrzucić na Manhattan sto pięćdziesiąt gramów tych organizmów, w

ciągu czterech godzin zabiłyby dziewięćdziesiąt osiem procent ludności wyspy. I nikt,

panowie, żaden człowiek nie mógłby postawić nogi na wyspie przez ponad trzysta lat.

Przyszłe pokolenia mogłyby tylko stać na brzegu i obserwować, jak potężne budowle

korodują i przewracają się na kości byłych mieszkańców.

Zebrani przy stole mężczyźni pobledli. Przez chwilę wszyscy milczeli. Siedzieli bez ruchu, wyobrażając sobie miasto grobowiec trzech milionów ludzi. W końcu Pitt przerwał tę ponurą ciszę:

–Czy to nie podziałałoby na ludzi w Brooklynie i Bronksie?

–Substancja QD rozwija się w koloniach. To dziwne, ale nie przenosi się na ludzi ani z wiatrem, ma tendencję do stałej lokalizacji. Oczywiście, gdyby czynnik biologiczny

rozsiać przy użyciu rakiet lub samolotów nad Ameryką Północną, cały kontynent opustoszałby i trwałoby tak do roku 2300.

–Czy nie istnieje nic, co zabija QD? – zapytał Steiger.

–H dwa O – odparł Bass. – Ten organizm może żyć wyłącznie w atmosferze o dużej zawartości tlenu. Można powiedzieć, że po zanurzeniu w wodzie dusi się, dokładnie tak jak my.

–Dziwi mnie, że tylko Vetterly wiedział, jak to wyprodukować – odezwał się Pitt. Bass uśmiechnął się lekko.

–Nigdy bym nie pozwolił, żeby ktokolwiek zachował tak ważne dane dla siebie.

–Więc zniszczył pan notatki doktora.

–Sfalszowałem również wszystkie rozkazy i papiery, na jakie udało mi się natrafić,

w

tej liczbie także oryginalny plan lotu Vixen 03.

Steiger opadł na fotel i westchnął z wyraźną ulgą.

–W końcu przynajmniej ta zagadka nie będzie mnie więcej męczyć.

–Tylko że ten projekt zostawił po sobie pewne ślady – dodał Sandecker, zastanawiając się nad czymś.

–Na Rongelo ciągle leżą szkielety – powiedział Pitt. – A co odstrasza od brzegów tej wyspy niczego nie podejrzewających rybaków i turystów?

–Odpowiem w odwrotnej kolejności. Po pierwsze, na wszystkich mapach morskich tego obszaru wyspa Rongelo jest oznaczona jako miejsce składowania cyjanowodoru. Przy brzegach zainstalowano również boje z informacją o niebezpieczeństwie.

–Cyjanowódor – powtórzył Giordino. – To brzmi jak nazwa jakiegoś okropnego lekarstwa.

–To prawda. Jego zawartość we krwi ma bezpośredni wpływ na oddychanie. Przy określonej dawce powoduje prawie natychmiastową śmierć. Opisano to na mapach i w sześciu językach na bojach przy brzegu. – Bass przerwał, wyciągnął chusteczkę i otarł pot z tyłej głowy. – Poza tym nieliczne zapisy na temat projektu QD, jakie spoczywają głęboko w sejfach Pentagonu wśród innych supertajnych dokumentów, są opatrzone skrótem TPP.

–TPP?

–"Tylko dla przyszłych pokoleń" – wyjaśnił Bass. – Wszystkie są zapieczętowane i opatrzone datą, kiedy można je będzie otworzyć. Przed wyznaczonym terminem nawet prezydent nie może poznać treści takiego dokumentu. O tym sejfie mówi się, że zawiera szkielety naszego narodu. Akta na temat Amelii Earhart, UFO, prawda o szczepionce przeciwko świńskiej grypie z połowy lat siedemdziesiątych, skandale polityczne, przy których

Watergate jawi się jako harcerska przygoda. Wszystko tam jest. Teczki z dokumentami o projekcie QD nie można otworzyć przed rokiem 2550. Prezydent Eisenhower miał nadzieję, że do tego czasu nasi potomkowie nie będą już mogli pojąć prawdziwego znaczenia tego odkrycia.

Pozostali mężczyźni, zebrani w sali konferencyjnej budynku NUMA, nigdy nie słyszeli o aktach TPP i byli mocno zaskoczeni.

–Następnym oczywistym pytaniem, admirale – odezwał się Pitt – jest: dlaczego dzieli się pan z nami swoją tajemnicą?

–Poprosiłem o to spotkanie, ponieważ uznałem, że muszę komuś zaufać, komuś, kto pomoże mi wydobyć i zniszczyć QD.

–Prosi pan o bardzo dużo stwierdził Sandecker. Ponownie przypalił cygaro i puścił chmurę dymu. Jeżeli Pentagon to wywącha, wszystkich nas mogą uznać za zdrajców.

–Przykra ewentualność, której nie wolno przeoczyć – przyznał Bass. – Jedynym pocieszeniem może być dla nas świadomość, że mielibyśmy po swojej stronie opinię publiczną i czyste sumienie.

–Jakoś nigdy nie wyobrażałem sobie siebie jako zbawcy ludzkości mruknął Giordino.

Steiger popatrzył uważnie na Bassa, być może wyobrażając sobie już po raz drugi w

ostatnich tygodniach koniec własnej kariery w lotnictwie.

–Mam wrażenie, admirale, że pański dobór współwinnych to czyste szaleństwo. Gdzie, na przykład, ja pasuję do pomysłu wydobycia Vixen 03?

–Może pan wierzyć lub nie, pułkowniku, ale pańskie zadanie w tej grupie jest niezwykle ważne. Raport zaalarmował lotnictwo o istnieniu samolotu. Na szczęście ktoś wysoko postawiony w rządzie stwierdził, że sprawą nie należy się dalej zajmować. Pańskim zadaniem będzie dopilnowanie, żeby w Pentagonie już nikt więcej się tym nie interesował.

Z twarzy Pitta widać było, że wreszcie zrozumiał.

–W porządku. Więc admirał Sandecker dostarczy funduszy na całe przedsięwzięcie z

budżetu NUMA, a ja i Giordino zajmiemy się wyciągnięciem samolotu z wody. A jak

zamierza pan zniszczyć śmiercionośne QD, kiedy już wydobędziemy pojemniki?

–Zatopimy głowice w oceanie – odparł bez wahania Bass. – Z czasem, kiedy zewnętrzna powłoka przerdzewieje, woda zniszczy czynnik chorobowy.

Pitt odwrócił się do Sandeckera i usłyszał własny głos:

–W ciągu czterdziestu ośmiu godzin mogę przerzucić Jacka Folsoma z jego załogą od

roboty przy "Chenago" nad Table Lake razem z całym potrzebnym sprzętem.

Admirał Sandecker był realistą i jego wybór był prosty. Znał Bassa wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie przesadza. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę rudowłosego szefa NUMA. Był przesłonięty chmurą dymu z cygara, który unosił się aż pod sufit. W końcu skinął głową.

–No dobrze, panowie, zaczynamy.

–Dziękuję, James – powiedział Bass, wyraźnie zadowolony. – W pełni doceniam ryzyko, jakie podejmujesz, wysłuchawszy słów starego wilka morskiego.

–Chyba nie ma innego wyjścia – odparł Sandecker.

–Właśnie przyszła mi do głowy pewna myśl wtrącił się Giordino. Skoro woda zabija QD, to dlaczego nie zostawimy tego na dnie jeziora?

Bass pokręcił smutno głową.

–Nic z tych rzeczy. Skoro wy to znaleźliście, każdy może. Będzie o wiele lepiej, jeśli zrzucimy pojemniki w miejscu, w którym nikt ich nie wypatrzy po wieczne czasy. Mogę tylko dziękować Bogu, że nikt nie natknął się na nie przez wszystkie te lata.

–I tutaj dochodzimy do kolejnego problemu – rzucił Pitt, zwracając uwagę na to, jak Giordino i Steiger ponuro spuszczaają wzrok.

Sandecker strzepnął popiół do popielniczki zrobionej z muszli małża.

–O co chodzi?

–Według oryginalnego planu lotu, Vixen 03 wystartował z Buckley Field z czterema członkami załogi. Zgadza się, admirale?

Twarz Bassa przybrała dziwny wyraz.

–Tak, było ich czterech.

–Być może powinienem powiedzieć o tym wcześniej – mówił dalej Pitt – ale obawiałem się że w ten sposób od razu wszystko bardzo skomplikuję.

–Nie jesteś człowiekiem dochodzącym do sedna okrężną drogą – zagadnął niecierpliwie Sandecker. – Do czego zmierzasz?

–Do piątego szkieletu.

–Piątego co?

–Kiedy nurkowałem do wraka, znalazłem kości piątego człowieka, przywiązane do podłogi ładowni.

Sandecker popatrzył na Bassa.

–Czy pan wie, o czym on mówi?

Bass siedział nieruchomo, zupełnie zбитy z tropu.

–Ktoś z obsługi naziemnej – mruknął apatycznie. – Widocznie został na pokładzie, kiedy maszyna startowała.

–Z pewnością nie – odparł Pitt. – Na kościach było jeszcze trochę ciała. Te szczątki nie pozostawały w wodzie tak długo jak pozostałe cztery.

–Powiedział pan, że pojemniki są nietknięte – odrzekł Bass, zmieniając temat.

–Tak jest. Nie zauważyłem niczego, co by wskazywało, że ktoś przy nich grzebał – zapewnił go Pitt.

–Mój Boże, mój Boże! – Bass ukrył twarz w dłoniach. – Jeszcze ktoś oprócz nas wie o tym samolocie.

–Nie możemy tego wykluczyć – stwierdził Steiger.

Bass opuścił ręce i zamglonymi oczami popatrzył na Pitta.

–Niech pan go podniesie z dna, panie Pitt. Dla dobra ludzkości – niech pan wydobędzie Vixen 03 z jeziora, i to szybko!

Pitt nie potrafił opanować przerażenia, kiedy po spotkaniu wychodził głównym wejściem budynku NUMA. Parna waszyngtońska noc pogłębiała jeszcze depresję. Przeszedł przez opustoszały parking i otworzył drzwi samochodu. Nie zdążył usiąść za kierownicą, gdy na sąsiednim siedzeniu spostrzegł skuloną postać.

Loren spała, zwinięta w kłębek, zapominając o bożym świecie.

Miała na sobie zieloną tunikę, wysokie buty z cielęcej skóry i długie futro. Pitt pochylił się, delikatnie odgarnął jej włosy z policzka i lekko nią potrząsnął. Obudziła się i spojrzała mu prosto w oczy. Uśmiechnęła się słodko, jej twarz zdawała się

dziwnie blada i bardzo młoda.

–Mmm, co za spotkanie.

Pitt nachylił się i pocałował ją.

–Czyś ty oszalała? Tak soczysty kąsek na pustym waszyngtońskim parkingu? To cud,

że nie zostałaś napadnięta i obrabowana.

Odepchnęła go i pokręciła nosem.

–Fe, zajeżdża od ciebie stęchłymi cygarami.

–To wina sześciogodzinnego towarzystwa admirała Sandeckera. – Usiadł wygodnie i uruchomił silnik. – Jak mnie odnalazłaś?

–Nic wielkiego. Telefonowałam do twego biura, żeby się dowiedzieć o numer w Savannah. Sekretarka powiedziała, że już wróciłeś i jesteś na konferencji.

–Co cię napadło, żeby wdzierać się do mojego samochodu?

–Walczyłam i przegrałam sromotnie z chęcią popełnienia jakiegoś babskiego głupstwa. – Ścisnęła go za udo. – Zadowolony?

–Nie będę kłamał – powiedział z uśmiechem. – Przyniesiesz przyjemną ulgę po minionej dobie.

–Przyjemna ulga? – Loren udała oburzenie. – Ty naprawdę wiesz, jak oczarować dziewczynę sympatycznym komplementem.

–Nie mamy zbyt wiele czasu – powiedział poważniejąc. – Jutro rano wyjeżdżam.

–Tak sądziłam i właśnie dlatego zaplanowałam tę miłą niespodziankę. Przytuliła się do niego i zaczęła coraz dalej posuwać dłoń po jego udzie.

–Nie mogę w to uwierzyć – mruknął Pitt, wstrząśnięty.

–Felicja mówiła, że tu jest seksy, ale czegoś takiego się nie spodziewałam.

Pitt i Loren stali zanurzeni po kostki w karmazynowym dywanie, z wielkim zafascynowaniem oglądając pokój. Ściany i sufit wyłożone były lustrami o złotym zabarwieniu, jedyny mebel stanowiło duże okrągłe łóżko umieszczone na podwyższeniu, z czerwoną atlasową pościelą. Cztery reflektorki w rogach pod sufitem dawały słabe niebieskie światło.

Loren podeszła do łóżka i z namaszczeniem dotknęła połyskujących poduszek, jakby były dziełem sztuki. Pitt przez chwilę przyglądał się jej zwielokrotnionemu w lustrach odbiciu, po czym podszedł i zręcznie ją rozebrał.

–Nie ruszaj się – powiedział. – Chcę nasycić wzrok tysiącem nagich Loren Smith. Zarumieniła się gwałtownie, gdy skierowała wzrok na nie kończący się łańcuch własnych postaci.

–Boże! – szepnęła. – Czuję się tak, jakbym stała przed tłumem gapiów.

Potem wyprężyła się, mrużąc coś niezrozumiale, kiedy Pitt nachylił się i językiem zaczął pieścić jej pępek.

Stłumiony dzwonek telefonu wyrwał Fredericka Daggata z głębokiego snu. Śpiąca obok Felicja mruknęła cicho, obróciła się na drugi bok i spała dalej. Sięgnął po zegarek zostawiony na stoliku przy łóżku i skupił wzrok na lekko świecącej tarczy. Była godzina czwarta.

Podniósł słuchawkę.

–Daggat.

–Sam Jackson. Mam zdjęcia.

–Były jakieś problemy?

–Nie. Miał pan rację, nie musiałem ich robić w podczerwieni. Zostawili włączone światło. Nie powiem, żebym miał do nich o to pretensję, z tymi wszystkimi lustrami... Użyłem bardzo czułego filmu, więc powinien pan mieć wszystko to, czego pan chciał. Dali niezły pokaz. Wielka szkoda, że nie nakręciliśmy filmu.

–Niczego się nie domyślili?

–A skąd mogli wiedzieć, że jedno z luster jest inne niż pozostałe? Poza tym byli zbyt zajęci sobą, by zwrócić uwagę na cokolwiek poza trzęsieniem ziemi. Na wszelki wypadek korzystałem z aparatu pracującego bezgłośnie.

–Kiedy będę mógł obejrzeć zdjęcia?

–Nawet przed ósmą rano, jeśli sprawa jest tak pilna, chociaż chętnie wziąłbym trochę wolnego. Niech pan zaczeka do przedpołudnia, a dostarczę piękne błyszczące odbitki, nadające się na wystawę.

–Więc się nie spiesz i zrób to dobrze – odparł Daggat. – Chcę mieć wszystkie szczegóły jak na tacy.

–Może pan na to liczyć – zapewnił Jackson. – A przy okazji, kim jest ta uwodzicielska dama? Prawdziwa lwica.

–To nie powinno cię obchodzić, Jackson. Zadzwoń, gdy będziesz gotów. I pamiętaj -interesują mnie wyłącznie pozycje artystyczne.

–Zrozumiałem. Dobranoc, panie kongresmanie.

Dale Jarvis szykował się właśnie do sprzątnięcia biurka i wyruszenia w trzydziestominutową drogę do domu na cotygodniową piątkową kolację – porcję pieczonej wieprzowiny, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i wszedł John Gossard, szef sekcji afrykańskiej. Po wojnie wietnamskiej, podczas której był specjalistą do spraw walki z partyzantami, Gossard przeniósł się z wojska do Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Cichy człowiek, o cynicznym poczuciu humoru, utykał, gdyż szrapnel okaleczył mu prawą stopę. Był znany z tego, że lubił dużo wypić, ale również z niezwyklej umiejętności dostarczania sekcji wszystkich potrzebnych danych i informacji. Jego źródła wywiadowcze stanowiły przedmiot zawiści całej agencji.

Jarvis rozłożył ręce w przeproszającym geście.

–Zachowałem się jak osioł, John. Zupełnie zapomniałem. Naprawdę miałem zamiar przyjąć twoje zaproszenie na wycieczkę na ryby.

–Możesz? – spytał Gossard. – McDermott i Sampson z sekcji sowieckiej też jadą.

–Nigdy nie rezygnuję z okazji, by pokazać tym specom od Kremla, jak się łapie duże sztuki.

–Dobrze. Łódź zarezerwowana. Wyruszamy w niedzielę punktualnie o piątej z dziewiątki na Plum Point Marina. – Gossard położył neseser na biurku Jarvisa i otworzył go. –

Właściwie miałem dwa powody, by w drodze do domu zatrzymać się przy twoim *sanctum*

sanctorum. – Rzucił przed Jarvisa skoroszyt. – Oto drugi. Wypożyczę ci to na weekend, jeżeli

mi obiecasz, że nie odłożysz na półkę razem z twoimi starymi powieściami szpiegowskimi.

Jarvis uśmiechnął się.

–Z pewnością tego nie zrobię. Co tam masz?

–Dane, o które prosiłeś, związane z tym dziwnym południowoafrykańskim planem o kryptonimie "Dzika róża".

Brwi Jarvisa podskoczyły do góry.

–Szybka robota! Przecież dopiero tego popołudnia złożyłem zapotrzebowanie.

–W sekcji afrykańskiej nie dajemy papierom szans na żółknięcie – odparł dumnie Gossard.

–Czy, zanim zacznę czytać, powinienem się o czymś dowiedzieć?

–To nic wstrząsającego. Chyba miałeś rację: wysrane z palca.

–Więc Hiram mówił prawdę.

–O tyle, że plan naprawdę istnieje – odrzekł Gossard. – Szczególnie spodoba ci się fabuła. Pomysł intrygujący jak wszyscy diabli.

–Rozbudziłeś moją ciekawość. Powiedz mi, jak podczas akcji ci z Afryki Południowej mają zamiar udawać ludzi z AAR?

–Nic z tego – stwierdził Gossard, uśmiechając się szatańsko – zdradziłbym najistotniejszą część tej historii.

Jarvis spojrział na niego poważnie.

–Czy można polegać na źródle?

–Moje źródło jest pewne, chociaż faktem jest, że to dziwaczny gość. Upiera się, by nazywać go Emma. Nigdy nam się nie udało ustalić jego tożsamości. Ale informacje są precyzyjne. Sprzedaje je każdemu, kto chce płacić.

–Rozumiem, że nieźle zabuliłeś za operację "Dzika róża".

–Nie bardzo. Te akta znajdowały się w pudełku razem z pięćdziesięcioma innymi dokumentami. Za wszystko zapłaciliśmy raptem dziesięć tysięcy dolarów.

Gdy fotografie wypadły z suszarki do koszyka, Sam Jackson wyjął je i porządnie przyciął krawędzie. Był wysokim, kościstym Murzynem o kręconych włosach, młodej twarzy i długich, szczupłych rękach. Podał zdjęcia Daggatowi i ściągnął fartuch przez głowę.

–To wszystko.

–Ile? – spytał Daggat.

–Okolo trzydziestu, na których wyraźnie widać twarze. Przez szkło powiększające sprawdziłem odbitki stykowe. Reszta do niczego się nie nadawała.

–Jaka szkoda, że nie są kolorowe.

–Następnym razem niech pan zawiesi coś jeszcze oprócz tych niebieskich lamp – powiedział Jackson. – Może i tworzą seksowną atmosferę, ale z pewnością uniemożliwiają

robienie dobrych kolorowych zdjęć.

Daggat uważnie obejrzał fotografie, po czym przerzucił je jeszcze raz. Za trzecim razem wybrał dziesięć i schował do teczki. Pozostałe dwadzieścia wręczył Jacksonowi.

–Te schowaj do koperty razem z negatywem i odbitkami stykowymi.

–Zabiera je pan ze sobą?

–Uważam, że będzie najbezpieczniej, jeśli sam je przechowam. W porządku?

Było jasne, że nie. Jackson rzucił Daggatowi piorunujące spojrzenie.

–Hej, człowieku, fotograficy nie mają zwyczaju oddawać swoich negatywów.

Chyba

nie zamierza pan wystawić ich na sprzedaż? Nie mam nic przeciwko zrobieniu paru zdjęć

porno dla jakiegoś dobrego klienta, ale nie zamierzam żyć z takiego zajęcia. Mogę się obejść bez problemów ze szpiclami.

Daggat zbliżył swoją twarz do twarzy Jacksona.

–Ja nie jestem żaden "hej, człowieku" – powiedział oschle. – Jestem Frederick Daggat,

kongresman Stanów Zjednoczonych. Kapujesz, bracie?

Przez chwilę Jackson patrzył równie złym wzrokiem, po czym spuścił oczy i wpatrywał się w plamy po odczynnikach na linoleum pokrywającym podłogę. Daggat miał w ręku wszystkie atuty, jakie dawało mu stanowisko w Kongresie. Fotograf nie miał innego wyjścia, musiał zrezygnować.

–Bardzo proszę – odparł.

Daggat skinął, po czym uśmiechnął się, jakby zupełnie zapomniał o sprzeciwie Jacksona.

–Byłbym ci wdzięczny, gdybyś zechciał się trochę pospieszyć. W samochodzie czeka

na mnie pewna interesująca dama. Jest bardzo niecierpliwa, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Jackson wsunął negatyw, odbitki stykowe i resztę zdjęć do dużej koperty i podał ją Daggatowi.

–A moja forsa?

Daggat wręczył mu studolarowy banknot.

–Przecież umawialiśmy się na pięćset – powiedział Jackson.

–Uważaj swoje wysiłki za bezinteresowną pracę wykonaną na rzecz swojego kraju -odparł Daggat podchodząc do drzwi. Odwrócił się i dodał: – Aha, jeszcze coś. Żebyś w przyszłości nie miał żadnych niemiłych i nieprzewidzianych problemów, dobrze by było zapomnieć o całym tym wydarzeniu. Nigdy nie miało miejsca.

Jackson odpowiedział w jedyny możliwy sposób:

–Jak pan sobie życzy, kongresmanie.

Daggat skinął i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

–Zasrany skurwieli! – syknął przez zaciśnięte zęby Jackson, wyjmując z szuflady drugi

komplet identycznych fotografii. – Dostaniesz ty za swoje!

Żona Dale'a Jarvisa nawykła do tego, że jej mąż lubi czytać w łóżku. Pocałowała go na dobranoc, zwinęła się w ulubiony kłębek, tyłem do stojącej na stoliku lampy, i szybko zasnęła.

Zabierając się do lektury, Jarvis ułożył sobie za plecami dwie poduszki, ustawił lampę pod właściwym kątem, a okulary w stylu Bena Franklina zsunął na koniec nosa.

Wypożyczony przez Johna Gossarda skoroszyt oparł na kolanach i zaczął czytać. Przerzucając kolejne stronicę, robił notatki w niewielkim notesie. O drugiej nad ranem zamknął skoroszyt z opisem operacji "Dzika róża".

Położył się na wznak, przez kilka minut wpatrywał w ciemność i rozważał,; czy oddać akta z powrotem Gossardowi i o wszystkim zapomnieć, czy też kazać zbadać ten barbarzyński plan nieco dokładniej. Zdecydował się na kompromis.

Powoli, by nie obudzić żony, wysunął się z łóżka i poczłapał do swego pokoiku, gdzie podniósł słuchawkę i wprawnie wystukał numer.

Z drugiej strony linii odpowiedziano już po pierwszym sygnale.

–Mówi Jarvis. Potrzebuję danych o wszystkich obcych i amerykańskich okrętach liniowych. Tak, zgadza się – pancernikach. Jutro na moim biurku. Dziękuję. Dobranoc.

Potem wrócił do łóżka, delikatnie pocałował żonę w policzek i zgasił światło.

Prowadzone przez Fredericka Daggata posiedzenie Podkomitetu Spraw Zagranicznych na temat pomocy gospodarczej dla krajów afrykańskich rozpoczęło się w ledwie do połowy wypełnionej sali i z udziałem grupy znudzonych reporterów. Obok Daggata zajęli miejsca demokrata Earl Hunt i republikanin Roscoe Meyers ze stanu Oregon. Loren Smith siedziała samotnie przy końcu stołu.

Posiedzenie przeciągnęło się do popołudnia, przedstawiciele kilku rządów afrykańskich wygłaszali długie przemówienia nakłaniające do udzielenia pomocy finansowej. O czwartej przyszła kolej na Hirma Lusana. Teraz sala była już pełna. Reporterzy powychodzili na krzesła, błyskali fleszami, a dziennikarze notowali lub mruzczyli do dyktafonów. Lusana nie zwracał najmniejszej uwagi na to poruszenie. Siedział przy stole wyprostowany jak krupier, który wie, że ma przewagę nad innymi.

–Generale Lusana – powiedział Daggat. – Witamy na naszym posiedzeniu. Zna pan chyba procedurę. To jest sesja wstępna, mająca na celu rozpoznanie sytuacji. Ma pan dwadzieścia minut na przedstawienie swojej sprawy. Potem komitet będzie zadawał panu pytania. Nasze opinie zostaną później w całości przekazane Komitetowi Spraw Zagranicznych.

–Rozumiem – odparł Lusana.

–Panie przewodniczący. Daggat odwrócił się do Loren.

–Słuchani, pani Smith.

–Muszę się sprzeciwić obecności generała Lusany, ponieważ nie jest przedstawicielem żadnego afrykańskiego rządu.

W sali rozległy się pomruki.

–To prawda – odparł Lusana, mierząc wzrokiem Loren. – Nie reprezentuję żadnego rządu, ale wolną duszę każdego czarnego mieszkańca Afryki.

–Pięknie powiedziane – skomentowała Loren. – Ale zasady są zasadami.

–Nie możecie pozostać głusi na błagania milionów moich współobywateli z powodu szczegółów proceduralnych. – Lusana siedział nieruchomo i mówił tak cicho, że na końcu sali prawie go nie słyszano. – Najcenniejszą rzeczą, jaką człowiek może posiadać, jest narodowość. Bez niej jest niczym. W Afryce walczymy o odzyskanie narodowości, która zgodnie z prawem nam się należy. Przyjechałem tutaj, żeby bronić godności czarnych. Nie proszę o pieniądze na zakup broni. Nie proszę, żeby wasi żołnierze walczyli razem z naszymi.

Błagam wyłącznie o nieodzowne fundusze na kupno żywności i lekarstw dla tysięcy ludzi, którzy ucierpieli w bestialskiej walce.

Lusana doskonale odgrywał swą rolę, ale Loren nie dała się na to nabrać.

–Pan jest mądrym człowiekiem, generale. Kwestionując pański apel, musiałabym przystać na pańską obecność tutaj. Mimo wszystko podtrzymuję sprzeciw.

Daggat prawie niezauważalnie skinął do jednego ze swoich współpracowników, stojącego z tyłu sali, i zwrócił się do Earla Hunta:

–Protest pani Smith został przyjęty. A co pan na to powie, kongresmanie Hunt?

W czasie gdy Daggat zbierał głosy od Hunta i Roscoe Meyersa, jego pomocnik precyzyjnie skierował się do Loren i wręczył jej dużą białą kopertę.

–Co to jest?

–Kazano mi powiedzieć, że to niezwykle ważne i że powinna pani od razu ją otworzyć – wyjaśnił, po czym odwrócił się i wyszedł z sali bocznymi drzwiami.

Loren uchyliła nie zaklejoną kopertę i wysunęła jedną z fotografii.

Uwieczniono na niej jej nagie ciało splecione z Pittem w jednej z serii dzikich, orgiastycznych pozycji. Błyskawicznie wepchnęła zdjęcie z powrotem do koperty. Zbladła ze strachu i obrzydzenia.

–Pani Smith – zwrócił się do niej Daggat. – Wydaje mi się, że stajemy w martwym punkcie. Kongresman Hunt i ja zgadzamy się z generałem Lusaną, natomiast kongresman

Meyers i pani jesteście przeciwni. Jako przewodniczący nakłaniam w interesie uczciwej gry

do wyrażenia zgody na zabranie głosu przez generała Lusanę.

Poczuła, jak włosy na głowie stają jej dęba. Daggat patrzył na nią złośliwie: znał zawartość koperty Opanowała wzbierające uczucie mdłości, uświadamiając sobie nagle, że Felicja Collins ją sprzedała. Przeklęła w myślach własną głupotę i to, że dała się naiwnie wystawić, jak nastolatka wielkowiejskiej stręczycielce.

–Pani Smith? – ponaglał ją Daggat.

Nie było wyjścia. Daggat trzymał ją w garści. Spuściła wzrok i zadrżała.

–Panie przewodniczący – powiedziała, całkowicie pokonana – wycofuję sprzeciw.

Mimo ukończonych czterdziestu trzech lat Barbara Gore ciągle miała figurę modelki z "Vogue". Utrzymywała dobrą kondycję, miała zgrabne nogi, a na twarzy o wydatnych kościach policzkowych ani śladu prawdziwego wieku. Kiedyś przeżyła romans z Dale'em Jarvisem, ale faza seksualna już dawno minęła i teraz była jego dobrą przyjaciółką i jednocześnie sekretarką.

Siedziała naprzeciwko biurka Dale'a z nogami skrzyżowanymi w sposób wygodny wyłącznie dla kobiet i zarazem przyjemny dla męskiego oka. Jednak Jarvis nie zwracał na to uwagi. Był pochłonięty dyktowaniem. Po chwili przerwał nagle i zaczął szperać w wielkim stosie supertajnych raportów.

–Może mogłabym ci pomóc – odezwała się Barbara – gdybyś tylko zechciał mi powiedzieć, czego szukasz.

–Wyników kontroli wszystkich istniejących liniowców. Obiecano mi, że dzisiaj je dostanę.

Westchnęła, sięgnęła do pliku papierów i wyciągnęła spięte zszywką niebieskie kartki.

–Są na twoim biurku od ósmej rano.

Chwilami Barbarę irytowały niedbałe nawyki Jarvisa, ale już dawno nauczyła się je akceptować.

–Co tam napisali?

–A co byś chciał, żeby napisali? – spytała. – Nie zadałeś sobie nawet trudu, by mi powiedzieć, co cię interesuje.

–Oczywiście, chcę kupić pancernik. Kto ma coś takiego na sprzedaż?

Barbara rzuciła mu srogie spojrzenie i zaczęła przeglądać papiery.

–Obawiam się, że nie masz szczęścia. Związek Radziecki ma jeden, ale wykorzystuje go do szkolenia marynarzy. Francja swoje już dawno oddała na złom. To samo z Wielką Brytanią, chociaż mają tam jeszcze jeden, z umiłowania do tradycji.

–A USA?

–Pięć zachowano jako pomniki.

–Gdzie się teraz znajdują?

–W stanach, których nazwami zostały ochrzczone: "Karolina Północna", "Teksas", "Alabama", "Massachusetts".

–Powiedziałaś: pięć.

–"Missouri" jest w dyspozycji marynarki w Bremerton, w stanie Waszyngton. Aha, prawie nie zauważyłam: "Arizona" widnieje w rejestrach jako okręt uzbrojony.

Jarvis założył ręce za głowę i popatrzył w sufit.

–Chyba sobie przypominam, że kilka lat temu w stoczni marynarki wojennej w Filadelfii stały dwa pancerniki: "Wisconsin" i "Iowa".

–Masz świetną pamięć – skomentowała Barbara. – Według tego raportu, "Wisconsin" oddano do pocięcia w roku 1984.

–A "Iowa"?

–Sprzedana na złom.

Jarvis wstał i podszedł do okna. Przez chwilę wyglądał, trzymając ręce w kieszeniach.

–Akta "Dzikiej róży" – mruknął.

Jakby odgadując jego myśli, Barbara wskazała okładkę.

–Mam je.

–Odeślij je Johnowi Gossardowi w sekcji afrykańskiej i powiedz, że badanie dało pozytywne wyniki.

–To wszystko? Jarvis odwrócił się.

–Tak – odparł z namysłem. – Skoro wszystko zostało rozpatrzone, na tym kończymy.

W tej samej chwili niewielka łódź wielorybnicza o ostrej rufie rzuciła kotwicę sto metrów od Walnut Point w Wirginii i obróciła się wolno, stając dziobem do fali. Patrick Fawkes rozłożył stary leżak i ustawił go na wąskiej platformie rufowej, ledwie mieszcząc nóżki między nadburciami. Następnie oparł wędkę o ster i rzucił do wody żyłkę bez haczyka.

Otworzył koszyk i właśnie wyjmował z niego dużą porcję sera Cheshire i butelkę scotcha Cutty Sark, gdy pozdrowiono go sygnałem z jakiejś starej balii holującej trzy mocno wyładowane barki na śmieci.

Fawkes pomachał ręką i mocniej wsparł się nogami, gdyż fala za przepływającą jednostką mocno zakołysała jego łodzią. Zapisał w notesie czas spotkania z holownikiem.

Zniszczony leżak zaskrzypiał, kiedy Fawkes usadowił swe potężne ciało na wyściełanych listewkach. Potem zjadł kawał sera, popijając z butelki.

W notesie został zapisany każdy statek handlowy czy łódka turystyczna, które

mijały pozornie rozleniwionego wędkarza. Czas pojawienia się, kierunek i szybkość. Jedna rzecz zainteresowała Fawkesa szczególnie. Przez lornetkę przyjrzał się dokładnie przepływającemu niszczycielowi, zwracając pilną uwagę na puste wyrzutnie i znudzoną załogę statku, dopóki ten nie zniknął za cyplem.

Późnym wieczorem o odrapany pokład łodzi zaczął bębnić lekki deszcz. Fawkes uwielbiał deszcz. Podczas sztormów na morzu często stawał na skrzydle mostka twarzą do nacierającej nawałnicy, strofując potem młodszych oficerów, którzy woleli gorącą herbatę i wygodę sterówki. Teraz też nie pomyślał nawet o swojej malutkiej kabinie i został na deszczu. Włożył tylko sztormiak, by nie przemoczyć ubrania.

Miał świetne samopoczucie: deszcz oczyścił powietrze w płucach, ser zapełnił żołądek, a szkocka rozszerzyła naczynia krwionośne. Puścił wodze wyobraźni i wkrótce miał

przed oczami nieżyjącą już rodzinę. Poczuł zapach farmy w Natalu i wyraźnie usłyszał głos Myrny wołającej go na obiad.

Cztery godziny później wrócił do rzeczywistości, kiedy holownik, teraz z pustyni już barkami, pojawił się w powrotnym kursie. Fawkes szybko wstał i zapisał liczbę i pozycję świateł pozycyjnych. Następnie podniósł kotwicę, uruchomił silne i popłynął śladem ostatniej barki.

Nad Table Lake w stanie Kolorado padał gęsty śnieg, kiedy nurkowie z NUMA, chronieni ocieplanymi kombinezonami przed lodowatą wodą, zakończyli odcinanie skrzydeł i ogona Vixen 03, a pod zdemolowany kadłub podłożyli dwa potężne pasy. Przyjechali admirał Bass i Abe Steiger, a za nimi ciężarówka lotniczej grupy identyfikacyjnej z kilkoma przemarzniętymi lotnikami i pięcioma trumnami.

O godzinie dziesiątej, gdy wszyscy się zgromadzili, Pitt dał ręką znak operatorom. Liny opadające z pływających żurawi pod pomarszczoną wiatrem powierzchnią wody naprężyły się i zadrżały, gdy operatorzy zwiększyli siłę ciągu. Dźwigi pochyliły się o kilka stopni i zaskrzypiały. Po chwili wyprostowały się, jakby ogromny ciężar odcepił się z niewidocznych haków.

–Wyrwał się z mułu – ogłosił Pitt.

Potwierdzając tę wiadomość Giordino, stojący obok ze słuchawkami na uszach, skinął:

–Nurkowie mówią, że jest już w drodze na powierzchnię.

–Powiedz operatorowi, niech dziób samolotu trzyma trochę niżej, żeby pojemniki nie powypadały przez otwór po odciętym ogonie.

Giordino powtórzył słowa Pitta do małego mikrofonu dołączonego do słuchawek.

W mroźnej górskiej atmosferze zapanowało napięcie, wszyscy stali nieruchomo, odrętwiali w oczekiwaniu, ze wzrokiem utkwionym w wodzie pod dźwigami. Jedynym dźwiękiem był pomruk silników. Chociaż przybyła grupa składała się z ludzi zaprawionych w tego typu operacjach, i tak za każdym razem wszystkich ogarniał ten sam dreszcz emocji.

Admirał Bass jeszcze raz przeżywał tamtą noc sprzed lat. Nie mógł sobie wyobrazić, jak połączy zapamiętany obraz majora Raymonda Vylandera ze szkieletem z wraku. Podszedł na skraj wody, tak że zaczęła pluskać mu po butach, w klatce piersiowej i lewym barku zaczął odczuwać ostry ból.

Po chwili woda zmieniła barwę z granatowej na błotnistobrązową i po raz pierwszy od trzydziestu czterech lat pękaty kadłub Vixen 03 ujrzał światło dzienne. Błyszczące niegdyś aluminiowe poszycie skorodowało, zmieniło kolor na białoszary i pokryło się pasmami oślizgłych wodorostów. Gdy dźwigi uniosły kadłub wyżej, z jego tylnej części popłynęła kaskada wody i szlamu.

Żółto-granatowe znaki w górnej części kadłuba były jeszcze wyjątkowo wyraźne, bez trudu dawał się odczytać napis MILITARY AIR TRANSPORT SERVICE. Vixen 03 nie

przypominał już samolotu. Sprawiał raczej wrażenie martwego wieloryba z odciętym ogonem i płetwami. Poszarpane kable i przewody hydrauliczne zwisające z ziejących ran przywodziły na myśl wnętrza.

Pełną napięcia ciszę przerwał Abe Steiger.

–Możliwe, że to było powodem katastrofy – powiedział, wskazując na rozcięcie w poszyciu kabiny ładunkowej tuż za kokpitem. – Najwyraźniej urwała się łopata śmigła.

Bass patrzył w milczeniu na ten złowrogi dowód. Ból w klatce piersiowej wzmógł się. Wielkim wysiłkiem odepchnął go, odruchowo masując sobie lewą rękę. Próbował zajrzeć przez okienka kabiny, ale nie pozwolił na to nagromadzony przez lata szlam. Dźwigi uniosły kadłub trzy metry nad powierzchnię jeziora, i wówczas wpadła mu do głowy pewna myśl, więc odwrócił się i spojrzał pytająco na Pitta.

–Nie widzę żadnej barki. Jak zamierzacie przetransportować go na brzeg?

Pitt uśmiechnął się.

–W takich okolicznościach wykorzystujemy dźwig powietrzny. – Dał gestem znak Giordinowi. – Dobra, zawołaj Dumbo.

W niecałe dwie minuty później ponad czubkami drzew pojawił się duży helikopter, jak olbrzymi pterodaktyl, który poderwał się ze swego mezozoicznego gniazda. Młócił rozrzedzone powietrze dwoma wirnikami, wydając dziwne, stłumione uderzenia.

Pilot zatrzymał maszynę nad dźwigami. Z wnętrza w kadłubie wysunęły się dwie liny z hakami, które szybko podczepiono. Po chwili helikopter przejął cały i ciężar, liny dźwigów poluźniły się i zostały odczepione. Dumbo wgrzyzał się w rozrzedzone powietrze z głośnym gwizdem turbin. Bardzo ostrożnie, jakby przenosił ładunek delikatnego kryształu, pilot postawił Vixen 03 na brzegu.

Ludzie odwrócili się plecami, kiedy natarła na nich chmura drobinek wody poderwanych pędem powietrza spod wirników helikoptera. Giordino, ignorując nawałnicę wilgoci, przesunął się w miejsce dobrze widoczne dla pilota i naprowadzał go rękami, podając przez radio instrukcje.

Zaledwie pięciu minut potrzebował Dumbo na postawienie ładunku i zniknięcie za drzewami. Ludzie stali nieruchomo, nie zbliżając się do wraku. Steiger powiedział coś cicho grupie identyfikacyjnej. Zaczęto rozładowywać trumny i ustawiać je równo na ziemi. Jeden z ludzi Pitta podał drabinę, którą przystawiono do, odsłoniętego górnego pokładu ładunkowego. Pitt nie odezwał się, wskazał tylko dłonią, by admirał Bass pierwszy wszedł do samolotu.

Znalazłszy się we wraku, admirał przeszedł między pojemnikami do kabiny pilotów. Przez kilka sekund stał nieruchomo, blady i słaby.

–Wszystko w porządku, sir? – zapytał Pitt, podchodząc bliżej. Głos, który mu odpowiedział, był przytłumiony.

–Chyba nie zdołam się zmusić, by na nich spojrzeć.

–Bo i nie ma powodu – odparł łagodnie Pitt. Bass oparł się o przegrodę, ból w piersi narastał.

–Za chwilę się pozbieram. A potem zajmę się głowicami.

Steiger podszedł do Pitta, ostrożnie omijając pojemniki, jakby bał się ich dotknąć.

–Gdy tylko pan każe, zawołam ludzi, by zajęli się szczątkami załogi.

–Równie dobrze można zacząć od niewyjaśnionego gościa. – Pitt wskazał głową stertę pojemników. – Znajdzie go pan przymocowanego do podłogi jakieś trzy metry na prawo.

Steiger przeszukał wskazane miejsce i z obojętnym wyrazem twarzy wzruszył ramionami.

–Niczego tu nie widzę.

–Właściwie stoi pan na nim – odrzekł Pitt.

–Gdzie, do cholery? – warknął Steiger. – Mówię panu, że tu nic nie ma.

–Pan chyba oślepl. – Pitt odepchnął Steigera na bok i popatrzył pod nogi. Pasy nadal były przymocowane do kółek w podłodze, lecz ciało w starym mundurze koloru khaki zniknęło. Gapił się odrętwiały na podłogę, jednocześnie starając się zrozumieć powód zniknięcia ciała. Uklęknął i wziął butwiejące pasy do ręki. Zostały przecięte.

W oczach Steigera malowało się zwątpienie.

–Kiedy pan nurkował, woda była lodowata. Może zobaczył pan coś... – urwał, ale sugestia była zrozumiała.

Pitt wyprostował się.

–On tutaj był – stwierdził, kończąc dyskusję.

–Czy mógł wypaść podczas podnoszenia? – rzucił nieprzekonująco Steiger.

–To niemożliwe. Nurkowie znajdujący się w pobliżu wraku zauważyliby, gdyby cokolwiek się z niego wysunęło.

Steiger chciał coś powiedzieć, lecz nagle odwrócił niczego nie rozumiejący wzrok, gdy z przedniej części kabiny dobiegł stłumiony gardłowy głos.

–Cóż to, na Boga, jest?

Pitt nie tracił czasu na odpowiedź. Wiedział.

Znalazł admirała na mokrej podłodze. Złany zimnym potem Bass starał się złapać oddech. Okropny ból wykrzywił mu twarz, zmieniając ją w umęczoną maskę.

–To serce! – zawołał Pitt do Steigera. – Niech pan znajdzie Giordina i powie mu, żeby

zawrócił helikopter.

Zaczął rozpinać ubranie na szyi i piersi admirała. Bass podniósł dłoń i chwycił Pitta za nadgarstek.

–Głowice... – wysapał.

–Proszę spokojnie leżeć. Zaraz polecą pan do szpitala.

–Głowice... – powtórzył Bass.

–Wszystkie są bezpieczne w pojemnikach – zapewnił go Pitt.

–Nie... nie rozumie pan. – Teraz głos admirała był już charczącym szeptem. –

Pojemniki... policzyłem je... dwadzieścia osiem.

Słowa Bassa stały się ledwie rozróżnialne i Pitt musiał przystawić ucho do drżących ust.

Giordino wbiegł pędem na górę, niosąc kilka koców.

–Steiger dał mi znać – rzucił zdenerwowany. – Jak on się czuje?

–Jeszcze się trzyma – odrzekł Pitt. Uwolnił rękę z mocnego chwytu i lekko uściśnął dłoń Bassa. – Dopilnuję tego, admirale. Obiecuję.

Bass zamrugał nie widzącymi oczami i skinął głową.

Pitt i Giordino okryli go, pod głowę podłożyli złożony koc. Znowu pojawił się Steiger, a za nim dwóch lotników z noszami. Dopiero wówczas Pitt wyprostował się i odsunął na bok. Helikopter już wrócił i wylądował, kiedy wynosili jeszcze przytomnego Bassa z Vixen 03.

Steiger złapał Pitta za ramię.

–Co on usiłował panu powiedzieć?

–Chodziło o remanent pojemników z głowicami – odparł Pitt. – Naliczył dwadzieścia osiem.

–Modłę się, żeby ten stary przeżył – powiedział Steiger. – Przynajmniej mam satysfakcję, że to paskudztwo zostało wydobyte. Teraz musimy tylko zatopić je w oceanie i

na tym koniec okropnej historii.

–Nie, obawiam się, że to dopiero początek.

–Mówi pan zagadkami.

–Według admirała Bassa, Vixen 03 nie wystartował z Buckley Field z ładunkiem dwudziestu ośmiu głowic zawierających Szybką Śmierć.

W głosie Pitta Steiger wyczuł lodowaty strach.

–Naliczył przecież... dwadzieścia osiem.

–A powinno być trzydzieści sześć – odparł złowrogo Pitt. – Brakuje ośmiu głowic.

Część IV Bilet w jedną stronę

Waszyngton, grudzień 1988 42

Siedziba NUMA, cylindryczny budynek pokryty zielonym, odblaskowym szkłem, wznosił się na wysokość trzydziestu pięter ponad jedno ze wzgórz wschodniego Waszyngtonu. Na najwyższym piętrze admirał James Sandecker siedział przy olbrzymim biurku, zrobionym z odrestaurowanej pokrywy luku statku przemysłowego z czasów blokady konfederacji, wydobytego z dna cieśniny Albemarle. Zabrzęczał telefon prywatnej linii.

–Sandecker.

–Mówi Pitt, sir.

Sandecker wcisnął niewielki guzik na konsoli, włączając holograficzną kamerę telewizyjną. W samym środku gabinetu zmaterializowała się trójwymiarowa, barwna postać Pitta.

–Unieś trochę obiektyw swojej kamery – powiedział Sandecker. – Odciałeś sobie głowę.

Dzięki cudowi holografii satelitarnej wydawało się, że twarz Pitta wyrasta z ramion, po chwili jednak cała jego postać była jak żywa. Jediną różnicą, zawsze rozbawiającą Sandeckera, było to, że przez taki obraz można było przełożyć rękę, ponieważ całkowicie brakowało mu materii.

–Lepiej? – zapytał Pitt.

–Teraz jesteś cały. – Sandecker nie marnował słów. – Co wiadomo o Bassie?

Pitt wyglądał na zmęczonego, kiedy usiadł na składanym krzeselku pod dużą sosną, a jego hebanowe włosy tarposił porywisty wiatr.

–Kardiolog ze szpitala wojskowego Fitzsimons w Denver twierdzi, że stan się unormował. Jeżeli Bass przeżyje następne czterdzieści osiem godzin, będzie miał duże szansę

powrotu do zdrowia. Gdy tylko nabierze sił, by znieść transport, zabiorą go do szpitala

marynarki wojennej w Bethesda.

–A co z głowicami?

–Przewieźliśmy je ciężarówką na bocznicę kolejową w Leadville – powiedział wolno Pitt. – Pułkownik Steiger zgłosił gotowość zorganizowania przewozu do przystani szóstej w San Francisco.

–Przekaż Steigerowi, że jesteśmy mu wdzięczni za pomoc. Dopilnowałem, by czekał tam nasz statek badawczy wybrzeża Pacyfiku. Kapitan otrzymał instrukcje zrzuć głowic

poza szelfem kontynentalnym na głębokość trzech tysięcy metrów. – Sandecker przerwał na chwilę, formułując następne pytanie. – Zlokalizowałeś osiem brakujących głowic? Wyraz twarzy Pitta dał odpowiedź, zanim on sam zdążył się odezwać.

–Nie mieliśmy szczęścia, admirale. Dokładne przeszukanie dna jeziora nie dało żadnych rezultatów.

Sandecker zrozumiał załamanie malujące się na twarzy Pitta.

–Obawiam się, że nadszedł czas, by powiadomić Pentagon.

–Czy pan naprawdę uważa, że to byłoby mądre?

–A mamy inne wyjście? – odparł pytaniem Sandecker. – Nie dysponujemy wystarczającymi środkami do prowadzenia badań na tak wielką skalę.

–Potrzeba nam tylko jakiegoś śladu – powiedział Pitt, nie ulegając szefowi. – Podejrzewam, że te głowice są gdzieś zmagazynowane i pokrywają się coraz grubszą warstwą kurzu. Możliwe nawet, że złodzieje nie wiedzą, co naprawdę mają w rękach.

–Mógłbym zaakceptować tę wersję – rzekł Sandecker. – Kto przede wszystkim chciałby mieć coś takiego? Chryste, przecież każda z nich waży prawie tonę! Poza tym z łatwością można je rozpoznać jako przestarzałe głowice używane kiedyś w marynarce.

–Odpowiedź na to pytanie zaprowadzi nas też do mordercy ojca Loren Smith.

–Nie ma dowodów, nie ma przestępstwa – odparł Sandecker.

–Wiem, co widziałem – rzucił obojętnie Pitt.

–Tylko że to nie zmieni aktualnych okoliczności. Nasz największy problem polega na tym, jak znaleźć brakujące głowice, zanim komuś przyjdzie do głowy, by zabawiać się w sapers.

Nagle wydało się, że zmęczenie Pitta gdzieś uleciało.

–To, co pan powiedział, nasunęło mi pewną myśl. Proszę mi dać pięć dni na poszukanie tych głowic. Jeżeli nic nie zwojuję, rozegramy pańską partię.

Sandecker uśmiechnął się lekko na widok nagłego zapału swego pracownika.

–To już jest moja partia, bez względu na to, jak ty na to patrzysz – powiedział ostro –

Od dnia, w którym porwał samolot NUMA i system kamer podwodnych, wszystko spadło

na mnie jako byłego członka rządu zamieszanego w całą tę aferę.

Pitt popatrzył przez pokój, ale nie odezwał się.

Sandecker dał mu się trochę podenerwować, przecierając tymczasem oczy.

–W porządku. Zaryzykuję, chociaż uważam, że to nierozsądne.

–Więc zgadza się pan? Sandecker uległ.

–Masz pięć dni, Pitt. Ale niech Bóg ma nas w swej opiece, jeśli wrócisz z pustymi rękami.

Uderzył w wyłącznik holografu i obraz Pitta zniknął.

Tuż przed zachodem słońca Maxine Raferty odwróciła się od sznura do suszenia bielizny i popatrzyła na idącego drogą Pitta. Skończyła swoje zajęcie, wieszając ostatnią koszulę męża, i dopiero wtedy pozdrowiła nadchodzącego.

–Miło pana widzieć, panie Pitt.

–Witam panią.

–Czy Loren przyjechała razem z panem?

–Nie, musiała zostać w Waszyngtonie. – Pitt rozejrzał się po podwórzu. – Czy Lee jest w domu?

–Tak, naprawia zlew w kuchni. – Z zachodu, od strony gór wiał dość chłodny wiatr i Maxine zdziwiła się, że Pitt zarzucił sobie wiatrówkę tylko na ramię. – Proszę wejść.

Lee Raferty siedział przy kuchennym stole, opijając spory kawałek rury. Podniósł wzrok, gdy Pitt wszedł do środka.

–Niech pan siada, Pitt. Przyszedł pan w samą porę, bo właśnie miałem zamiar otworzyć jedną butelkę z mojego zapasu wina.

Pitt przysunął sobie krzesło.

–To oprócz piwa robi pan również wino?

–Tu w górach trzeba być samowystarczalnym – odparł Lee, uśmiechając się i końcem cygara wskazując rurę. – Weźmy chociażby to. Gdybym wezwał hydraulika z Leadville, musiałbym wybulić kupę forsy. Taniej zrobić samemu. Uszczelka puściła. Nawet dziecko by sobie z tym poradziło.

Raferty położył pordzewiałą rurę na starej gazecie, wstał i wyjął z szafki dwie szklanki i dzbanek.

–Chciałem z panem porozmawiać – odezwał się Pitt.

–To pewne. – Lee napełnił szklanki po brzegi. – Co pan sądzi o całym tym poruszeniu nad jeziorem? Słyszałem, że znaleźli tam jakiś stary samolot. Czy to może ten, o który pan pytał?

–Tak – odparł Pitt, pociągając ze szklanki trzymanej w lewej ręce. Był trochę zaskoczony zupełnie niezłym smakiem wina. – Między innymi przyszedłem tutaj również i z

tego powodu. Miałem nadzieję, że może zechce mnie pan oświecić i wyjawi, dlaczego zabił

Charliego Smitha.

Raferty zareagował tylko lekkim uniesieniem jednej siwej brwi.

–Ja... miałbym zamordować starego Charliego? O czym, na Boga, pan mówi?

–Sprzeczka między partnerami, którzy w głębinach górskiego jeziora znaleźli garnek

złota.

Lee popatrzył na Pitta, pytająco przekrzywiając głowę.

–Gada pan jak szalony.

–Zupełnie się pan nie spodziewał, że przyjdzie ktoś obcy i zacznie się dopytywać o zaginiony samolot. Pierwszym waszym błędem było to, że nie pozbyliście się butli

tlenowej i zawieszenia samolotu. Mimo to jestem pełen podziwu dla aktorskiego talentu pana i pańskiej żony. Uwierzyłem w tę waszą wiejską bajeczkę z łatwowiernością turysty z miasta. Tymczasem gdy już sobie poszedłem, śledziliście każdy mój ruch i widzieliście, że nurkuję w jeziorze. Byliście prawie stuprocentowo pewni, że znalazłem samolot i kości Charliego Smitha. Ale wtedy popełniliście kolejny, tym razem nieodwracalny błąd: w panice zabraliście szczątki Charliego i najprawdopodobniej zakopaliście gdzieś w górach. Gdybyście zostawili jego szkielet w samolocie, szeryf nie miałby żadnego punktu zaczepienia, by was łączyć z morderstwem sprzed trzech lat.

–Bez ciała – odrzekł Lee, spokojnie na nowo przypalając cygaro – będzie się pan musiał nieźle wysilać.

–Nie w sądzie – rzucił obojętnie Pitt. – Człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy. A to była klasyczna historia: zabójstwo sąsiada dla zysku. Rozdział pierwszy moglibyśmy zacząć od ekscentrycznego wynalazcy o nazwisku Charlie Smith, który sprawdzał swój najnowszy wynalazek, automat do zarzucania wędki. Za którymś razem haczyk o coś zawadził. Jako doświadczony wędkarz Charlie pomyślał, że zaczepił o jakąś kłodę, więc prowadził żyłkę z wyczuciem, tak że w końcu puściła, ale stwierdził, że coś ciągnie. Po chwili ujrzał butlę tlenową z samolotu. Mocowanie oderwało się, skorodowane po latach zanurzenia w wodzie, i wystarczyło szarpnąć, by ją oderwać i by wypłynęła na powierzchnię.

Normalnie każdy wezwałby szeryfa. Niestety, na nieszczęście dla samego siebie, Charlie był człowiekiem ciekawskim, Sam musiał się upewnić, że w wodzie jest samolot, więc wziął linę z kotwicą i zaczął bagrować dno. Za którymś razem zahaczył i oderwał przednie zawieszenie. Gdy już potwierdził swe podejrzenia, ogarnęła go chciwość, wyczuł skarb. Więc zamiast odgrywać uczciwego obywatela i zgłosić znalezisko, udał się prosto do Lee Raferty'ego.

–Po co Charlie miałby do mnie przychodzić?

–Jako były marynarz i nurek był pan idealnym partnerem. Zaryzykuję i powiem, że strój nurka i kompresor z pewnością ciągle leżą w pańskim garażu. Dla człowieka z takim

doświadczeniem zejście na głębokość czterdziestu metrów było dziecinną zabawą. A dziwny ładunek tylko rozbudził pańską wyobraźnię. Co spodziewał się pan znaleźć w tych pojemnikach? Może stare bomby atomowe? Wyobrażam sobie, ile wysiłku musieli włożyć dwaj siedemdziesięciolatekowie w nurkowanie w lodowatej wodzie i przeciągnięcie tysiąca kilogramów do brzegu. Podziwiam was obu za wytrwałość. Mam też nadzieję, że w tym wieku będę miał chociaż połowę waszej siły.

–To nie było takie trudne. – Lee uśmiechnął się, chyba w ogóle nie czuł lęku przed Pittem. – Kiedy Charlie skombinował ten nudy ładunek wybuchowy, by powiększyć dziurę w kadłubie, musiałem tylko przymocować pojemnik do liny, a on wyciągnął go samochodem terenowym.

–Dla chcącego... – odparł Pitt. – No więc jak, Lee? Po wyciągnięciu pojemnika stało się oczywiste, zwłaszcza dla dawnego marynarza i eksperta od ładunków wybuchowych, że macie w rękach coś, co z pewnością uradowałoby serce jakiegoś

admirała z okrętu liniowego. Tylko jak by tu oszacować wartość? Ile mógł być wart stary pocisk, jeśli w ogóle cokolwiek więcej ponad cenę złomu?

Lee Raferty wrócił do piłowania rury.

–Zgaduje pan zupełnie dobrze, Pitt, przyznaję. Oczywiście, wybacz pan, nie w stu

procentach, lecz na tyle dobrze, by zdać egzamin. Ale, do diabła, od razu się zorientowaliśmy,

że to nie są zwykłe pociski przebijające. Charlie potrzebował aż dziesięciu minut, by

stwierdzić, że chodziło o pociski z gazem.

Pitt był oszołomiony: dwaj starszacy wszystkich wystrychnęli na dudka.

–Jak? – spytał szorstko.

–Zewnętrznie pojemnik wyglądał tak samo jak pocisk oświetlający. Wie pan, o czym mówię: po osiągnięciu ustalonej wysokości wyrzucany jest spadochron, niewielki ładunek wybuchowy rozsadza głowicę, uwalnia i zapala porcję fosforu. Tylko że to diabelstwo miało z siebie wyrzucić kilkanaście malutkich bombek napełnionych trującym gazem.

–Charlie domyślił się, że głowica zawiera gaz, tylko przyglądając się jej?

–Znalazł pokrywę wyrzutnika spadochronu i to było dla niego pierwszą wskazówką. Potem zaczął dłubać przy czubku, rozmontował głowicę, odłączył ładunek i zajrzał do środka.

–Wielki Boże! – mruknął Pitt, bliski rozpaczu. – Charlie otworzył głowicę?

–A niby co w tym wielkiego? Przecież był specjalistą od takich rzeczy.

Pitt odetchnął głęboko i zadał kolejne, oczywiste pytanie:

–I co zrobiliście z tymi głowicami?

–Uznałem, że znalezione należy do znalazcy.

–Gdzie one są? – zażądał wyjaśnień Pitt.

–Sprzedaliśmy je.

–Co?! – sapnął. – Komu?

–Phalanx Arms Corporation w Newark w stanie New Jersey. Oni handlują bronią na międzynarodowym rynku. Skontaktowałem się z wiceprezesem, takim narwanym dupkiem, który bardziej przypomina obnośnego handlarza żelastwem niż śmiercią. Nazywa się Orville Mapes. W każdym razie przyleciał do Kolorado, sprawdził pocisk i zaoferował pięć tysięcy dolców za każdy, jaki dostarczymy do jego magazynu. I to bez zbędnych pytań.

–Resztę potrafię sobie dopowiedzieć – stwierdził Pitt. – Charlie zrozumiał, że jeśli te pociski gdzieś wybuchną, zginą tysiące, a może i setki tysięcy ludzi. Pan był jednak bardziej gruboskórny, Lee. Dla pana pieniądze znaczyły więcej niż sumienie. Posprzeczaliście się, potem pobiliście i Charlie przegrał. Ukrył pan jego ciało w zatopionym samolocie. Potem wziął pan kilka lasek dynamitu, w miejscu eksplozji rzucił but i palec Smitha i przez cały pogrzeb mocno szlochał.

Raferty nie zareagował na oskarżenie. Nie spuszczał wzroku z rury. Powoli, spokojnie opiłowywał nagwintowane końce. Za bardzo nonszalancki, pomyślał Pitt.

Raferty nie zachowywał się jak człowiek, którego wkrótce aresztują za morderstwo. Nie przypominał szczura zapędzonego w kozi róg.

–Szkoda, że Charlie nie podszedł do tego tak jak ja. – Raferty niemal ze smutkiem wzruszył ramionami. – W przeciwieństwie do tego, co może pan sądzić, nie jestem człowiekiem chciwym. Nie miałem zamiaru sprzedać tych pocisków za jednym razem. Można powiedzieć, że traktowałem je jak rodzaj konta z oszczędnościami. Gdybym z moją Max potrzebował trochę pieniędzy, wyciągnąłbym jeden i skontaktował się z Mapesem. On przysłałby ciężarówkę po odbiór towaru i zapłacił gotówką. Czysta transakcja, bez podatków.

–Chciałbym się dowiedzieć, jak pan zabił Charliego Smitha.

–Przykro mi pana rozczarować, panie Pitt, ale nie przepadam za odbieraniem innym życia. – Raferty pochylił się z wyrazem chytrych na pomarszczonej twarzy. – Max jest silniejsza. To ona zajmuje się zabijaniem. Strzeliła staremu Smithowi prościutko w serce.

–Maxine? – Pitt był zszokowany, nie w wyniku tego nagłego wyznania, lecz na myśl, że popełnił fatalny błąd.

–Można podrzucić dziesiątaka, a Maxine z dwudziestu kroków zmieni go na drobne –mówił dalej Raferty, głową wskazując gdzieś poza Pitta. – Daj panu Pittowi znak, że tu jesteś, kochanie.

Raferty'emu odpowiedziały dwa metaliczne szczęknięcia, a po nich delikatne puknięcia.

–Stuknięcie łuski o podłogę powinno dać panu do zrozumienia, że stary winchester

mojej Maxine jest załadowany i gotowy do strzału – powiedział Raferty. – Jeszcze jakieś wątpliwości?

Pitt wsparł mocno nogi o podłogę i zgiął rękę pod kurtką.

–Niezły cyrk, Lee.

–Więc niech pan sam się przekona. Ale ostrzegam – żadnych gwałtownych ruchów.

Pitt odwrócił się wolno do Maxine, której miłe niebieskie oczy spoglądały ponad muszką karabinu. Był wycelowany pewną ręką prosto w jego głowę.

–Przykro mi, panie Pitt – powiedziała smutno – ale Lee i ja nie zamierzamy spędzić ostatnich lat życia w więzieniu.

–Jeszcze jedno morderstwo na pewno wam nie pomoże – rzucił Pitt. Naprężył mięśnie nóg, oceniając dystans dzielący go od Maxine. Jakież półtora metra. – Przyprowaździłem świadka.

–Widziałaś kogoś, kochanie? – spytał Lee. Maxine pokręciła głową.

–Przyszedł drogą sam. Obserwowałam, kiedy wszedł do domu. Nikt za nim nie szedł.

–Tak myślałem – odrzekł Lee Raferty i westchnął. – Pan blefował, Pitt. Gdyby miał pan jakiegokolwiek pewne dowody przeciwko mnie i Maxine, przyprowaździłby pan ze sobą szeryfa.

–Ależ przyprowadziłem. – Pitt uśmiechnął się, sprawiał wrażenie odprężonego. – Siedzi w samochodzie z dwoma zastępcami jakieś pół kilometra stąd i słyszy każde nasze słowo.

Raferty'ego ogarnęło napięcie.

–Niech to diabli, kłamiesz!

–Przymocował mi plastrem nadajnik do piersi – powiedział Pitt, lewą ręką rozpinając guzik koszuli. – O, tutaj, pod...

Maxine minimalnie opuściła lufę karabinu i w tej samej chwili Pitt rzucił się w bok, pociągając za spust automatycznego colta, którego trzymał pod kurtką. Wydawało się, że winchester i colt wypaliły jednocześnie.

Al Giordino i Abe Steiger przyjechali kilka minut przed Pittem i zajęli pozycję przy kilku srebrnych świerkach. Steiger przez lornetkę obserwował wieszającą pranie Maxine.

–Widać jej męża? – spytał Giordino.

–Najwyraźniej siedzi w domu. – Steiger spojrzał lekko w bok. – Teraz podchodzi do niej Pitt.

–Ten colt kalibru 45 chyba sterczy mu jak trzecia ręka.

–Zakrył go wiatrówką. – Steiger odchylił gałązkę, by mieć lepsze pole widzenia. – Teraz wchodzi do domu.

–Czas podejść bliżej – stwierdził Giordino. Już unosił się z kolan, kiedy potężna dłoń Steigera z powrotem przycisnęła go do ziemi.

–Zaczekaj! Ta stara została, by sprawdzić, czy przyszedł sam.

Przez kilka minut siedzieli cicho i nieruchomo, tymczasem Maxine obeszła podwórko, przyglądając się okolicznym drzewom. Ostatni raz spojrzała na drogę i skręciła za narożnik domu, znikając Steigerowi z oczu.

–Daj mi trochę czasu na okrążenie domu, zanim podejdziesz do drzwi frontowych –

powiedział Steiger.

Giordino skinął.

–Uważaj na niedźwiedzie.

Steiger rzucił mu wymuszony uśmiech i wymknął się do płytkiego parowu. Miał jeszcze dobre pięćdziesiąt metrów do celu, gdy usłyszał strzały.

Giordino odliczał czas, kiedy huk z okna domu odbił się echem po okolicy. Zerwał się na nogi i popędził z niewielkiego wzgórza, przeskakując niskie ogrodzenie podwórka. W tej samej chwili Maxine Raferty wypadła tyłem przez frontowe drzwi jak przez nikogo nie kierowany czołg Pattona, przewróciła się na schodach i uderzyła o ziemię. Giordino zatrzymał się w pół kroku, zaskoczony krwawymi śladami na jej sukience. Stał jak wryty, kiedy staruszka podniosła się zwinnie jak gimnastyczka. Spozrzegł w jej rękach sponiewierany karabin, lecz było już za późno.

Maxine, gotowa ponownie wpaść do domu, zauważyła stojącego nieruchomo Giordina. Niezdarnie chwyciła winchester obiema dłońmi, jedną za uchwyt, drugą za lufę, i wypaliła z biodra.

Siła uderzenia pocisku obróciła Giordinem i rzuciła go na trawę.

Z lewego uda trysnęła przez spodnie krew.

Pitt miał wrażenie, że wszystko odbywa się w zwolnionym tempie.

Lufa winchestera plunęła mu ogniem w twarz. W pierwszej chwili pomyślał, że dostał, ale gdy padł na podłogę, stwierdził, że może jeszcze poruszać rękami i nogami.

Wystrzał Maxine skaleczył mu ucho, natomiast jego pocisk trafił w kolbę winchestera, odbił się rykoszetem i stłukł szklaną osłonę lampy naftowej.

Lee Raferty ryknął jak zwierzę i zamachnął się rurą. Trafiła w ramię i musnęła skroń. Pitt jęknął z bólu i odwrócił się, desperacko próbując przewyciężyć ogarniającą go ciemność i mgłę przesłaniającą mu wzrok. Wycelował colta w niewyraźną postać Raferty'ego.

Maxine lufą swego karabinu uderzyła w colta, wytrącając go z ręki Pitta wprost do kominka. Starła się jak najszybciej zarepetować sponiewieraną broń, kiedy natarł Lee, znów zamachując się rurą. Pitt podniósł lewą rękę, by odparować cios, i zdziwił się, nie słysząc odgłosu łamanej kości. Lewą nogą kopnął napastnika w kolano, przewracając się i pociągając go na siebie.

–Strzelaj, do cholery! – krzyknął do żony Lee. – Strzelaj!

–Nie mogę! – odpowiedziała piskliwie. – Jesteś na linii strzału.

Lee puścił rurę i zaczął się gwałtownie wrywać, ale Pitt zdrową prawą ręką mocno objął go za szyję i nie puszczał. Maxine tańczyła po pokoju, w podnieceniu celując z winchestera, chcąc oddać bezpieczny strzał. Pitt trzymał Raferty'ego przed sobą jak tarczę i jednocześnie próbował się podnieść. Wtedy Lee odwrócił się nagle, kopnął Pitta kolanem w krocze i wyrwał się.

W przerażającym przypiływie grozy Pitt zdążył chwycić lampę naftową i rzucić nią w Maxine. Krzyknęła, gdy szkło rozleciało się na kawałki, tnąc sukienkę i kalecząc jedną z wielkich obwisłych piersi. Pitt poderwał się i uderzył, trafił ją mocniej niż kogokolwiek kiedykolwiek wcześniej. Jak na kobietę w tak zaawansowanym wieku Maxine była twarda, lecz nie wytrzymała brutalnej szarży Pitta. Poleciała tyłem z taką siłą, że dosłownie wyfrunęła przez frontowe drzwi i zniknęła.

–Ty draniu! – wrzasnął Lee. Rzucił się do kominka, wyciągnął z popiołu colta i błyskawicznie odwrócił się do Pitta.

Nagle okno rozprysnęło się na kawałki i do kuchni wpadł Abe Steiger, przewracając przed sobą stół. Lee odwrócił się, dając Pittowi ten ułamek sekundy, jakiego potrzebował, by chwycić rurę z podłogi.

Oszołomiony Steiger nigdy nie zapomniał przygotowującego o mdłości odgłosu pękającej czaszki Lee Raferty'ego.

Giordino siedział na ziemi, wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami przyglądając się zranionej nodze. Podniósł wzrok na Maxine, nie do końca rozumiejąc, co się wydarzyło. Potem z otwartymi ustami patrzył, jak ona wyrzuca z komory łuskę i repetuje broń. Maxine wycelowała w jego pierś i przyłożyła palec do spustu.

Huk był ogłuszający, pocisk rozerwał klatkę piersiową, wyrzucając fontannę krwi i szpiku kostnego pod nogi Giordina. Maxine stała jeszcze prawie przez trzy sekundy i dopiero potem opadła na ziemię jak tłusta, groteskowa kupa mięsa. Krew wypływała

jej spomiędzy piersi, zalewając trawę.

Pitt oparł się o poręcz, dzierżąc w dłoni colta z lufą uniesioną do góry. Po chwili opuścił broń i sztywno podszedł do Giordina. Steiger wyszedł, by się rozejrzeć, i wymiotował na grządkę kwiatów.

Giordino wpatrywał się w kawałek białej chrząstki, gdy Pitt uklęknął za nim.

–Ty... to ty odstrzeliłeś pierś tej słodkiej starszej damie? – spytał.

–Tak – odparł Pitt, zupełnie nie czując dumy.

–Dzięki Bogu – mruknął Giordino. – Myślałem już, że to białe na ziemi to kawałek mnie.

–Ty głupcze! – wrzasnął ponad biurkiem Thomas Machita. – Ty cholerny głupcze! Pułkownik Randolph Jumana siedział i obserwował wybuch i majora z umiarkowanym pobłażaniem.

–Miałem ważne powody, by wydać takie rozkazy.

–Kto pana upoważnił do zaatakowania tej wioski i zabijania czarnych?

–Pan nie bierze pod uwagę podstawowych faktów, majorze. – Jumana zdjął okulary do

czytania w rogowej oprawie i podrapał się w nos. – Podczas nieobecności generała Lusany ja

dowodzę AAR i po prostu wypełniam jego zarządzenia.

–Napadając na wioski zamiast na cele wojskowe? – rzucił ze złością Machita. – Terroryzując naszych braci i siostry, których jedynym przestępstwem jest praca podle opłacanych służących u białych właścicieli Afryki Południowej?

–Nasza strategia, majorze, polega na wbiciu klina między białych a czarnych. Każdy z naszych, który podejmuje pracę dla rządu, musi być uznany za zdrajcę.

–Owszem, czarni członkowie Sił Obronnych jak najbardziej – przyznał Machita – ale nie można zdobyć poparcia, zabijając masowo nauczycieli, pocztowców i robotników drogowych.

Twarz Jumany zrobiła się zimna i bezosobowa.

–Gdyby zabicie setki dzieci mogło przyspieszyć nasze ostateczne zwycięstwo nad białymi choćby o godzinę, nie wahałbym się wydać rozkazu takiej egzekucji.

Machitę ogarnęła fala wstrętu.

–Gada pan jak rzeźnik!

–W starym zachodnim świecie jest takie powiedzenie – rzucił obojętnie Jumana. – ”Cel uświęca środki”.

Machita wbił wzrok w otyłego pułkownika, aż tamtemu skóra ścierpła.

–Gdy generał Lusana dowie się o tym, wyrzuci pana z AAR.

Jumana uśmiechnął się.

–Za późno. Moja kampania szerzenia terroru i spustoszenia w Afryce Południowej jest już nieodwracalna. – Jumanie udało się przybrać jeszcze bardziej złowrogi wygląd. – Generał Lusana przyszedł z zewnątrz. Plemiona z głębi kontynentu nigdy nie uznają go za jednego ze swoich, tak samo przywódcy miast. Gwarantuję panu, że on nigdy nie zajmie stanowiska premiera w Kapsztadzie.

–To brzmi jak spisek.

–Z drugiej strony – mówił dalej Jumana – pan urodził się w Liberii, zanim pańscy rodzice wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych. Pańska skóra jest tak samo czarna jak moja. Pańska krew nie została zmieszana poprzez stosunki seksualne z białymi, jak w przypadku większości amerykańskich Murzynów. Chyba powinien się pan zastanowić, Machita, czy nie zmienić kierunku swojej lojalności.

–Kiedy wstępowaliśmy do AAR, złożył pan tę samą przysięgę co ja – odparł chłodno Machita – a mianowicie, że będzie pan popierał zasady Hiramusa Lusany. To, co pan proponuje, przyprawia mnie o mdłości. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. I

niech pan będzie pewien, pułkowniku, że w ciągu godziny generał Lusana dowie się o pańskiej zdradzie.

Nie mówiąc nic więcej, Machita wypadł z biura Jumany trzaskając drzwiami. Po paru sekundach zapukał i wszedł adiutant pułkownika.

–Pan major robił wrażenie zdenerwowanego.

–Drobna różnica poglądów – odrzekł obojętnie Jumana. – Szkoda, że jego działania są nieodpowiednio ukierunkowane. A teraz weźcie szybko dwóch moich goryli i idźcie do skrzydła łącznościowego. Powinniście tam znaleźć majora Machitę, jak próbuje przekazać pewną wiadomość generałowi Lusanie w Waszyngtonie. Przerwijcie nadawanie i aresztujcie go.

–Aresztować majora? – Adiutant był oszołomiony. – Na podstawie jakiego oskarżenia?

Jumana pomyślał przez chwilę.

–Przekazywanie tajemnic wrogowi. To powinno wystarczyć, by zamknąć go w piwnicy do czasu procesu i rozstrzelania.

Hiram Lusana stał w wejściu do biblioteki Izby Reprezentantów i rozglądał się, wypatrując Fredericka Daggata. Kongresman siedział przy długim mahoniowym stole i robił notatki z dużej książki oprawnej w skórę.

–Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – zagadnął Lusana. – Pana wiadomość wydała

mi się pilna, a sekretarka powiedziała, że tutaj pana znajdę.

–Proszę usiąść – odparł Daggat, nie okazując ani odrobiny przyjacielskości.

Lusana przysunął krzesło i czekał.

–Czytał pan już poranne wydanie gazety? – spytał Daggat, znowu wpatrując się w księgę.

–Nie, rozmawiałem z senatorem Moore’em z Ohio. Chyba popiera naszą walkę, kiedy wyjaśniłem mu cele działalności AAR.

–Najwyraźniej senator również przeoczył te wieści.

–O czym pan mówi?

Daggat sięgnął do kieszeni na piersi i podał Lusanie spięte wycinki.

–Proszę, przyjacielu. Niech pan czyta i... płacze.

TAZAREEN, Afryka Południowa (UPI) – Przedstawiciele Sił Obronnych donoszą, że w wiosce Tazareen w Transvaalu zabito co najmniej 165 czarnych mieszkańców. Tego pozornie bezsensownego, morderczego rajdu o świcie dokonał oddział Afrykańskiej Armii Rewolucyjnej. Pewien oficer wojska powiedział, że napaści dokonało około dwustu partyzantów AAR, którzy przedostali się do wioski, strzelając do wszystkiego, co się ruszało, i tnąc maczetami.

–Zamordowano czterdzieści sześć kobiet i dzieci, niektóre dzieci w łóżeczkach trzymające lalki – powiedział oszołomiony policjant, wskazując wypalone resztki zasobnej

wioski. – Z wojskowego punktu widzenia, to bezsensowna strata, akt zwierzęcej dzikości.

Znaleziono czteroletnią dziewczynkę z poderżniętym gardłem. Znaleziono

ciężarne kobiety z posiniaczonymi brzuchami, co wskazuje na to, że zostały zdeptane na śmierć.

Przedstawiciele Ministerstwa Obrony nie potrafili określić powodu napaści. Wszystkie ofiary były osobami cywilnymi. Najbliższe obiekty wojskowe znajdują się w odległości dwudziestu kilometrów.

Do tej pory Afrykańska Armia Rewolucyjna, dowodzona przez amerykańskiego emigranta Hiram Jonesa, który sam siebie nazywa Hiramem Lusana, prowadziła wojnę czysto militarną, atakując wyłącznie południowoafrykańskie Siły Obronne i cele wojskowe.

Barbarzyńskie ataki innych grup powstańczych są zjawiskiem powszechnym wzdłuż północnych granic Afryki Południowej. Przedstawiciele obrony są zaskoczeni takim obrotem spraw.

Poprzednio jedynym tego typu aktem ze strony AAR był rajd na farmę Fawkesów w Umkono w Natalu, gdzie zginęły trzydzieści dwie osoby.

Tymczasem wiadomo, że Hiram Jones-Lusana przebywa w Waszyngtonie, starając się uzyskać wsparcie dla AAR.

Lusana nie potrafił pojąć treści artykułu, dopóki nie przeczytał go cztery razy. W końcu, wstrząśnięty, podniósł wzrok i rozłożył ręce w geście zdziwienia.

–To nie jest moja robota – powiedział.

Daggat spojrział znad książki.

–Wierzę panu, Hiram. Jestem głęboko przekonany, że głupota nie jest cechą pańskiego charakteru. Jednak jako dowódca jest pan odpowiedzialny za działania swoich

oddziałów.

–Jumana! – rzucił Lusana, gdy wreszcie zrozumiał. – Myli się pan, kongresmanie, ja jestem głupi. Tom Machita próbował mnie ostrzec przed buntowniczymi skłonnościami Jumany, ale nie chciałem go słuchać.

–Ten najcięższy pułkownik obwieszony medalami – dodał Daggat. – Pamiętam go z przyjęcia. Określił go pan chyba jako przywódcę jednego z najważniejszych plemion.

Lusana skinął głową.

”Ulubiony syn” plemienia Srona. Spędził prawie osiem lat w południowoafrykańskich więzieniach, nim zorganizowałem mu ucieczkę. Ma duże poparcie w całym Transvaalu. Sądziłem, że z politycznego punktu widzenia korzystnie będzie wyznaczyć go na mojego zastępcę.

–Jak wielu Afrykanów, którzy nagle zajmują ważne stanowiska w hierarchii władzy,

najwyraźniej zaczął miewać sny o wielkości.

Lusana wstał i oparł się ciężko o półkę z książkami.

–Idiota – mruknął prawie do siebie samego. – Czy on nie rozumie, że niszczy sprawę,

o którą walczy?

Daggat podniósł się również i położył dłoń na ramieniu Lusany.

–Proponuję, by najbliższym rejssem odleciał pan do Mozambiku, Hiramie, i odzyskał kontrolę nad jego poczynaniami. Niech pan poda do wiadomości publicznej, że masakra nie jest dziełem AAR. Niech pan oskarży inne grupy powstańcze, jeśli pan musi, ale niech pan się pozbiera i zrobi u siebie porządek. Ja uczynię wszystko, co będę mógł, by zminimalizować wrogie reakcje na te doniesienia.

Lusana wyciągnął rękę.

–Dziękuję, panie kongresmanie. Jestem wdzięczny za wszystko, co pan zrobił. Daggat mocno uściskał mu dłoń.

–A pański podkomitet, jak będzie teraz głosował? – zapytał Lusana. Daggat uśmiechnął się pewnie.

–Trzy do dwóch na korzyść pomocy dla AAR, pod warunkiem, że się pan odpowiednio zaprezentuje przed kamerami telewizyjnymi i zaprzeczy jakimkolwiek

związkowi z masakrą w Tazareen.

Pułkownik Joris Zeegler zajął piwnicę szkoły oddalonej o piętnaście kilometrów od granicy Natalu z Mozambikiem. Podczas gdy na dwóch wyższych piętrach trwały zajęcia, Zeegler i jeszcze kilku oficerów Sił Obronnych studiowali mapy i makietę kwatery AAR, leżącej po drugiej stronie granicy, w odległości mniej więcej czterdziestu kilometrów.

Zeegler patrzył z ukosa przez chmurę dymu ze zwisającego z ust papierosa i pukał wskazówką w miniaturę budynku w samym środku makiety.

–Budynek administracyjny byłego uniwersytetu – powiedział – jest wykorzystywany przez Lusana jako centrum dowodzenia. Wszystko znajduje się właśnie tam – dostarczone przez Chiny środki łączności, sztab polowy, sekcja wywiadowcza, pomieszczenia szkolenia ideowego. Ale tym razem za bardzo się popisali. Wystarczy to zniszczyć razem ze wszystkimi znajdującymi się tam ludźmi, a odetnie się głowę całej AAR.

–Proszę mi wybaczyć, sir – odezwał się potężny kapitan o czerwonej twarzy i krzaczastych wąsach – lecz zrozumiałem, że Lusana jest w Ameryce.

–Zgadza się. W tej chwili przebywa w Waszyngtonie, na kolanach błagając jankesów o pomoc finansową.

–Więc co za sens odcinać głowę węża, którego mózg znajduje się gdzie indziej? Dlaczego nie zaczekamy, aż wróci, i nie odstrzelimy łba również temu pedałowi?

Zeegler spojrzał na niego zimno i uważnie.

–Pańska metafora wymaga doszlifowania, kapitanie. Jednak by odpowiedzieć na pytanie, powiem, że nie byłoby praktycznie czekać na powrót Lusany. Nasze źródła

wywiadowcze potwierdziły, że pułkownik Jumana doprowadził do buntu w szeregach AAR.

Zebrani wokół makiety oficerowie wymienili zdziwione spojrzenia. Pierwszy raz słyszeli o odsunięciu Lusany od władzy.

–Nadszedł czas natarcia – kontynuował Zeegler. – Brutalnie mordując bezbronne kobiety i dzieci w Tazareen, Jumana otworzył nam drzwi do odwetu. Rajd przez granicę na

kwaterę główną AAR został zaakceptowany przez premiera. Oczywiście, należy się

spodziewać protestów dyplomatycznych z krajów Trzeciego Świata, ale to będzie tylko

formalność, nic więcej.

Robiący wrażenie twardego facet w randze majora, ubrany w mundur polowy, podniósł rękę. Zeegler udzielił mu głosu.

–Raport wywiadu mówi o obecności doradców wietnamskich, jak również prawdopodobnej obecności grupy chińskich obserwatorów. Nasz rząd z pewnością miałby

problemy, gdybyśmy wykończyli tych drani.

–Wypadki się zdarzają – stwierdził Zeegler. – Jeżeli na linii strzału przypadkiem stanie

jakiś obcokrajowiec, nie wahajcie się, by odesłać go prosto do Buddy. Oni nie mają żadnego

interesu, by znajdować się w Afryce. De Vaal rozumie taką ewentualność i wszystkie

problemy zgodził się wziąć na siebie.

Zeegler znowu przeniósł wzrok na makietę.

–A teraz, panowie, zajmijmy się końcową fazą ataku. Postanowiliśmy wykorzystać jedną stronę z podręcznika AAR na temat porządkowania pola walki. –

Uśmiechnął się zimno.

–Tylko że my zrobimy to lepiej od nich.

Thomas Machita drżał w swojej celi. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek było mu tak zimno. Temperatura na kontynencie zmieniała się normalnie, od trzydziestu pięciu po południu do lodowatego zera tuż przed świtem.

Goryle Jumany wyciągnęli go z sali łączności, zanim nadał wiadomość do Waszyngtonu. Bezlitośnie stłukli go i dopiero potem odarli z ubrania i wrzucili do wilgotnej, małej celi w piwnicy budynku. Jedno oko tak mu spuchło, że nic na nie nie widział. Głęboka rana nad drugą brwią zaskorupiała przez noc, więc widział trochę, zdrapawszy zakrzepniętą krew. Wargi miał opuchnięte, po użyciu kolby karabinu brakowało mu dwóch zębów. Zmienił pozycję na kupie brudnych, wyschniętych liści, stękając z bólu w popękanych żebrach.

Leżał pokonany, patrząc obojętnie na betonowe ściany swego więzienia, kiedy przez malutkie, okratowane okienko wpadły pierwsze promienie nowego dnia. Cella była małym sześcianem, półtora na półtora na półtora metra, i ledwie starczało mu miejsca, by się położyć, oczywiście pod warunkiem, że uniósł kolana. Niskie, sklepione w łuk drzwi na korytarz piwnicy wykonane z drewna mahoniowego miały

osiem centymetrów grubości. Od wewnątrz nie było żadnej klamki.

Usłyszał przez okno głosy, podniósł się z wysiłkiem i wyrzwał na zewnątrz. Okienko wychodziło na plac ćwiczeń tak, że znajdował się on na wysokości oczu Machity. Elitarne oddziały zbierały się na apel i inspekcję. Po drugiej stronie z wentylatorów stołówki wydobywało się drżące, gorące powietrze, dowód wysiłków kucharzy. Grupa rekrutów z Angoli i Zimbabwe sennie wynurzała się z namiotów, słysząc energiczne pokrzykiwania dowódców.

Zaczynał się kolejny dzień politycznej indoktrynacji i ćwiczeń bojowych. Tylko że ten dzień miał być zupełnie inny.

Wpatrując się uważnie w tarczę zegarka, Joris Zeegler odezwał się cicho do mikrofonu krótkofalówki:

–Tonik Jeden?

–Tonik Jeden na pozycji, sir – zatrzeszczał głos w głośniku.

–Tonik Dwa?

–Gotów otworzyć ogień, pułkowniku.

–Dziesięć sekund. Odliczam – powiedział Zeegler. – Pięć, cztery, trzy, dwie...

Formacja komandosów na placu ćwiczeń padła zgodnie na ziemię – jak na komendę.

Machita nie mógł uwierzyć, że dwustu ludzi zginęło prawie natychmiast, kiedy z gęstych zarośli wokół obozu rozległa się potężna salwa. Przycisnął twarz do krat, nie zwracając uwagi na ból, przekręcał głowę, by lepiej widzieć swoim jedynym, zdrowym okiem. Strzelanina wzmogła się, gdy zaskoczeni żołnierze AAR zaczęli bezładnie odpowiadać niewidocznemu wrogowi.

Rozróżniał charakterystyczny trzask chińskich automatów CK-88, używanych przez AAR, i produkowanych w Izraelu Felo, stosowanych przez południowoafrykańskie Siły Obronne. Felo wydawały warkot, wystrzeliwując całe roje ostrych jak brzytwa tarcz, które jednym uderzeniem potrafiły ściąć dwudziestocentymetrowej grubości pień drzewa.

Machita zrozumiał, że Afrykanerzy przekroczyli granicę, by wziąć odwet za Tazareen. Niech cię diabli, Jumana! – krzyknął w bezsilnej wściekłości. – Ty to na nas ściągnąłeś!

Ludzie padali dokoła, poskręcani w dziwacznych pozach. Na placu leżało ich tak wielu, że nie można było przejść z jednej strony na drugą, nie deptając po poszarpanych ciałach. Nad głównym budynkiem mieszkalnym, w którym grupa żołnierzy szukała schronienia, przeleciał helikopter Sił Obronnych. Pękaty ładunek wypadł z otwartych drzwi i wylądował na dachu. Po kilku sekundach potężna eksplozja rozerwała budynek na kawałki.

Południowoafrykańskie siły lądowe nie zdradziły jeszcze swoich pozycji. Niszczyły główną siedzibę AAR, nie ryzykując życia. Błyskotliwy plan i dokładne wykonanie dawały białym wielką przewagę.

Machita ujrzał na moment zieleń i brąz helikoptera. Maszyna zniknęła ponad budynkiem kwatery głównej, w którym znajdowała się jego cela.

Skulił swe obolałe ciało, czekając na nieuniknioną eksplozję. Wybuch był dwa, trzy razy silniejszy, niż się spodziewał, wypchnął mu powietrze z płuc jak potężny

młot. Potem sufit nad całą zapadł się i ogarnęła go ciemność.

–Nadlatują, sir – oznajmił sierżant, salutując.

Pieter De Vaal przyjął wiadomość machnięciem szpicruty.

–Myślę zatem, że powinniśmy ich powitać. Nie uważacie?

–Tak jest. – Sierżant otworzył drzwi samochodu i stanął obok, kiedy De Vaal wyłonił się z ciemności tylnego siedzenia, skrupulatnie wygładził szyty na miarę mundur i ruszył w kierunku lądowiska.

Stali prawie przez minutę, wpatrując się w światła helikoptera tnące wieczorny mrok. Potem podmuch wirujących łopat zmusił ich do przytrzymania czapek.

Odwrócili się tyłem, gdy uderzyły w nich poderwane z ziemi drobne kamyczki.

Śmigłowce Sił Obronnych zatrzymywały się w powietrzu precyzyjnie jeden za drugim. Po chwili na rozkaz dowódcy wszystkie osiadły na ziemię. Zgasły światła.

Zeegler wysiadł z helikoptera prowadzącego i podbiegł do De Vaala.

–Jak poszło? – spytał minister obrony.

W ciemności uśmiech Zeeglera był ledwo widoczny.

–Zadanie godne odnotowania w podręcznikach historii, panie ministrze. Niesamowity wyczyn. Inaczej nie da się tego określić.

–Straty?

–Czterech rannych, nikt poważnie.

–A buntownicy?

Zeegler nie odpowiedział od razu, chcąc spotęgować wrażenie swoich słów.

–Naliczyliśmy dwa tysiące trzysta dziesięć ciał. Co najmniej dwustu zginęło pod gruzami budynków. Nieliczni mogli uciec do buszu.

–Wielki Boże! – De Vaal był zaszokowany. – Mówicie poważnie?

–Sam dwa razy sprawdzałem liczenie trupów.

–W najśmielszych przewidywaniach nie myśleliśmy, że będzie więcej niż kilkuset zabitych.

–Nieoczekiwana korzyść – odparł Zeegler. – Obóz był przygotowany do inspekcji. Pułkownik Randolph Jumana zginął od pierwszej salwy.

–Jumana był idiotą – rzucił De Vaal. – Jego dni były policzone. Thomas Machita – ten jest przebiegły. Jako jedyny z tej bandy bękartów mógłby dorównać Lusanie.

–Zidentyfikowaliśmy kilkunastu oficerów ze sztabu Lusany, w tym pułkownika Duć Phon Lo, wietnamskiego doradcę wojskowego. Niestety nie znaleźliśmy ciała Machity. Jestem przekonany, że zginął przywalony tonami gruzu. – Zeegler przerwał na chwilę i spojrzał De Vaalowi w oczy. – Może wobec takiego sukcesu, Herr Minister, mądrym posunięciem byłoby skreślenie operacji "Dzika róża"?

–Dlaczego nie skończyć, skoro już mamy przewagę?

Zeegler skinął w milczeniu.

–Jestem pesymistą, pułkowniku. Miną miesiące, a może lata, nim AAR się odrodzi, ale to na pewno się kiedyś stanie. – Wydawało się, że De Vaal popada w zamyślenie. – Jak

długo Afryka Południowa będzie żyła w zagrożeniu czarnych rządów, nie mamy innego

wyboru – musimy stosować każdą metodę, by przeżyć. "Dzika róża" odbędzie się zgodnie z planem.

–Ja poczuje się lepiej, gdy Lusana wpadnie w naszą sieć. De Vaal rzucił Zeeglerowi niemiły uśmiech.

–Nie słyszeliście?

–Czego, sir?

–Hiram Lusana nie wróci do Afryki. Nigdy!

Machita nie potrafił określić, kiedy przekroczył próg nieświadomości. Otaczała go ciemność. Potem ból w końcówkach nerwów wzmógł się, więc jęknął mimowolnie. Jego słuch zarejestrował ten dźwięk, ale nic więcej.

Spróbował unieść głowę. Po chwili nieco wyżej, z lewej strony pojawiła się żółtawa kula. Ten dziwny obiekt powoli zrobił się wyraźniejszy i przekształcił w punkt odniesienia. Machita patrzył na księżyc w pełni.

Usiadł z wysiłkiem, opierając się plecami o zimną ścianę. W świetle sączącym się do celi spostrzegł, że strop osunął się o pół metra, a potem zaklinował między ścianami.

Odsapnąwszy chwilę dla nabrania sił, zaczął odgarniać gruz. Dłońmi wyczuł kawałek deski i wykorzystał go do odgarniania. W końcu zrobił dość miejsca, by wyczołgać się na zewnątrz. Wyrzął ostrożnie w zimne, nocne powietrze. Nic się nie poruszało. Zgiął kolana i wypchnął ciało tak daleko, że dłońmi dotknął trawy na placu ćwiczebnym. Jeszcze jedno szarpnięcie i był wolny.

Odetchnął głęboko i rozejrzał się. I właśnie wtedy zrozumiał cud swego przetrwania. Ściana budynku administracyjnego przewróciła się do wewnątrz, zawalając pierwsze piętro, co skutecznie osłoniło jego celę przed spadającym gruzem i śmiertelnym gniewem Afrykanerów.

Kiedy podniósł się na nogi, nikt go nie pozdrowił, bo nikogo nie było widać. Księżyc oświetlał pusty teren niesamowitym światłem. Wszystko zostało zrównane z ziemią. Na placu nie ujrzał nikogo, ciała zabitych zniknęły.

Było tak, jakby Afrykańska Armia Rewolucyjna nigdy nie istniała.

–Chciałbym panu pomóc, ale naprawdę nie wiem jak.

Lee Raferty miał rację, pomyślał Pitt, Orville Mapes wyglądał raczej na handlującego żelastwem domokrażęcę niż prawdziwego handlarza bronią. W jednym się tylko pomylił: Mapes nie był już wiceprezesem. Został prezesem i przewodniczącym rady nadzorczej Phalanx Arms Corporation. Pitt patrzył prosto w oczy tego przysadzystego, małego człowieka.

–Mogłoby mi pomóc sprawdzenie pańskich rejestrów magazynowych.

–Nie mam zwyczaju pokazywać ich obcym przychodzącym z ulicy. Moi klienci nie byłiby zadowoleni z dostawcy, który nie zachowuje tajemnicy transakcji.

–Zgodnie z prawem musi pan składać raporty ze sprzedaży broni w Departamencie Obrony, więc na czym polega problem?

–To pan jest z Departamentu Obrony, panie Pitt? – spytał Mapes.

–Pośrednio.

–Kogo zatem pan reprezentuje?

–Przykro mi, ale tego nie mogę ujawnić.

Mapes pokręcił nerwowo głową i wstał.

–Jestem człowiekiem zapracowanym i nie mam czasu na zabawę. Chyba sam trafi pan

do wyjścia.

Pitt nie ruszył się z krzesła.

–Niech pan siada, Mapes... Proszę.

Mapes patrzył w zielone oczy, których spojrzenie było twarde jak diament. Zawahał się, pomyślał o rzuceniu wyzwania temu rozkazowi, a potem powoli zrobił to, o co go poproszono.

Pitt wskazał głową telefon.

–Dla nas obu zatem sytuacja jest już jasna. Proponuję, żeby zatelefonował pan do generała Elmera Grosfielda.

Mapes skrzywił się i odparł:

–Rzadko się widuję z głównym inspektorem do spraw eksportu broni.

–Jestem pewien, że nie lubi, kiedy wrogo nastawionym narodom sprzedaje się tajną broń.

Mapes wzruszył ramionami.

–Generał jest człowiekiem o ciasnym umyśle. – Rozparł się w fotelu i taksująco zmierzył Pitta. – A co, jeśli wolno zapytać, łączy pana z Grosfieldem?

–Powiedzmy, że reprezentuje bardziej moje poglądy niż pańskie.

–Czyżbym wyczuwał w tym zawołaną groźbę, panie Pitt? Jeżeli nie zatańczę tak, jak pan gra, to poskarży się pan Grosfieldowi, tak?

–Moja prośba jest prosta. Chodzi o sprawdzenie, do kogo trafiły pociski, które pan kupił od Lee Raferty'ego w stanie Kolorado.

–Proszę pana, ja nie muszę niczego panu pokazywać – upierał się Mapes. – W każdym razie nie bez logicznego wyjaśnienia, stosownej identyfikacji, a właściwie nakazu sądowego.

–A jeśli poprosiłby pana o to generał Grosfield?

–Wtedy bym się zgodził.

Pitt znowu wskazał głową telefon.

–Podam panu jego prywatny numer...

–Mam go – powiedział Mapes, szukając w niewielkim pudełku. Znalazł odpowiednią kartę i wyjął ją. – Nie o to chodzi, że panu nie ufam, panie Pitt, ale wolę korzystać z numerów z mojego własnego spisu.

–Proszę bardzo.

Mapes podniósł słuchawkę, wsunął kartę w telefon automatycznie wybierający numery i wcisnął guzik kodu.

–Jest po dwunastej – powiedział. – Grosfield prawdopodobnie wyszedł na lunch. Pitt pokręcił głową.

–Generał przynosi lunch do biura.

–Zawsze uważałem go za sknerę – mruknął Mapes.

Pitt uśmiechnął się, mając nadzieję, że Mapes nie dostrzeże niepokoju w jego oczach.

Abe Steiger wytarł o spodnie spocone dłonie i podniósł słuchawkę po trzecim dzwonku. Nim się odezwał, ugryzł kawałek banana.

–Mówi generał Grosfield – wydukał.

–Generale, tu Orville Mapes z Phalanx Arms.

–Mapes, gdzie pan jest? Słysząc pana, jakby pan mówił ze studni.

–Pana też kiepsko słyszę, generale.

–Bo zaskoczył mnie pan w trakcie jedzenia kanapki z masłem orzechowym. Lubię grubo posmarować majonezem. O co chodzi, Mapes?

–Przepraszam, że przeszkadzam w lunchu, ale czy pan zna niejakiego Dirka Pitta? Steiger zmusił się do chwilowego milczenia i wziął głęboki oddech, nim odpowiedział.

–Pitt? Tak, znam Pitta. Jest inspektorem senackiego Komitetu Sił Zbrojnych.

–Jego listy uwierzytelniające sięgają zatem bardzo wysoko.

–Wyżej się już nie da – stwierdził Steiger, udając, że ma pełne usta. – Dlaczego pan pyta?

–Bo siedzi przede mną, żądając, bym pozwolił mu sprawdzić moje rejestry handlowe.

–Ciekaw byłem, kiedy wreszcie dobierze się do was, cywilów – Steiger znowu ugryzł kawałek banana. – Pitt prowadzi śledztwo Stanton.

–Śledztwo Stanton? Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

–Nic dziwnego, nie reklamują się z tym. Jakiś narwany senator wbił sobie do głowy, że armia ukrywa gdzieś głowice z gazem trującym. Wszczął śledztwo mające na celu odnalezienie ich. – Steiger wepchnął do ust ostatni kawałek banana, a skórkę wrzucił do jednej z szuflad generalskiego biurka. – Jak do tej pory, Pitt niczego nie znalazł. No ale teraz dobrał się do was, handlarzy nadwyżkami.

–Co pan sugeruje?

–Proponuję – wybełkotał Steiger – żeby dał pan temu draniowi, czego chce. A jeśli

trzyma pan w magazynach jakieś głowice gazowe, niech mu je pan odda i zaoszczędzi sobie kłopotów. Komitet Stantona nie zamierza nikogo ścigać. Oni chcą się tylko upewnić, że żaden dyktator trzeciej wojny światowej nie położy swojej łapy na tego rodzaju broni.

–Dziękuję za radę, generale – odparł Mapes. Po chwili dodał: – Powiedział pan, majonez? Ja osobiście wolę masło orzechowe z cebulą.

–Co kto lubi, Mapes. Do widzenia.

Steiger odłożył słuchawkę i odetchnął głęboko, z zadowoleniem.

Następnie wytarł słuchawkę chusteczką i wyszedł na korytarz. Właśnie zamykał drzwi gabinetu generała, kiedy zza węgła wyszedł jakiś kapitan. Na widok Steigera zaniepokoił się lekko.

–Przepraszam, pułkowniku, ale jeśli szuka pan generała Grosfielda, to jest on na lunchu.

Steiger wyprostował się, zaprezentował kapitanowi swoje najlepsze spojrzenie w stylu “jestem starszy rangą” i powiedział:

–Nie znam generała. W tej betonowej dżungli zawodzi mnie zmysł orientacji.

Szukam

wydziału bezpieczeństwa i wypadków. Zgubiłem się i wetknąłem głowę do tego gabinetu, by

spytać o drogę.

Kapitanowi wyraźnie ulżyło, gdy niezręczna sytuacja się wyjaśniła.

–Niech to diabli! Ja sam gubię się tutaj dziesięć razy dziennie. Znajdzie pan ten wydział na pierwszym piętrze. Niech pan wsiądzie do windy tuż za rogiem po prawej stronie.

–Dziękuję panu, kapitanie.

–Drobiazg, sir.

Jadąc windą Steiger uśmiechał się szatańsko i zastanawiał, co pomyśli generał Grosfield, gdy znajdzie w biurku skórkę od banana.

W przeciwieństwie do większości strażników, którzy noszą marnie dopasowane mundury i pasy obwieszane ciężkimi rewolwerami, ludzie Mapesa wyglądali jak oddział ubrany zgodnie z najnowszym trendem prezentowanym w czasopiśmie "Gentlemen's Quarterly". Dwóch z nich stało przy bramie do magazynów Phalanx Arms w świetnie dopasowanych mundurach polowych, z najnowszymi modelami pistoletów maszynowych na ramieniu.

Mapes przyhamował rolls-royce'a w wersji kabriolet i uniósł obie ręce z kierownicy w wyraźnym geście pozdrowienia. Strażnik skinął i machnął do kolegi, który otworzył bramę od wewnątrz.

–Rozumiem, że to był rodzaj sygnału – zagadnął Pitt.

–Jak, proszę?

–Ten gest podniesionych rąk.

–A, owszem – odparł Mapes. – Gdyby trzymał mnie pan na muszce, nie ruszyłbym rąk z kierownicy. Zupełnie naturalnie, co? Potem, kiedy pańska uwaga została by uśpiona faktem przepuszczenia i otwieraniem bramy, strażnik ustawiłby się za

samochodem i odstrzelił panu głowę.

–Wobec tego cieszę się, że nie zapomniał pan podnieść rąk.

–Jest pan bardzo spostrzegawczy, panie Pitt – stwierdził Mapes. – To mnie zmusza do ustalenia nowego sygnału dla strażników przy bramie.

–Jestem zdruzgotany tym, że nie ufa pan, iż zachowam pańską tajemnicę dla siebie.

Mapes nie zareagował na sarkastyczną odzywkę Pitta. Patrzył na wąską, pozornie nie

mającą końca asfaltową drogę między rzędami blaszanych baraków. Po przejechaniu mniej więcej kilometra wyjechali na otwartą przestrzeń, zastawioną ciężko uzbrojonymi czołgami w różnych stadiach skorodowania i zniszczenia. Niewielka grupa mechaników uwijała się przy dziesięciu potężnych maszynach, które ustawiono równo wzdłuż drogi.

–Ile ma pan hektarów ziemi? – spytał Pitt.

–Dwa tysiące – odrzekł Mapes. – Patrzy pan właśnie na szóstą co do wielkości armię

świata, oczywiście pod względem wyposażenia.

Mapes zjechał na żwirowaną drogę, biegnącą równoległe do bunkrów zbudowanych w zboczu wzgórza. Zatrzymał się przed jednym z nich, oznaczonym napisem ARSENAŁ 6. Wsiadł z samochodu, wyjął z kieszeni pojedynczy klucz, wsunął w duży mosiężny zamek i odblokował. Następnie otworzył stalowe drzwi i zapalił światło.

Wewnątrz podobnego do jaskini bunkra, w tunelu, którego końca nie było widać, znajdowały się stosy skrzyń i pojemników z amunicją najróżniejszego typu. Pitt nigdy nie widział w jednym miejscu tak dużej ilości potencjalnej siły rażenia.

Mapes wskazał wózek golfowy.

–Nie ma się co narażać na odciski, chodząc piechotą. Ten magazyn ciągnie się pod

ziemią prawie trzy kilometry.

W arsenale panował chłód, a szum elektrycznego silnika zamierał w wilgotnym powietrzu. Mapes skręcił w boczny tunel i zwolnił. Podniósł plan do światła i przyjrzał mu się.

–Od tego miejsca, na przestrzeni jakichś stu metrów, zmagazynowany jest zapas wszystkich dostępnych na świecie szesnastocalowych pocisków do dział okrętowych. Są

zbędne, ponieważ mogą być wykorzystane tylko na pancernikach, a niestety wszystkie

pancerniki wyszły już z użycia. Pociski gazowe, które kupiłem od Raferty'ego, powinny się

znajdować gdzieś pośrodku.

–Nie widzę śladu po pojemnikach – odezwał się Pitt.

Mapes wzruszył ramionami.

–Biznes jest biznes. Pojemniki ze stali nierdzewnej też mają swoją wartość.

Sprzedalem je pewnej firmie chemicznej.

–Wydaje się, że te zapasy nie mają końca. Potrzeba będzie godzin, by je odnaleźć.

–Nie – odparł krótko Mapes. – Pociski gazowe złożono w dziale szóstym. – Wysiadł z wózka i szedł w morzu pocisków jakieś pięćdziesiąt kroków, a potem wskazał palcem. – Tak, są tutaj. – Ostrożnie przeszedł wąskim przejściem i zatrzymał się.

Pitt został na głównej ścieżce, ale nawet w słabym oświetleniu zauważył dziwny wyraz twarzy Mapesa.

–Jakieś problemy?

Mapes zatrzymał się, kręcąc głową.

–Nie rozumiem. Znalazłem tylko cztery, a powinno być osiem.

Pitt zeszywniał.

–Muszą tu gdzieś być.

–Niech pan zacznie szukać z drugiego końca, od działu trzydziestego – rozkazał Mapes. – Ja wrócę do działu pierwszego i zacznę stamtąd.

Po czterdziestu minutach spotkali się na środku. W oczach Mapesa widać było zakłopotanie. Rozłożył bezradnie ręce.

–Nic.

–Do cholery, Mapes! – krzyknął Pitt, a jego głos odbił się echem od ścian. – Na pewno pan je sprzedał!

–Nie! – zaprotestował Mapes. – To był chybiony zakup. Pomyliłem się w kalkulacji. Każdy rząd, z jakim miałem styczność, obawiał się użycia gazu po raz pierwszy od czasów Wietnamu.

–W porządku, cztery mamy, czterech brakuje – rzucił Pitt, opanowując emocje. – Co dalej?

Mapes wyglądał tak, jakby na moment stracił orientację.

–Rejestr... Jeszcze raz sprawdzimy rejestr sprzedaży.

Przez telefon przy wejściu do tunelu Mapes powiadomił biuro. Kiedy wrócił z Pittem, księgowy położył papiery na biurku. Mapes szybko przerzucił kartki. Potrzebował niecałych dziesięciu minut na udzielenie odpowiedzi.

–Mylłem się – powiedział cicho.

Pitt nie odezwał się, czekając z założonymi rękami.

–Brakujące pociski zostały sprzedane.

Pitt dalej milczał, a jego oczy wyrażały chęć mordy.

–Błąd – dodał cicho Mapes. – Pracownicy arsenału pobrali pociski z niewłaściwego działu. Zamówienie dotyczyło czterdziestu ciężkich pocisków z działu szesnastego. Podejrzewam, że jedynka nie odbiła się na kopii dokumentu i odczytali numer jako sześć.

–Chyba się nie pomylę, Mapes, jeśli powiem, że prowadzi pan śliski interes. – Pitt zacisnął pięści. – Jaka nazwa widnieje na zamówieniu?

–Obawiam się, że w ciągu tego miesiąca zrealizowaliśmy trzy zamówienia. Boże, pomyślał Pitt, dlaczego nigdy nic nie idzie łatwo?

–Wezmę spis kupujących.

–Mam nadzieję, że docenia pan moją dobrą wolę – powiedział Mapes. Nie mówił już

oficjalnym tonem biznesmena. – Gdyby moi klienci dowiedzieli się, że ujawniam ich zakupy

broni... Chyba rozumie pan, dlaczego sprawa musi pozostać tajemnicą.

–Szczерze mówiąc, Mapes, chętnie bym pana wsadził do jednej z pańskich armat i pociągnął za sznur spustowy. A teraz niech mi pan daje ten spis, zanim naślę na pana

prokuratora generalnego i Kongres.

Mapes zbladł lekko. Wziął do ręki pióro i zapisał nazwy klientów na kartce. Wyrwał ją i podał Pittowi.

Jeden pocisk zamówiło British Imperial War Museum w Londynie.

Dwa pojechały do Veterans of Foreign Wars w Dayton City, poczta 9974, Oklahoma. Pozostałe trzydzieści siedem kupił agent reprezentujący Afrykańską Armię Rewolucyjną. Adresu nie podano.

Pitt wsunął kartkę do kieszeni i wstał.

–Przyślę grupę ludzi, by usunęli pociski z magazynu – powiedział oschle. Brzydził się Mapesem, brzydził się wszystkim, co reprezentował sobą ten handlarz śmiercią. Nie potrafił się powstrzymać, by nie uderzyć na zakończenie. – Mapes?

–Słucham.

W umyśle Pitta kłębiły się tysiące obelg, ale nie mógł się na żadną zdecydować. W końcu, kiedy twarz Mapesa przybrała wyraz zdziwienia, przemówił:

–Ilu ludzi zabił i okaleczył w tym roku pański towar, a ilu w poprzednim?

–Ja nie zawracam sobie głowy tym, co moi klienci robią z kupionym u mnie towarem – odparł otwarcie Mapes.

–Gdyby któryś z tych pocisków gazowych eksplodował, byłby pan odpowiedzialny za śmierć milionów ludzi.

–Miliony, panie Pitt? – Teraz spojrzenie Mapesa było znowu twarde. – Mnie to określenie kojarzy się wyłącznie z gotówką.

Steiger posadził łagodnie myśliwiec Spook F-140 na pasie startowym bazy lotniczej Sheppard w pobliżu Wichita Falls w Teksasie.

Zameldował się u oficera operacyjnego, wynajął samochód z garażu bazy i pojechał na północ, przez Red River do Oklahomy. Wjechał na międzystanową 43, lecz po chwili zatrzymał się na poboczu – musiał pójść na stronę. Chociaż dopiero minęła pierwsza, na drodze było pusto, żadnego samochodu, żadnych oznak życia.

Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział tak płaski i wyludniony kraj. Nic tylko targana wiatrem jałowa ziemia, a w oddali stara szopa i porzucona przetrząsarka do siana. Bardzo przygnębiający widok. Gdyby ktoś włożył Steigerowi pistolet do ręki, pewnie zastrzeliłby się z melancholii. Zapiął rozpiorek i wrócił do samochodu.

Wkrótce w oddali, obok prostej jak strzełił drogi pojawiła się wieża wodna, powoli stawała się coraz większa. Potem zmaterializowała się niewielka miejscina z kilkoma jakże cennymi drzewami. Minął znak witający w Dayton City, stolicy Pszenicznego Pasa. Zjechał do obskurnej, starej stacji benzynowej, która chlubiła się jeszcze szklanymi zbiornikami przy pompach.

Z kanału wynurzył się starszy mężczyzna w kombinezonie mechanika i przycłapał do okna samochodu.

–W czym mogę pomóc?

–Szukam VFW, stowarzyszenia weteranów, poczta 9974 – odparł Steiger.

–Jeśli ma pan na myśli lunch, to już się pan spóźnił – wyjaśnił staruszek.

–Przyjechałem w interesach – dodał Steiger, uśmiechając się.

Na starym mieszkańcu Oklahomy słowa te nie zrobiły najmniejszego wrażenia.

Wyciągnął z kieszeni ubrudzoną smarem szmatę i wytarł w nią równie usmarowane dłonie.

–Niech pan dojedzie do znaku stopu w samym środku miasta i skręci w lewo. Na pewno pan trafi.

Steiger skorzystał z rady i wkrótce zajechał na żwirowy parking przed budynkiem, który w porównaniu z innymi wydawał się uderzająco nowoczesny. Z parkingu wyjeżdżało kilka samochodów, ciągnąc za sobą chmury czerwonego kurzu. Już po lunchu, stwierdził. Wszedł do środka i przez chwilę stał w wejściu do dużego pokoju z dębową podłogą. Na talerzach leżały jeszcze resztki pieczonego kurczaka. Jego obecność zauważyło trzech mężczyzn, pomachali mu na powitanie.

Wysoki, kościsty osobnik w wieku około pięćdziesięciu lat i wzroście co najmniej metr dziewięćdziesiąt odłączył się od pozostałych i podszedł wolno do Steigera. Miał czerstwą twarz i krótko przycięte, błyszczące włosy z przedziałkiem na środku.

Wyciągnął rękę.

–Witam pana, pułkowniku. Co pana sprowadza do Dayton City?

–Szukam naczelnika poczty, niejakiego Billy’ego Lovella.

–Ja jestem Billy Lovell. Co mogę dla pana zrobić?

–Dzień dobry – przywitał się uprzejmie. – Nazywam się Steiger, Abe Steiger. Przyjechałem z Waszyngtonu w dość ważnej sprawie.

Lovell przyglądał się Steigerowi przyjaznym, ale i taksującym wzrokiem.

–Coś takiego, pułkowniku. Podejrzewam, że chce mi pan powiedzieć, że jakiś supertajny sowiecki satelita szpiegowski spadł na pole w pobliżu naszego miasteczka.

Steiger zwyczajnie pokręcił głową.

–Nic tak dramatycznego. Szukam kilku pocisków do dział okrętowych, które wasza poczta kupiła w firmie Phalanx Arms.

–Aha, mówi pan o tych dwóch niewypałach?

–Niewypałach?

–Tak, mieliśmy zamiar je zdetonować podczas pikniku z okazji Dnia Weterana. Ustawiliśmy je na starym ciągniku i grzaliśmy przez całe popołudnie, ale nie eksplodowały.

Chcieliśmy, żeby Phalanx wymieniła nam na inne. – Lovell smutno pokręcił głową.

Odmówili. Powiedzieli, że wyprzedali.

Przez umysł Steigera przeleciała mrożąca krew w żyłach myśli.

–Może to nie są pociski samodetonujące.

–Nie. – Lovell znowu pokręcił głową. – Phalanx gwarantował, że to uzbrojone pociski do dział na okrętach wojennych.

–Macie je jeszcze?

–Pewnie, na zewnątrz. Minał je pan wchodząc tutaj.

Lovell wyprowadził Steigera przed budynek. Pociski dekorowały wejście, pomalowane na biało z przyspawanymi łańcuchami, które biegły wzdłuż chodnika. Steiger wstrzymał oddech. Czubki pocisków zeszlifowano. Tak, to były dwa spośród brakujących. Nagle poczuł, że kolana się pod nim uginają, więc przysiadł na schodach. Lovell popatrzył pytająco na niepewny wyraz twarzy Steigera.

–Coś nie tak?

–Strzelaliście do tego? – spytał z niedowierzaniem Steiger.

–Wygarnęliśmy do nich chyba ze sto kul. Trochę się zarysowały i nic więcej.

–To cud... – mruknął Steiger.

–Co?

–To nie są pociski eksplodujące – wyjaśnił – lecz gazowe. Mechanizm wybuchowy nie uruchamia się, dopóki nie zostaną uwolnione spadochrony. Wasze strzelanie nie dało oczekiwanych rezultatów, ponieważ, w przeciwieństwie do zwyczajnych pocisków, te nie zostały wcześniej ustawione na detonację.

–O rety! – sapnął Lovell. – Chce pan powiedzieć, że w tym draństwie jest trujący gaz? Steiger tylko skinął głową.

–O mój Boże! Mogliśmy załatwić połowę hrabstwa.

–Albo i więcej – mruknął Steiger, brakowało mu powietrza. Wstał ze stopni. – Chciałbym skorzystać z ubikacji i zatelefonować. Dokładnie w tej kolejności.

–Jasne, proszę za mną. Przybytek jest na końcu korytarza po lewej stronie, a telefon w

moim gabinecie. – Lovell zatrzymał się i popatrzył chytrym wzrokiem. – Jeżeli

oddamy wam

te pociski... cóż, pomyślałem, że...

–Obiecuję, że dostaniecie dziesięć szesnastocalówek w doskonałym stanie do zdetonowania. Powinno wam wystarczyć na znakomite bum podczas następnego pikniku z

okazji Dnia Weterana.

Lovell uśmiechnął się od ucha do ucha.

–Załatwione, pułkowniku.

W toalecie Steiger obficie zmoczył sobie twarz zimną wodą. Spoglądające z lustra oczy były zaczerwienione i zmęczone, ale jednocześnie promieniowały nadzieją. Udało mu się odnaleźć dwa spośród brakujących pocisków zawierających Szybką Śmierć. Modlił się, żeby Pittowi też się powiodło.

W gabinecie Lovella Steiger podniósł słuchawkę i powiedział telefonistce, że chciałby zamówić międzymiastową na koszt odbiorcy.

Pitt spał na kanapie w swoim gabinecie w NUMA, kiedy jego sekretarka Zerri Pochinsky nachyliła się i lekko nim potrząsnęła. Jej długie, farbowane płowe włosy otaczały ciepłą, ładną i pełną wesołego podziwu twarz.

–Ma pan gościa i dwa telefony – powiedziała cicho, cedząc lekko słowa. Pitt ocknął się i usiadł.

–Telefony?

–Członkini Kongresu Loren Smith – wyjaśniła Zerri z odrobiną złośliwości w głosie – i pułkownik Steiger na międzymiastowej.

–A gość?

–Mówi, że nazywa się Sam Jackson. Nie jest umówiony, lecz twierdzi, że ma pilną sprawę.

Pitt z wolna dochodził do siebie.

–Najpierw porozmawiam ze Steigerem. Powiedz Loren, że później do niej zadzwonię,

i przyślij Jacksona, gdy tylko skończę rozmowę.

Zerri skinęła głową.

–Pułkownik jest na trzeciej linii.

Podszedł niepewnie do biurka i wcisnął jeden z migających guzików.

–Abe?

–Pozdrowienia ze słonecznej Oklahomy.

–Jak poszło?

–Znalazłem – odparł Steiger. – Dwie głowice można skreślić.

–Dobra robota – rzucił Pitt, uśmiechając się pierwszy raz tego dnia. – Są jakieś problemy?

–Żadnych. Zostanę tu do czasu, gdy przyjadą je zabrać.

–Nasz firmowy catlin stoi na lotnisku Dullesa z podnośnikiem widłowym na pokładzie. Gdzie mógłby wylądować?

–Chwileczkę.

Pitt słyszał stłumiony głos rozmawiającego z kimś Steigera.

–W porządku – odezwał się znowu pułkownik. – Naczelnik poczty mówi, że jakiś kilometr na południe od miasta znajduje się niewielkie prywatne lotnisko.

–To dwa razy więcej, niż nasz catlin potrzebuje – odparł Pitt.

–A ty miałaś szczęście?

–Kustosz British Imperial War Museum stwierdził, że pocisk, który kupili od Phalanx na wystawę związaną z drugą wojną światową, był z całą pewnością zwyczajnym pociskiem przebijającym pancerz.

–A więc to znaczy, że pozostałe dwie głowice ma Afrykańska Armia Rewolucyjna.

–Na to wygląda – odrzekł Pitt.

–Ale, niech to licho, do jakiego celu pociski stosowane na okrętach wojennych można wykorzystać w afrykańskiej dżungli?

–Oto nasza zagadka dnia – odparł Pitt, pocierając zaczerwienione oczy. – Tak czy inaczej pocieszające jest to, że nie ma ich na naszym podwórku.

–Co robimy dalej? – spytał Steiger. – Nie możemy tak zwyczajnie zażądać, żeby banda terrorystów zwróciła nam najokropniejszy rodzaj broni spośród kiedykolwiek wymyślonych.

–Przede wszystkim – odparł Pitt – musimy te głowice zlokalizować, dlatego admirał Sandecker namówił jakiegoś starego kumpla z marynarki, który pracuje w Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, żeby poszperał tu i tam.

–To brzmi niezbyt wesoło. Z tymi facetami nie ma żartów. Mogą zadawać kłopotliwe pytania.

–Mało prawdopodobne – odpowiedział pewnie Pitt. – Admirał wymyślił klasyczny kamuflaż. Sam niemal dałem się na to nabrać.

Wybór był trudny. Dale Jarvis nie wiedział, czy zdecydować się na holenderską szarlotkę, czy na bardzo kaloryczną cytrynową bezę. Zapominając o diecie, wziął jedno i drugie i położył na tacy obok filiżanki z herbatą. Zapłacił przy komputerowej kasie i zajął stolik pod ścianą przestronnej kawiarni w kwaterze głównej Narodowej Agencji Bezpieczeństwa w Fort Meade w stanie Maryland.

–Któregoś dnia pęknie.

Jarvis spojrzał w poważną twarz Jacka Ravenfoota, szefa działu krajowego. Ravenfoot, wspaniale zbudowany mężczyzna, był jedynym pełnej krwi Cheyennem w Waszyngtonie, który w Yale należał do korporacji studenckiej Fi Beta Kappa i zachował stopień emerytowanego komandora.

–Wolę już jeść tuczące, smakowite słodczyce niż solone i suszone mięso bizona albo

gotowanego susła, które wy nazywacie jedzeniem.

Ravenfoot popatrzył w sufit.

–Pomyśl tylko, że nie jadłem porządnego susła preriowego od czasu obchodów zwycięstwa pod Little Big Horn.

–Wy rzeczywiście wiecie, jak kogoś trafić w najczulsze miejsce – rzucił Jarvis uśmiechając się. – Przysuń sobie krzesło.

–Nie, dziękuję – odparł Ravenfoot stojąc. – Za pięć minut mam spotkanie. A przy okazji, John Gossard z sekcji afrykańskiej wspominał mi, że zajmujesz się jakimiś pancernikami.

Jarvis zjadł wolno kawałek szarlotki.

–Pancernikiem, jednym pancernikiem. Dlaczego pytasz?

–Mój stary znajomy z czasów marynarki, James Sandecker...

–Dyrektor NUMA? – przerwał Jarvis.

–Ten sam. Prosił mnie, żebym spróbował się dowiedzieć, dokąd trafiła pewna partia starych, szesnastocalowych pocisków.

–A ty pomyślałeś o mnie.

–Szesnastocalowe działa montuje się na pancernikach – odparł Ravenfoot. – To wiem, bo podczas wietnamskiej orgii byłem oficerem na "New Jersey".

–Wiesz może, na co mu te pociski? – zapytał Jarvis.

–Twierdzi, że jego naukowcy chcą je zrzucić na formacje koralowców na Pacyfiku. Jarvis zatrzymał się w połowie kęsa.

–Że co?

–Prowadzą próby sejsmologiczne. Uważają, że pociski przebijające, zrzucone z samolotu na rafę z wysokości sześciuset metrów, mogą wywołać wstrząs podobny do trzęsienia ziemi.

–Wydaje mi się, że zwykle ładunki wybuchowe dająby ten sam efekt. Ravenfoot wzruszył ramionami.

–Nie będę się spierał. Nie jestem sejsmologiem. Jarvis wgrzyzł się w cytrynową bezę.

–W prośbie Sandeckera nie widzę niczego złego. A gdzie one według niego są?

–Ma je Afrykańska Armia Rewolucyjna. Jarvis pociągnął łyk kawy i wytarł usta serwetką.

–Po co zawracać sobie głowę AAR, skoro amunicję stosowaną na okrętach można bez trudu kupić u prawie każdego handlarza nadwyżkami?

–Chodzi o nowy, eksperymentalny rodzaj, opracowany pod koniec wojny koreańskiej i nigdy nie wykorzystany w działaniu. Sandecker mówi, że one są o wiele lepsze od zwykłych przebijających. – Ravenfoot wsparł się na oparciu krzesła. – Dowiadywałem się u Gossarda o tę AAR. On uważa, że Sandecker się myli. Partyzanci potrzebują tych pocisków jak skoczek wzwyż kamieni żółciowych – to jego słowa. Sądzi, że pociski, których szuka NUMA, leżą w jakimś wojskowym magazynie i rdzewieją.

–A gdyby AAR rzeczywiście je miała, to jak Sandecker ma zamiar z nimi rozmawiać?

–Chce im zaproponować interes, tak podejrzewam, lub odkupić za odpowiednią cenę. W końcu chodzi tylko o pieniądze podatników.

Jarvis rozsiadł się wygodnie i wbił widelec w bezę. Już nie był głodny.

–Chciałbym pogadać z Sandeckerem. Masz coś przeciwko temu?

–Ależ nie. Chociaż prawdopodobnie lepiej ci pójdzie z dyrektorem projektów specjalnych, bo to on zajmuje się poszukiwaniami.

–A jak się nazywa?

–Dirk Pitt.

–Ten facet, który kilka miesięcy temu podniósł "Titanica"?

–Ten sam. – Ravenfoot spojrział na zegarek. – No, muszę lecieć. Gdybyś dowiedział się czegoś o tych pociskach, będę wdzięczny za telefon. Jim Sandecker to mój stary kumpel. Wiesz, ciągle mam wobec niego parę długów.

–Możesz na mnie liczyć.

Po wyjściu Ravenfoota Jarvis siedział przez kilka minut, dłubiąc widelcem w cieście. Potem wstał i wrócił do swego gabinetu, zatopiony w myślach.

Gdy tylko szef Barbary Gore wszedł do biura, od razu zrozumiała, że jego umysł pracuje na najwyższych obrotach. Zbyt wiele razy spotkała się z tym nieobecny spojrzeniem, żeby go nie rozpoznać. Nie czekając na zachętę, wzięła notes i ołówek i poszła za Jarvisem do gabinetu. Usiadła, założyła jedną na drugą swoje cudowne nogi i cierpliwie czekała.

On stał wpatrując się w ścianę. Potem odwrócił się wolno i znowu popatrzył zwyczajnym wzrokiem.

–Zadzwoń do Gossarda i umów mnie na spotkanie ze sztabem sekcji afrykańskiej. Powiedz mu, że chciałbym jeszcze raz rzucić okiem na akta operacji "Dzika róża".

–Zmieniłeś zdanie? Ostatecznie może w tym coś jest? Nie odpowiedział od razu.

–Być może...

–Jeszcze coś?

–Tak, poproś wydział identyfikacyjny, żeby przysłali wszystko, co mają na temat admirała Jamesa Sandeckera i Dirka Pitta.

–A czy oni nie pracują przypadkiem dla NUMA?

Jarvis skinął głową.

–Chyba nie myślisz – dodała z pytającym wyrazem twarzy – że oni mają z tym jakikolwiek związek?

–Jest jeszcze za wcześnie na tego rodzaju wnioski – odparł z namysłem Jarvis. – Można powiedzieć, że chwytam końce nici, by sprawdzić, czy nie prowadzą do tej samej szpulki.

Kiedy Loren wyłoniła się spod portyku Kapitolu, Frederick Daggat i Felicja Collins czekali w limuzynie. Obserwowali jak z powiewającymi na wietrze włosami zbiega z gracją po schodach. Była ubrana w śliwkowe spodnium z dwurzędowym żakiem i kamizelką. Na szyi miała długi, jedwabny szary szalik. Pokrycie jej nesesera wykonano z tego samego materiału co cały strój.

Szofer Daggata otworzył jej drzwi. Usiadła obok Felicji, Daggat zajął jedno z rozkładanych siedzeń.

–Wspaniale wyglądasz, Loren – powiedział Daggat poufale, zbyt poufale. – To oczywiste, że moi koledzy myślami byli gdzie indziej, kiedy pokazałaś się w tej kreacji.

–Czasami fakt, że jest się kobietą, daje pewną przewagę podczas debaty odparła chłodno.

–Szykownie wyglądasz, Felicjo.

W oczach Felicji pojawiło się dziwne spojrzenie. Komplement był ostatnią rzeczą, jakiej oczekiwała od Loren. Wygładziła spódnice swej kremowobiałej, dżersejowej garsonki, unikając wzroku Loren.

–Dobrze, że przyszłaś się z nami spotkać – odpowiedziała cicho.

–A miałam wybór? – Na twarzy Loren malowała się nie ukrywana niechęć. – Boję się spytać, czego tym razem ode mnie chcecie.

Daggat zamknął okno za plecami szofera.

–Jutro odbędzie się głosowanie nad przyznaniem pomocy dla Afrykańskiej Armii Rewolucyjnej.

–I oboje wynurzyliście głowy z rynsztoka, by sprawdzić, czy ciągle jestem po waszej stronie – odrzekła gorzko Loren.

–Nic nie chcesz zrozumieć – powiedziała Felicja. – Sprawa nie jest osobista, nie przyniesie nam żadnych korzyści finansowych. Jediną nagrodą dla nas będzie polepszenie

życia naszej rasy.

Loren wbiła w nią wzrok.

–A zatem dopuszczacie się szantażu, by sprzyjać swej wielkiej moralnej sprawie.

–Tak, skoro chodzi o uratowanie tysięcy istnień ludzkich. – Daggat mówił tak, jakby robił wykład dziecku. – Każdy następny dzień wojny to sto kolejnych ofiar. W końcu jednak w Afryce Południowej czarni zwyciężą. Sprawa jest już przesądzona. Natomiast ważny jest sposób, w jaki do tego zwycięstwa dojdą. Hiram Lusana nie jest mordercą-psychopatą, jakim

był Idi Amin. Zapewnił mnie, że kiedy zostanie premierem, jedyną wprowadzoną przez niego zmianą będą równe prawa dla czarnych mieszkańców Afryki Południowej. Wszystkie demokratyczne zasady poprzedniego rządu pozostaną w mocy.

–Czy pan jest aż tak głupi, że słowa kryminalisty bierze za dobrą monetę? – spytała

Loren.

–Hiram Lusana wychował się w jednym z najgorszych slumsów tego kraju kontynuował cierpliwie Daggat. – Jego ojciec zostawił matkę i dziewięcioro dzieci, gdy

Hiram miał osiem lat. Nie oczekuję, że pani zrozumie, jak to jest, gdy trzeba stręczyć

klientów własnym siostrom, by było za co kupić jedzenie, szanowna pani członkini Kongresu.

Nie spodziewam się nawet, że pani potrafi sobie wyobrazić życie na piątym piętrze w

mieszkanii, w którym szpary trzeba zatykać gazetami, by w zimie nie kurzył przez nie śnieg,

gdzie ubikacje są wiecznie zapchane z powodu braku wody, a armia szczurów tylko czeka, by

po zachodzie słońca wziąć się do roboty. Kiedy przestępstwo jest jedynym środkiem

utrzymania, człowiek chwyta się go bez namysłu. Owszem, Lusana był kryminalistą, ale gdy

jego możliwości podniosły się ponad poziom rynsztoka, wykorzystał je i całą energię

skierował na zwalczanie wszystkiego tego, co wcześniej było jego własnym przekleństwem.

–No to po co w Afryce zgrywa się na boga? – spytała wyzywająco Loren. – Dlaczego nie walczy o lepszy byt czarnych we własnym kraju?

–Ponieważ Hiram głęboko wierzy, że nasza rasa musi mieć solidne podstawy, aby się podnieść. Żydzi z dumą patrzą na Izrael, wy Anglosasi macie swoje bogate brytyjskie dziedzictwo. Tymczasem nasza rodzinna ziemia ciągle walczy o wyjście z zacofania. Nie jest tajemnicą, że czarni, którzy przejęli większość Afryki, narobili w swych krajach nielicznego bałaganu. Hiram Lusana jest naszą jedyną nadzieją na pokierowanie czarnej rasy we właściwym kierunku. On jest naszym Mojżeszem, a Afryka Południowa naszą Ziemią Obiecaną.

–Czy pan nie jest przypadkiem przesadnym optymistą?

–Optymistą?

–Według najświeższych raportów wojskowych z Afryki Południowej, Siły Obronne przekroczyły granicę Mozambiku i zniszczyły Afrykańską Armię Rewolucyjną razem z jej kwaterą główną.

–Czytałem te doniesienia – powiedział Daggat – ale nic się nie zmieniło. To zapewne tylko chwilowe załamanie, nic więcej. Hiram Lusana ciągle żyje. On stworzy nową armię, a ja zrobię wszystko co w niojej mocy, by mu pomóc.

–Amen, bracie – dodała Felicja.

Wszyscy troje byli zbyt zajęci własnymi myślami, żeby zauważyć, że przed limuzyną pojawia się inny samochód i zwalnia – Na następnych światłach kierowca podjechał do krawężnika i wyskoczył. Nim szofer Daggata zareagował, mężczyzna podbiegł do limuzyny, szarpnięciem otworzył drzwi i wskoczył do środka.

Daggatowi ze zdziwienia opadła szczęka. Felicja zamarła w bezruchu. Tylko Loren była chyba lekko zdziwiona.

–Kim pan jest, do diabła? – zażądał wyjaśnień Daggat.

Przez ramię obcego mężczyzny zobaczył, że kierowca sięga do schowka po broń.

–Jest pan mało spostrzegawczy, skoro nie kojarzy mnie pan ze zdjęciami – odparł mężczyzna uśmiechając się.

Felicja pociągnęła Daggata za rękaw.

–To on – szepnęła.

–Jaki on?! – krzyknął Daggat, wyraźnie zdenerwowany.

–Pitt. Nazywam się Dirk Pitt.

Loren uważnie przyjrzała się Pittowi. Od kilku dni go nie widziała, ten mężczyzna nie bardzo przypominał jej kochanka. Oczy miał podkrążone z braku snu i parodniowy zarost. Na jego twarzy pojawiły się zmarszczki, na które wcześniej nie zwróciła uwagi, zmarszczki stresu i wyczerpania. Wyciągnęła rękę i ścisnęła mu dłoń.

–Skąd się tu wziąłeś? – spytała.

–Zbieg okoliczności – odparł. – Jechałem zobaczyć się z tobą, kiedy mijając Kapitol zauważyłem, jak wsiadasz do tej limuzyny. Po drodze rozpoznałem również kongresmana Daggata.

Szofer opuścił okno i z odległości kilku centymetrów wymierzył z niewielkiego rewolweru w głowę Pitta. Daggat wyraźnie się odprężył. Znowu czuł, że panuje nad sytuacją.

–Chyba powinniśmy się poznać, panie Pitt. – Dał dłonią znak szoferowi, aby opuścił broń.

–Myślałem dokładnie o tym samym – stwierdził Pitt, uśmiechając się. – Zaoszczędzi mi to jazdy do pańskiego biura.

–Chciał się pan ze mną spotkać?

–Tak, postanowiłem zamówić kilka odbitek. – Pitt wyjął nieduży plik fotografii i pomachał nim. – Oczywiście, widziałem lepsze, ale przecież tych nie robiono w idealnych

warunkach studyjnych.

Loren przycisnęła rękę do ust.

–To ty wiesz o tych okropnych zdjęciach? Nie chciałam cię wtajemniczać.

–No to zobaczymy – powiedział Pitt, jakby Loren w ogóle się nie odzywała. Zaczął rzucać zdjęcia na kolana Daggata. – Wezmę tuzin tych i pięć tych...

–Nie podoba mi się pańska emocjonalna demonstracja poczucia humoru – wtrącił się Daggat.

Pitt popatrzył na niego niewinnie.

–Sądziłem, że skoro tkwi już pan w tym brudnym interesie robienia zdjęć porno, to nie będzie pan miał nic przeciwko obsłudze swoich klientów, a właściwie "modeli". Oczywiście, liczę na rabat.

–Co to za gra, panie Pitt? – spytała Felicja.

–Gra? – Pitt wyglądał na rozbawionego. – Nie ma żadnej gry.

–On może zniszczyć politycznie twojego ojca i mnie – powiedziała Loren. –

Dopóki ma negatywy, może dyktować warunki.

–Daj spokój – odparł Pitt z uśmiechem. – Kongresman Daggat niedługo skończy swój zawód szantażysty. I tak zresztą nie ma do tego talentu. Nie dałby rady nawet przez dziesięć minut w grze ze sprawdzonym, prawdziwym zawodowcem.

–Takim jak pan? – rzucił groźnie Daggat.

–Nie, jak mój ojciec. Jestem przekonany, że go pan zna. Senator George Pitt. Gdy wyjaśniłem mu tę pańską operację, uśmieł się i poprosił o kilka odbitek na pamiątkę. Bo widzi pan, on nigdy wcześniej nie widział swego syneczka w akcji.

–Pan jest szalony – syknęła Felicja.

–Powiedział pan ojcu? – mruknął Daggat. Sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi. – Nie wierzę.

–Chwila prawdy – odparł Pitt, ciągle uśmiechnięty. – Czy mówi panu coś nazwisko Sam Jackson?

Daggata zatkało.

–Wygadał się. Ten sukinsyn mnie sypnął.

–Śpiewał jak supergwiazdor. A tak przy okazji, on pana nie cierpi. I nie może się już doczekać, kiedy będzie mógł świadczyć przeciwko panu w Komitecie etyki.

W głosie Daggata zabrzmiała nuta strachu.

–Nie śmiałyby pan pokazać tych zdjęć w celu przeprowadzenia śledztwa.

–A co ja mam do stracenia? Mój ojciec i tak ma zamiar przejść w przyszłym roku na emeryturę. A jeśli chodzi o mnie, to kiedy te zdjęcia się rozpowszechni, od połowy sekretarek w tym mieście będę musiał opędzać się kijem.

–Ty egoistyczna świni! – rzuciła Felicja. – Nie obchodzi cię, co stanie się z Loren?

–Ależ tak – odpowiedział cicho Pitt. – Jako kobieta będzie oczywiście zażenowana, ale

to niewielka cena za to, by nasz stary przyjaciel Daggat przez kilka lat pobytu w kiciu

produkował tablice rejestracyjne. A jak go zwolnią warunkowo, będzie potrzebował nowego

miejsca pracy, bo jego partia nie zechce mieć z nim nic wspólnego.

Daggat poczerwieniał i zbliżył swą twarz do Pitta.

–Gówna prawda! – warknął z wściekłością.

Pitt zmierzył Daggata spojrzeniem, które zmroziłoby nawet rekina.

–W Kongresie nie lubią szumowin, które w celu przepchnięcia jakiejś ustawy stosują

rynsztokowe taktyki. Może jeszcze parę lat temu pański plan by się powiódł, ale w dzisiejszych czasach na Kapitolu jest dość uczciwych ludzi, by wykopać pana z miasta, jeśli

tylko się o tym dowiedzą.

Daggat odprężył się. Został pokonany i zdawał sobie z tego sprawę.

–Czego pan ode mnie chce?

–Zniszczenia negatywów.

–To wszystko? Pitt skinął głową.

Daggat przybrał chytry wyraz twarzy.

–Bez wyrównania, panie Pitt?

–Nie wszyscy pływamy w tym samym szambie, kongresmanie. Myślę, że Loren na to przystanie: najlepszym rozwiązaniem dla wszystkich będzie puszczenie całej tej sprawy w niepamięć. – Pitt otworzył drzwi i pomógł Loren wysiąść. – Aha, jeszcze jedno: Sam Jackson opowiedział mi o kontaktach z panem. Ufam, że nie będę musiał tego rozdmuchiwać przy okazji kolejnych afer pana i pańskiej przyjaciółki. Ale jeśli mnie pan wkurzy, to pogadamy inaczej. Obiecuję.

Pitt trzasnął drzwiami i schylił się do okna kierowcy.

–W porządku, koleś, ruszaj.

Stali oboje i przyglądali się limuzynie, dopóki nie zniknęła wśród innych samochodów. Potem Loren wspięła się na palce i pocałowała Pitta w kłujący policzek.

–A to za co? – spytał, uśmiechając się radośnie.

–Nagroda za wybawienie z przykrew sytuacji.

–Pitt nadchodzi na pomoc! Ratowanie zagrożonych członkiń Kongresu to dla mnie pestka. – Pocałował ją w usta, ignorując ciekawskie spojrzenia przechodniów. – A to jest nagroda dla ciebie za szlachetne postępowanie.

–Szlachetne postępowanie?

–Trzeba było powiedzieć mi o tych zdjęciach. Oszczędziłbym ci paru nie przespanych nocy.

–Wydawało mi się, że sobie z tym poradzę – odrzekła, unikając jego spojrzenia. – Kobieta powinna umieć radzić sobie sama.

Objął ją i poprowadził do swojego samochodu.

–Bywa czasem, że nawet zdeklarowana feministka potrzebuje wsparcia jakiegoś męskiego szowinisty.

Kiedy Loren wsiadała do wozu, Pitt spostrzegł kartkę wetkniętą za wycieraczkę. W pierwszej chwili pomyślał, że to tylko ulotka reklamowa, ale ciekawość okazała się silniejsza, więc rzucił na nią okiem. Wiadomość napisano wprawnym odręcznym pismem.

Szanowny Panie Pitt.

Byłbym niezwykle wdzięczny gdyby przy najbliższej okazji zadzwonił Pan pod numer: 555 5971.

Dziękuję, Dale Jarvis

Rozejrzał się instynktownie dookoła, na próżno wypatrując tajemniczego posłańca. Niestety, w promieniu stu metrów widać było z osiemdziesiąt osób i każda z nich mogła wetknąć kartkę pod wycieraczkę, kiedy on stawiał czoło Daggatowi.

–Znasz może niejakiego Dale’a Jarvisa? – zwrócił się do Loren. Zastanowiła się przez chwilę.

–To nazwisko chyba mi nic nie mówi. Dlaczego pytasz?

–Wygląda na to – odrzekł Pitt, zamyślony – że zostawił mi miłosny liścik.

Chłodne zimowe powietrze przedzierało się przez szpary w skrzyni furgonetki. Lusana leżał na brzuchu z mocno związanymi rękami i nogami. Tłukł głową o metalowe żebra podłogi na każdym wyboju. W ciemności był zdezorientowany i odrętwiały z powodu złego krążenia krwi.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, była uśmiechnięta twarz kapitana samolotu w barze pierwszej kategorii na lotnisku. Nieliczne jasne myśli, jakie od tamtej pory przemknęły mu przez głowę, kończyły się tym samym obrazem.

–Jestem kapitan Mutaapo – powiedział wysoki, szczupły pilot. Był łysiejącym Murzynem w średnim wieku, ale uśmiech odmładzał mu twarz. Miał na sobie ciemnozielony mundur linii lotniczych BEZA-Mozambique z mnóstwem złotych splotów na rękawach. – Pewien przedstawiciel naszego rządu prosił mnie, abym zapewnił panu bezpieczny przelot, panie Lusana.

–Środki ostrożności były konieczne przy wjeździe do Stanów Zjednoczonych – odparł Lusana – i szczerze wątpię, by mogło mi cokolwiek grozić podczas opuszczania tego kraju, zwłaszcza w tak liczny towarzystwie amerykańskich turystów.

–Tak czy owak, sir, jestem za pana odpowiedzialny, podobnie jak za stu pięćdziesięciu pozostałych pasażerów. Muszę spytać, czy przewiduje pan jakieś problemy,

które mogłyby zagrozić pańskiemu życiu?

–Nie, żadnych. Zapewniam pana.

–Dobrze. – Mutaapo błysnął w uśmiechu zębami. – No to może wypijemy za spokojny i wygodny lot? Czym mógłbym sprawić panu przyjemność?

–Martini, z niewielkim dodatkiem czegoś mocniejszego. Dziękuję.

Głupota, stwierdził Lusana, gdy furgonetka przejechała po kocich łbach jakiegoś skrzyżowania. Za późno pomyślał, że pilotom nie wolno pić alkoholu na dobę przed rejsem. Za późno sobie uświadomił, że do drinka czegoś mu dosypano. Uśmiech fałszywego kapitana utkwiał mu w pamięci, lecz potem z wolna zaczął się zacierać, aż wreszcie zniknął.

Lusana nie był w stanie zliczyć godzin ani dni. Nie wiedział, że jest utrzymywany w ciągłym stanie oszołomienia częstymi zastrzykami lekkiego środka uspokajającego. Kiedy otwierano i zamykano drzwi i zdejmowano mu kaptur, widział różne twarze, lecz ich rysy rozmywały się, nim na nowo ogarniała go ciemność.

Furgonetka stanęła, usłyszał stłumione głosy. Potem kierowca wrzucił bieg i ruszył przed siebie. Zatrzymał się nie dalej niż po przejechaniu kilometra. Lusana usłyszał

otwieranie tylnych drzwi i poczuł, jak dwie pary rąk chwytają bezceremonialnie jego odrętwiałe ciało i niosą na jakąś rampę. Z ciemności dobiegały różne dziwne odgłosy. Odległy sygnał, metaliczny odgłos otwieranych i zatraskiwanych drzwi. Wyczuł również zapach oleju i świeżej farby.

Znowu rzucono go brutalnie na twardą podłogę i zostawiono, tymczasem ci, którzy go przynieśli, gdzieś się rozplynęli. Potem poczuł, że ktoś przecina liny,

którymi był spętany, i zdejmuje mu kaptur z głowy. Jedynym źródłem światła była malutka żarząca się na ścianie żarówka.

Lusana leżał bez ruchu prawie przez minutę, krążenie z wolna ożywiało odrętwiałe kończyny. Otworzył oczy i spojrzał z ukosa.

Wydało mu się, że jest na mostku okrętowym. W czerwonej poświacie ujrzał ster i dużą konsolę, usianą wielobarwnymi lampkami, których błyski odbijały się w długim rzędzie kwadratowych okien w trzech spośród czterech szarych ścian.

Nad Lusaną stał z kapturem w ręku potężny mężczyzna. Obserwowany z dołu, sprawiał wrażenie zniekształconego olbrzyma, choć jego twarz była miła i uśmiechnięta. Lusana nie dał się zwieść, dobrze wiedział, że większość zatwardziałych morderców tuż przed poderżnięciem gardła ofierze potrafi uśmiechać się niewinnie. Jednak w wyrazie twarzy tego mężczyzny nie było znać krwiożerczych zamiarów. Raczej pewien rodzaj ciekawości.

–Pan jest Hiram Lusana – Głęboki bas odbił się echem od stalowej konstrukcji.

–Tak – odparł chrapliwie Lusana. Jego własny głos wydawał mu się dziwny. Nie używał go przecież przez ponad cztery dni.

–Nie ma pan pojęcia, jak bardzo czekałem na to spotkanie – powiedział olbrzym.

–Kim pan jest?

–Czy nazwisko Fawkes cokolwiek panu mówi?

–A powinno? – odparł Lusana, zdecydowany stawiać opór.

–A jakże. To straszne, zapominać nazwiska ludzi, których się morduje.

W umyśle Lusany zaświtała pewna myśl. Fawkes... napad na farmę Fawkesów w Natalu.

–Moja żona i dzieci zabite. Dom spalony. Pozabijał pan nawet moich robotników. Całe rodziny o takiej samej jak pańska skórze.

–Fawkes... Pan nazywa się Fawkes – powtórzył Lusana, z całej siły próbując ogarnąć wszystko umysłem.

–Jestem przekonany, że cały ten brudny interes był dziełem AAR – powiedział Fawkes, teraz już mocniej akcentując słowa. – To byli pańscy ludzie. Pan wydał rozkaz.

–Ja nie jestem za to odpowiedzialny. – Mgła odpływała i Lusana zaczął odzyskiwać równowagę, przynajmniej wewnątrz. Ręce i nogi dalej nie reagowały na polecenia mózgu. – Przykro mi z powodu tego, co stało się z pańską rodziną. Tragiczny przelew krwi, który nie miał najmniejszego sensu. Ale będzie pan musiał poszukać innego winowajcy. Moi ludzie są niewinni.

–Tak, tak, spodziewałem się zaprzeczeń.

–Co zamierza pan ze mną zrobić? – spytał Lusana bez cienia strachu w oczach.

Fawkes wyjrzał przez okno sterówki. Na zewnątrz było ciemno jak w piekle, szyby pokrywała cienka warstwa wilgoci.

Fawkes odwrócił się do Lusany.

–Wyberzemy się na wycieczkę, pan i ja, na wycieczkę bez biletu powrotnego.

Taksówka wjechała tylną bramą Washington National Airport punktualnie o dziewiątej trzydzięci wieczorem. Jarvis wysiadł przy hangarze w rzadko wykorzystywanym końcu lotniska. Gigantyczna konstrukcja była ciemna i ponura, światło sączyło się tylko przez zakurzone szkło bocznych drzwi. Otworzył je i nawet się nie zdziwił, że nie zaskrzypiały. Porządnie nasmarowane zawiasy działały bezgłośnie.

Olbrzymie wnętrze było dobrze oświetlone lampami fluorescencyjnymi. Sędziwy, trójmotorowy, stary model forda na samym środku betonowej podłogi robił wrażenie wielkiej siedzącej gęsi. Jego skrzydła rozpościerały się opiekuńczo nad kilkoma starymi samochodami w różnym stadium renowacji. Jarvis podszedł do pojazdu, który wyglądał jak kupa zardzewiałego żelastwa. Spod chłodnicy wystawały dwie stopy.

–Czy to pan Pitt? – spytał.

–A czy to pan Jarvis?

–Tak.

Pitt wyturlał się spod samochodu i wstał.

–Widzę, że bez kłopotów znalazł pan moje skromne ustronie.

Jarvis zawahał się, patrząc na usmarowany kombinezon i niedbały wygląd Pitta.

–Pan tutaj mieszka?

–Mieszkanie mam na górze – wyjaśnił Pitt, wskazując oszklone piętro wewnątrz hangaru.

–Ładna kolekcja. – Jarvis wskazał stare auta. – Co to za jedno, to z czarnymi błotnikami i srebrnym nadwoziem?

–Maybach-Zeppelin rocznik 1936 – odparł Pitt.

–A ten, nad którym pan pracuje?

–Odkryty renault z 1912 roku.

–Jest chyba w najgorszym stanie – stwierdził Jarvis, pocierając palcem po grubej warstwie rdzy.

Pitt uśmiechał się cierpliwie.

–Nie wygląda najgorzej, zważywszy, że przez siedemdziesiąt lat spoczywał na dnie morza.

Jarvis od razu się domyślił.

–Z "Titanica"?

–Tak. Pozwolono mi go zachować po zakończeniu akcji podniesienia. Rodzaj nagrody

za oddane usługi, że tak powiem.

Pitt poprowadził gościa schodami do mieszkania. Jarvis wszedł i wprawnym okiem ogarnął nietypowe umeblowanie. Mieszkaniec jest najwyraźniej podróżnikiem, domyślał się, sądząc z różnych marynarskich przedmiotów zdobiących wnętrze. Miedziane hełmy nurków z poprzedniego stulecia, busole, drewniane koła sterowe, dzwonki ze statków, nawet stare gwoździe i butelki – wszystko oznaczone nazwami

słynnych statków, które Pitt wydobyl z dna. Miał wrażenie, że ogląda muzeum ludzkiego życia.

Na zaproszenie Pitta Jarvis rozsiadł się na kanapie obitej skórą i spojrzał swemu gospodarzowi prosto w oczy.

–Czy pan mnie zna, panie Pitt?

–Nie.

–I mimo to zgodził się pan na spotkanie.

–Któż potrafi się oprzeć intrydze? – odparł Pitt z uśmiechem. – Nie codziennie znajduję za wycieraczką samochodu wiadomość z numerem telefonu, który łączy z Narodową

Agencją Bezpieczeństwa.

–Oczywiście, domyślił się pan, że jest śledzony?

Pitt rozsiadł się w skórzanym fotelu, opierając stopy o otomanę.

–Dajmy sobie spokój z zagadkami, panie Jarvis, i przejdźmy dorzeczy. W co pan gra?

–W co gram?

–Dlaczego pan się mną interesuje?

–W porządku, panie Pitt – odparł Jarvis. – Karty na stół. Jaki jest prawdziwy cel poszukiwania przez NUMA pewnego typu szesnastocalowych pocisków okrętowych?

–Na pewno niczego się pan nie napije? – skontrował Pitt.

–Nie, dziękuję – odrzekł Jarvis, zauważając wymijającą odpowiedź Pitta.

–Skoro wiecie, że jesteśmy na rynku, wiecie również dlaczego.

–Badania sejsmologiczne na formacjach koralowców?

Pitt skinął głową.

Jarvis rozprostował ręce na oparciu kanapy.

–Na kiedy zaplanowaliście te próby?

–Dwa ostatnie tygodnie marca w przyszłym roku.

–Rozumiem. – Jarvis zmierzył Pitta dobrotliwym, ojcowskim spojrzeniem, po czym zaatakował na całego: – Rozmawiałem z czterema sejsmologami, w tym z dwoma z waszej

agencji. Nie popierają pomysłu zrzucania z samolotu szesnastocalowych pocisków.

Właściwie uznali go za zupełnie niedorzeczny. Poinformowano mnie również, że NUMA nie planuje żadnych prób sejsmologicznych na Pacyfiku. Krótko mówiąc, panie Pitt, pański wybieg się nie powiódł.

Pitt zamknął oczy i zamyśli się. Mógł nakłamać lub w ogóle tego nie komentować. Zdecydował jednak, że nie ma wyjścia. Praktycznie nie było szans, by razem ze Steigerem i Sandeckerem zdołali wynegocjować z AAR zwrot głowic zawierających QD. Prowadzili poszukiwania, dopóki starczało ograniczonych środków. Nadszedł więc czas, ty zwrócić się do zawodowców.

Otworzył oczy i spojrzał na Jarvisa.

–Gdybym mógł położyć na pańskiej dłoni pewien rodzaj śmiercionośnej substancji,

która zabija nieprzerwanie przez trzysta lat, to co by pan z nią uczynił?

Pytanie Pitta wytrąciło Jarvisa z równowagi.

–Nie wiem, do czego pan zmierza.

–Proszę odpowiedzieć na pytanie.

–Czy to jest rodzaj broni?

Pitt skinął głową.

Jarvisa ogarnęło dziwne uczucie.

–Nic nie wiem o istnieniu tego typu broni. Już dziesięć lat temu broń biologiczna i chemiczna została bezwarunkowo skreślona przez wszystkich członków Organizacji Narodów Zjednoczonych.

–Proszę, niech pan odpowie na moje pytanie – nalegał Pitt.

–Chyba przekazałbym sprawę rządowi.

–Jest pan pewien, że tak byłoby najlepiej?

–Wielki Boże! Czego pan chce? Sprawa jest czysto hipotetyczna.

–Taką broń trzeba zniszczyć – powiedział Pitt. Wydawało się, że swymi zielonymi oczami chce się dostać do mózgu Jarvisa.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Jarvis zapytał:

–Czy coś takiego naprawdę istnieje?

–Tak, istnieje.

Fragmenty układanki zaczęły do siebie pasować i pierwszy raz, odkąd w ogóle pamiętał, Jarvis żałował swojej skuteczności w działaniu. Popatrzył na Pitta i uśmiechnął się lekko.

–Teraz chyba się napiję – rzekł cicho. – Poza tym, jak sądzę, powinniśmy wymienić

między sobą pewne bardzo niepokojące wieści.

Było już po północy, kiedy Phil Sawyer zatrzymał samochód przed blokiem, w którym mieszkała Loren. Większość kobiet uznałaby tego mężczyznę za przystojnego; miał wzbudzającą zaufanie twarz i starannie przystrzyżone, gęste, przedwcześnie posiwiałe włosy.

Loren rzuciła mu prowokujące spojrzenie.

–Czy zechciałbyś otworzyć drzwi do mojego mieszkania? Kiedy ja to robię, zamek prawie zawsze się zacina.

Uśmiechnął się.

–A czy mógłbym odmówić?

Wysiedli z samochodu i przeszli w milczeniu przez wejście ogrodowe. W mokrym chodniku odbijało się światło ulicznych latarni. Loren wtuliła się w Phila, gdy powiał porywisty, zimny wiatr. Portier pozdrowił ich i przytrzymał windę. Pod drzwiami Loren poszperała w torebce i podała Sawyerowi klucz. Weszli do środka.

–Zrób sobie drinka – powiedziała, otrząsając krople z włosów. – Za moment przyjdę.

Zniknęła w sypialni. Sawyer podszedł do niewielkiego barku i nalał sobie koniaku. Pił

już drugi, kiedy Loren wróciła do pokoju. Miała na sobie pidżamę: srebrnoszarą

górze i spodnie obszyte koronką. Gdy przechodziła przez drzwi, światło z sypialni obrysowało jej gibkie ciało pod cienką warstwą zwiewnego nylonu. Ta pidżama w połączeniu z jej brązowymi włosami i fiołkowymi oczami spowodowała, że Sawyer poczuł się nagle jak zmieszany nastolatek.

–Wyglądasz czarująco – z trudem powiedział.

–Dziękuję. – Nalała sobie galliano i usiadła obok niego na kanapie. – To była wspaniała kolacja, Phil.

–Cała przyjemność po mojej stronie.

Przysunęła się bliżej i lekko dotknęła jego dłoni.

–Dzisiaj wydajesz się jakiś inny, spokojny jak nigdy. Ani razu nie wspomniałeś o prezydencie.

–Za sześć tygodni i trzy dni nowy prezydent złoży przysięgę, a moja ośmioletnia walka z paniami i panami z mass mediów dobiegnie końca. Boże! Nigdy nie podejrzewałem, że stanowisko w tak niedołącznej administracji będzie mi odpowiadało.

–A później? Jakie masz plany?

–Mój szef ma dobry pomysł. Ma zamiar żeglować dwumasztowcem. Gdy tylko wpłynie na południowy Pacyfik, będzie pić i kochać się na umór. – Sawyer opuścił rękę ze

szklanką i spojrzał Loren prosto w oczy. – Natomiast jeśli chodzi o mnie, to wolałbym Karaiby, zwłaszcza na miodowy miesiąc.

Dreszcz oczekiwania przebiegł Loren po plecach.

–Masz na myśli kogoś konkretnego?

Sawyer odstawił szklanki i wziął dłonie Loren w swoje ręce.

–Chodzi o członkinię Kongresu Loren Smith – odparł z udawaną powagą. – Z pełnym

szacunkiem proszę cię, byś głosowała za małżeństwem z Philem Sawyerem.

Spojrzenie Loren zmieniło się, stało się smutne i zamyślane. Chociaż wiedziała, że ta chwila w końcu nadejdzie, ciągle nie była pewna odpowiedzi. Phil błędnie zrozumiał jej milczenie.

–Wiem, o czym myślisz – powiedział łagodnie. – Zastanawiasz się, jak wyglądałoby twoje życie z bezrobotnym sekretarzem prasowym prezydenta, prawda? Ale możesz być spokojna. Wiem z wiarygodnych źródeł, że przywódca partii chcą, bym w przyszłych wyborach do senatu kandydował z mojego rodzinnego stanu.

–W takim razie – powiedziała śmiało – wniosek przyjęty.

Sawyer nie zauważył niepokoju malującego się w oczach Loren. Wziął jej głowę w dłonie i delikatnie pocałował w usta. Wzrok mu się zamglił, ogarnął go zapach jej ciała. Czuł się dziwnie spokojny, kiedy wtulał twarz w jej piersi.

Później, kiedy Sawyer spał rozkosznie zmęczony, na poduszkę zaczęły skapywać łzy Loren. Starła się bardzo. Kochała się z nim mocno, zmuszając się nawet do wydawania oczekiwanych przez niego zwierzęcych jęków. Niestety, na próżno. Przez cały czas tego gwałtownego zbliżenia porównywała Sawyera z Pittem. Nie było żadnej dającej się logicznie wyjaśnić różnicy. Obaj odczuwali w jej wnętrzu to samo,

tylko że Pitt zamieniał ją w dzikie, pałające żądzą zwierzę, podczas gdy Sawyer zostawił ją pustą i nie zaspokojoną.

Przycisnęła poduszkę do twarzy, żeby stłumić szloch.

–Niech cię diabli, Pitt – wyszeptała. – Niech cię wszyscy diabli!

–Nie wiem, czyja opowieść jest bardziej zwariowana – stwierdził Pitt. – Pańska czy moja?

Jarvis wzruszył ramionami.

–Kto to może wiedzieć? Najokropniejsze jest to, że pańskie główce zawierające Szybką Śmierć i moja operacja "Dzika róża" mogą stanowić całość.

–Atak na duże miasto na wybrzeżu, przeprowadzony z pancernika przez południowoafrykańskich Murzynów, udających terrorystów z AAR? Przecież to szaleństwo!

–Nie – odparł Jarvis. – Ten plan ma cechy geniuszu. Kilka bomb, tu i tam, czy kolejne porwanie samolotu nie rozgniewałyby narodu. Ale stary pancernik z powiewającymi banderami, walący pociski na bezsilną ludność – to prawdziwa sensacja.

–Które miasto?

–Nie wiadomo. Ta część planu nadal pozostaje tajemnicą.

–Na szczęście brakuje głównego składnika.

–Pancernika – dodał Jarvis.

–Powiedział pan, że wszystkie skreślono ze spisu jednostek liniowych.

–Ostatni został sprzedany na złom wiele miesięcy temu. Pozostałe są tylko pomnikami.

Pitt przez chwilę patrzył w przestrzeń.

–Przypominam sobie, że zaledwie kilka tygodni temu widziałem taki duży okręt, zacumowany przy wejściu do zatoki Chesapeake.

–Prawdopodobnie ciężki krążownik raketowy – stwierdził Jarvis.

–Nie, jestem pewien, że miał trzy potężne wieże armatnie – powiedział stanowczo Pitt. – Leciałem do Savannah i samolot przeleciał tuż nad nim, zanim wziął kurs na południe.

Jarvis nie był przekonany.

–Nie mam powodu, by wątpić w prawdziwość posiadanych informacji. Jednak ze względów bezpieczeństwa każę to sprawdzić.

–Jest jeszcze coś – wyznał Pitt, wstał i zaczął szukać wśród ustawionych na półce encyklopedii. Wybrał oprawiony czarno tom i przerzucił strony.

–Znów pan coś sobie przypomniał?

–Operacja "Dzika róża".

–Co z nią?

–Nazwa. Może ona coś oznacza?

–Kryptonimy rzadko mają ukryte znaczenie – powątpiewał Jarvis. – Przecież mogłyby je zdradzić.

–Założę się o butelkę wina, że ten coś oznacza.

Pitt podał encyklopedię, otwartą na jakiejś mapie. Jarvis założył okulary do

czytania i pobieżnie ją przejrzał.

–W porządku, Iowa. Stan Sokolego Oka. Co z tego? Pitt wskazał punkt w połowie prawej strony.

–Kwiatem-znakiem stanu Iowa – powiedział cicho – jest dzika róża. Jarvis gwałtownie zbladł.

–Ale przecież pancernik "Iowa" pocięto na złom.

–Pocięto czy sprzedano na złom? – spytał Pitt. – To wielka różnica.

Na czole Jarvisa pojawiły się bruzdy zmartwienia. Pitt popatrzył na niego i pozwolił mu się jeszcze trochę pomartwić.

–Na pańskim miejscu sprawdziłbym wszystkie doki nad zatoką Chesapeake na zachodnim brzegu Maryland.

–Telefon! – rzucił Jarvis prawie rozkazującym tonem.

Pitt wskazał w milczeniu koniec stołu. Jarvis wykręcił numer, po czym, czekając na połączenie, przyglądał się Pittowi.

–Czy ma pan samochód, który nie jest antykiem?

–Na zewnątrz stoi auto należące do NUMA.

–Przyjechałem taksówką – wyjaśnił Jarvis. – Zrobi mi pan tę przysługę?

–Niech mi pan da minutę na doprowadzenie się do porządku – odparł Pitt. Kiedy wyszedł z łazienki, Jarvis czekał już przy drzwiach.

–Miał pan rację – powiedział bezbarwnie. – Jeszcze wczoraj pancernik "Iowa" stał w doku Forbes Marine Scrap and Salvage Yard, w stanie Maryland.

–Znam to miejsce. Kilka kilometrów poniżej ujścia Patuxent River.

Kiedy Pitt prowadził wóz w deszczu, zdawało się, że poruszające się rytmicznie wycieraczki zahipnotyzowały Jarvisa. W końcu jednak skupił wzrok i wskazał drogę.

–Teraz to już chyba będzie Lexington Park.

–Jeszcze sześć kilometrów – odparł Pitt nie odrywając wzroku od drogi.

–Na przedmieściu jest stacja benzynowa czynna całą dobę – mówił dalej Jarvis. –

Niech pan się zatrzyma przy automacie telefonicznym.

Kilka minut później w światłach reflektorów pojawiła się tablica informująca o przekroczeniu granicy miasta. Niecały kilometr dalej, za łagodnym zakrętem z wilgotnej nocy wyłoniła się wspaniale oświetlona stacja. Pitt skręcił i zatrzymał wóz przy budce telefonicznej.

Pracownik stacji benzynowej siedział w zaciszu ciepłego i suchego kiosku z nogami założonymi na stary piecyk na ropę. Odłożył czasopismo i dwie, trzy minuty podejrzliwie obserwował Pitta i Jarvisa przez ociekające wodą okna. Potem, przekonawszy się, że nie zachowują się jak bandyci, wrócił do lektury. Światło w budce zgasło i Jarvis wskoczył pośpiesznie do samochodu.

–Są jakieś nowe wieści? – zapytał Pitt. Jarvis skinął.

–Moi ludzie przekazali mi pewną zniechęcającą informację.

–Złe wieści i paskudna pogoda zawsze chodzą w parze – odparł Pitt.

–"Iowa" został skreślony z rejestrów marynarki i sprzedany na aukcji. Najwyższą cenę zaoferowała firma Walvis Bay Investment Corporation.

–Nigdy o niej nie słyszałem.

–Ta korporacja jest finansowym reprezentantem Afrykańskiej Armii Rewolucyjnej. Pitt ruszył lekko kierownicą, by ominąć dziurę w jezdni.

–Czy to możliwe, żeby Lusana pozbawił szans południowoafrykańskie Ministerstwo Obrony, dając za okręt wyższą cenę?

–Wątpię. – Wilgotny chłód wywołał u Jarvisa dreszcz, więc położył dłonie pod przednią szybą, na wylocie ciepłego powietrza. – Jestem przekonany, że to właśnie południowoafrykańskie Ministerstwo Obrony kupiło "Iowę", dokonując transakcji pod przykrywką Walvis Bay Investment.

–Myśli pan, że Lusana o tym wie?

–A niby skąd? Jest taki zwyczaj, że kiedy klient prosi, zachowuje się jego dane w tajemnicy.

–Chryste – mruknął Pitt. – Phalanx Arms sprzedało głowice AAR...

–Obawiam się – powiedział niepewnie Jarvis – że jeśli jeszcze trochę poszukamy, dowiemy się, że Lusana i AAR w ogóle nie mają z tym wszystkim nic wspólnego.

–Przed nami stocznia Forbesa – oznajmił Pitt.

Wysokie ogrodzenie stoczni biegło równoległe do drogi. Pitt zahamował przy głównej bramie i zatrzymał wóz przed linką zawieszoną w poprzek wjazdu. W deszczu okrętu nie było widać. Ciemność przesłoniła nawet potężne dźwigi. Strażnik zjawił się przy samochodzie, zanim Pitt opuścił szybę.

–W czym mogę pomóc, panowie? – spytał uprzejmie. Jarvis pochylił się w stronę Pitta i pokazał legitymację.

–Chcielibyśmy potwierdzić obecność "lowy" w stoczni.

–Może mi pan wierzyć, sir. Stoi w doku. Remontują go już prawie sześć miesięcy.

Pitt i Jarvis wymienili zaniepokojone spojrzenia, słysząc słowo "remontują".

–Mam rozkaz nie wpuszczać nikogo bez przepustki lub zezwolenia wydanego przez

szeów firmy – mówił dalej strażnik. – Obawiam się, że będą panowie musieli

zaczekać do

rana, by obejrzeć ten okręt.
Twarz Jarvisa poczerwieniała z gniewu, lecz nim rozpoczął urzędową tyradę, podjechał inny samochód, z którego wysiadł mężczyzna w wieczorowym stroju.

–Jakieś problemy, O'Shea? – spytał.

–Ci panowie chcą wejść na teren stoczni – odparł strażnik – ale nie mają

przepustek.
Jarvis wyskoczył z wozu i stanął obcemu na drodze.

–Nazywam się Jarvis, jestem dyrektorem z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. A to mój kolega, Dirk Pitt, z NUMA. Musimy jak najszybciej dokonać inspekcji "lowy".

–O trzeciej nad ranem? – mruknął zmieszany mężczyzna, przyglądając się uważnie dokumentom Jarvisa w świetle reflektora. Po chwili zwrócił się do strażnika:

– W porządku, przepuść ich. – Znowu odwrócił się do Jarvisa: – Droga do doku jest dość skomplikowana. Lepiej pojedę razem z wami. A przy okazji, nazywam się Lou Metz i jestem kierownikiem stoczni.

Metz wrócił do swego wozu i powiedział coś kobiecie siedzącej obok miejsca kierowcy.

–Moja żona – wyjaśnił, sadowiąc się na tylnym siedzeniu samochodu Pitta. – Dzisiaj

mamy rocznicę. Jechaliśmy z przyjęcia do domu. Postanowiłem wpaść po drodze do stoczni

po kopie pewnych planów.

O'Shea odczepił linkę i opuścił na mokrą jezdnię. Zatrzymał gestem Pitta i podszedł do okna.

–Gdyby zobaczył pan tego kierowcę autobusu, panie Metz, proszę go spytać, co opóźnia jego wyjazd.

–Kierowcę autobusu? – zdziwił się Metz.

–Wjechał około siódmej wieczorem, wioząc mniej więcej siedemdziesięciu czarnych. Skierowali się do "lowy".

–Przepuście ich? – spytał z niedowierzaniem Metz.

–Wszyscy mieli przepustki, nawet kierowca ciężarówki, która jechała za nimi.

–Fawkes! – rzucił ze złością Metz. – Co ten zwariowany Szkot kombinuje? Pitt wrzucił bieg i wjechał na teren stoczni.

–Kto to jest Fawkes? – spytał.

–Kapitan Patrick McKenzie Fawkes – odparł Metz. – Emerytowany oficer Królewskiej

Marynarki Wojennej. Wcale się nie krył z tym, że jakaś banda terrorystów

wynajęła go do

prowadzenia remontu statku. Wyjątkowo narwany gość.

Jarvis odwrócił się i spojrzał na Metza.

–To znaczy?

–Fawkes zlecił mnie i moim ludziom wykonanie generalnego remontu. Tylko że kazał wyrzucić z okrętu wszystko, co się tylko dało, a połowę nadbudówki zastąpić drewnianą konstrukcją.

–"Iowa" nigdy nie była przewidziana do unoszenia się na wodzie jak korek - skomentował Pitt. – Jeżeli zakłóci się jej równowagę i przesunie środek ciężkości, przy większej fali może się wywrócić do góry dnem.

–Mnie pan to mówi? – mruknął Metz. – Całymi miesiącami sprzeczałem się z tym rąbniętym draniem. Równie dobrze mógłbym pierdzieć pod wiatr podczas huraganu, tyle dobrego mi to przyniosło. Zażądał nawet, byśmy usunęli dwa silniki turbinowe General Electric w doskonałym stanie i zaspawali wyloty. – Przerwał i klepnął Pitta w ramię. – Proszę skręcić w prawo przy następnym stosie stalowych płyt, a potem w lewo przy torach dla dźwigów.

Temperatura spadła, deszcz zaczął zmieniać się w mokry śnieg. W światłach reflektorów zmaterializowały się dwa pudłowate kształty.

–Autobus i ciężarówka – ogłosił Pitt. Zatrzymał auto, lecz silnika i świateł nie wyłączył.

–Ani śladu kierowców – stwierdził Jarvis.

Pitt wyjął z kieszeni w drzwiach latarkę i wysiadł. Jarvis poszedł za nim, natomiast Metz zniknął w ciemnościach, nie mówiąc ani słowa.

Pitt poświecił przez okna autobusu i zajrzał do ciężarówki. Oba pojazdy były puste. Kiedy razem z Jarvisem obeszli pozostawione pojazdy, natknęli się na Metza. Stał zesztywniały, obejmując się rękami. Wieczorowy garnitur przemókł, włosy przykleiły się do głowy.

Wyglądał jak zmartwychwstały topielec.

–Gdzie "Iowa"? – spytał Jarvis. Metz zamachał nerwowo rękami.

–Pieprzony dupek!

–Pieprzone... co?

–Cholerny Szkot wypłynął tą balią!

–Jezu! Jest pan pewien?

Twarz i głos Metza wyrażały autentyczne przerażenie.

–Nie mam zwyczaju mylić miejsca postoju pancerników. Podczas remontu był zacumowany właśnie tutaj. – Nagle spostrzegł coś i podbiegł na skraj nabrzeża. – Mój Boże!

Spójrzcie na to! Liny są ciągle zaczepione o pachołki cumownicze. Ci wariaci zrzucili je ze

statku. Wygląda na to, że już nigdy więcej nie zamierzają wchodzić do portu.

Jarvis wychylił się i popatrzył w miejsce, w którym grube liny zniknęły w czarnej jak atrament wodzie.

–Moja wina. Godne pożałowania zaniedbanie. Nie chciałem uwierzyć w

ostrzeżenie

przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

–Jednak nie możemy mieć pewności, że rozpoczęli atak – powiedział Pitt.

Jarvis pokręcił głową.

–Oni chcą to zrobić. Tego może pan być pewien. – Oparł się, zmęczony, o słupek.

–

Gdyby tylko podali nam datę i cel.

–Data jest podana przez cały czas – stwierdził Pitt.

Jarvis spojrział na niego pytająco i czekał.

–Powiedział pan, że atak miałby na celu zyskanie sympatii dla białych

mieszkańców

Afryki Południowej i jednocześnie rozgniewanie Amerykanów na czarnych

rewolucjonistów

–kontynuował Pitt. – Czy zatem można sobie wyobrazić lepszy dzień niż

dzisiejszy?

–Jest środa, pięć minut po północy – rzekł Jarvis głosem pełnym napięcia. – Nie

widzę

w tym nic szczególnego.

–Ludzie, którzy wymyślili operację "Dzika róża", mają świetne wyczucie czasu –

stwierdził Pitt oschłym, ironicznym tonem. – Dzisiaj mamy siódmy grudnia,

rocznicę ataku na

Pearl Harbor.

Część V "Iowa"

Pretoria, Afryka Południowa, 7 grudnia 1988

Pieter De Vaal siedział sam i czytał książkę w swoim gabinecie w Ministerstwie Obrony. Był wczesny wieczór, światło sączyło się jeszcze przez łukowato sklepione okna. Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

–Proszę – powiedział De Vaal nie odrywając oczu od książki. Wszedł Zeegler.

–Zawiadomiono nas, że Fawkes rozpoczął operację.

Twarz De Vaala nie zdradzała cienia zainteresowania, kiedy odłożył książkę i wręczył Zeeglerowi kartkę papieru.

–Proszę dopilnować, żeby dyżurny oficer łącznościowy osobiście wysłał tę wiadomość do amerykańskiego Departamentu Stanu.

Poczuwam się do obowiązku ostrzeżenia przed zagrażającym atakiem na Wasze wybrzeże ze strony terrorystów Afrykańskiej Armii Rewolucyjnej pod dowództwem kapitana Patricka Fawkesa, emerytowanego oficera Królewskiej Marynarki Wojennej. Wyrażam głęboki żal z powodu nieumyślnej roli, jaką nasze ministerstwo odegrało w tej haniebnej nikczemności.

Premier Eric Koertsmann

–Przyznaje się pan do winy w imieniu naszego premiera, chociaż on nie ma najmniejszego pojęcia o operacji "Dzika róża"! – zdumiał się Zeegler. – Czy wolno spytać

dłaczego?

De Vaal splótł ręce i popatrzył na Zeeglera.

–Nie widzę powodu do omawiania szczegółów.

–Czy zatem mógłbym zapytać, dlaczego rzucił pan Fawkesa na pożarcie? Minister wrócił do lektury, gestem oddalając Zeeglera.

–Proszę dopilnować, by wiadomość została wysłana. Odpowiedzi na pańskie pytania

otrzyma pan w stosownym momencie.

–Obiecaliśmy Fawkesowi próbę uratowania go – nalegał Zeegler.

De Vaal westchnął niecierpliwie.

–Fawkes wiedział, że nie przeżyje, już w chwili wyrażenia zgody na kierowanie akcją.

–A jeśli przeżyje i opowie o tym władzom amerykańskim, jego wyznanie może się okazać groźne dla naszego rządu.

–Niech pana o to głowa nie boli, pułkowniku – odparł De Vaal z chytrym uśmiechem na twarzy. – Fawkes nie przeżyje.

–Wydaje się, że jest pan tego pewien, panie ministrze.

–Bo jestem – odrzekł spokojnie De Vaal. – Absolutnie.

We wnętrzu "lowy" postać w wysmarowanym kombinezonie i grubej wełnianej kamizelce weszła z korytarza do pomieszczenia, które kiedyś było szpitalem okrętowym. Mężczyzna zamknął za sobą drzwi, ogarnęła go dusząca ciemność. Włączył latarkę i rozejrzał się po pustym wnętrzu. Wycięto niektóre przegrody, więc zdawało mu się, że stoi wewnątrz wielkiej jaskini.

Usatysfakcjonowany faktem, że jest sam, przyklęknął na pokładzie i wyjął z

kieszeni nieduży pistolet. Następnie na koniec lufy nakręcił tłumik, a w rękojeść wsunął dwudziestonabojowy magazynek. Wycelował w ciemność automat marki Hocker-Rodine i pociągnął za spust.

Rozległo się ledwie słyszalne pif, a po nim dwa głuchoe uderzenia pocisku odbijającego się rykoszetem od niewidocznych ścian. Zadowolony z rezultatów, przymocował pistolet plastrem do łydki. Zrobił kilka kroków, by się upewnić, że broń jest wygodnie ukryta, wyłączył latarkę, wymknął się na korytarz i skierował w stronę maszynowni.

Carl Swedborg, szypier trawlera rybackiego "Molly Bender", postukał palcem w barometr, przez chwilę przyglądając mu się ze stoickim spokojem, po czym podszedł do stołu nawigacyjnego i wziął do ręki filiżankę z kawą. Wyobrażając sobie rzekę przed dziobem, popijał kawę i wpatrywał się w lód zbierający się na pokładzie. Nie cierpiał takich paskudnych, mokrych nocy. Wilgoć wdzierła się w jego siedemdziesięcioletnie kości i torturowała stawy. Powinien był przejść na emeryturę już dziesięć lat temu, ale skoro żona umarła, a dzieci mieszkały w różnych częściach kraju, nie mógł znieść siedzenia w pustym domu. Postanowił, że dopóki będzie mógł pracować, zostanie na wodzie, aż w końcu go w niej pochowają.

–Mamy widzialność na ćwierć mili – stwierdził w zamyśleniu.

–Bywało gorzej, znacznie gorzej. – Te słowa wypowiedział Brian Donegal, stojący za sterem wysoki irlandzki imigrant o zmierzwionych włosach. – Lepiej, że taką wstrętną pogodę trafiliśmy podczas wyjścia w morze niż przy powrocie do domu.

–Zgadza się – odparł oschle Swedborg. Wstrząsnął nim dreszcz, więc zapiął ostatni guzik ciepłej kurtki. – Pilnuj steru i trzymaj się lewej przy boi kanałowej na Ragged Point.

–Niech się pan nie martwi, kapitanie. Mój wierny irlandzki nos wyczuwa znaczniki na kanałach jak pies gończy zwierzynę.

Przechwałki Donegala prawie zawsze rozweselały Swedborga. Również i tym razem kąciki ust kapitana mimowolnie uniosły się w górę, po czym szypier odezwał się pozornie poważnym tonem:

–Wolałbym, żebyś do tego celu używał oczu.

"Molly Bender" zakręciła wokół Ragged Point i płynęła dalej w dół rzeki, od czasu do czasu mijając oświetlone boje, które znikaly z boku jak światła ulicznych latarni na mokrym od deszczu skrzyżowaniu ulic. W coraz gęściej padającym deszczu ze śniegiem światła z brzegu były ledwie widoczne.

–Ktoś płynie w górę kanału – ogłosił Donegal.

Swedborg wziął lornetkę i spojrzał ponad dziobem.

–Ten z przodu ma trzy białe światła. Czyli holownik i to, co ciągnie za sobą. Jest zbyt ciemno, by rozróżnić kształt. Ale to chyba długi hol. Dokładnie przed nami widzę dwie białe trzydziestkidwójki na holowanej jednostce, około trzystu metrów za holownikiem.

–Jesteśmy na kursie kolizji, kapitanie. Jego światła masztowe są na linii naszego dzioba.

–Co ten drań robi po naszej stronie rzeki? – zastanawiał się głośno Swedborg. – Czy ten głupiec nie wie, że podczas mijania należy się trzymać lewego brzegu? Ta świnią wchodzi nam w drogę!

–Ale my mamy lepsze możliwości manewrowania – powiedział Donegal. – Lepiej go zaalarmować i minąć się lewymi burtami.

–Dobra, Donegal. Daj na prawą i dwa sygnały o naszych zamiarach.

Niestety, odpowiedź nie nadeszła. Swedborgowi wydawało się, że światła zbliżają się o wiele szybciej, niż mógłby płynąć jakikolwiek holownik z barkami. Z

przerażeniem obserwował, jak statek skręca w tę samą stronę co "Molly Bender".

–Daj temu głupcowi cztery krótkie sygnały! – krzyknął.

Chodziło o sygnał alarmowy używany na wodach śródlądowych, gdy kurs lub zamiary zbliżającego się z przeciwka statku nie są rozumiane. Na przeraźliwy dźwięk sygnału obudzili się dwaj marynarze. Weszli zaspani do sterówki i od razu zdrętwieli, widząc tak bliskie światła dziwnego statku. Było jasne, że nie zachowywał się jak holownik ciągnący barki.

W ostatnich sekundach Swedborg chwycił tubę i krzyknął w noc:

–Ahoj! Dawaj mocno na lewą!

Z równym skutkiem mógłby krzyczeć do ducha. Nikt mu nie odpowiedział, w lodowatej ciemności nie rozległ się żaden głos.

Światła nieuchronnie zbliżały się do bezsilnej "Molly Bender".

Uświadamiając sobie nieodwołalność kolizji, Swedborg chwycił się dolnej ramy okna. Walcząc do końca, Donegal błyskawicznie dał całą wstecz i zakręcił sterem z powrotem na prawą burtę.

Ostatnią rzeczą, jaką wszyscy ujrzeli, był monstrualnej wielkości szary dziób, majaczący w padającym mokrym śniegu wysoko ponad ich sterówką. Potężny stalowy klin z numerem 61.

Pitt zatrzymał samochód przed bramą Białego Domu. Jarvis już wysiadał, lecz odwrócił się jeszcze i spojrzał na Pitta.

–Dziękuję za pomoc – powiedział szczerze.

–Co teraz? – spytał Pitt.

–Mam ten okropny obowiązek wyciągnięcia z łóżek prezydenta i dowódców sztabu -odparł Jarvis ze słabym uśmiechem na zmęczonej twarzy.

–Czy mógłbym w czymś pomóc?

–Nie. I tak zrobił pan więcej, niż do pana należało. Od tej chwili sprawę musi przejąć Departament Obrony.

–A głowice z Szybką Śmiecia? Czy obiecuje mi pan, że zostaną zniszczone, kiedy znajdziecie i przejmiecie tamten okręt?

–Ja mogę tylko spróbować. Poza tym niczego nie jestem w stanie obiecać.

–Dobre i to – odparł Pitt.

Jarvis był zbyt zmęczony, żeby się spierać. Apatycznie wzruszył ramionami, jakby na niczym mu już nie zależało.

–Przykro mi, ale tak już jest.

Zatrzasnął drzwi samochodu, pokazał strażnikowi przepustkę i zniknął. Pitt zawrócił i wjechał w Vermont Avenue. Kilka kilometrów dalej zauważył całodobowy bar, więc skręcił na parking. Zamówił kawę u ziewającej kelnerki, znalazł automat telefoniczny i odbył dwie rozmowy. Potem wypił kawę, zapłacił i wyszedł.

Heidi Milligan spotkała Pitta, gdy wchodził do Bethesda Naval Hospital. Jej blond włosy były częściowo ukryte pod chustką; mimo widocznego wokół oczu zmęczenia, wyglądała żwawo i młodo.

–Jak się miewa admirał Bass? – spytał Pitt. Popatrzyła na niego uważnie.

–Trzyma się. On jest twardy, przeżyje.

Pitt nie uwierzył w ani jedno słowo. Nadzieja była niewielka, lecz ona jej nie traciła i zachowywała się bardzo dzielnie. Objął ją w pasie i delikatnie poprowadził korytarzem.

–Czy będzie mógł ze mną porozmawiać?

Skinęła.

–Lekarzom się to nie podoba, ale Walt nalegał, kiedy przekazałam mu pana wiadomość.

–Nie narzucałbym się, gdyby to nie było ważne – wyjaśnił Pitt. Spojrzała mu prosto w oczy,

–Rozumiem.

Doszli do drzwi i Heidi je otworzyła. Gestem skierowała Pitta do łóżka admirała.

Pitt nienawidził szpitali. Zawsze działał mu na nerwy słodki zapach eteru, przytłaczająca atmosfera i ci nieodmiennie zajęci lekarze i pielęgniarki. Już dawno temu podjął decyzję: gdy nadejdzie jego czas, umrze we własnym łóżku, w domu.

Utwierdził się w tym przekonaniu jeszcze bardziej, gdy ujrzał admirała pierwszy raz od pobytu w Kolorado. Woskowata bladość starego człowieka zlewała się z białą poduszki, admirał oddychał równo z syknięciami respiratora. Do rąk i pod pościel prowadziły rurki, dostarczając organizmowi pożywienia i odprowadzając odchody. Niegdyś muskularne ciało wyglądało jak wysuszone.

Podszedł lekarz i dotknął ramienia Pitta.

–Wątpię, czy ma dość siły, by rozmawiać.

Bass odwrócił głowę w stronę Pitta, jedną ręką wykonał słaby ruch.

–Podejdź bliżej, Pitt – mruknął chrapliwie.

Lekarz z rezygnacją wzruszył ramionami.

–Na wszelki wypadek będę w pobliżu – dodał, po czym wyszedł na korytarz, zamykając drzwi.

Pitt postawił krzesło przy łóżku i nachylił się nad Bassem.

–Głowica zawierająca Szybką Śmierć – powiedział. – Jak zachowuje się w powietrzu?

–Siła odśrodkowa... gwint.

–Rozumiem – odparł cicho Pitt. – Gwint lufy nadaje pociskowi rotację i wywołuje siłę odśrodkową.

–Uruchamia generator... z kolei włącza niewielki wysokościomierz radarowy.

–Ma pan na myśli wysokościomierz barometryczny.

–Nie... barometryczny się nie sprawdził – wyszeptał Bass. – Trajektoria ciężkich pocisków okrętowych jest płaska... lecą szybko... za nisko na odczyt barometryczny... potrzebny radar do wychwytywania fal odbitych od ziemi.

–Nie wydaje się możliwe, żeby wysokościomierz radarowy wytrzymał przeciążenie podczas odpalania pocisku.

Bass uśmiechnął się słabo, z wysiłkiem.

–Sam to projektowałem. Możesz mi wierzyć... urządzenie wytrzymuje początkowy pęd przy wystrzale.

Admirał zamknął oczy i leżał cicho, wyczerpany wysiłkiem. Heidi zbliżyła się i położyła dłoń na ramieniu Pitta.

–Może powinien pan przyjść jeszcze raz po południu? Pitt pokręcił głową.

–Wtedy będzie już za późno.

–Ale pan go zabije – rzuciła ze łzami w oczach i gniewnym wyrazem twarzy. Bass przesunął dłoń po pościeli i chwycił Pitta za nadgarstek.

–Potrzebowałem chwili, by złapać oddech... Nie odchodź... To rozkaz.

W oczach Pitta Heidi spostrzegła wielkie współczucie i niechętnie się wycofała. Pitt znów pochylił się nad admirałem.

–Co dzieje się potem?

–Gdy pocisk minie najwyższy punkt i zaczyna zbliżać się do ziemi, wysokościomierz

to sygnalizuje...

Bass umilkł, Pitt czekał cierpliwie.

–Na wysokości pięciuset metrów wyrzucany jest spadochron. Zwalnia spadanie pocisku i uruchamia nieduże urządzenie detonujące.

–Pięćset metrów, spadochron się otwiera – powtórzył Pitt.

–Na wysokości trzystu metrów ładunek eksploduje, rozrywa głowicę i uwalnia malutkie bomby z zawartością QD.

Pitt wyprostował się i zastanawiał nad opisem działania głowicy. Popatrzył w uciekające oczy Bassa.

–A czas, admirale? Ile czasu mija między otwarciem spadochronu a wyrzuceniem QD?

–Zbyt dawno... nie pamiętam.

–Niech się pan postara, proszę – nalegał Pitt.

Bass wyraźnie słabł. Z całej siły próbował zmusić umysł do pracy, lecz jego szare komórki reagowały ospale. Po chwili napięcie zniknęło z twarzy.

–Chyba... nie jestem pewien... – szepnął. – Trzydzieści sekund... tempo opadania około

pięciu metrów na sekundę...

–Trzydzieści sekund? – spytał Pitt, chcąc uzyskać potwierdzenie.

Bass puścił rękę Pitta, jego dłoń opadła na pościel. Oczy zamknęły się i admirał znowu zapadł w śpiączkę.

Jedynym uszkodzeniem "lowy" po staranowaniu "Molly Bender" była zdrapana farba na dziobie. Fawkes nie odczuł najmniejszego wstrząsu.

Mógł uniknąć tragedii, gdyby tylko mocno zakręcił sterem na lewą burtę, ale to równałoby się sprowadzeniu jednostki na płytką wodę i osadzeniu jej na mieliźnie.

Tymczasem potrzebował każdego centymetra wody pod kilem. Miesiące usuwania tysięcy ton niepotrzebnej stali podniosły okręt o dwanaście metrów ponad normalną linię wodną, pozostawiając w zanurzeniu mniej niż siedem: margines bezpieczeństwa był niewielki.

I tak wielkie śruby "lowy" podrywały muł z dna rzeki, na długości wielu mil znacząc drogę mętnym śladem.

Niezliczone wyprawy Fawkesa w górę i w dół rzeki, sondowanie głębokości, oznaczanie każdej boi, każdego pasa mielizny – to wszystko się teraz odplacało. Deszcz ze śniegiem zelżał trochę, Fawkes mógł wypatrzeć świetlną boję, oznaczającą środek kanału naprzeciwko St. Clements Island. Po kilku minutach usłyszał grobowy dźwięk dzwonu, jakby był jego dobrym znajomym. Wytarł spocone dłonie o ubranie. Zbliżała się najtrudniejsza część wyprawy.

Od chwili rzucenia cum Fawkes niepokoił się myślą o mieliznach na Kettle, sześciomilowym odcinku rzeki z mnóstwem piaskowych łach, które mogły pochwycić dno "lowy" i zatrzymać okręt na wiele mil przed celem.

Jedną rękę zdjął ze steru i podniósł mikrofon.

–Chcę mieć stały odczyt głębokości.

–Zrozumiano, kapitanie – zatrzeszczał głośnik.

Trzy pokłady niżej dwóch czarnych marynarzy Fawkesa na zmianę odczytywało wskazania zmodyfikowanego głębokościomierza. Podawali dane w centymetrach, a nie w sążniach.

–Osiemset... siedemset pięćdziesiąt... siedemset...

Mielizny na Kettle właśnie zaczynały ujawniać swą obecność. Potężne dłonie Fawkesa trzymały ster, jakby były do niego przyklejone.

Na dole w maszynowni Emma dawał pokaz chęci niesienia pomocy mizernie małej grupce ludzi, którzy radzili sobie jakoś z prowadzeniem statku. Wszyscy byli mokrzy od potu, starając się podołać zadaniom wyznaczanym normalnie pięciokrotnie liczniejszej załodze. Oczywiście, usunięcie dwóch silników pomogło, ale i tak roboty było w bród, zwłaszcza że

mieli świadomość swojej podwójnej roli: obsługi maszynowni i, kiedy przyjdzie czas, również dział.

Nienawykły do fizycznego wysiłku Emma pomagał rozdając półlitrowe pojemniki z wodą. W tym parnym piekle nikt chyba nie zwrócił uwagi na jego obcą twarz. Wszyscy byli wdzięczni za możliwość napicia się płynu, który parował z organizmu wszystkimi porami.

Pracowali po omacku, nie mając pojęcia, co się dzieje po drugiej stronie stalowego poszycia kadłuba, nie wiedząc, dokąd płyną. Kiedy wchodzili na pokład, Fawkes powiedział im tylko, że wypływają w krótki rejs ćwiczebny, żeby rozruszać

stare maszyny i wystrzelić z dział kilka salw. Sądziłi, że wychodzą z zatoki i kierują się na Atlantyk, i właśnie dlatego zdziwili się bardzo, kiedy okręt nagle zadrżał i kadłub zaczął im trzeszczeć pod nogami.

Pancernik trafił na pas mielizny. Ssanie mułu znacznie zmniejszyło prędkość okrętu. Z mostka nadeszła przez telegraf komenda "cała naprzód". Dwa potężne wały korbowe zwiększyły obroty, kiedy silniki osiągnęły maksymalną moc stu sześciu tysięcy koni mechanicznych.

Na twarzach ludzi w maszynowni malowało się zmieszanie i zdziwienie. Myśleli, że płyną po głębokiej wodzie.

Charles Shaba, główny mechanik, zawołał na mostek:

–Kapitanie, czy weszliśmy na mieliznę?

–Tak, chłopcze, trafiliśmy na nie oznaczoną łachę – huknął Fawkes. – Trzymajcie pełny gaz, dopóki nie przejdziemy.

Shaba nie podzielał optymizmu kapitana. Wydawało się, że okręt ledwie posuwa się do przodu. Pokład pod stopami drżał od wibracji silników pracujących na pełnych obrotach. Jednak po chwili wyczuł, że uderzenia zelżały, jakby śruby zaczęły obracać się swobodnie w wodzie. Po minucie Fawkes znów krzyknął z mostka.

–Powiedz chłopakom, że przeszliśmy. Znowu jesteśmy na głębokiej wodzie!

Z uśmiechem ulgi załoga maszynowni wróciła do swoich zajęć.

Jeden ze smarowaczy zanucił popularną szantę, po chwili wszyscy dołączyli swe głosy do szumu wielkich turbin.

Tylko Emma nie przyłączył się do śpiewu. Tylko on znał prawdę, rzeczywisty cel tej wyprawy. Za kilka godzin otaczający go ludzie będą martwi. Byłoby może inaczej, gdyby płaskie dno okrętu utkwilo w mule. Niestety, miało się stać inaczej.

Fawkes jest szczęśliwcem, pomyślał. Ma cholerne szczęście. Przynajmniej do tej pory.

Prezydent siedział przy końcu długiego stołu konferencyjnego w schronie sto metrów poniżej Białego Domu i patrzył Dale'owi Jarvisowi prosto w oczy.

–Nie muszę ci chyba mówić, Dale, że ostatnią rzeczą, jakiej bym chciał, jest kryzys

przy samym końcu mojej kadencji, zwłaszcza taki, który nie może poczekać do jutra.

Jarvis zaczął się denerwować. Prezydent był znany z wybuchowego temperamentu. Jarvis nieraz widział, jak słynny wąsik, ulubiony motyw karykaturzystów, jeżył się z gniewu. Nie mając nic do stracenia z wyjątkiem pracy, skontrował:

–Nie zwykłem przerywać pańskiego snu, sir, ani wojowniczych snów szefów sztabu,

dopóki nie mam naprawdę ważnego powodu.

Sekretarz obrony Timothy March wciągnął nerwowo powietrze.

–Sądzę, że Dale chce powiedzieć...

–Chcę powiedzieć – mówił dalej Jarvis – że gdzieś na zatoce Chesapeake znajduje się banda gnojków mających w ręku broń biologiczną, która może zniszczyć każdą żywą istotę w dużym mieście i kontynuować ten proces przez Bóg jeden wie ile jeszcze pokoleń.

Generał Curtis Higgins, szef sztabu głównego, popatrzył powątpiewająco na Jarvisa.

–Nie znam żadnej broni o takiej sile rażenia. Poza tym zapasy broni gazowej z naszego arsenału zostały zneutralizowane i zniszczone wiele lat temu.

–Takie gówno wciskamy opinii publicznej – rzucił Jarvis. – I każdy w tym pokoju doskonale o tym wie. Prawda jest jednak taka, że armia nigdy nie przerwała badań i składowania broni chemiczno-biologicznej.

–Uspokój się, Dale. – Prezydent uśmiechnął się szeroko pod wąsem. Znajdował perwersyjną przyjemność w sytuacji, gdy jego podwładni zaczęli walczyć między sobą.

Chcąc rozładować napiętą atmosferę, rozparł się wygodnie i jedną nogę ulokował na poręczu.

–Chwilowo potraktujmy ostrzeżenie Dale'a jak ewangelię. – Zwrócił się do admirała Josepha

Kempera, dowódcy operacji morskich: – Posłuchaj, Joe. Ponieważ to mi wygląda na atak

morski, podlega tobie.

Kemper zupełnie nie wyglądał na dowódcę wojskowego. Korpulentny, siwowłosy, mógł być z powodzeniem wynajmowany na stróża porządku w sklepach wielobranżowych. Przyjrzał się z namysłem notatkom, które robił podczas sprawozdania Dale'a.

–Dwa fakty potwierdzają ostrzeżenie pana Jarvisa. Pierwszy, pancernik "Iowa" został

sprzedany firmie o nazwie Walvis Bay Investment. Jeszcze wczoraj zdjęcie z satelity

pokazało go w doku stoczni Forbesa.

–A teraz?

Kemper nie odpowiedział, lecz wcisnął guzik w stole i podniósł się z krzesła. Boazeria na ścianie rozsunęła się, odsłaniając ekran o wymiarach dwa i pół na trzy metry. Kemper podniósł słuchawkę telefonu i powiedział krótko:

–Zaczynaj.

Na ekranie o dużej rozdzielczości pojawił się obraz telewizyjny nadawany z orbity. Barwy i ostrość były nieporównanie lepsze niż to, co przekazywano do prywatnych odbiorców telewizji. Kamera z satelity przedzierała się przez wczesnoporanną ciemność i powłokę chmur, jakby w ogóle nie istniały, ukazując wschodni brzeg zatoki Chesapeake jak na widokówce. Kemper podszedł do ekranu i zakreślił ołówkiem okrąg.

–Tu mamy ujście Patuxent River, dorzecze Drum Point na północy i Hog Point na południu. – Przez chwilę ołówek tkwił w jednym miejscu. – Te linie to doki stoczni Forbesa... Punkt dla pana Jarvisa. Jak pan widzi, panie prezydencie, nie ma tu ani śladu po "lowie".

Na rozkaz Kempera kamera zaczęła przesuwac się w górę zatoki. Na ekranie pojawiały się frachtowce, statki rybackie i fregaty rakietowe, ale nic nie przypominało masywnego kształtu pancernika. Po prawej stronie ekranu Cambridge; wkrótce po lewej Akademia Morska w Annapolis; płątny most poniżej Sandy Point; a potem tereny aż po Patapsco River i Baltimore.

–Co leży na południu? – spytał prezydent.

–Z wyjątkiem Norfolk, na przestrzeni czterystu pięćdziesięciu kilometrów nie ma żadnego większego miasta.

–Zaraz, zaraz, panowie. Nawet Merlin i Houdini razem wzięci nie mogliby spowodować, by pancernik zniknął.

Nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, do sali konferencyjnej wszedł sekretarz Białego Domu i przy łokciu prezydenta położył jakiś dokument.

–Przed chwilą nadeszło z Ministerstwa Obrony – oznajmił prezydent, przeglądając wydruk. – Komunikat od premiera Koertsmanna z Afryki Południowej. Ostrzega nas o ataku AAR zagrażającym wybrzeżom Stanów Zjednoczonych i przeprasza za wszelkie pośrednie zaangażowanie swego gabinetu,

–To wcale nie znaczy, że Koertsmann chciałby zasugerować swoje związki z wrogiem – powiedział March. – Myślę, że kategorycznie zaprzeczyłby temu.

–Pewnie się stara zminimalizować straty, obstawiając na wszystkie strony – zasugerował Jarvis. – Widocznie podejrzewa, że dowiedzieliśmy się o operacji "Dzik róża".

Prezydent nadal przyglądał się uważnie dokumentowi, jakby nie chciał zaakceptować przerażającej prawdy.

–Wygląda to tak – powiedział poważnie – jakby za chwilę miało się rozpętać piekło.

Fawkes pomylił się w swych obliczeniach tylko co do mostu. Nadbudówka "lowy" była zbyt wysoka, by zmieścić się pod jedyną wzniesioną przez człowieka przeszkodą, jaka stała na drodze do celu. Pionowy prześwit pod mostem był niższy, niż wcześniej ocenił.

Raczej usłyszał, niż ujrzał, jak skonstruowana ze sklejki kabina celowniczego działa roztrzaskała się.

Howard McDonald wcisnął hamulec i zatrzymał rzucany na boki samochód. Skrzętnie poustawiane wewnątrz pojemniki z butelkami z mlekiem poprzewracały się. McDonaldowi, przejeżdżającemu przez płatny most imienia Harry'ego W. Nice'a, wydawało się, że w konstrukcję uderzył samolot, a jego szczątki przeleciały przez kratownice prosto na jego furgonetkę. Przez kilka chwil siedział zszokowany, światła samochodu oświetlały wielką stertę, która zablokowała oba pasy jezdni. Wysiadł przerażony z wozu i podszedł bliżej, spodziewając się, że we wraku znajdzie pogruchotane ludzkie ciała.

Zamiast tego ujrzał tylko połamane arkusze pomalowanej na szaro sklejki. W pierwszej chwili spojrzął na zaciągnięte niskimi chmurami niebo, ale zobaczył tylko czerwone światło ostrzegawcze na samym szczycie konstrukcji mostu. Wówczas podszedł do barierki i popatrzył w dół. Kanał był pusty jeśli nie liczyć czegoś, co robiło wrażenie światła całego sznura statków znikających za Mathias Point na północy.

Pitt, Steiger i admirał Sandecker stali przy stole kreślarskim w hangarze Pitta na Washington National Airport i przyglądali się dokładnej mapie okolicznych dróg wodnych.

–Fawkes miał poważny powód, żeby tak przebudować okręt – stwierdził Pitt. – Dwanaście metrów. O tyle podniósł linię wodną.

–Jesteś pewien, że masz dokładne dane? – spytał Sandecker. – Bo wówczas pozostałoby zaledwie siedem metrów. – Pokręcił głową. – To wydaje się niewiarygodne.

–Te dane dostałem od człowieka, który powinien wiedzieć najlepiej – odparł Pitt. – Kiedy Dale Jarvis rozmawiał z kwaterą Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, ja wypytałem Metza, szefa stoczni. Przysięgał, że podaje dokładne pomiary.

–Ale po co? – rzucił Steiger. – Po usunięciu dział i zastąpieniu ich drewnianymi atrapami okręt jest kompletnie bezużyteczny.

–Wieża numer dwa razem z całym wyposażeniem pozostała nietknięta – odrzekł Pitt. – Według Metza, "Iowa" może z trzydziestu kilometrów wygarnąć salwę jednotonowymi pociskami w beczkę na wodę deszczową.

Sandecker całą uwagę skoncentrował na przypaleniu wielkiego cygara. Zadowolony z wyniku tej operacji, wydmuchnął w kierunku sufitu chmurę niebieskawego dymu i uderzył knykциями w mapę.

–Twój plan jest szalony, Dirk. Wtrącamy się w sprawy należące do ludzi postawionych o wiele wyżej.

–Ale przecież nie możemy tu siedzieć i jęczeć. Prezydent da się przekonać specjalistom z Pentagonu, żeby albo zdmuchnąć "Iowę" z powierzchni wody, by nie rozsiać QD na wiatr, albo wysłać grupę desantową, której zadaniem byłoby zdobycie głowic i odstawienie ich do wojskowego arsenału.

–Jaki może być pożytek z takiej śmiertelnej substancji, skoro nie można jej kontrolować? – zapytał Steiger.

–Mogę się założyć, że każdy biolog w tym kraju dostanie fundusze na znalezienie antidotum – odparł Pitt. – Jeżeli którykolwiek z nich coś odkryje, to pewnego dnia, gdzieś, jakiś generał lub admirał może wpaść w panikę i wydać rozkaz użycia tej broni. Rety! Nie chcę się starzeć, wiedząc, że miałem możliwość uratowania niezliczonej liczby istnień ludzkich, ale zawałem sprawę.

–Piękne przemówienie – stwierdził Sandecker. – Całkowicie się z tobą zgadzam, ale my trzej chyba nie możemy konkurować z Departamentem Obrony w wyścigu do odzyskania dwóch pozostałych głowic.

–Gdyby wcześniej udało się nam przemycić człowieka na pokład "Iowy", kogoś, kto potrafiłby rozbroić mechanizm zapalnika i wyrzucić pojemniki za burtę, do wody... – myślał głośno Pitt.

–I ty miałbyś nim być? – rzucił Sandecker.

–Spośród nas trzech ja jestem najlepiej przygotowany.

–Czy przypadkiem nie zapominasz o mnie? – spytał kwaśno Steiger.

–Jeżeli wszystko inne zawiedzie, będziemy potrzebowali dobrego pilota

helikoptera. Wybacz, Abe, ale ja nie potrafię, więc wybór pada na ciebie.

–Jeżeli tak to ujmujesz – odparł Steiger z wymuszonym uśmiechem – to jak mógłbym odmówić.

–Sztuka polega na znalezieniu "lowy", zanim uczynią to chłopcy z obrony - powiedział Sandecker. – A to jest mało prawdopodobne, ponieważ oni dysponują rozpoznaniem satelitarnym.

–A gdybyśmy dokładnie wiedzieli, dokąd pancernik się kieruje? – rzekł Pitt z uśmiechem.

–Jak? – mruknął sceptycznie Steiger.

–Kluczem do zagadki jest zanurzenie – odparł Pitt. – Jest tylko jeden szlak wodny w zasięgu Fawkesa, na którym zanurzenie nie może być większe niż siedem metrów.

Sandecker i Steiger stali w milczeniu i bezruchu, czekając, aż Pitt odkryje karty.

–Stolica – oznajmił stanowczo Pitt. – Fawkes chce wprowadzić "lowę" w górę Potomacu i uderzyć na Waszyngton.

Fawkes miał obolałe ręce, pot spływał mu po twarzy i znikał w zaroście brody. Jednak ruchy ramion były nadal pewne. Kapitan skoncentrowany, piekielnie zmęczony, stał przy sterze pancernika już prawie dziesięć godzin, prowadząc okręt kanałami, na jakie jednostka ta nie była zaprojektowana. Na dłoniach miał popękane bąble, ale nie zwracał na to uwagi.

Znalazł się na ostatnim odcinku swojej długiej podróży. Potężne, długie działa wieży numer dwa już mogłyby dosięgnąć Pennsylvania Avenue.

Przez telegraf zarządził szybkość bojową i wibracje w głębi okrętu powiększyły się. Jak koń na sygnał trąbki "lowa" wgrzyła się śrubami w błotnistą wodę i wyrwała wąskim przesmykiem obok Cornwallis Neck na brzegu stanu Maryland.

Pancernik wyglądał jak coś nie z tego świata, jak olbrzymi ziejący dymem potwór, wynurzający się z głębin piekła. Ruszył do przodu szybciej, mijając boje, które cofały się w bladym świetle świtu. Wyglądało tak, jakby okręt miał serce i duszę i wiedział, że to jego ostatnia wyprawa, że niedługo zginie jako ostatni z walczących pancerników.

Fawkes wpatrywał się zafascynowany w odległe o trzydzieści kilometrów światła Waszyngtonu. Baza marynarki wojennej Quantico zniknęła za rufą, kiedy nie powstrzymany pancernik całą masą skręcił przy Halloween Point i minął Gunston Cove. Został jeszcze jeden zakręt, zanim wpłynie na prosty kanał, który kończy się na skraju pola golfowego w East Potomac Park.

–Osiem metrów – odezwał się w głośniku głos marynarza odczytującego głębokość. –

Osiem... siedem i pół...

Okręt minął szybko kolejną boję. Pięcioskrzydłowe śruby wyrwały muł z dna, a dziób podrzucał pianę, gdy okręt pruł wodę pod prąd płynący z szybkością pięciu węzłów.

–Siedem metrów, kapitanie. – W głosie dawało się wyczuć zaniepokojenie. – Siedem...

tak samo... tak samo... O Boże! Sześć dziewięćdziesiąt!

Wtedy kadłub uderzył w podwyższone dno jak młotek w poduszkę. Uderzenie bardziej przypominało znane wrażenie, niż dało się odczuć – kiedy kadłub wbił się w błoto. Maszyny pracowały dalej, śruby młóciły wodę, lecz "Iowa" stała nieruchomo. Zatrzymała się poniżej opadających ku wodzie terenów Mount Vernon.

–To jest nieprawdopodobne – powiedział admirał Joseph Kemper, wpatrując się z podziwem w obraz, "lowy" na ekranie. – Przeprowadzenie stalowej fortecy

dziewięćdziesiąt

mil, nocą, po krętej rzece dowodzi wielkiej sztuki nawigacji.

Prezydent patrzył zamyślony, masując sobie skronie.

–Co wiemy o tym gościu, Fawkesie?

Kemper kiwnął na adiutanta i ten podał prezydentowi niebieski skoroszyt.

–Na moją prośbę admiralicja brytyjska przysłała akta służby kapitana Fawkesa.

Pan

Jarvis dostarczył uzupełnienie z akt NSA.

Prezydent założył okulary i otworzył teczkę. Po kilku minutach zerknął na

Kempera ponad rogową oprawą szkieł.

–Piekielnie dobre opinie. Ktokolwiek wybrał go do tej roboty, znał jego umiejętności.

Tylko dlaczego człowiek o tak zacnej przeszłości wdał się nagle w tego rodzaju

dziwaczną

aferę?

Jarvis pokręcił głową.

–Masakra żony i dzieci dokonana przez terrorystów najwyraźniej absolutnie

wytrąciła

go z równowagi.

Prezydent zastanowił się nad słowami Jarvisa, po czym zwrócił się do szefów sztabu:

–Panowie, czekam na propozycje.

Generał Higgins odsunął krzesło i podszedł do ekranu.

–Nasi planiści sztabowi opracowali kilka możliwości, przy wszystkich zakładając, że

na pokładzie "lowy" znajduje się ten śmiercionośny czynnik. Po pierwsze,

możemy wezwać

eskadrę odrzutowców typu F-120 Specter, by zmiotły "lowę" z powierzchni ziemi rakietami

Copperhead. Atak zostałby zsynchronizowany ze wsparciem naziemnych jednostek wojska.

–To nie jest zbyt pewne – stwierdził prezydent. – Jeżeli uderzenie nie będzie błyskawiczne i totalnie niszczące, możecie rozsiać to QD.

–Po drugie – kontynuował Higgins – na pokład "lowy" wysyłamy grupę SEAL z marynarki, by zdobyła rufową część okrętu z lądowiskiem dla helikopterów. Potem mogą wylądować oddziały marines i zająć okręt. – Higgins przerwał, czekając na komentarze.

–A jeśli luki zostały zablokowane – odezwał się Kemper – to jak marines wejdą do środka?

Na to pytanie odpowiedział Jarvis:

–Ludzie ze stoczni twierdzą, że większość uzbrojenia i nadbudówki "lowy" zastąpiono drewnianymi atrapami. Marines mogliby je wysadzić, by wejść do środka, oczywiście pod warunkiem, że podczas lądowania ludzie Fawkesa ich nie załatwią.

–Jeżeli wszystko inne zawiedzie – dodał Higgins – jedynym wyjściem będzie zakończenie roboty ładunkiem nuklearnym o małej mocy.

Prawie przez minutę panowała cisza. Wszyscy zastanawiali się nad ostatnią propozycją generała. W końcu inicjatywę przejął prezydent – wiedział, że musi to uczynić.

–Wydaje mi się, że bardziej praktyczna byłaby niewielka bomba neutronowa.

–Sama radioaktywność nie zabije QD – powiedział Jarvis.

–Ponadto – wtrącił się Kemper – wątpię, by promieniowanie przebiło się do wnętrza wieży strzelniczej. Po zamknięciu jest prawie idealnie szczelna.

Prezydent popatrzył na Higginsa.

–Zakładam, że pańscy ludzie rozważyli najgorsze możliwości.

Higgins skinął głową.

–Sprawa ma charakter odwiecznego problemu poświęcenia stosunkowo niewielkiej grupy ludzi dla uratowania bardzo wielu.

–Co pan ma na myśli, mówiąc "grupa"?

–Pięćdziesiąt do siedemdziesięciu pięciu tysięcy zabitych. Prawdopodobnie dwa razy więcej rannych. Najbardziej narażone byłyby nieduże skupiska ludzi w bezpośrednim sąsiedztwie "lowy", jak również gęsto zaludnione tereny Alexandrii. Sam Waszyngton ucierpiałby niewiele.

–Kiedy marines mogliby zacząć akcję? – zapytał prezydent.

–W tej chwili wchodzą na pokład helikopterów – odparł generał Guilford, dowódca marines. – Natomiast SEAL już płyną w dół rzeki na pokładzie łodzi patrolowej.

–Trzy grupy uderzeniowe po dziesięciu ludzi – dodał Kemper.

Obok fotela generała Higginsa cicho zabrzączał telefon. Kemper pochylił się i podniósł słuchawkę, przez chwilę słuchał, a potem ją odłożył. Spojrzał na Higginsa stojącego ciągle przy ekranie.

–Oddział łączności zainstalował kamery na południowych urwiskach niedaleko "lowy" – oznajmił. – Za kilkanaście sekund zaczną przekazywać obraz.

Zanim Kemper dokończył zdanie, obraz z satelity zniknął, a na jego miejsce pojawiła się fotografia "lowy", wypełniając ekran konstrukcją okrętu.

Prezydent bez pośpiechu nalał sobie kawy, lecz nie pił. Przyglądał się pancernikowi, głowiąc się nad decyzją, jaką musiał podjąć. W końcu westchnął i zwrócił się do generała Higginsa:

–Bierzemy SEAL i marines. Jeżeli im się nie powiedzie, wezwie pan odrzutowce Specter, a siłom naziemnym da rozkaz otwarcia ognia ze wszystkiego, co mają.

–A atak nuklearny? – spytał Higgins.

Prezydent pokręcił przecząco głową.

–Nie mogę brać na siebie ciężaru wydania rozkazu masowego mordowania moich współobywateli, i to bez względu na okoliczności.

–Do wschodu słońca mamy jeszcze pół godziny – poinformował cicho Kemper. –

Żeby wycelować działa, kapitan Fawkes potrzebuje światła dziennego. Radarowe systemy kontroli i automatycznego namiaru zostały zdemontowane przed skreśleniem okrętu z rejestru marynarki wojennej. Więc jeśli chce prowadzić precyzyjny ostrzał, w pobliżu celu musi mieć obserwatora, który przez radio będzie podawał zasięg i skuteczność.

–Możliwe, że ktoś taki siedzi na dachu wieżowca po drugiej stronie ulicy – rzucił prezydent, sięgając po kawę.

–Wcale bym się nie zdziwił – odrzekł Kemper. – Jednak przez radio długo nie pogada. Zainstalowaliśmy komputerowy system triangulacji, dzięki któremu zlokalizujemy go precyzyjnie po paru sekundach.

Prezydent westchnął.

–A zatem to byłoby na razie wszystko, panowie.

–Jeszcze jedna ewentualność, panie prezydencie, którą zostawiłem na sam koniec – powiedział Higgins.

–No, niech pan mówi.

–Chodzi o pociski zawierające QD. Jeżeli je przechwycimy, proponuję odesłać je do analizy w laboratoriach Departamentu Obrony...

–One muszą być zniszczone! – wtrącił się Jarvis. – Tak upiornej broni nie wolno zachować.

–Obawiam się, że mamy pilniejszy problem – oznajmił Timothy March.

Na dźwięk głosu Marcha wszyscy znowu spojrzeli na ekran. Kemper błyskawicznie chwycił słuchawkę i krzyknął:

–Cofnij obiektyw i skróć ogniskową!

Niewidoczne ręce uczyniły, co rozkazano. Okręt zaczął maleć, kamera pokazywała coraz większy teren. Uwagę wszystkich zebranych przyciągnęły nawigacyjne światła samolotu lecącego w górę rzeki.

–Co to ma znaczyć? – zażądał wyjaśnień prezydent.

–To helikopter – odparł gniewnie Higgins. – Jakiś cholerny ciekawski cywil postanowił obejrzeć sobie ten okręt.

Mężczyźni podnieśli się z foteli i zgromadzili przy ekranie, obserwując, jak nieproszony gość zbliża się do pancernika. Stali w napięciu, z wyrazem bezsilnego gniewu w oczach.

–Jeżeli Fawkes spanikuje i otworzy ogień, zanim nasi ludzie zajmą pozycje – powiedział bezbarwnym głosem Kemper – zginie wielu ludzi.

Pancernik tkwił na środku Potomacu z telegrafem ustawionym na pozycję "maszyny stop" i wyłączonymi silnikami. Fawkes rozejrzał się z ostrożnym optymizmem. Załoga nie przypominała żadnej, jaką kiedykolwiek dowodził. Niektórzy byli jeszcze chłopcami, wszyscy ubrani w typowe dla AAR maskujące mundury polowe. Gdyby nie skuteczność, z jaką wypełniali swoje zadania, nic by nie wskazywało na to, że stanowią południowoafrykański personel marynarki wojennej.

Funkcja głównego mechanika skończyła się w chwili zatrzymania silników i teraz Charles Shaba pełnił obowiązki dowódcy baterii.

Kiedy wszedł na mostek, Fawkes pochylał się nad małym odbiornikiem radiowym.

Shaba zasalutował energicznie.

–Przepraszam, kapitanie, ale czy moglibyśmy porozmawiać? Fawkes odwrócił się i swą ciężką dłoń położył na ramieniu Shaby.

–O czym chcesz mówić? – spytał z uśmiechem.

Zadowolony, że zastał kapitana w dobrym nastroju, Shaba stanął na baczność i wyrzucił z siebie pytanie, które zaprzętało umysły całej załogi:

–Sir, gdzie my, do diabła, jesteśmy?

–Ćwiczebny obszar Aberdeen. Znasz go, chłopcze?

–Nie, sir.

–To teren, na którym Amerykanie testują swoją broń.

–Myślałem... to znaczy, ludzie myśleli, że wypływamy w morze. Fawkes wyjrzał przez okno.

–Nie, chłopcze. Jankesi uprzejmie pozwolili nam wypróbować artylerię na swoich terenach strzeleckich.

–A jak my się stąd wydostaniemy? – zapytał Shaba. – Okręt osiadł na mieliźnie. Fawkes zmierzył go ojcowskim spojrzeniem.;

–Nie pękaj. Podczas przyływu odpłyniemy bez najmniejszych problemów. Zobaczysz.

Shabie wyraźnie ulżyło.

–Ludzie z zadowoleniem to usłyszą, kapitanie.

–Dobrze. – Fawkes poklepał go po ramieniu. – A teraz wracaj do wieży i dopilnuj ładowania pocisków.

Shaba zasalutował i wyszedł. Fawkes obserwował, jak młody Murzyn znika w ciemności korytarza i po raz pierwszy zastanowił się nad sensem tego, co miał uczynić. Z zamyślenia wyrwał go odgłos nadlatującego samolotu. Spojrzał w rozjaśniające się niebo i spostrzegł wielobarwne światła nawigacyjne helikoptera lecącego z południa w górę rzeki. Chwycił lornetkę do obserwacji nocnej i wycelował w maszynę akurat w chwili, gdy przelatywała nad okrętem. Odczytał niewyraźny napis NUMA.

Agencja Badań Morskich i Podwodnych, pomyślał. Z ich strony nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Prawdopodobnie wracają z jakiejś ekspedycji oceanograficznej. Z rosnącym poczuciem bezpieczeństwa kiwnął do swego odbicia w szybie.

Odłożył lornetkę i znowu skupił uwagę na radiu. Przyłożył słuchawki do ucha i wcisnął guzik mikrofonu.

–Czarny Angus Jeden woła Czarnego Angusa Dwa. Over.

Prawie natychmiast odezwał się niewyraźny głos, z typowo południowym akcentem:

–Hej, człowieku. Nie potrzebujemy całej tej zakodowanej paplaniny. Nawijaj spokojnie dalej.

–Wolałbym konkretną wymianę zdań – rzucił Fawkes.

–Obiecał mi pan forszę, więc pan jest szefem, szefie.

–Gotowy?

–Tak, właśnie zajmuję pozycję.

–Dobrze. – Fawkes zerknął na zegarek. – Pięć minut i dziesięć sekund do Hogmanay.

–Hog... co?

–To szkockie określenie wigilii Nowego Roku.

Fawkes wyłączył mikrofon i z zadowoleniem zauważył, że helikopter NUMA kontynuował swój spokojny lot w kierunku Waszyngtonu, aż w końcu zniknął za urwiskiem nad rzeką.

Niemal w tej samej chwili Steiger położył śmigłowiec typu Minerva M-88 w szeroki, łagodny skręt nad terenami Maryland. Leciał nisko, tuż nad czubkami bezlistnych drzew, od czasu do czasu wymijając wieże wodne. Skrzywił się, słysząc słowa w słuchawkach.

–Zaczynają się denerwować – powiedział spokojnie. – Generał Jakmutam grozi, że nas zestrzela, jeśli nie opuścimy tego terenu.

–Rozumiem – odparł Pitt. – Powiedz mu, że się zastosujemy.

–A jak mam się przedstawić? Pitt zastanowił się przez chwilę.

–Powiedz prawdę. Helikopter NUMA wypełniający zadanie specjalne. Steiger wzruszył ramionami i zaczął mówić do mikrofonu.,

–Stary generał Jakiśtam kupił to – oznajmił po chwili i odwrócił głowę do Pitta. – Przygotuj się. Sądzę, że do skoku zostało osiem minut.

Pitt odpiął pas i czekał, aż Sandecker zrobi to samo, po czym przeszedł do niewielkiej ładowni helikoptera.

–Zrób to dobrze za pierwszym razem – powiedział Steigerowi do ucha – bo inaczej na

burcie "lowy" zostawisz paskudną czerwoną plamę.

–Patrzysz na cholernie skrupulatnego faceta – odpowiedział Steiger z lekkim uśmiechem. – Musisz tylko zawisnąć, a sterowanie pozostawić staremu Abe'owi.

Jeżeli

będziesz musiał odpaść wcześniej, postaram się, żebyś miał pod tyłkiem milutką poduszkę z

głębokiej wody.

–Liczę na to.

–Zawróćimy i nadlecimy z zachodu, by ukryć się w resztkę ciemności. – Steiger nie odrywał wzroku od przedniej szyby kabiny. – Teraz wyłączam światła nawigacyjne. Powodzenia!

Pitt uściśnął Steigerowi dłoń i przeszedł do ładowni minervy. Panowało tu przenikliwe zimno. Przez otwarty właz zimowy wiatr hulał po niewielkim pomieszczeniu, sprawiającym wrażenie wibrującego aluminiowego grobowca. Sandecker podał Pittowi uprząż. Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Opanował w końcu drżenie swego potężnego ciała i odezwał się:

–Czekam na ciebie na śniadaniu.

–Przygotuj mi jajecznicę, admirale – odparł Pitt, po czym zrobił krok w lodowaty świt.

Porucznik Alan Fergus, dowódca grup bojowych SEAL, zapiął strój pletwonurka i

zaklął na myśl o kapryсах dowództwa. Niecałą godzinę wcześniej wyrwano go brutalnie z głębokiego snu i wezwano na odprawę, podczas której dowiedział się o najbardziej zwariowanym przedsięwzięciu, w jakim brał udział, odkąd siedem lat temu wstąpił do marynarki. Założył gąbkowy kaptur, naciągając go na uszy, a następnie podszedł do wysokiego, krzepkiego mężczyzny, który siedział w niedbalej pozie na nie dającym się regulować dyrektorskim krześle. Nogi miał zarzucone na barierkę mostka i uważnie patrzył na Potomac.

–O co w tym wszystkim chodzi?

Komandor porucznik Oscar Kiebel, surowy szyper łodzi ochrony wybrzeża, która wiozła Fergusa i jego ludzi, wykrzywił ze wstrętem usta i wzruszył ramionami.

–Ja też nie mam pojęcia.

–Wierzy pan w te brednie o pancerniku?

–Nie – odparł dudniącym głosem Kiebel. – Widziałem, jak niszczyciele czterotysięczniki wpływają do stoczni w Waszyngtonie, ale pancernik o wyporności

pięćdziesięciu tysięcy ton? W żaden sposób.

–Wejść na pokład i zabezpieczyć rufowe lądowisko dla helikopterów – powiedział zdenerwowany Fergus. – To jedno wielkie gówno, jeśli chce pan znać moje zdanie.

–Jestem uszczęśliwiony tą wyprawą tak samo jak pan – odpowiedział Kiebel. – No, ale biorę, co mi dają – dodał i uśmiechnął się. – Może to jakaś niespodzianka, party z gorzałą i namiętymi panienkami.

–O siódmej rano nikogo to nie bierze. W każdym razie nie na świeżym powietrzu.

–Wkrótce się dowiemy. Jeszcze dwie mile i okrążymy Sheridan Point. Potem nasz cel powinien znaleźć się w zasięgu... – Kiebel przerwał nagle i zadarł głowę do góry, nasłuchując. – Słyszysz pan?

Fergus nastawił uszu i słuchał, odwrócony tyłem do kierunku jazdy.

–Chyba helikopter.

–Nadlatuje jak nietoperz z ciemności – dodał Kiebel.

–O Boże! – wykrzyknął Fergus. – Marines się pospieszyli i wyprzedzają plan.

Chwilę później wszyscy na łodzi patrolowej zadarli głowy, kiedy helikopter, niewyraźny cień na szarym niebie, przeleciał z hukiem na wysokości sześćdziesięciu metrów. Wszyscy tak byli zaintrygowani tajemniczą maszyną, że nie zauważyli ciemnego kształtu

niewyraźny cień na szarym niebie, przeleciał z hukiem na wysokości sześćdziesięciu metrów. Wszyscy tak byli zaintrygowani tajemniczą maszyną, że nie zauważyli ciemnego kształtu

niewyraźny cień na szarym niebie, przeleciał z hukiem na wysokości sześćdziesięciu metrów. Wszyscy tak byli zaintrygowani tajemniczą maszyną, że nie zauważyli ciemnego kształtu

niewyraźny cień na szarym niebie, przeleciał z hukiem na wysokości sześćdziesięciu metrów. Wszyscy tak byli zaintrygowani tajemniczą maszyną, że nie zauważyli ciemnego kształtu

Wschodzące słońce chowało się za nisko wiszącymi chmurami i w rozproszonym

światle nie było jeszcze widać szczegółów terenu. Powietrze było ostre, kłujące polarnym zimnem, przedzierającym się przez grube ubranie Pitta. Łzy leciały mu z oczu jak woda z ciekącego kranu, policzki piekły od tysięcy lodowatych szpilek.

Odbывał przejażdżkę, jakiej nie dostarczyłoby mu żadne wesole miasteczko. Potomac jawił się jako zamazana wstęga, gdy pędził nad jego spokojnym nurtem z prędkością prawie trzystu kilometrów na godzinę. Rosnące przy brzegach drzewa migwały jak samochody na autostradzie pod Los Angeles. Spojrzał w górę i zauważył mały błydy owal na czarnym tle otwartej klapy helikoptera. Rozpoznał zaniepokojoną twarz admirała Sandeckera.

Szarpnęło go w bok, kiedy Steiger w łagodnym pochyleniu brał kolejne zakole rzeki. Długa lina, umocowana do wyciągarki, wychyliła się w przeciwną stronę, wyrzucając go daleko w bok. Siła odśrodkowa obróciła Pitta i przez chwilę patrzył na tereny Mount Vernon. Potem lina wyprostowała się i w polu widzenia zamajaczył potężny kształt pancernika, którego przednia bateria dział była złowrogo wycelowana w górę rzeki.

Steiger cofnął manetkę i zwolnił lot. Pitt poczuł, jak uprzęż wpija mu się w klatkę piersiową. Przygotował się do skoku. Nadbudówka okrętu wypełniła całą przednią szybę helikoptera, kiedy Steiger zatrzymał maszynę nad prawą burtą okrętu, z tyłu głównego mostka.

Za szybko! Za szybko! – myślał bez przerwy, obawiając się, że Pitt będzie się huśtał pod helikopterem jak wahadło. Obawy Steigera były w pełni uzasadnione. Pitt rzeczywiście dalej leciał do przodu w zupełnie niekontrolowany sposób, wysoko ponad głównym pokładem, gdzie zaplanował sobie lądowanie. Minął o włos pustą wieżyczkę pięciocalowego działa i osiągnął koniec zataczanego łuku.

Teraz albo nigdy. Zdecydował się, uderzył w samowypinającą się klamrę i wypadł z uprzęży.

Napięty do granic możliwości Sandecker próbował przebić wzrokiem poranny mrok, wstrzymując oddech. Niewyraźna postać spadła za przednią część nadbudówki i zniknęła. Po chwili zniknął również pancernik, gdy Steiger mocno pchnął maszynę do przodu i pognał nad brzegiem zarośniętym drzewami. Gdy tylko helikopter wyrównał lot, Sandecker odpiął pas bezpieczeństwa i wrócił do kabiny.

–Skoczył? – spytał z niepokojem Steiger.

–Tak, spadł.

–W całości?

–Miejmy nadzieję. – Sandecker odpowiedział tak cicho, że w huku silnika Steiger ledwie go usłyszał. – Już tylko to nam zostało: mieć nadzieję.

Fawkes nie zaprzął sobie głowy helikopterem, skoro ten poleciał dalej. W mroku nie zauważył odrywającej się od niego postaci, bo jego uwagę zwróciła szybko zbliżająca się łódź. Nie wątpił, że to komitet powitalny, uprzejmość rządu Stanów Zjednoczonych.

–Panie Shaba – powiedział do mikrofonu.

–Tak, sir? – zatrzeszczał w odpowiedzi głos Shaby.

–Niech pan dopilnuje, żeby obsługa karabinu maszynowego zajęła miejsce i przygotowała się do odparcia nacierających. – Odeprzeć nacierających! Mój

Boże, pomyślał

Fawkes, kiedy to było, gdy kapitan tak świetnego okrętu po raz ostatni wydał tego typu

rozkaz?

–Czy to są ćwiczenia, sir?

–Nie, panie Shaba, to nie są ćwiczenia. Obawiam się, że amerykańscy ekstremiści pomagający wrogom naszego kraju mogą podjąć próbę przejęcia okrętu. Niech pan rozkaże ludziom, żeby strzelali do każdego człowieka, statku czy samolotu, który zagrażałby bezpieczeństwu tego okrętu lub jego załogi. Mogą zacząć od załatwienia łodzi terrorystów, która zbliża się od zachodu.

–Tak jest, kapitanie. – W głosie Shaby pojawiło się podniecenie.

Fawkes stłumił wzrastającą chęć odesłania z "lowy" niczego nie podejrzewającej załogi. Nie chciał myśleć o tym, że zabija sześćdziesięciu ośmiu niewinnych ludzi, ludzi, których oszukano, którzy wierzą, że służą swemu krajowi, choć ten potraktował ich jak mięso armatnie.

Potrafił błyskawicznie pozbyć się wszelkich odruchów winy. Przywołał z pamięci obraz spalonej farmy i zwęglonych ciał żony i dzieci, a wówczas ostatecznie postanowił wypełnić swoje zadanie.

Znowu podniósł mikrofon.

–Bateria główna!

–Bateria główna gotowa, kapitanie.

–Ogień pojedynczy na rozkaz. – Jeszcze raz zerknął na obliczenia na leżącej obok mapie. – Zasięg dwadzieścia trzy tysiące dziewięćset metrów. Namiar celu zero-jeden-cztery stopnie.

Fawkes wpatrywał się hipnotycznie w sterczące z baterii głównej działa o długości dwudziestu metrów. Widział, jak lufy, z których każda wraz z mechanizmem naprowadzającym waży sto trzydzieści cztery tony, posłusznie unoszą swe potężne wyloty

pod kątem piętnastu stopni. Po chwili zatrzymały się w oczekiwaniu na rozkaz uwolnienia swej przerażającej siły. Fawkes zaczekał chwilę, wziął głęboki wdech i wcisnął guzik nadawania.

–Jesteś na pozycji, Angus Dwa?

–Powiedz tylko słowo, człowieku – odparł obserwator.

–Panie Shaba?

–Gotowe do odpalenia, sir.

Stało się. Podróż, która zaczęła się na farmie w Natalu, w tym momencie dobiegła końca. Fawkes wyszedł na skrzydło mostka i na prowizoryczny maszt wciągnął flagę bojową AAR. Potem wrócił do sterówki i wypowiedział rozstrzygające słowa:

–Niech pan odpala, Shaba.

Ludzie na łodzi patrolowej mieli wrażenie, że wpłynęli w ogień. Chociaż ponad dziobem "lowy" wystrzeliło tylko jedno z trzech dział głównej baterii, podmuch wywołał falę turbulencji i jęzor rozżarzonego gazu sięgnął aż do tej niewielkiej jednostki. Większość stojących zważyło z nóg. Tym, którzy w momencie strzału stali zwrócenii twarzą do pancernika, opaliło włosy, a błysk oślepił ich na kilka sekund.

Jeszcze nim rozwiął się dym, komandor porucznik Kiebel przejął ster i rzucił łódź w ciasny skręt. W tym samym momencie rozprysnęła się przednia szyba sterówki. Przez ułamek sekundy myślał, że zaatakowały ich osy. Czuł ich brzęczenie, gdy przelatywały tuż przy policzkach i włosach. Dopiero gdy jego prawa ręka została oderwana od koła sterowego, a na rękawie kurtki ujrział równy rząd czerwieniejących dziur, zrozumiał, co się dzieje.

–Niech pan zabiera ludzi za burtę! – krzyknął do Fergususa. – Te dranie do nas strzelają!

Nie musiał powtarzać. W tej samej chwili Fergus skoczył w poprzek pokładu wykrzykując rozkaz, a w kilku przypadkach osobiście wypchnął ludzi w pozornie bezpieczną rzekę. W jakiś cudowny sposób zraniony został tylko Kiebel. Stał doskonale widoczny dla strzelców z "lowy" zupełnie jak na scenie.

Kiebel podpłynął tak blisko burty pancernika, że uderzył w nią odbojami, które od razu się urwały. To było mądre posunięcie. Strzelcy nie mogli tak nisko celować, odstrzelili tylko maszt radarowy. Następnie Kiebel wyrwał się na otwartą przestrzeń. Pociski trafiały w wodę piętnaście metrów od prawej burty, co dowodziło słabych umiejętności strzeleckich zaskoczonego przeciwnika. Odległość od pancernika powiększała się. Zerknął szybko za siebie i ulżyło mu, gdy stwierdził, że ludzie Fergususa zniknęli.,

Ściągnął na siebie uwagę z dobrym skutkiem. Zadowolony, oddał ster pierwszemu oficerowi i patrzył ponuro, jak bosman otwiera apteczkę; i zaczyna odcinać nasiąknięty krwią rękaw.

–A to skurwiel – mruknął.

–Przykro mi, sir, ale będzie pan musiał zacisnąć zęby i jakoś to wytrzymać.

–Łatwo ci mówić – prychnął Kiebel. – Tylko że to nie ty wydałeś na kurtkę dwieście dolców.

Biegając ścieżką dla pieszych przez Arlington Memorial Bridge, Donald Fisk, inspektor Głównego Urzędu Celnego, wydychał ustami kłęby pary. Wracał już, okrążywszy Lincoln Memorial, o niczym nie myślał, znudzony monotonią codziennego biegania, i wtedy zatrzymał go jakiś dziwny dźwięk. Gdy stał się głośniejszy, przywiódł mu na myśl huk pędzącego pociągu towarowego. Po chwili był to już piszczący świst i nagle na środku Dwudziestej Trzeciej Ulicy pojawił się krater, nastąpił potężny huk i posypał się deszcz odłamków asfaltu i grudek ziemi.

Zdrętwiały po wybuchu, Fisk zdziwił się, że nic mu się nie stało. Pocisk przeleciał nad nim i uderzył w jezdnię pod małym kątem, co skierowało jego siłę uderzeniową daleko do przodu.

Przednia szyba furgonetki jadącej sto metrów dalej została wepchnięta do środka. Kierowca zdołał zatrzymać samochód i wytoczyć się z kabiny. Twarz miał posiekaną jak hamburger.

Oszołomiony, wyciągnął ręce przed siebie i krzyczał:

–Nic nie widzę! Pomocy! Niech mi ktoś pomoże!

Fisk przewyciężył zimny dreszcz szoku i podbiegł do okaleczonego kierowcy. Do codziennego porannego tłoku pozostała jeszcze godzina, więc ulica była pusta. Zastanawiał się, jak wezwać karetkę. Jedynym widocznym w okolicy pojazdem był wózek zmiatacza ulic, który spokojnie machał miotłą, idąc po Independence Avenue, jakby w ogóle nic się nie stało.

–Angus Dwa! – zawołał Fawkes. – Jaki skutek?

–Człowieku, aleś pan rozwalił ulicę.

–Ogranicz swoje komentarze – powiedział zirytowany Fawkes. – Twoja transmisja jest bez wątplenia podsłuchiwana.

–Rozumiem, olbrzymie. Strzał był o siedemdziesiąt pięć metrów za krótki i sto osiemdziesiąt metrów za bardzo na lewo.

–Słyszał pan, panie Shaba.

–Nastawiam, kapitanie.

–Ognia w chwili ustawienia celownika, – Tak jest, sir.

Czarni artylerzyści, zamknięci w ważącej tysiąc siedemset ton stalowej wieży, pocili się ładując, krzyczeli i przeklinali w rytm hałasów wydawanych przez windę. Pięć pokładów niżej obsada magazynu wysyłała na górę pociski i jedwabne worki z prochem.

Potężny stempel najpierw wpychał do zięjącego otworu komory pocisk ważący tysiąc trzysta pięćdziesiąt kilogramów, a następnie ładunek prochu o wadze trzystu kilogramów. Potem zamykano klapę komory, uszczelniając ją w ten sposób. Na rozkaz potężne działo wypluwało niszczący ładunek i cofało się w odrzucie na półtora metra do wnętrza wieżyczki.

Dwadzieścia kilometrów dalej Donald Fisk opatrywał rannego kierowcę furgonetki, kiedy nadleciał drugi pocisk i trafił w Lincoln Memoriał. W jednej tysięcznej sekundy pusty stożek balistyczny rozleciał się w zderzeniu z białym marmurem, a ciężki pocisk z utwardzanej stali wbił się głęboko i eksplodował.

Fiskowi wydawało się, że trzydzieści sześć doryckich kolumn rozchyła się jak płatki kwiatu, po czym zwała na starannie pielęgnowane otoczenie. Po chwili zapadł się dach i wewnętrzne ściany, wielkie bloki marmuru toczyły się po schodach jak dziecięce drewniane klocki. W niebo strzelił spiralą kłęb białego pyłu.

Gdy wśród ulic Waszyngtonu ucichł huk eksplozji, Fisk podniósł się powoli, oszołomiony i odrętwiały.

–Co się stało? – krzyknął oślepiiony kierowca furgonetki. – Na Boga, proszę mi powiedzieć, co się dzieje!

–Spokojnie – odparł Fisk. – To był następny wybuch.

Kierowca skrzywił się i z bólu zacisnął zęby. W jego twarzy utkwiło prawie trzydzieści odłamków szkła. Jedno oko przesłaniała krzepnąca krew, drugie, przecięte aż do siatkówki, stracił bezpowrotnie.

Fisk zdjął podkoszulek i wepchnął go kierowcy w rękę.

–Niech pan to skręca, drze lub gryzie, jeśli pan musi, ale proszę trzymać dłonie z dala

od twarzy. Zostawię pana na chwilę. – Zamilkł, gdy usłyszał daleki głos zbliżających się

syren. – Policja już jedzie. Karetka zjawi się tuż za nią.

Kierowca skinął i usiadł na krawężniku. Zwinął koszulkę i ścisnął tak mocno, że zbieleły mu knykcie. Fisk czuł się głupio, gdy przebiegał przez rondo z nagim torsem. Przedarł się przez zwalone bloki marmuru na schodach pomnika i podbiegł do tego, co wcześniej było wejściem od strony stawu przed promenadą.

Nagle zatrzymał się i zamarł, bezgranicznie zdziwiony.

Na środku wielkiego zwaliska gruzu, w opadającym kurzu siedziała praktycznie nietknięta postać Abrahama Lincolna. W jakiś sposób strop i ściany rozsypały się wszędzie dookoła, tylko nie na statwę wysokości sześciu metrów.

Nietknięta, nienaruszona, pełna melancholii twarz Lincolna nadal poważnie spoglądała przed siebie, w nieskończoność.

General Higgins walną słuchawką o widełki telefonu. Pierwszy raz okazał zdenerwowanie.

–Nie dorwaliśmy obserwatora – przyznał z goryczą w głosie. – Nasze anteny namierzyły go, ale zwał, nim nadjechał najbliższy patrol.

–Z pewnością posługuje się jakimś pojazdem – dodał Timothy March. – W czasach, gdy trzy czwarte samochodów ma zamontowane CB radio, znalezienie tego drania jest praktycznie niemożliwe.

–Oddziały specjalne i policyjne blokują główne skrzyżowania wokół Kapitolu - wyjaśnił Higgins. – Jeżeli uda się nam nie wpuścić obserwatora na najważniejszy teren, nie będzie mógł podawać namiarów i informacji o skuteczności obstrzału. Wówczas Fawkes będzie zmuszony strzelać na oślep.

Prezydent nie odrywał wzroku od ekranu, przyglądając się ze smutkiem przekazywanemu z satelity obrazowi zdemolowanego pomnika Lincolna.

–Chytrze to zaplanowali – mruknął. – Dla większości Amerykanów garstka zabitych oznaczałaby ledwie wzmiankę w prasie. Ale zniszczyć monument narodowy znaczy dotknąć do żywego dosłownie każdego obywatela. Możecie być pewni, panowie, że jeszcze przed wieczorem wielu Amerykanów będzie dawało upust swojemu gniewowi.

–Jeżeli następna będzie głowica QD... – zaczął Jarvis i przerwał.

–To mi przypomina grę w rosyjską ruletkę – stwierdził March. – Dwa pociski odpalone. To oznacza prawdopodobieństwo dwa do trzydziestu sześciu.

Higgins popatrzył na admirała Kempera.

–Jak pan ocenia szybkość strzelania z "lowy"?

–Dwa pierwsze oddano w odstępie czterech minut i dziesięciu sekund. O połowę wolniej w porównaniu ze sprawnością w czasach ostatniej wojny, lecz zupełnie nieźle, gdy wziąć pod uwagę, że sprzęt nie był używany od czterdziestu lat, a załoga nie jest wystarczająco liczna.

–Dziwi mnie – powiedział March – że Fawkes używa tylko środkowego działła baterii. Wygląda na to, że dwóch pozostałych nawet nie próbuje uruchomić.

–Działa zgodnie z planem – odparł Kemper. – Oszczędza siły, strzelając pojedynczo, ale w ten sposób powiększa również efekt. Za drugim razem miał szczęście i trafił w cel. Następnym razem, gdy podadzą mu zasięg, z całą pewnością odkorkuje wszystkie trzy lufy.

Zadzwoił telefon stojący przed Higginsem. General podniósł słuchawkę i słuchał przez chwilę z ponurym wyrazem twarzy.

–Trzeci jest już w drodze.

Obiektyw kamery ustawiono tak, że pokazywał teren w promieniu trzech kilometrów od Białego Domu. Wszyscy obecni przebiegali miasto wzrokiem, truchlejąc ze strachu, że tym razem wystrzelona zostanie głowica QD, i próbując domyślić się, jaki cel obrano. Po chwili nastąpiła potężna eksplozja, która zmieniła w pył piętnaście metrów chodnika i dwa drzewa po północnej stronie Constitution Avenue.

–Chce trafić w budynek National Archives – z goryczą w głosie stwierdził prezydent. –

Fawkes próbuje zniszczyć Deklarację Niepodległości i Konstytucję.

–Nalegam, panie prezydencie, aby natychmiast wydał pan rozkaz uderzenia nuklearnego. – Zazwyczaj lekko zaczerwieniona twarz Higginsa nagle poszarzała. Prezydent robił wrażenie przygnębionego. Skulił ramiona, jakby mu było zimno.

–Nie – zdecydował ostatecznie.

Higgins opuścił ręce i opadł ciężko na krzesło. Kemper pukał ołówkiem w blat stołu, w milczeniu zastanawiając się nad czymś innym.

–Jest inne rozwiązanie – odezwał się wolno. – Zestrzelimy wieżę numer dwa.

–Jak to zestrzelimy? – spytał sceptycznie Higgins.

–Niektóre odrzutowce F-120 Specter są wyposażone w rakiety penetrujące Szatan – wyjaśnił Kemper. – Zgadza się, generale Sayre?

Dowódca lotnictwa generał Miles Sayre przytaknął.

–Každy samolot jest uzbrojony w cztery rakiety, które potrafią przebić trzy metry betonu.

–Już rozumiem – odrzekł Higgins. – A celność? Wystarczy spuszczać, a uwolni się QD.

–To się da zrobić – wyjaśniał dalej Sayre, człowiek zazwyczaj mało mówny. – Zaraz po odpaleniu rakiet piloci przekazują sterowanie oddziałom naziemnym. Pańscy ludzie, generale Higgins, są dość blisko "lowy", by naprowadzić Szatana na cel z dokładnością do pół metra.

Higgins chwycił słuchawkę i popatrzył na prezydenta.

–Jeżeli Fawkes utrzyma tempo strzelania, to mamy niecałe dwie minuty.

–Niech pan zaczyna – odparł bez wahania prezydent.

Kiedy Higgins wydawał instrukcje oddziałom rozrzuconym wokół "lowy", Kemper przejrzał plany konstrukcyjne okrętu.

–Wieża jest zbudowana ze stalowych płyt o grubości od siedemnastu do czterdziestu

centymetrów – powiedział. – Może jej nie zniszczymy, ale na pewno ogłuszymy obsługę działa.

–A czy możemy ostrzec SEAL o naszych zamiarach? – spytał prezydent. Kemper spojrzał ponuro.

–Zasadniczo tak, ale nie nawiązaliśmy kontaktu, odkąd skoczyli do wody.

Fergus nie mógł użyć radia, bo pocisk z karabinu maszynowego wystrzelony z pokładu "lowy" wytrącił mu je z ręki. Kula odcięła mu środkowy palec lewej dłoni, przebiła nadajnik i prawą dłoń. Zapasowy nadajnik też stracili. Miał go na pasku dowódca grupy, tylko że został trafiony w pierś i teraz unosił się martwy gdzieś na rzece.

Podczas ataku na pancernik Fergus stracił sześciu spośród trzydziestu swoich ludzi. Dostali się na rufę po linach wystrzelonych z kusz. Gdy ludzie z oddziału SEAL weszli na pokład, przywitał ich grad kul. Pojedynczo i w małych grupkach zaczęli

odpowiadać ogniem.

Feigus został odcięty od swojego oddziału i przygwożdżony na rufie w miejscu, gdzie kiedyś stał żuraw lotniczy. Złość na niepowodzenie przyćmiewała ból w poranionych rękach. Czas uciekał. Rozkaz mówił, że mają zabezpieczyć lądowisko, zanim Afrykanie otworzą ogień. Wykrzyczał przekleństwo, kiedy trzeci wystrzał huknął ponad kanałem.

W oddali nad urwiskiem widział wiszące w powietrzu helikoptery marines, tylko czekające na jego sygnał. Ostrożnie wystawił głowę zza podstawy dźwigu i spojrzał do przodu. Obsada karabinów maszynowych, ukrytych na głównym mostku za stalowymi osłonami, zignorowała go i skoncentrowała się na jego ludziach, którzy parli do przodu bez niego.

Z pistoletem maszynowym w dłoni Fergus poderwał się na nogi i popędził przez pokład, osłaniając się długą serią. Nie zdążył dobiec pod tylną część wieży, gdy ludzie Fawkesa znów go zauważyli. Pocisk przebił mu łydkę lewej nogi.

Pokuśtykał kilka kroków, upadł, przetoczył się pod wielką atrapę wieży. Tym razem wydawało mu się, że w nowej ranie każde zakończenie nerwu jest przypalane ogniem. Leżał przysłuchując się strzelaninie i walcząc z bólem. Wtedy od strony wschodzącego słońca nadleciały z rykiem dwa samoloty Specter i zrzuciły swój niszczący ładunek.

Gdyby nie tępy ból, jaki ogarnął każdy skrawek jego ciała, Pitt mógłby przysiąc, że nie żyje. Niemal z żalem oprzytomniał i z wysiłkiem otworzył oczy. Zbadał rękami ciało: poza mnóstwem zadrapań, chyba najgorsze było to, że najwyraźniej pękło mu kilka żeber.

Obmacał głowę i odetchnął z ulgą, gdy nie znalazł na dłoniach śladów krwi. Zdumiały go natomiast tkwiące w prawym ramieniu odpryski drewna.

Usiadł, a potem zmienił pozycję i stanął na czworakach. Wszystkie mięśnie reagowały jak należy. Dobrze i to. Wziął głęboki wdech i stanął niepewnie na nogach. Był tak zachwycony tym osiągnięciem, jakby wdrapał się na szczyt Everestu. Kilka metrów dalej przez poszarpaną dziurę sączyło się światło dzienne, więc powłókł się w tym kierunku.

Zaczął z wolna analizować, dlaczego nie rozgniół się na miazgę w chwili zderzenia z nadbudówką okrętu. Płyty sklejk grubości pół centymetra, zamontowane w miejscu oryginalnych stalowych, wyhamowały jego pęd. Jak pocisk przebił się przez pierwszą warstwę i zdrowo rąbnął o drugą, po czym opadł na korytarz obok kwatery starszych oficerów. Tyle wyjaśnił sobie na temat tajemniczych drzazg.

Huk i wibrację rozpoznał jak przez mgłę. Szesnastocalowe działa, pomyślał. Ale jak często strzelały? Z zewnątrz słychać było strzelaninę. Kto walczył, i z kim? Odepchnął te myśli, gdy tylko przyszły mu do głowy – nic go to nie obchodziło. Miał do rozwiązania własne problemy.

Przeszedł korytarzem jakieś sześć metrów, zatrzymał się, z jednej kieszeni wyciągnął latarkę, a z drugiej złożony plan pokładów pancernika. Określenie miejsca, w którym się znalazł, zajęło mu prawie dwie pełne minuty. Labirynt, wyrysowany na planie, przypominał przekrój położonego na boku drapacza chmur.

Znalazł drogę do przedniego magazynu amunicji i ruszył bezgłośnie korytarzem. Ledwo przeszedł parę kroków, gdy potężne eksplozje zakołysały okrętem. Nagromadzony przez lata kurz poderwał się wielkimi kłębami. Pitt wyciągnął ręce dla zachowania równowagi, potknął się i złapał ramy drzwi, które szczęściem otworzyły się od podmuchu. Stał tak, dusząc się kurzem, podczas gdy drżenie zanikało.

W pierwszej chwili nie zauważył czegoś, po czym prześlizgnął się spojrzeniem, ale absurdalność tego widoku przykuła jego uwagę. Skierował światło latarki na brązowy but -drogi, brązowy but ręcznej roboty – tkwiący na nodze Murzyna ubranego w elegancki garnitur z kamizelką. Ręce tego człowieka były przywiązane linami do biegnących w górze rur.

Hiram Lusana nie rozróżniał rysów człowieka stojącego w drzwiach jego więzienia: dobrze zbudowany, ale nie tak potężny jak Fawkes. Mógł stwierdzić tylko tył, gdyż oślepiało go światło latarki.

–Widzę, że w konkursie na najpopularniejszego faceta na tym okręcie przegrał pan z

kretesem – odezwał się nieznajomy głosem raczej przyjaznym niż wrogim.

Ciemna postać podeszła bliżej i Lusana poczuł, że jego więzy się rozluźniają.

–Dokąd mnie pan zabiera?

–Donikąd. Ale jeśli pragnie pan dożyć starości, proponuję, by zabierał się pan z tego okrętu, zanim cały wyleci w powietrze.

–Kim pan jest?

–To właściwie nie ma znaczenia, ale nazywam się Dirk Pitt.

–Czy jest pan członkiem załogi kapitana Fawkesa?

–Nie, jestem wolnym strzelcem.

–Nie rozumiem.

Pitt odwiązał lewą rękę Lusany i, nie odpowiadając, wziął się za uwalnianie prawej.

–Pan jest Amerykaninem – powiedział Lusana, zmieszany bardziej niż kiedykolwiek. – Czy przejęliście okręt z rąk południowoafrykańskiej obsady?

–Pracujemy nad tym – odparł Pitt, żałując, że nie wziął ze sobą noża.

–Więc pan nie wie, kim ja jestem?

–A powinienem?

–Nazywam się Hiram Lusana. Jestem przywódcą Afrykańskiej Armii Rewolucyjnej.

Pitt rozsupłał ostatni węzeł i cofnął się o krok, świecąc Lusanie w twarz.

–Tak, teraz to widzę. Jaki pan ma w tym wszystkim udział? Sądziłem, że jest to pokaz zorganizowany przez Afrykę Południową.

–Zostałem porwany przed wejściem na pokład samolotu lecącego do Afryki. – Lusana delikatnie odsunął latarkę w bok i wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl. – Wiecie o operacji "Dzika róża"?

–Dopiero od ostatniej nocy. Chociaż mój rząd zdawał sobie z tego sprawę już od wielu miesięcy.

–Niemożliwe – powiedział Lusana.

–Jak pan uważa. – Pitt odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi. – Jak już powiedziałem, niech pan lepiej wyskoczy z tego okrętu, zanim to wszystko wymknie nam się z rąk.

Lusana zawahał się, lecz tylko na moment.

–Proszę zaczekać!

Pitt odwrócił się.

–Przykro mi, ale mam za mało czasu. Niech mnie pan wysłucha. – Lusana podszedł bliżej. – Jeżeli pański rząd i mass media dowiedzą się o mojej obecności tutaj, z całą pewnością miną się z prawdą i mnie obarczą odpowiedzialnością.

–Więc co?

–Proszę pozwolić mi udowodnić, że nie mam związku z tą paskudną sprawą. Co

mógłbym dla pana zrobić?

W oczach Lusany Pitt wyczytał szczerość. Wyciągnął zza paska starego colta kalibru 45 i podał go Murzynowi.

–Niech pan to weźmie i osłania mi tyłek. Do trzymania latarki i odczytywania planu potrzebuję obu rąk.

Zaskoczony Lusana przyjął broń.

–Pan mi to powierza?

–Jasne – odrzekł natychmiast Pitt. – Co by pan zyskał, strzelając w plecy zupełnie obcemu człowiekowi?

Przynaglił Lusane gestem i ruszył szybko korytarzem w kierunku dzioba okrętu.

Wieża numer dwa przetrwała atak rakiet typu Szatan. Stalowe pokrywy powyginały się w kilku miejscach, ale nie zostały przebite. Lewe zewnętrzne działo zostało uszkodzone u podstawy.

Oszołomiony Fawkes przypatrywał się temu wszystkiemu przez resztki szyb w oknach sterówki. Trudno to wyjaśnić, ale nie był ranny. Stał za jedną z niewielu oryginalnych stalowych przegród, kiedy rakiety precyzyjnie trafiły w wieżę. Chwycił mikrofon.

–Shaba, mówi kapitan. Słyszysz mnie? Jediną odpowiedzią były trzaski.

–Shaba! – krzyknął. – Odezwij się, człowieku! Podaj straty. Głośnik zatrzeszczał i ożył.

–Kapitanie Fawkes? Ten głos był nieznajomy.

–Tak, tu kapitan. Gdzie jest Shaba?

–Na dole, w magazynie, sir. Winda się zepsuła, więc poszedł ją naprawić.

–A kto mówi?

–Obasi, kapitanie. Daniel Obasi. – To nie był głos dorosłego człowieka.

–Czy Shaba przekazał ci dowodzenie?

–Tak jest, sir – odparł dumnie Obasi.

–Ile masz lat, synu? Fawkes usłyszał ostry kaszel.

–Przepraszam, kapitanie. Dym jest naprawdę okropny. – Znowu kasłanie. – Siedemnaście.

Wielki Boże, pomyślał Fawkes. De Vaal miał mu dać ludzi doświadczonych, a nie chłopców, których twarzy nawet jeszcze nie widział. Dowodził załogą zupełnie mu nie znaną. Siedemnaście lat. Załedwie siedemnastolatek! Na tę myśl zrobiło mu się niedobrze. Czy warto było? Boże, czy jego prywatna zemsta warta była tak wielkiej ceny?

Jednak determinacja wzięła górę i zapytał:

–Jesteś w stanie kierować baterią?

–Tak myślę. Wszystkie trzy działa są załadowane. Ale ludzie nie wyglądają najlepiej. To chyba wstrząs. Większość z nich krwawi z uszu.

–Gdzie teraz jesteś, Obasi?

–W kabinie dowódcy wieży, sir. Tu jest okropnie gorąco. Nie wiem, czy ludzie długo wytrzymają. Niektórzy są ciągle nieprzytomni. Paru może być zabitych. Trudno powiedzieć. Myślę, że ci, którzy krwawią z ust, już nie żyją.

Z niezdecydowaniem malującym się na twarzy Fawkes mocno ścisnął mikrofon w dłoni. Kiedy okręt płynął, a on wiedział, że tak musi być, chciał stać na mostku jako ostatni kapitan pancernika, który miał zginąć na posterunku. Cisza w radiofonie była ciężka od udręki. Wystarczyła odrobina prawdy, by Fawkes zrozumiał okrutny wymiar swoich poczynań.

–Schodzę na dół.

–Zewnętrzny luk jest zaklinowany, sir. Trzeba wchodzić z dołu, z magazynu.

–Dziękuję, Obasi. Zaczekaj na mnie.

Fawkes zdjął starą czapkę, którą nosił w czasach służby w Królewskiej Marynarce, i otarł pot z czoła. Przez potłuczone okna spojrzął na rzekę. Unosząca się wzdłuż brzozy zimna mgła przypominała mu szkockie jeziora w taki sam zimowy poranek. Szkocja: minęły chyba tysiące lat, odkąd ostatni raz widział Aberdeen.

Załóżł czapkę i znów odezwał się do mikrofonu:

–Angus Dwa, odezwij się.

–Jestem, wielki Angus Jeden.

–Zasięg?

–Osiemdziesiąt metrów za krótko, ale na właściwym kierunku. Wyrównaj tylko kąt, człowieku, a trafisz w cel.

–Twoje zadanie jest skończone, Angus Dwa. Uważaj na siebie.

–Za późno. Zdaje się, że te gogusie w mundurach khaki zaraz mnie zgarną. Żegnaj, człowieku. To było trudne spotkanie.

Fawkes wpatrywał się w odbiornik, chcąc wypowiedzieć słowa uznania dla człowieka, którego nigdy osobiście nie poznał. Chciał mu podziękować za ryzykowanie życia, nawet jeśli robił to za pieniądze. Kimkolwiek był Angus Dwa, minie dużo czasu, zanim będzie mógł wydać pieniądze zdeponowane na koncie zagranicznego banku przez południowoafrykańskie Ministerstwo Obrony.

–Zamiatacz ulic! – prychnął Higgins. – Obserwator Fawkesa jeździł tym cholernym wózkiem na śmieci. Policja miejska już się nim zajęła.

–To wyjaśnia, dlaczego poruszał się po ulicach, nie wzbudzając niczyich podejrzeń -dodał March.

Prezydent sprawiał wrażenie, jakby nie słuchał. Skupił uwagę na pancerniku. Wyraźnie widział małe postacie w kombinezonach płetwonurków, które przeskakiwały z miejsca na miejsce, zatrzymując się dla wystrzelenia serii, a potem ruszały dalej, by zbliżyć się do gniazda karabinu maszynowego, który ciągle zmniejszał ich liczebność. Prezydent naliczył na pokładzie dziesięć nieruchomych postaci SEAL.

–Czy nic nie możemy zrobić, by pomóc tym ludziom?

Higgins wzruszył bezradnie ramionami.

–Gdybyśmy otworzyli ogień z brzegu, zabilibyśmy ich więcej, niż uratowali.

Obawiam się, że w tej chwili niewiele możemy począć.

–Może by wysłać grupę uderzeniową marines?

–Po wylądowaniu na pokładzie "lowy" te helikoptery będą beznadziejnie łatwym celem. A w każdym leci pięćdziesięciu ludzi. To byłoby masowe morderstwo. Niczego

byśmy nie osiągnęli.

–Zgadza się z generałem – powiedział Kemper. – Uderzenie raketowe dało nam chwilę wytchnienia. Wieża numer dwa chyba została unieszkodliwiona. Dajmy ludziom z SEAL trochę więcej czasu na oczyszczenie pokładu z terrorystów.

Prezydent wyprostował się i przyglądał otaczającym go ludziom.

–A więc czekamy. Czy właśnie to chcieliście mi powiedzieć? Będziemy czekać i obserwować na kolorowym ekranie, jak na naszych oczach giną ludzie?

–Tak jest, sir – odparł Higgins. – Czekamy.

Sprawdzając po drodze na planie, Pitt bezbłędnie prowadził Lusana ciemnymi korytarzami, mijał ociekające wilgocią pomieszczenia, aż w końcu zatrzymał się przy kolejnych drzwiach. Wtedy zgniótł plan w kulkę i wyrzucił. Lusana stanął posłusznie i czekał na wyjaśnienie.

–Gdzie jesteśmy? – spytał.

–Przy składzie amunicji – odparł Pitt.

Oparł się o drzwi, które zaskrzypiały opornie i uchyliły się w trzech czwartych. Zajrzał do słabo oświetlonego pomieszczenia i nadstawił uszu. Obaj słyszeli pokrzykiwania ludzi wśród huku ciężkiej maszynerii, dzwonienia łańcuchów i szumu silników elektrycznych. Odgłosy dobiegały chyba z góry. Pitt przekroczył ostrożnie próg.

Długie pociski przebijające stały wokół windy, ustawione równo na podstawach, a ich ścięte czubki połyskiwały złowrogo w świetle dwóch żółtych żarówek. Pitt prześlizgnął się obok nich i popatrzył w górę.

Na wyższym pokładzie dwaj Murzyni pochylali się w drzwiach, walili młotami i klęli na platformę windy. Eksplozje, które mocno zakołysały okrętem, zablokowały mechanizm. Pitt wycofał się i uważnie przyjrzał pociskom. Naliczył ich w sumie trzydzieści jeden i tylko jeden miał zaokrągloną głowicę.

Drugiej głowicy zawierającej QD nie było.

Wyjął zza pasa komplet narzędzi, a latarkę podał Lusanie.

–Co pan zamierza zrobić?

–Rozbroić głowicę.

–Skoro ma mnie rozerwać na kawałki – powiedział Lusana – to czy mogę wiedzieć dlaczego?

–Nie! – rzucił ostro Pitt.

Schylił się i gestem poprosił o światło. Ostrożnie objął dłońmi stożek pocisku jak włamywacz wyczuwający palcami pokrętko szyfrowego zamka. Znalazł śruby i zaczął je delikatnie wykręcać śrubokrętem. Gwint zardzewiał i stawiał opór przy każdym obrocie. Czas, pomyślał zdesperowany Pitt. Potrzebował czasu, zanim załoga Fawkesa naprawi windę i wróci do magazynu.

Nagle, całkiem niespodziewanie, ostatnia śruba urwała się i czubek pocisku został Pittowi w rękach. Bardzo czule, jakby to było śpiące dziecko, Pitt odłożył go na bok i zajrzał do wnętrza głowicy.

Następnie zaczął odłączać ładunek wybuchowy, którego celem było rozerwanie głowicy i uwolnienie malutkich bomb zawierających substancję QD. Nie było w tym nic trudnego ani szczególnie niebezpiecznego. Świadomy faktu, że przy zbyt dużej koncentracji ręce zaczynają drżeć, Pitt pogwizdywał cicho, zadowolony, że Lusana nie zadaje żadnych pytań.

Przeciął przewody prowadzące do wysokościomierza radarowego i wyjął detonator. Znieruchomiał na chwilę, po czym wyciągnął z kieszeni nieduży woreczek na pieniądze. Lusana zdziwił się trochę, widząc na brudnym płótnie napis: WHEATON SECURITY BANK.

–Nigdy nikomu się nie przyznałem – wyznał Lusana – ale kiedyś obrabowałem pancerną furgonetkę.

–No to powinien pan się czuć jak w domu – odparł Pitt.

Wyjmował bombki z główicy i delikatnie wkładał do woreczka.

–Piekielnie zmyślny sposób na przemyt – stwierdził Lusana, uśmiechając się lekko. – Heroina czy diamenty?

–Sam chciałbym to wiedzieć – powiedział Patrick Fawkes, gdy wetknął głowę przez drzwi.

W pierwszym odruchu Lusana chciał Fawkesa zastrzelić. Odwrócił się błyskawicznie i wyciągnął colta, pewny, że nie może nie trafić w tak potężny cel, ale i absolutnie przekonany, że kapitan ma ułamek sekundy przewagi na oddanie pierwszego strzału. Ledwo zdążył się zatrzymać. Fawkes nic nie miał w dłoniach, nie był uzbrojony.

Opuszczając powoli broń, Lusana spojrzął na Pitta, by przekonać się, jak on przyjął tę sytuację. Na ile mógł zobaczyć, Pitt wcale nie zareagował. Dalej napełniał worek, jakby nikt w ogóle im nie przeszkadzał.

–Czy mam zaszczyt rozmawiać z Patrickiem McKenzie Fawkesem? – spytał w końcu Pitt, nie podnosząc wzroku.

–Zgadza się, jestem Fawkes. – Kapitan zbliżył się z wyrazem zainteresowania na twarzy. – Co tu się dzieje?

–Proszę mi wybaczyć, że nie wstaję – odpowiedział zwyczajnie Pitt – ale właśnie rozbrajam głowicę z trującym gazem.

Chyba dopiero po pięciu sekundach Lusana i Fawkes zrozumieli krótkie wyjaśnienie Pitta. Spojrzeli po sobie, a potem znowu na Pitta.

–Pan jest stuknięty! – warknął Fawkes. Pitt uniósł jedną malutką bombę.

–Czy to wygląda na zwykły ładunek wybuchowy?

–Nie – przyznał Fawkes.

–Czy to rodzaj gazu paraliżującego? – zapytał Lusana.

–Gorzej – odparł Pitt. – Pewna substancja, plaga o straszliwej sile. Dostawca uzbrojenia przez omyłkę wysłał wam dwie głowice z tą śmiertcionośną substancją...

Zapanowała cisza, pełna zdumienia i niedowierzania. Fawkes przykucnął, obejrzał pocisk i trzymane przez Pitta bombki. Lusana pochylił się nad nimi i też patrzył, nie bardzo wiedząc na co.

Sceptycyzm zniknął wolno z twarzy Fawkesa.

–Wierzę panu – powiedział. – Widziałem dość pocisków gazowych, by rozpoznać.

– Spojrzął pytająco na Pitta. – Czy zechciałby mi pan powiedzieć, kim pan jest i jak się tutaj dostał?

–Gdy tylko znajdziemy i rozbroimy drugą głowicę – odparł oschle Pitt – Macie tu jeszcze jeden magazyn?

Fawkes pokręcił głową.

–Z wyjątkiem pocisków, które odpaliliśmy, a z pewnością były to pociski przebijające, to jest wszystko...- Przerwał, gdy coś sobie uświadomił.– Wieża!

Wszystkie

działa są załadowane i zamknięte. Ta droga głowica musi być w jednej z trzech luf.

–Ty głupcze! – krzyknął Lusana. – Ty głupi morderco! W oczach Fawkesa widać było rozpacz.

–Jeszcze nie jest za późno. Bez mojego rozkazu nikt nie ośmieli się wystrzelić.

–Kapitanie, pan i ja znajdziemy i rozbroimy drugą głowicę – rozkazał Pitt. – A pan,

panie Lusana, może zechciałby wyrzucić to za burzę – dodał, wręczając Lusanie woreczek wypełniony bombami zawierającymi QD.

–Ja? – sapnął Lusana. – Nie mam zielonego pojęcia, jak się z tej pływającej trumny wydostać. Będę potrzebował przewodnika.

–Niech pan po prostu idzie w górę – powiedział pewnie Pitt. – W końcu wyjdzie pan na światło dzienne. Potem niech pan rzuci ten worek w najgłębsze miejsce rzeki.

Lusana chciał już wyjść, kiedy Fawkes położył swą wielką dłoń na jego ramieniu.

–Nasze porachunki załatwimy później.

Lusana popatrzył spokojnie na kapitana.

–Z przyjemnością – odpowiedział przywódca Afrykańskiej Armii Rewolucyjnej, po czym zniknął w ciemności jak cień.

Na wysokości sześciuset metrów Steiger zmienił lekko nachylenie. Minerva opadła nad Jefferson Memoriał i poleciała nad Udal Basin wzdłuż Independence Avenuc.

–Ale tu tłok – rzucił, wskazując na chmarę wojskowych helikopterów nad Kapitołem,

unoszących się jak rój rozwścieczonych pszczoł.

Sandecker skinął i powiedział:

–Lepiej niech pan zachowa dystans. Oni najchętniej najpierw strzelają, a dopiero potem zadają pytania.

–Ile czasu minęło od ostatniego wystrzału z "lowy"?

–Prawie osiemnaście minut

–A więc może to już koniec.

–Nie wylądujemy, dopóki się nie przekonamy – odparł Sandecker. – Jak stoimy z paliwem?

–Mamy dość, by przebywać w powietrzu prawie przez cztery godziny.

Sandecker zmienił trochę pozycję, by ulżyć zdrętwiałym pośladkom.

–Proszę trzymać się tak blisko National Archives, jak tylko się pan odważy. Kiedy pancernik znowu się odezwie, mogę się założyć, że właśnie tam będzie celował.

–Ciekaw jestem, jak poszło Pittowi.

Sandecker przybrał spokojny wyraz twarzy.

–On wie, o co się toczy ta gra. Jest naszym najmniejszym problemem. – Odwrócił się i wyrztał przez boczne okienko, żeby Steiger nie zauważył zmartwienia, jakie widniało na jego twarzy.

–To ja powinienem tam pójść – stwierdził Steiger. – To jest przedsięwzięcie czysto militarne. Cywil nie ma żadnego interesu, by ryzykować życie podejmując się zadania, do którego nie został przygotowany.

–A pan, jak podejrzewani, został przygotowany.

–Musi pan przyznać, że moje listy uwierzytelniające dają mi nad Pittem przewagę. Sandecker uśmiechnął się.

–Idziemy o zakład?

Steiger pochwycił zmianę tonu w głosie admirała.

–Co pan ma na myśli?

–Przegrał pan, pułkowniku. Całkiem zwyczajnie.

–Jak to?

–Pitt jest majorem lotnictwa.

Steiger popatrzył z ukosa na Sandeckera.

–Chce pan powiedzieć, że on potrafi latać?

–Chyba każdym samolotem, helikopterem też.

–Ale on twierdził...

–Wiem, co twierdził. Steiger czuł się oszukany.

–A pan siedział obok i nic nie mówił.

–Pan ma żonę i dzieci. Ja jestem za stary. Logiczny wybór musiał więc paść na Dirka. Napięcie w ciele Steigera zniknęło. Zapadł się głęboko w fotelu.

–Niech mu się lepiej uda – mruknął cicho. – Boże, niech mu się powiedzie.

Pitt z radością oddałby ostatniego centa ze swego konta, by znaleźć się gdziekolwiek indziej, a nie na ciemnych schodach we wnętrzu okrętu, który w każdej chwili mógł się zamienić w istne piekło. Czoło miał wilgotne i zimne od potu, zupełnie jak w gorączce.

Nagle Fawkes zatrzymał się i Pitt wpadł na niego jak ślepiec na drzewo.

–Panowie, zostańcie, proszę, tam, gdzie jesteście, – Głos dobiegał z ciemnej platformy kilka stopni wyżej. – Wy mnie nie widzicie, natomiast ja was wystarczająco dobrze, by trafić każdego prosto w serce.

–Jestem kapitanem! – rzucił gniewnie Fawkes.

–Aha, kapitan Fawkes osobiście. Dobrze się składa. Już zacząłem się obawiać, że zgubiłem ślad. Nie było pana na mostku, tak jak podejrzewałem.

–Przedstawić się! – zażądał Fawkes.

–Nazywam się Emma. Niezbyt męskie imię, przyznaję, ale dobrze służy swojemu celowi.

–Proszę skończyć z tymi wyglupami i przepuścić nas. – Fawkes wszedł dwa stopnie wyżej i wtedy odezwał się hocker-rodine. Kula świsnęła tuż obok szyi kapitana. Znieruchomiał w pół kroku. – Wielki Boże! Człowieku, czego ty chcesz?

–Podziwiam rozsądne podejście do rzeczy, kapitanie – odparł Emma, po czym dodał: -Otrzymałem rozkaz zabicia pana.

Powoli, czego nie zauważył Fawkes i, miał nadzieję, również mężczyzna na platformie, Pitt położył się na brzuchu, osłonięty potężnym ciałem kapitana. Po chwili zaczął wolniutko jak wąż wślizgiwać się po schodach w górę.

–Powiedział pan: rozkaz – rzucił Fawkes. – Od kogo?

–Nie ma znaczenia, kto jest moim zleceniodawcą.

–To, niech cię diabli, po cholerę cała ta gadanina? Dlaczego nie strzelisz i nie załatwisz sprawy od ręki?

–Nigdy nie działałam bez celu, kapitanie Fawkes. Oszukano pana i uważam, że powinien się pan o tym dowiedzieć.

–Oszukano?! – ryknął Fawkes. – Te słowa niczego nie wyjaśniają.

W umyśle Emmy rozległ się dzwonek alarmowy, pobudzony latami doświadczenia w zabawie w kotka i myszkę. Stał nieruchomo, nie odpowiadając na pytanie kapitana.

Nasłuchiwał jakiegoś dźwięku, wypatrywał najmniejszego ruchu.

–A co z człowiekiem stojącym za mną? – spytał Fawkes. – On nie maczał w tym ręk. Nie ma potrzeby zabijać niewinnego świadka.

–Spokojnie, kapitanie – odparł Emma. – Zapłacono mi wyłącznie za jedno życie. Pańskie życie.

Pitt wysunął wolno głowę, tak że jego oczy znalazły się na poziomie platformy. Teraz już widział Emmę. Niedokładnie, bo światła było za mało, ale rozróżnił bladą plamę twarzy i zarys postaci. Nie czekał na więcej. Domyślał się, że Emma wygarnie Fawkesowi porcję

łowi w połowie zdania, uśpiwszy jego czujność zwykłą z pozoru rozmową. To stara, ale i skuteczna sztuczka. Wsparł się palcami stóp o schody, wziął głęboki wdech i skoczył. Chciał trafić Emmę w nogi i chwycić za jego broń.

Tłumik błysnął Pittowi w twarz i ostry ból dźgnął go z prawej strony głowy, gdy złapał Emmę za rękę. Nagły szok, mgła, a potem utrata przytomności. Zaczął spadać i spadać. Wydawało mu się, że to trwa wiecznie, w końcu jednak bezdenne pustka pochłonęła go zupełnie.

Pobudzony skokiem Pitta Fawkes ruszył schodami jak rozwścieczony nosorożec i rzucił swój wielki ciężar na obu mężczyzn. Pitt stracił przytomność i upadł na bok. Emma walczył, chciał wycelować broń, lecz Fawkes wytrącił mu ją, jakby to była zabawka w ręku dziecka. Wtedy Emma chwycił Fawkesa za krocze i brutalnie ścisnął mu przyrodzenie.

To było błędne posunięcie. Kapitan ryknął potężnie, obiema wielkimi pięściami zamachnął się znad głowy i uderzył w uniesioną do góry twarz Emmy. Złamał mu nos i rozdarł skórę. Zdziwiałe było jednak to, że Emma nie rozluźnił uścisku.

Chociaż Fawkes odczuwał w kroczu piekielny ból, był na tyle przytomny, że nie próbował odtrącić ściskających go jak w imadle rąk. Spokojnie, celowo, jak człowiek, który dokładnie wie, co chce zrobić, chwycił głowę Emmy i zaczął nią walić o metalową platformę z całą siłą swych muskularnych ramion. Po chwili uścisk zelżał, lecz Fawkes ogarnięty wściekłością dalej walił głową Emmy, aż czaszka zamieniła się w miąsgę. Kiedy wreszcie wściekłość nieco osłabła, przewrócił się i, klnąc, delikatnie masował krocze.

Po minucie, może dwóch, podniósł się sztywno, chwycił za kołnierz obu nieprzytomnych mężczyzn i ściągnął po schodach. Jeszcze krótki korytarz, parę metrów, i doszedł do luku ładowni w górnej części prawej burty. Uchylił wrota na tyle, by wpuścić trochę światła i obejrzeć rany Pitta.

Kula drasnęła lewą skroń, w najgorszym razie, jak myślał, rozcinając skórę i ogłuszając go. Następnie przyjrzał się Emmie. Te fragmenty skóry, które widać było spod krzepnącej krwi, robiły się sine. Fawkes przeszukał kieszenie i znalazł tylko zapasowy magazynek do hockera-rodine'a. Na grubym wełnianym swetrze Emma miał samoczynnie pompującą się kamizelkę ratunkową.

–Nie umiesz pływać, co? – powiedział uśmiechając się. – Nie sądzę, żebyś jeszcze kiedykolwiek tego potrzebował.

Zdjął kamizelkę z Emmy i założył Pittowi. Sięgając do własnej kieszeni, wyjął niewielki notes i ogryzkiem ołówka coś w nim napisał. Następnie wyciągnął woreczek na tytoń zrobiony ze skóry węgorza, wyrzucił zawartość, włożył do środka notes i wetknął Pittowi głęboko pod koszulę. Wyszarpnął przewód z butli z dwutlenkiem węgla, a wtedy rozległ się syk wypełniającej się kamizelki.

Wróciwszy do Emmy, chwycił zwłoki za sweter i pociągnął do otwartego luku. Pod ciężarem sweter zsunął się przez głowę i wówczas coś zwróciło uwagę Fawkesa, jakiś

nylonowy pas wokół klatki piersiowej Emmy. Fawkes rozpiął jak w transie niewielką zapinkę i nylon zsunął się, odsłaniając dwie małe piersi. Przez chwilę stał sparaliżowany.

–Święta Matko Boża! – mrukną przerażony.

Emma rzeczywiście była kobietą.

Dale Jarvis wskazał ekran.

–O tam, pod drugą wieżą, z boku kadłuba.

–Co to może być? – spytał prezydent.

–Ktoś otworzył przedni luk ładunkowy – odparł Kemper i zwrócił się do generała Higginsa: – Lepiej niech pan postawi swoich ludzi w stan gotowości, na wypadek gdyby załoga okrętu próbowała uciekać.

–Nie przejdą dalej niż trzy metry za linię brzegu – odparł Higgins.

Luk otworzył się na oścież. Jakiś wielki mężczyzna zbliżył się na próg i zrzucił chyba ludzkie ciało. Postać uderzyła z pluskiem o wodę i zniknęła. Po chwili olbrzym pojawił się z drugim ciałem. Jednak tym razem opuścił je na linie do leniwie płynącej rzeki. Zrobił to prawie czule, tak przynajmniej wydawało się ludziom obserwującym tę scenę. Nieruchoma postać dotknęła wody i odpłynęła z prądem. Mężczyzna wyrzucił linę i z powrotem zatrzasnął luk.

Kemper gestem przywołał adiutanta.

–Skontaktuj się z ochroną wybrzeża i każ im wyłowić tego człowieka unoszącego się na wodzie.

–O co chodziło w całym tym przedstawieniu? – Pytanie prezydenta oddawało myśli wszystkich siedzących przy stole.

–Rzecz w tym – odparł cicho Kemper – że, cholera, możemy się o tym nigdy nie dowiedzieć.

Hiramowi Lusanie wydawało się, że minęło okropnie dużo czasu, wreszcie jednak znalazł wyjście na główny pokład. Wyszedł niepewnie na zewnątrz, przemarznięty w swoim garniturze, obiema rękami ściskając worek z bombami. Światło dnia oślepiło go, więc zatrzymał się, by dożyć do siebie.

Stał poniżej stanowiska dowodzenia ogniem, przed wieżą numer trzy. Wokoło świszczały pociski z broni maszynowej, lecz umysł Hirma był zakodowany na pozbycie się pojemników z Szybką Śmiercią. Rzeka czekała, więc ruszył biegiem w stronę burty. Miał

przed sobą jeszcze sześć metrów, gdy z cienia za wieżą podniósł się mężczyzna w stroju pływaka i wycelował w niego z pistoletu maszynowego.

Porucznik Alan Fergus nie czuł już palącego bólu w łydce, nie zżymał się na widok ginących członków swojej grupy. Całe jego ciało drżało z nienawiści do człowieka odpowiedzialnego za to wszystko. Nie miało znaczenia, że osobnik, na którego patrzył, był w garniturze, a nie w mundurze wojskowym, i że chyba nie miał broni. Fergus widział wyłącznie człowieka, który według niego mordował jego przyjaciół.

Lusana zatrzymał się raptownie i spojrzał na Fergusza. Nigdy wcześniej w oczach drugiego człowieka nie widział takiej zjadłości. Nie zamienili ani słowa, lecz i tak się zrozumieli. Wydawało się, że czas stanął, a wszystkie odgłosy odpłynęły gdzieś w tło.

Hiram Lusana wiedział, że jego walka o wydostanie się z bagna dzieciństwa dobiegła końca tu i teraz. Uświadomił sobie, że nie mógłby przewodzić ludziom, którzy nigdy by go w pełni nie zaakceptowali jako jednego ze swoich. Dla ludzi gnębionych w Afryce o wiele więcej mógł uczynić, ginąc dla ich sprawy.

Przyjął nieuniknioną śmierć. Rzucił Fergusowi milczący uśmiech przebaczenia, po czym skoczył do burty.

Fergus pociągnął za spust i wygarnął serię. Gwałtowne uderzenie trzech

pocisków rzuciło Lusana do przodu w dziwnym tańcu, który wyciskał mu z płuc powietrze. W jakiś cudowny sposób nie upadł i, zataczając się jak pijany, brnął do przodu.

Fergus wypalił jeszcze raz. Lusana opadł na kolana, nadal próbując dotrzeć do burty. Fergus patrzył z podziwem pełnym zdumienia, zastanawiał się, co powodowało, że ten niestosownie ubrany Murzyn nie reaguje na co najmniej dwanaście kul tkwiących w jego ciele.

Ze wzrokiem przyćmionym od szoku, ale i z desperacją znaną wyłącznie ludziom, którzy nigdy nie rezygnują, Lusana czołgał się po pokładzie z workiem przyciśniętym do brzucha, zostawiając za sobą coraz szerszy ślad krwi.

Burta znajdowała się w odległości zaledwie metra. Starał się zbliżyć do niej, mimo że czerń z wolna przesłaniała mu oczy, a krew lała się z ust. Zbierając ostatek wewnętrznej siły, której źródło stanowiła krańcowa desperacja, rzucił worek. Ten zawisł na chwilę na poręczy, wydawało się, że zamarł w czasie, po czym zakołysał się i spadł do wody. Hiram Lusana uderzył głową o pokład, przekroczył wrota zapomnienia.

We wnętrzu wieży śmierdziało potem, krwią, prochem i rozgrzanym olejem. Większość obsady nadal była w szoku: oczy zamglone, nie rozumiejące, pełne oszołomienia i

strachu. Reszta leżała wśród maszynery w nienaturalnych pozach, krew spływała im z uszu i ust. Kostnica, pomyślał Fawkes, istna kostnica. Boże, nie jestem lepszy niż rzeźnik, który zabił moją rodzinę.

Popatrzył w kanał środkowej windy. Charles Shaba walił młotem w platformę, która zaklinowała się trzy metry poniżej poziomu wieży. Drzwi zabezpieczające przed skutkami jakiegoś wypadku przy strzale i chroniące magazyn były otwarte. Fawkes pomyślał, że zagląda w jaskinię bez dna. Po chwili wydało mu się, że czarna dziura zaczyna się ruszać, i nagle zrozumiał, na czym polega problem. Powietrze było zbyt gęste, by oddychać. Ci, którzy przeżyli szok wywołany uderzeniem raketowym, padali z braku tlenu.

–Otwórzcie zewnętrzny luk! – ryknął. – Niech tu wpadnie trochę świeżego powietrza!

–Jest zablokowany, kapitanie – sapnął jakiś głos po drugiej stronie wieży. – Zupełnie zaklinowany.

–A wentylatory?! Dlaczego nie działają?

–Spalone obwody – odparł ktoś inny, kaszląc. – Powietrze dolatuje wyłącznie przez windy z magazynu.

Krztusząc się we mgle i mroku, Fawkes ledwie rozróżnił postać leżącego człowieka, który mu odpowiedział.

–Znajdź mi coś, czym mógłbym wyważyć luk. Trzeba tu zrobić trochę przeciągu.

Przeszedł między ciałami i ponad wielkim zamkiem działa do luku na główny pokład.

Patrząc na drzwi z utwardzanej stali o grubości siedemnastu centymetrów, mógł dobrze ocenić, do czego się przymierza. Dobre było to, że zamki zostały oberwane, a

u góry znajdowała się szpara, w miejscu, gdzie luk został wgięty wybuchem do środka. Ktoś poklepał go po ramieniu. Fawkes odwrócił się. To był Shaba.

–Usłyszałem pana tam na dole, kapitanie, i pomyślałem, że to może się panu przydać.

–Podał Fawkesowi ciężki stalowy łom.

Fawkes nie tracił słów na podziękowania. Wbił łom w szparę i pociągnął. Twarz poczerwieniała mu z wysiłku, potężne ramiona rozdygotały się, lecz luk nie ustąpił.

To nie zaskoczyło Fawkesa. Znał takie stare szkockie przysłowie, że człowiekowi nic się nie udaje za pierwszym razem. Zamknął oczy i zrobił kilka wdechów, wentylując płuca. Skupił się, by zmobilizować siły potężnego ciała. Shaba przyglądał się, zafascynowany. Nigdy nie widział takiego pokazu doskonałej koncentracji. Fawkes znowu wepchnął łom w szparę, zaczekał jeszcze kilka sekund, w końcu zaczął ciągnąć. Shaba miał wrażenie, że kapitan zamienił się w kamień. Nic nie wskazywało na wysiłek, nie było widać napięcia

mięśni. Z czoła Fawkesa zaczął kapać pot, ścięgnięta na szyi naprężyły się i drżały, wszystkie mięśnie stwardniały z wysiłku. A potem, nie do wiary, luk zaskrzypiał, gdy stal potarła o stal.

Shaba nie mógł uwierzyć, że może istnieć tak brutalna siła. Tylko że nie znał pewnego sekretu, który pozwolił Fawkesowi przekroczyć jego normalne możliwości. Pomiędzy lukiem i obudowy wieży prześwit z wolna się poszerzał, nagle pognieciona stal odskoczyła od złamanych zawiasów i opadła na pokład z hukiem, który rozszedł się głośnym, metalicznym echem.

Prawie natychmiast smród i dym zostały wypchnięte na zewnątrz, a z dołu napłynęło chłodne, wilgotne powietrze. Fawkes odsunął się na bok i rzucił łom przez luk. Ubranie miał mokre od potu, ciało mu drżało, gdy łapał oddech, a serce powoli wracało do normalnego rytmu.

–Proszę opróżnić komory i zabezpieczyć działa – rozkazał.

Shaba zbladł.

–Nie mamy ciśnienia potrzebnego do uruchomienia hydraulicznego popychacza. Nie można go odwrócić, by usunąć pociski.

–Niech go diabli wezmą! – prychnął Fawkes. – Zróbcie to ręcznie.

Shaba nie odpowiedział. Nie miał na to czasu. W otwartym luku pojawiła się lufa pistoletu maszynowego i wewnątrz wieży rozległ się echem huk serii. Pociski przeleciały obok Fawkesa, Shaba nie miał tyle szczęścia. Prawie jednocześnie cztery kule trafiły go w szyję. Opadł na kolana, niczego nie rozumiejącym wzrokiem spoglądając na Fawkesa. Chciał wypowiedzieć jakieś słowa, lecz z ust wydobył się tylko strumień krwi i spłynął na pierś.

Fawkes stał bezradnie i przyglądał się, jak Shaba umiera. Potem wezbrała w nim wściekłość, więc obrócił się i chwycił za lufę pistoletu. Gorący metal przypalił mu skórę na dłoniach, ale kapitan nie odczuwał już bólu. Szarpnął mocno. Stojący na zewnątrz członek grupy SEAL, z uporem trzymający swą broń w rękach, został wciągnięty do środka z palcem wskazującym ciągle na spuście.

Człowiek, który wie, że wkrótce na pewno zginie, nie odczuwa strachu. Fawkes

nie miał tej pewności. Twarz zbieiała mu z przerażenia, że zginie, zanim tkwiąca w jednym z dział głowica zawierająca QD zostanie rozbrojona.

–Ty głupcze! – warknął, gdy żołnierz kopnął go w brzuch. – Działa... w komorach...

plaga...

Napastnik odwrócił się gwałtownie i wolną ręką trafił Fawkesa w szczękę. Zmagając się, by utrzymać wylot lufy z dala od swego ciała, Fawkes nie mógł zrobić nic innego, jak tylko przyjąć cios. Opadał z sił, więc poleciał do tyłu i prawie wypadł przez luk. Ostatnim

wielkim wysiłkiem spróbował wyrwać pistolet z rąk żołnierza. Niestety skóra oderwała mu się od dłoni i stracił uchwyt. Komandos odskoczył w bok i wycelował w brzuch Fawkesa.

Daniel Obasi, chłopak siedzący w kabinie dowódcy baterii, w pełnym oszołomienia zdumieniu patrzył, jak palec żołnierza zaciska się na spuście. Chciał krzyknąć, by odwrócić uwagę człowieka w czarnym stroju pletwonurka, lecz w gardle miał sucho i z jego ust wydobył się ledwie szept. W przypiływie desperacji, w nadziei, że to jedyny sposób na uratowanie kapitana, Obasi wcisnął czerwony guzik z napisem "fire".

Tego procesu nie można już było w żaden sposób odwrócić, nie można było powstrzymać wystrzału. Ładunki prochu eksplodowały i zagrzmiały dwa działa, środkowe i prawe. Jednak w lewej lufie pocisk zaklinował się w miejscu uszkodzonym raketą Szatan, zamykając ujście gazom. Nowe działo może by wytrzymało tak wielkie ciśnienie, ale stara, przerdzewiała komora nie wytrzymała i rozleciała się na kawałki. W ułamku sekundy wulkaniczna erupcja sprężonego ognia buchnęła z wieży, runęła kanałami wind i zapaliła zmagazynowane na dole zapasowe worki z prochem.

Pancernik "Iowa" eksplodował.

Patrick Fawkes, w chwili gdy wylatywał przez luk na zewnątrz, zrozumiał bezcelowość i głupotę swoich działań. W geście rozpaczony chciał błagać swoją ukochaną Myrnę o przebaczenie, lecz w tej samej chwili uderzył o pokład, rozgniatając się na miazgę.

Pocisk przebijający z prawej lufy osiągnął najwyższy punkt, po czym runął w dół na wapienne mury budynku National Archives. Zrządzeniem losu trafił obok dwudziestu jeden rzędów książek i dokumentów, przebił się przez granitową posadzkę sali wystawowej w odległości niecałych trzech metrów od szklanej gabloty z Deklaracją Niepodległości, po czym utkwiał wbity do połowy w betonową podłogę podziemia.

Pocisk numer dwa okazał się niewypałem.

Ale nie numer trzy.

Ożywiony malutkim generatorem wysokościomierz radarowy wewnątrz głowicy QD zaczął wysyłać sygnały w kierunku ziemi i rejestrować odległość do jej powierzchni. Głowica opadała coraz niżej, wreszcie na wysokości pięciuset metrów impuls elektryczny wyrzucił spadochron. Na błękitnym niebie pojawiła się jaskrawopomarańczowa jedwabna czasza. Zadziwiające było to, że ponad trzydziestoletni materiał wytrzymał szarpnięcie i nie popękał na szwach.

Głęboko pod ulicami Waszyngtonu prezydent i jego doradcy siedzieli nieruchomo w swoich fotelach, wpatrując się w opadającą wolno głowicę. Zupełnie jak pasażerowie "Titanica", którzy nie chcieli uwierzyć, że wielki liniowiec oceaniczny tonie, siedzieli jak w transie, niezdolni objąć umysłem znaczenia odgrywających się na ich oczach wydarzeń. Mieli jeszcze nadzieję, że mechanizm głowicy zawiedzie, że całość opadnie na trawnik, nie wyrządzając szkód.

Jednak po chwili przerażenie i rozpacz zaczęły ścisnąć im gardła.

Z północy powiał lekki wiatr i pchnął spadochron w kierunku budynków Smithsonian Institution. Żołnierze blokujący ulice wokół Lincoln Memoriał i National Archives oraz tłumy pracowników rządowych, zatrzymanych w porannych korkach, wszyscy patrzyli zdumieni. Las podniesionych rąk wskazywał w niebo.

Wokół stołu konferencyjnego panowała pełna napięcia cisza, coraz większy niepokój, rosnący aż nie do zniesienia. Jarvis nie mógł na to dłużej patrzeć i ukrył twarz w dłoniach.

–Koniec – powiedział ochryplym głosem. – Jesteśmy skończeni.

–I nic już nie można zrobić? – spytał prezydent, wpatrując się w zawieszony w powietrzu obiekt.

Higgins wzruszył ramionami, pokonany.

–Strzelanie do tego potwora byłoby równoznaczne z rozsianiem zarazy. A poza tym,

obawiam się, że naprawdę nie możemy już nic zrobić.

Na twarzy prezydenta pojawił się wyraz przerażającej świadomości, że oto dotarli do końca drogi. Niemożliwe nie powinno się zdarzyć, nie mogło być zaakceptowane, ale jednak się stało. Śmierć milionów ludzi znajdowała się w odległości kilkuset metrów i kilkadziesiąt sekund.

Wszyscy tak intensywnie wpatrywali się w tę scenę, że nie zauważyli, iż w oddali powiększa się jakiś punkt. Pierwszy spostrzegł go admirał Kemper, który nigdy niczego nie przeoczył. Wstał z fotela i patrzył, jakby jego wzrok był promieniem laserowym. Pozostali też się w końcu zorientowali, gdy punkcik urósł i stał się helikopterm nadlatującym prosto w kierunku głowicy.

–Co to, na Boga... – mruknął Higgins.

–Wygląda podobnie jak ten zwariowany drań, który dorwał się do "lowy" – oznajmił Kemper.

–Ale tym razem rozniesiemy mu tyłek na strzępy – stwierdził Higgins, sięgając po słuchawkę telefonu.

Promienie jeszcze nisko stojącego słońca odbiły się od kabiny, wywołując chwilowy błysk na przedniej szybie. Maszyna robiła się coraz większa i wkrótce na jej boku można było odczytać duże czarne litery.

–NUMA – powiedział Kemper. – To jeden z helikopterów Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

Jarvis odsunął dłonie od twarzy. Podniósł wzrok, budząc się nagle z odrętwienia.

–Powiedział pan NUMA?

–Niech się pan sam przekona – odparł Kemper, wskazując palcem.

Jarvis przyjrzał się maszynie, po czym jak obłąkany przewrócił krzesło i rzucił się w poprzek stołu, wytrącając słuchawkę z ręki Higginsa.

–Nie! – krzyknął Higgins oniemiał.

–Niech pan to zostawi! – rzucił Jarvis. – Ten pilot wie, co robi.

Jarvis był pewny tylko jednego: z dramatem rozgrywającym się nad stolicą związany jest Dirk Pitt. Helikopter NUMA i Pitt. Te dwa elementy należało połączyć. W umyśle Jarvisa błysnęła iskierka nadziei, gdy obserwował, jak śmigłowiec zbliża się do głowicy.

Minerva natarła na pomarańczowy spadochron jak byk na muletę matadora. Zapowiadał się trudny pojedynek. Steiger i Sandecker błędnie ocenili trajektorię głowicy i czekali w powietrzu w pobliżu budynku National Archives, kiedy ujrzeli, jak prawie pół kilometra dalej otwiera się pomarańczowa czasza. Stracili cenny czas. Steiger gwałtownie pchnął maszynę do przodu, do desperackiego uderzenia, kilka godzin wcześniej wymyślonego przez Pitta.

–Minęło dwanaście sekund – ogłosił beznamiętnie admirał Sandecker, stojąc w

drzwiach kabiny.

Osiemnaście do detonacji, pomyślał Steiger.

–Wciągarka przygotowana – zameldował Sandecker. Steiger pokręcił głową.

–Zbyt ryzykowne. Mamy tylko jedno podejście. Muszę po prostu najechać na czaszę.

–Powygina pan łopaty wirnika.

–Innej możliwości nie mamy – odparł Steiger.

Admirał Sandecker się nie sprzeczał. Wskoczył na fotel drugiego pilota i zapiął pasy.

Głowica była tuż przed nimi. Steiger zwrócił uwagę, że pomalowano ją na regulaminowy granatowy kolor. Pchnął manetki dwóch silników turbo i jednocześnie ściągnął drążek. Ruch został wyhamowany tak gwałtownie, że obaj mężczyźni skrzywili się, gdy rzuciło nimi do przodu.

–Sześć sekund – powiedział Sandecker.

Cień wielkiego spadochronu padał na maszynę. Steiger pochylił helikopter na prawo i dzięki temu gwałtownemu manewrowi wąski przód kabiny wbił się między linki. Pomarańczowy jedwab opadł na szybę, przesłaniając słońce. Trzy linki owinęły się wokół kolumny wirnika, po czym stary materiał puścił i porwał się. Reszta linek zaczepiła się na

kabinie i mocnym szarpnięciem zatrzymała minervę w miejscu, gdy przejęli cały ciężar potężnej głowicy.

–Dwie sekundy – sapnął Sandecker przez zaciśnięte zęby.

Ciężar głowicy ściągał helikopter w dół. Steiger ustawił maszynę w normalnej pozycji, szarpnął manetki do oporu i przyciągnął drążek, robiąc to wszystko w serii błyskawicznych ruchów.

Podwójny motor wysiłał się pod obciążeniem. Sandecker przestał liczyć. Czas już minął. Igła wysokościomierza drżała przy kresce oznaczającej trzysta metrów. Sandecker wychylił się przez otwarte okienko i spojrzał poza powiewający jedwab na głowicę, oczekując, że ujrzy eksplozję.

Łopaty wirnika młóciły powietrze, wywołując łupnięcia, które było słyhać daleko ponad morzem zafascynowanych, zwróconych w niebo twarzy. Spadochron, głowica i helikopter wisiały nieruchomo w powietrzu. Sandecker znowu popatrzył na wysokościomierz. Igła ani drgnęła. Czoło zaczęło mu błyszczeć od potu.

Minęło dziesięć sekund, które Sandeckerowi wydawały się latami. Steiger, zajęty swoim zadaniem, walczył z przyrzędami. Admirał mógł tylko siedzieć i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów poczuł, że jest absolutnie bezużyteczny.

–W górę, niech to diabli, w górę! – błagalnym tonem Steiger przemawiał do helikoptera.

Sandecker wpatrywał się w wysokościomierz jak zahipnotyzowany. Wydało mu się, że igła drgnęła minimalnie powyżej kreski trzysta metrów. Czy to tylko pobożne życzenie, czy przyrząd rzeczywiście zarejestrował zwiększenie wysokości? Po chwili wolno, ledwo dostrzegalnie igła się przesunęła.

–Nabieramy wysokości – powiedział drżącym głosem.

Steiger nie odpowiedział.

Tempo wznoszenia zaczęło się zwiększać. Sandecker milczał do czasu, kiedy się upewnił, że wzrok go nie myli. Igła powoli mijala kolejną kreskę skali.

Trudno opisać ulgę, jaka zapanowała wśród mężczyzn zgromadzonych w bunkrze. Gdyby spytać ich o zdanie, to stwierdziliby jednomyślnie, że nigdy w życiu nie widzieli równie pięknego obrazka. Nawet oziębły generał Higgins uśmiechał się szeroko jak nigdy dotąd. Dusząca chmura zagłady nagle się rozwiła i mężczyźni zaczęli wiwatować, gdy minerva z trudem wynosiła śmiercionośny ładunek na bezpieczną wysokość.

Prezydent opadł na fotel i oddał się przyjemności zapalenia cygara. Przez dym skinął na Jarvisa.

–Można by pomyśleć, Dale, że jesteś jasnowidzem.

–Dobrze skalkulowane trafienie, sir – odparł Jarvis. Admirał Kemper podniósł słuchawkę swego telefonu.

–Połączcie mnie z tym helikopterem NUMA! – rozkazał.

–Jeszcze nie przetrwaliśmy burzy – powiedział Higgins. – Ci ludzie nie mogą unosić się w powietrzu bez końca.

–Mamy kontakt głosowy – z głośnika obok ekranu dobiegła lapidarna wiadomość. Kemper zaczął mówić do mikrofonu, nie odrywając wzroku od ekranu i wysiłającej się minervy.

–Mówi admirał Joseph Kemper ze sztabu głównego. Proszę podać tożsamość. Głos, który odpowiedział, był tak spokojny i wyraźny, jakby dobiegał z sąsiedniego pomieszczenia.

–Tu Jim Sandecker, Joe. O co ci chodzi? Prezydent wyprostował się.

–Dyrektor NUMA? Kemper skinął.

–Doskonale wiesz, do cholery, o co mi chodzi! – warknął do słuchawki.

–Aha, tak, o głowicę zawierającą QD. Zakładam, że zdajesz sobie sprawę z jej potencjału.

–Zgadza się.

–I chcesz wiedzieć, co zamierzam z nią zrobić. – I taka myśl wpadła mi do głowy.

–Gdy tylko wejdziemy na pułap tysiąca pięciuset metrów – oznajmił Sandecker – pilot, pułkownik Abe Steiger, i ja zamierzamy polecieć prościutko w kierunku morza i rzucić to

gówno jak najdalej od brzegu, oczywiście na ile pozwoli nam zapas paliwa.

–A według ciebie jak daleko? – spytał Kemper.

Nastąpiła krótka przerwa, gdy Sandecker rozmawiał ze Steigerem.

–W przybliżeniu dziewięćset kilometrów na wschód od wybrzeża Delaware.

–Czy głowica dobrze się zahaczyła?

–Chyba tak. Byłoby lepiej, gdybyśmy nie musieli polegać na przyrządach, ale mogli podziwiać scenerię.

–Że jak?

–Czasza przesłania nam cały widok. Możemy patrzeć tylko prosto w dół.

–Czy możemy wam w czymś pomóc? – zapytał Kemper.

–Tak – odparł Sandecker. – Powiadom wszystkie samoloty wojskowe i rejsowe, żeby trzymały się z daleka od naszej trasy.

–Uważaj to za załatwione. Zorganizuję statek ratowniczy, żeby czekał na was w okolicy, w której wpadniecie do wody.

–Nic z tych rzeczy, Joe. Pułkownik Steiger i ja doceniamy ten gest, ale oznaczałby on niepotrzebne marnowanie ludzkiego życia. Rozumiesz, prawda?

Kemper pokręcił głową.

–Smutna prawda wygląda tak, że admirał Sandecker i pułkownik Steiger chcą popełnić samobójstwo. Kiedy zabraknie im paliwa i zaczną tracić wysokość, głowica obniży się razem z nimi. A kiedy zejda na trzysta metrów, z głowicy zostanie uwolniona substancja QD. Reszty nie trzeba tłumaczyć.

–Ale chyba mogliby odciąć czaszę i oddalić się na bezpieczną odległość nalegał Jarvis.

–Rozumiem admirała Kempera – powiedział Higgins. – Odpowiedź znajdziemy na ekranie. Ten spadochron jest żalobnym całunem helikoptera. Linki owinęły się wokół kolumny wirnika i zwisają akurat po przeciwnej stronie niż luk ładunkowy. Nawet gdyby maszyna unosiła się w miejscu, nikt nie zdołałby przejść po jej opływowej kabynie, żeby poprzecinać je nożem.

–A czy nie mogliby opuścić helikoptera, zanim spadnie? – zapytał Jarvis.

Generał Sayre pokręcił głową.

–W przeciwieństwie do zwykłych samolotów, helikoptery nie mają automatycznego pilota. Latają wyłącznie na ręcznym sterowaniu. Gdyby załoga wyskoczyła, maszyna zwałiłaby się im na głowę.

–To samo dotyczy przechwycenia załogi w powietrzu – dodał Kemper. – Moglibyśmy złapać jednego, ale na pewno nie obu.

–A zatem nic nie możemy zrobić? – spytał niepewnie Jarvis.

Przez kilka chwil prezydent wpatrywał się smutno w polerowany blat stołu. W końcu powiedział:

–Módlmy się, żeby udało im się tylko przenieść to świństwo poza linię brzegu.

–A jak im się uda?

–Wówczas będziemy siedzieć i przyglądać się bezradnie, jak giną odważni ludzie.

Lodowata woda brutalnie przywróciła Pittowi przytomność. Przez minutę mrużył oczy w jasnym świetle dnia i zmęczonym umysłem próbował zrozumieć, co się z nim dzieje, dlaczego unosi się na powierzchni zimnej, brudnej rzeki. Potem wrócił ból, czuł się tak, jakby ktoś wbijał mu w głowę gwóźdź.

Poczuł w wodzie drgania, usłyszał stłumiony warkot i wkrótce zza wschodzącego słońca wynurzyła się łódź ochrony wybrzeża i zbliżyła do niego. Przez burtę wyskoczyło dwóch ludzi w strojach płetwonurka i przymocowało go do linki windy. Na sygnał został delikatnie wciągnięty na pokład.

–Na pływanie to jest chyba jeszcze trochę za wcześnie – odezwał się olbrzymi mężczyzna z ręką na temblaku. – A może ćwicz pan do zawodów pływackich na kanale La

Manche?

Pitt rozejrzał się i na mostku łodzi zobaczył potłuczone szkło i postrzępione drewno.

–A wy skąd przyplłynęliście? Z samego środka bitwy o Midway?

Niedźwiedziowaty mężczyzna uśmiechnął się i odpowiedział:

–Wracaliśmy już do portu, kiedy otrzymaliśmy rozkaz zawrócenia i wyciągnięcia pana z wody. Nazywam się Kiebel, Oscar Kiebel, dowódca tego, co kiedyś było najczystsza

łodzią na Inland Waterway.

–Dirk Pitt. Jestem pracownikiem NUMA. Oczy Kiebela zwężyły się.

–A jak pan się znalazł na pokładzie tego pancernika? Pitt spojrzał na poniszczony takielunek.

–Coś mi się wydaje, że jestem wam winien nową antenę.

–To był pan?

–Przepraszam, że uciekłem z miejsca wypadku, ale nie było czasu na spisywanie protokołu.

Kiebel podszedł do drzwi.

–Niech pan lepiej wejdzie do środka i obandażuje sobie głowę. Wygląda na to, że przytrafiło się panu przykre draśnięcie.

Właśnie wtedy Pitt spostrzegł wielki słup dymu za zakrętem Potomacu.

–"Iowa" – powiedział. – Co z pancernikiem?

–Eksplodował, rozleciał się na kawałki.

Pitt oparł się ciężko o reling.

Kiebel delikatnie objął Pitta zdrową ręką, kiedy jeden z ludzi przyniósł koc.

–Niech się pan nie przejmuj i położy. W porcie będzie na nas czekał lekarz.

–Nieważne – odparł Pitt. – To nie ma już najmniejszego znaczenia. Kiebel poprowadził go do sterówki i nalał filiżankę gorącej kawy.

–Przykro mi, że nie ma na pokładzie ani odrobiny alkoholu. Wie pan, przepisy i takie

rzeczy. A poza tym i tak jest za wcześnie na jednego głębszego. – Odwrócił się i przez otwarte

drzwi spytał oficera łącznościowego: – Co z tym helikopterem?

–Znajduje się nad zatoką Chesapeake, sir. Pitt podniósł wzrok.

–Jaki to helikopter?

–Jak to, jeden z waszych – odparł Kiebel. – Coś niesamowitego! Głowica z ostatniej salwy "Iowy" zaczęła opadać na spadochronie, a ten rąbnięty pilot przechwycił ją w locie.

–Dzięki Bogu! – odetchnął Pitt, gdy wszystko wreszcie zrozumiał. – Radio! Muszę skorzystać z waszego radia.

Kiebel zawahał się, ale w oczach Pitta zobaczył ponaglenie.

–Pozwalanie cywilom na korzystanie z wojskowych środków łączności raczej nie jest

koszerne...

Pitt podniósł rękę i przerwał Kibelowi. Zaczęło mu wracać czucie w

przemarzniętych ciele i poczuł, że na brzuchu pod koszulą coś go uwiera. Zbladł, kiedy wyjął niewielką paczuszkę i otwierał ją.

–A skąd, do cholery, to się wzięło?

Steiger z niepokojem spoglądał na wskaźnik temperatury, gdy igła zaczęła się zbliżać do czerwonej kreski. Do wybrzeża Atlantyku mieli jeszcze dziewięćdziesiąt kilometrów, a zmniejszenie ciągu turbin było czymś, czego życzyłby sobie najmniej.

Na odbiorniku radiowym zapaliła się lampka przywołania i admirał wcisnął guzik z napisem "nadawanie".

–Mówi Sandecker. Słucham.

–Czekam na jajecznicę – zatrzeszczał w słuchawkach głos Pitta.

–Dirk! – bąknął Sandecker. – Nic ci nie jest?

–Jestem trochę pokiereszowany, ale jeszcze żyję.

–A druga głowica? – spytał niespokojnie Steiger.

–Rozbrojona – odparł Pitt.

–A substancja QD?

W głosie Pitta nie było cienia wątpliwości.

–Spuszczona do rynsztoka.

Pitt mógł tylko wierzyć, że Hiram Lusana wrzucił bomby do rzeki, ale nie miał zamiaru sugerować Steigerowi i admirałowi, że ich wysiłki mogą okazać się daremne.

Sandecker streścił Pittowi przechwycenie spadochronu i wyjaśnił, że sytuacja nie wygląda najweselej. Pitt słuchał nie przerywając. Kiedy admirał skończył, Pitt zadał tylko jedno pytanie:

–Jak długo utrzymacie się w powietrzu?

–Paliwa starczy nam na dwie, może dwie i pół godziny – odparł Steiger. – Ale moim najważniejszym problemem są w tej chwili silniki. Pracują na pełnych obrotach i zaczynają się grzać.

–Wygląda na to, że czasza spadochronu częściowo zakryła wloty powietrza.

–Czekam na błyskotliwe pomysły. Masz jakieś?

–Przypadkiem tak – odpowiedział Pitt. – Miej uszy otwarte. Zgłoszę się za dwie godziny. Tymczasem wyrzucicie z maszyny wszystko, co możecie. Fotele, narzędzia,

wszystko, każdy kawałek helikoptera, który zmniejszy wagę. Zróbcie wszystko, co można,

ale trzymajcie się w powietrzu, dopóki się znów nie odezwę. Koniec.

Pitt wyłączył mikrofon i zwrócił się do komandora porucznika Kiebela:

–Muszę jak najszybciej dostać się na brzeg.

–Zawiniemy do portu za osiem minut.

–Będę potrzebował transportu – powiedział Pitt.

–Tylko że ja ciągle nie wiem, gdzie pan pasuje do całego tego bałaganu stwierdził Kiebel. – Jedno wiem na pewno: powinienem wsadzić pana do aresztu.

–Nie ma czasu na zabawę w detektywów – rzucił Pitt. – Chryste! Czy ja wszystko sam muszę robić? – Pochylił się nad operatorem radia. – Połącz mnie z kwaterą NUMA, a potem ze Stransky Instrument Company. Właśnie w tej kolejności.

–Czy pan sobie zbyt nie pozwala w rozporządzaniu moimi ludźmi i sprzętem?

Pitt nie wątpił ani przez chwilę, że gdyby Kiebel miał dwie zdrowe ręce, powaliłby go na pokład.

–Co mam zrobić, żeby zechciał mi pan pomóc?

Kiebel rzucił na Pitta mordercze spojrzenie swoich brązowych oczu. Po chwili jednak ich wyraz złagodniał, kiedy uśmiechnął się lekko.

–Niech pan powie "proszę".

Pitt zrobił, jak mu kazano, i dokładnie dwanaście minut później siedział w helikopterze ochrony wybrzeża, pędzącym z powrotem do Waszyngtonu.

Steigerowi i Sandeckerowi te dwie godziny wlokły się w nieskończoność. Przekroczyli linię wybrzeża Delaware nad Slaughter Beach i przelecieli już siedemset kilometrów nad Atlantykiem. Burzowe chmury usłużnie ustępowały im drogi. Wszystko, co nie było przynitowane lub było, ale dało się wymontować, zostało wyrzucone – razem około dwustu kilogramów. Dzięki temu i zmniejszającemu się ciągle zapasowi paliwa silniki już się nie przegrzewały.

Sandecker leżał oparty głową o ściankę kabiny. Wymontował wszystkie siedzenia z wyjątkiem fotela Steigera. Był wyczerpany ciężkim wysiłkiem fizycznym. Oddychał ciężko, miał zeszywniałe mięśnie rąk i nóg.

–Jest coś od Pitta?

Steiger pokręcił głową, nie spuszczać wzroku z przyrządów.

–Głucha cisza – odpowiedział. – A poza tym, czego można się było spodziewać? On nie jest cudotwórcą.

–Wiem, że potrafi dokonać tego, co inni uważają za niemożliwe.

–A ja potrafię rozpoznać rozpaczliwą próbę pocieszenia. – Steiger pochylił głowę do tablicy. – Dwie godziny i osiem minut od ostatniego kontaktu. Podejrzewam, że już nas skreślił.

Sandecker był zbyt zmęczony, żeby się sprzeczać. Jak przez mgłę sięgnął po słuchawki, włożył je i zamknął oczy. Już zapadał w błogi spokój, gdy nagle obudził go potężny głos.

–Hej, Łysy! Latasz tak samo jak pieprzysz.

–Giordino? – nie dowierzał Steiger.

Sandecker wcisnął guzik nadawania.– Al! Skąd wołasz?

–Jakieś ćwierć kilometra za wami i sześćdziesiąt metrów niżej. Sandecker i Steiger wymienili zdumione spojrzenia.

–Podobno miałeś leżeć w szpitalu – powiedział zaskoczony Sandecker.

–Pitt załatwił mi zwolnienie.

–A gdzie on jest? – domagał się wyjaśnień Steiger.

–Patrzy ci prosto w zadek, Abe – odparł Pitt. – Jestem za sterami catlina M-200.

–Późno przybywacie – rzucił Steiger.

–Przykro mi, ale załatwianie spraw zajmuje sporo czasu. Jak stoicie z paliwem?

–Wysysamy już z dna zbiornika. Jak mi się poszczęści, to wyduszę jeszcze osiemnaście, może dwadzieścia minut.

–Dziewięćdziesiąt kilometrów stąd stoi norweski liniowiec pasażerski, na kursie dwa-

siedem-zero. Kapitan usunął gości z pokładu wypoczynkowego w oczekiwaniu na

wasz

przyjazd. Powinno wam się udać...

–Czy wyście powariowali?! – przerwał mu Steiger. – Statek pasażerski, pokład

wypoczynkowy... O czym ty chrzaniysz?

Pitt ciągnął niewzruszony:

–Gdy tylko odetniemy głowicę, lećcie w jego kierunku. Nie możecie go nie

znaleźć.

–Ależ ja wam zazdroszczę, chłopaki – wciął się Giordino. – Nie ma jak siedzieć sobie w słońcu na leżaczku i popijać mai tais.

–Popijać mai tais! – powtórzył wystraszony Steiger. – Oni obaj zwariowali!
Pitt zwrócił się do Giordina, skulonego w fotelu drugiego pilota, i wskazał zagipsowaną nogę.

–Jesteś pewny, że poradzisz sobie ze sterami z tym czymś na nodze?

–Jedyne, czego nie będę mógł zrobić, to się podrapać, kiedy mnie pod tym zaswędzi -odparł Giordino, pukając w gips.

–Wobec tego jest twój.

Pitt zdjął ręce z drążka, podniósł się z fotela i przeszedł do ładowni catlina. Przez otwarty luk wiało zimnem. Mężczyzna o jasnej skórze i skandynawskich rysach, ubrany w wielobarwny kombinezon narciarski, pochylał się nad długim, czarnym przedmiotem, ustawionym na ciężkim trójnogu. Doktor Paul Weir najwyraźniej nie nawykł do przebywania w samym środku zimy w samolotach pełnych przeciągów.

–Jesteśmy na miejscu – oznajmił Pitt.

–Już prawie jestem gotowy – zsiniałymi ustami odparł Weir. – Właśnie podłączam rury chłodzące. Bez chłodzenia głowicy i zasilacza całe to cacko usmażyłoby się jak na rożnie.

–Prawdę mówiąc, spodziewałem się czegoś bardziej wymyślnego – powiedział Pitt.

–Silniejszych laserów nie używa się podczas kręcenia filmów science fiction, panie Pitt – odpowiedział doktor Weir, ostatni raz sprawdzając połączenia. – One są tak zaprojektowane, by wysyłać skupioną wiązkę światła do wielorakiego zastosowania.

–A czy ten ma wystarczającą moc do naszej roboty?

Weir wzruszył ramionami.

–Osiemnaście watów skoncentrowanych w cieniusieńkiej wiązce o zaledwie dwóch kilowatach energii nie brzmi może oszałamiająco, ale obiecuję, że wystarczy.

–Jak blisko musimy podejść?

–Ze względu na odchylenie wiązki powinniśmy być jak najbliżej. Poniżej piętnastu metrów.

Pitt wcisnął guzik swego radia.

–Al?!

–Jestem.

–Podejdź na dwanaście metrów do głowicy.

–Z tej odległości turbulencja z wirnika tamtego helikoptera będzie nami strasznie rzucać.

–Nic na to nie poradzę. Weir włączył laser.

–Słyszysz mnie, Abe? – zapytał Pitt.

–Tak, słucham.

–Rzecz w tym, żeby Giordino mógł zbliżyć się do was na tyle, abyśmy mogli odciąć liny promieniem laserowym.

–A więc o to chodzi – odparł Sandecker.

–Tak jest, admirale, o to chodzi – odparł Pitt cicho, prawie obojętnie. – Teraz podejmiemy na pozycję. Stały kurs. Trzymajcie kciuki i niech nam się uda.

Z precyzją zegarmistrza Giordino ustawił catlina nieco niżej minery. Poczł drgania wywołane zawirowaniami powietrza, więc mocniej zacisnął dłonie na drążku. W ładowni gwałtowne wstrząsy grzechotały wszystkim, co nie było przymocowane. Pitt spoglądał to na głowicę, to na Weira.

Główny fizyk ze Stransky Instruments pochylil się nad laserem. Nie okazywał strachu ani niepokoju. A właściwie można by rzec, że dobrze się bawił.

–Nie widzę żadnej wiązki – stwierdził Pitt. – Czy to już działa?

–Przykro mi, że zawiodłem pańskie wyobrażenia – odparł Weir – ale wiązka lasera argonowego jest niewidoczna.

–To w jaki sposób pan ją nakierowuje?

–Za pomocą tego oto celownika za trzydzieści dolarów, używanego do broni myśliwskiej. – Poklepał lunetę mocno przykręconą śrubami do korpusu lasera. – Nobla to ja za

to nie dostanę, ale tutaj powinno wystarczyć.

Pitt położył się na brzuchu i wysunął głowę na zewnątrz. Zimne powietrze szarpało bandażem na głowie. Głowica wisiała pod helikopterem, odchylona trochę w stronę tylnego wirnika. Przyglądając się jej, Pitt nie mógł uwierzyć, że tak dużo śmierci można było upakować w tak niewielkim pojemniku.

–Bliżej! – krzyknął Weir. – Jeszcze trzy metry.

–Zbliź się o trzy metry – powiedział Pitt do mikrofonu.

–Jak tak dalej pójdzie, będziemy mogli użyć nożyczek – mruknął Giordino.

Nawet jeśli był bardzo zaniepokojony, nie okazywał tego. Wyraz jego twarzy przypominał teraz człowieka, który prawie drzemie. Jedynie płonące oczy zdradzały pełną koncentrację, jakiej potrzeba podczas tak precyzyjnego lotu. Giordino miał wrażenie, że zbierający się pod gipsem pot pali mu zakończenia nerwów.

W tym momencie Pitt zauważył – na jasnych splotach pojawiła się ciemniejsza barwa. Niewidoczna wiązka lasera nadtapiała nylonowe linki. Ile może ich być? – zastanawiał się. Pewnie około pięćdziesięciu.

–Grzeje się! – Dwa słowa i drżenie serca. – Tu jest po prostu za zimno! krzyknął Weir.

–Rurki chłodzące zupełnie zamarzły.

Weir ponownie spojrział w celownik. Pitt widział, jak kilka linek pęka, a ich końce powiewają w powietrzu. W kabinie dawał się już wyczuć gryzący swąd palącej się izolacji.

–To już długo nie wytrzyma – stwierdził Weir.

Przepaliło się kilka kolejnych linek spadochronu, niestety reszta została nietknięta. Weir wyprostował się nagle i ściągnął nadpalone rękawiczki.

–Boże! Tak mi przykro! – krzyknął. – Już po laserze!

Głowica zawierająca Szybłą Śmierć była nadal złączona z minerą. Pitt leżał przez pół minuty, wpatrując się w rozkołysany w powietrzu śmiercionośny pojemnik.

Obojętny wyraz twarzy nie zdradzał kłębiących się w umyśle myśli.

–Straciliśmy laser – oznajmił nagle nie owijając w bawełnę.

–Niech to jasna cholera! – warknął Steiger. – Gdzie się podziało nasze szczęście?

– spytał pełnym goryczy, dzikim ze zdenerwowania głosem.

–I co teraz? – zagadnął spokojnie admirał Sandecker.

–Odpuść i zanurkuj tym swoim ptaszkiem – odparł Pitt.

–Co?!

–To ostatnia szansa. Zaczynij nurkować. Kiedy się dobrze rozpędzisz, poderwij w górę. Być może zła karta odwróci się i przeciążenie urwie nieproszonego gościa.

–To nie będzie łatwe – stwierdził Steiger. – Będę musiał robić to na przyrządach.

Nic nie widzę przez tę czaszę na przedniej szybie.

–Polecimy obok was – dodał Giordino.

–Nie zbliżajcie się za bardzo, bo możecie zarazić się katarem – odparł Steiger. –

Módlmy się, żeby ta maszynka nie dostała obstrukcji. – Po czym pchnął dźwąg przed siebie.

Minerva pochyliła się i ruszyła w dół pod kątem siedemdziesięciu stopni.

Sandecker wsparł stopy o podstawę fotela Steigera i złapał się kurczowo uchwytu.

Patrzącym z pokładu catlina mężczyznom wydawało się, że minerva spada pionowo do wody.

–Zmniejsz trochę kąt opadania – poinstruował Pitt. – Pocisk zbliża się do tylnego wirnika.

–Rozumiem – odparł napiętym głosem Steiger. – To jest jak skakanie z dachu budynku z zamkniętymi oczami.

–Wyglądasz nieźle – powiedział pocieszająco Pitt. – Nie za szybko. Jak siedmiokrotnie przekroczysz wartość przyciągania ziemskiego, urwą ci się łopaty.

–Chybabym o tym nie pomyślał.

Tysiąc dwieście metrów.

Giordino nawet nie próbował dotrzymać kroku Steigerowi. Został trochę w tyle, opadając wolno za minervą. Doktor Weir, skoro jego robota się skończyła, skrył się w ciepłym zaciszu kabiny.

Ostre pochylenie kabiny spowodowało, że admirał Sandecker czuł się, jakby stał oparty o ścianę. Przeskakiwał wzrokiem z wysokościomierza na szybkościomierz, potem na wskaźnik sztucznego horyzontu i z powrotem.

Tysiąc metrów.

Pitt widział, że czasza spadochronu powiewa coraz bliżej obracającego się wirnika, ale nie odezwał się. Steiger i tak za dużo ma na głowie, by podawać mu kolejną przykrą wiadomość. Obserwował, jak morze pędzi na spotkanie minervy.

Osiemset metrów. Steiger zaczął odczuwać drgania. Wraz ze zwiększającą się prędkością wiatr gwizdał coraz mocniej. Przez ułamek sekundy pomyślał o ściągnięciu dźwanka i zakończeniu tej męczarni. Jednak po chwili, pierwszy raz tego dnia, pomyślał o swojej żonie i dzieciach i znowu zapragnął ich zobaczyć. Ta myśl nappełniła go niesłychaną determinacją.

–Teraz, Abe! – zagrzmiął w słuchawkach głos Pitta. – Podciągnij!

Steiger szarpnął drążek.

Sześćset metrów.

Minerva zadygotała od potężnego przeciążenia, które zaatakowało każdy nit w jej konstrukcji. Helikopter zawisnął w miejscu, a tymczasem głowica, reagując na tę siłę jak ciężarek olbrzymiego wahadła, wyleciała łukiem do przodu. Linki, które przetrwały przepalanie laserem, rwały się jak struny w banjo. Zaczęły pękać po dwie, po trzy.

W chwili, gdy wydawało się, że głowica się utrzyma i wróci jak zawieszona na gumie, by roztrzaskać helikopter, urwała się ostatecznie i poleciała w dół.

–Oderwała się! – wrzasnął Pitt.

Steiger był zbyt wyczerpany, żeby odpowiadać. Sandecker, walcząc z czernią przesłaniającą wzrok po gwałtownym wyhamowaniu, stanął na czworakach i potrząsnął Steigera za ramię.

–Ruszaj w stronę tego statku pasażerskiego – powiedział zmęczonym, ale i pełnym

ulgi głosem.

Pitt nie patrzył na minervę, jak się obraca i kieruje w stronę bezpiecznego miejsca. Obserwował głowicę, aż jej granatowa powierzchnia stała się niewidoczna na tle przewalających się fal i zniknęła.

Zaprojektowana do opadania z szybkością pięciu metrów na sekundę, minęła wysokość trzystu metrów nie eksplodując. Mechanizm detonatora spóźnił się, i to wystarczyło. Przy szybkości stu metrów na sekundę pocisk ze śmiertelnością substancją grożącą masową męczarnią i śmiercią runął w czekającą nań otchłań wody.

Pitt patrzył jeszcze, kiedy niewielka biała skaza na powierzchni morza zniknęła wśród napływających nieprzerwanie fal.

Jest coś przygnębiającego w obserwowaniu, jak umiera dumny okręt. Prezydent był głęboko poruszony, wpatrywał się w słup dymu wydobywającego się z "lowy", podczas gdy statki strażackie podchodziły do płonącej jednostki w daremnych wysiłkach ugaszenia pożaru.

Siedział razem z Timothy Marchem i Dale'em Jarvisem. Szefowie sztabu wyszli już i udali się do swoich gabinetów w Pentagonie, by przygotowywać oczekiwane dochodzenia, dyktować oczekiwane raporty i wydawać oczekiwane dyrektywy. Za kilka godzin szok minie i środki masowego przekazu zaczną nawoływać do przelewu krwi, czyjejkolwiek krwi.

Prezydent podjął decyzję o sposobie działania. Należało pohamować publiczny wybuch. Niczego się nie zyska, ogłaszając odwet w kolejnym dniu niesławy. Części układanki trzeba było wepchnąć pod dywan w sposób jak najdelikatniejszy.

–Właśnie otrzymaliśmy wiadomość, że w Bethesda Naval Hospital zmarł admirał Bass – oznajmił cicho Jarvis.

–To musiał być twardy człowiek, skoro przez tyle lat dźwigał brzemię tajemnicy Szybkiej Śmierci – stwierdził prezydent.

–I w ten sposób wszystko się skończyło – mruknął March.

–Mamy jeszcze wyspę Rongelo – dodał Jarvis.

–Tak – odparł prezydent, potakując. – Mamy jeszcze to.

–Nie wolno nam dopuścić, aby pozostał chociaż ślad tej substancji. Prezydent spojrzał na Jarvisa.

–Co pan proponuje?

–Wymazać wyspę z mapy.

–To niemożliwe – stwierdził March. – Sowieci od razu narobiliby szumu. Obie strony

przez ponad dwadzieścia lat trzymały się ustaleń moratorium o zaniechaniu prób powierzchniowych.

Na ustach Jarvisa pojawił się delikatny uśmiech.

–Ale Chińczycy jeszcze go nie podpisali.

–No więc?

–Więc wykorzystamy pomysł z operacji "Dzika róża" – wyjaśnił Jarvis. – Wyślemy okręt podwodny uzbrojony w rakiety nuklearne jak najbliżej chińskiego terytorium i wydamy rozkaz odpalenia jednej z nich na wyspę Rongelo.

March i prezydent wymienili znaczące spojrzenia. Potem odwrócili się do Jarvisa, oczekując dalszych wyjaśnień.

–Skoro nie będzie przygotowań do żadnej amerykańskiej próby jądrowej i żaden z naszych okrętów powierzchniowych ani samolotów nie znajdzie się w zasięgu trzech tysięcy

kilometrów od miejsca eksplozji, Rosjanie nie będą mogli nas oskarżyć. Ich satelity

szpiegowskie wykryją trajektorię rakiety, ale nadlatującej z terytorium chińskiego.

–To mogłoby się udać, jeżeli zagramy jak należy – dodał March, zachęcony pomysłem. – Oczywiście, Chińczycy zaprzeczą jakimukolwiek związkowi z wybuchem. Po

zwyczajowych oskarżeniach ze strony Kremla, naszego Departamentu Stanu i jeszcze paru

rozwścieczonych narodów potępiających Pekin, cały epizod zginie śmiercią naturalną i po

dwóch tygodniach zostanie zapomniany.

Prezydent popatrzył w przestrzeń. Pierwszy raz w ciągu prawie ośmiu lat czuł słabość zajmowanego stanowiska. Zbroja władzy pokryta cieniutkimi rysami mogła rozlecieć się na kawałki pod uderzeniem czegoś nieoczekiwanego.

W końcu podniósł się z fotela z wysiłkiem bardziej pasującym do człowieka dwa razy starszego.

–Modłę się do Boga – powiedział z oczami pełnymi smutku – żebym był ostatnim człowiekiem w historii, który świadomie wydaje rozkaz ataku nuklearnego.

Po czym odwrócił się i wolno poszedł do windy, by wjechać na górę, do Białego Domu.

Umkono, Afryka Południowa, styczeń 1989 Stracona szansa

Poranne słońce zaczęło już grzać, gdy dwaj mężczyźni ostrożnie opuścili na linach trumnę do grobu.

Po chwili wyciągane liny zachrobotyły lekko, ocierając się o nieobrobione krawędzie desek.

–Na pewno nie chce pan, żebym pomógł zasypywać? – spytał grabarz o hebanowej skórze, nawijając linę na muskularne ramię.

–Dzięki, sam się tym zajmę – odparł Pitt, podając kilka południowoafrykańskich banknotów jednorandowych.

–Nie trzeba. Kapitan był moim przyjacielem. Mógłbym wykopać mu sto grobów i jeszcze bym nie odpłacił uprzejmości, jaką za życia darzył moją rodzinę.

Pitt skinął rozumiejąc.

–Pożyczę tylko łopatę.

Grabarz zgodził się, energicznie uściśnął Pittowi dłoń i uśmiechnął się szeroko. Potem ruszył wąską ścieżką prowadzącą z cmentarza do wioski.

Pitt rozejrzał się. Krajobraz był soczysty, ale surowy. Gdy słońce weszło wyżej, para z wilgotnego poszycia zaczęła unosić się nad roślinami.

Otarł rękawem spocone czoło i wyciągnął się pod drzewem mimozy. Przyglądał się puszystym, kwitnącym żółtym kulkom i długim białym cierniom, słuchał krzyków nosorogów w oddali. Potem zwrócił uwagę na dużą granitową płytę u wezglowia grobu.

**TUTAJ SPOCZYWA RODZINA
FAWKESÓW
Patrick McKenzie
Myraa Clarissa
Patrick McKenzie, Jr.
Jennifer Louise
Złączeni na wieki
1988**

Przewidujący człowiek, ten Fawkes, pomyślał Pitt. Płyta została przygotowana w całości na wiele miesięcy przed śmiercią Fawkesa na pokładzie "lowy". Pitt strząsnął zbląkaną mrówkę i drzemał jeszcze przez dwie godziny. Obudził go odgłos samochodu.

Ubrany w mundur kierowca przyhamował bentleya, wyskoczył zza kierownicy i otworzył tylne drzwi. Wsiadł pułkownik Joris Zeegler, a za nim minister obrony Pięter De Vaal.

–Całkiem tu spokojnie – stwierdził De Vaal.

–Od masakry na farmie Fawkesa w tym sektorze panuje spokój – odparł Zeegler.

– Sądzę, że do grobu trzeba pójść tędy, sir.

Gdy nadeszli, Pitt podniósł się i otrzepał.

–Jak to dobrze, panowie, że przybyliście tak daleko – powiedział, wyciągając rękę.

–Nic wielkiego, zapewniam pana – odparł arogancko De Vaal. Zignorował wyciągniętą dłoń Pitta i usiadł lekceważąco na płycie grobu Fawkesów. –

Pułkownik Zeegler

zorganizował inspekcję w północnym Natalu. Niewielka odchyłka od trasy, krótka przerwa w

harmonogramie. Nic się nie stało.

–To nie potrwa długo – wyjaśnił Pitt, sprawdzając, czy jego okulary słoneczne nie są przypadkiem poplamione. – Czy znał pan kapitana Fawkesa?

–Doceniam fakt, że pańska raczej dziwna prośba spotkania ze mną na tym wiejskim cmentarzu nadeszła z wysokiego szczebla waszego rządu, ale chciałbym, żeby pan zrozumiał, iż jestem tu z uprzejmości, a nie po to, by odpowiadać na pytania.

–Zrozumiano – odparł Pitt.

–Tak, kiedyś poznałem kapitana Fawkesa. – De Vaal popatrzył w dal. – Jeszcze w październiku, chyba tak. Wkrótce po zamordowaniu jego rodziny. Złożyłem mu kondolencje w imieniu Ministerstwa Obrony.

–Czy on przyjął pańską ofertę pokierowania atakiem na Waszyngton?

De Vaal nawet nie mrugnął.

–Bzdura. Ten człowiek był niezrównoważony umysłowo z powodu śmierci żony i dzieci. Zaplanował ten atak i wykonał go absolutnie samodzielnie.

–Czyżby?

–Moje stanowisko i stopień nie tolerują grubiaństwa. – De Vaal wstał. – Do

widzenia, panie Pitt.

Pitt pozwolił mu przejść prawie dziesięć kroków, po czym powiedział:

–Operacja "Dzika róża", panie ministrze. Nasz wywiad wiedział o niej prawie od samego początku.

De Vaal zatrzymał się, odwrócił i popatrzył na Pitta.

–Wiedział? – Wrócił i stanął twarzą w twarz z pracownikiem NUMA. – Wiedział o operacji "Dzika róża"?

–Nie powinno to pana dziwić – dodał grzecznie Pitt. – W końcu przecież to pan przekazał o niej wiadomość.

Wyniosłość zniknęła z twarzy De Vaala. Spojrzał na Zeeglera, szukając wsparcia, Pułkownik nawet nie mrugnął, a jego spojrzenie było twarde jak kamień.

–To absurd – powiedział De Vaal. – Całkiem bezpodstawnie wygłasza pan zwariowane oskarżenia.

–Przyznaję, w tej sieci jest sporo dziur. Ale wszedłem do gry dość późno. Myśl była świetna i pan, ministrze, wygrywał bez względu na wynik. Plan jednak nigdy by się nie powiódł. Oskarżenie AAR o napad w celu zyskania sympatii dla białej mniejszości w Afryce Południowej – to była zasłona dymna. Prawdziwym celem było zaskoczenie i załatwienie partii premiera Koertsmanna, aby Ministerstwo Obrony miało wytłumaczenie dla wprowadzenia kolejnych rządów wojskowych pod przywództwem nikogo innego jak właśnie Pietera De Vaala.

–Dlaczego pan to robi? – spytał dziko De Vaal. – Co ma pan nadzieję zyskać?

–Nie lubię, kiedy zdrajcom dobrze się wiedzie – skontrował Pitt. – A przy okazji, ile forsy zgarnął pan razem z Emmą? Trzy, cztery, pięć milionów dolarów?

–Pan goni cię, Pitt. Obecny tutaj pułkownik Zeegler może to potwierdzić. Emma był płatnym agentem AAR.

–Emma sprzedawał fałszywe raporty z akt Ministerstwa Obrony każdemu rewolucyjnemu frajerowi, który chciał za nie płacić, i dzielił się zyskiem z panem.

To bardzo

lukratywny, uboczny dochód, De Vaal.

–Nie muszę tu stać i wysłuchiwać tych bredni – syknął minister. Skinął na Zeeglera i

wskazał stojącego bentleya.

Zeegler ani drgnął.

–Przykro mi, panie ministrze, ale sądzę, że pana Pitta należy wysłuchać.

De Vaal prawie dławiał się z wściekłości.

–Służyłeś mi przez dziesięć lat, Joris. Dobrze wiesz, że niesubordynację mam zwyczaj karać wyjątkowo srogo.

–Zdaję sobie z tego sprawę, sir. Uważam jednak, że powinniśmy zostać, zwłaszcza w takich okolicznościach. – Zeegler wskazał Murzyna idącego między nagrobkami. Miał ponury, zdeterminowany wyraz twarzy. Ubrany w mundur AAR, w jednej dłoni niośł swobodnie długi marokański nóż.

–Czwarty aktor tego dramatu – oznajmił Pitt. – Pozwoli pan, że przedstawię Thomasa Machitę, nowego przywódcę Afrykańskiej Armii Rewolucyjnej.

Zeegler stał obojętny, chociaż nie był uzbrojony. De Vaal odwrócił się i krzyknął do szofera, nerwowo wskazując Machitę:

–Sierżancie! Zastrzelcie go! Na Boga, zastrzelcie go!

Sierżant patrzył przez De Vaala, jakby minister był przezroczystry. De Vaal zwrócił się do Zeeglera z coraz większym strachem w oczach:

–Joris, co się tu dzieje?

Zeegler nie odpowiedział, jego twarz nie zdradzała żadnego uczucia. Pitt wskazał otwarty grób.

–To kapitan Patrick Fawkes ujawnił pański cwany plan. Może i stracił głowę po śmierci rodziny, zaślepiony chęcią zemsty, lecz załamało go to, że został żałośnie oszukany, kiedy wysłał pan Emmę, by go zabił. Niezbędna część pańskiego planu. Gdyby kapitan przeżył, mógłby ujawnić pańskie zaangażowanie. Poza tym nie mógł pan ryzykować, że on się jakoś dowie, iż właśnie pan opracował napad na jego farmę.

–Nie! – Słowo to zaskrzypiało w gardle De Vaala.

–Kapitan Patrick McKenzie Fawkes był jedynym człowiekiem w Afryce Południowej, który potrafiłby poprowadzić operację "Dzika róża". Rozkazał pan zabić jego żonę i dzieci, wiedząc, że rozżalony człowiek będzie szukał odwetu. Masakra była chytrym wybiegiem. Nawet pańscy ludzie z ministerstwa nie mogli połączyć tego napadu z jakimkolwiek ruchem powstańczym. Nawet nie pomyśleli, iż ich własny szef prześlizgnął się z grupą czarnych najemników z obszaru Angoli.

W oczach De Vaala pojawiła się pełna oszołomienia desperacja.

–Jak to możliwe, że pan to wszystko wie?

–Podobnie jak każdy dobry oficer wywiadu, pułkownik Zeegler prowadził śledztwo, aż w końcu dotarł do prawdy. Ponadto, jak robi większość kapitanów, Fawkes prowadził dziennik pokładowy. To było tam, gdzie Emma próbował go zabić. Fawkes uratował mi życie, zanim okręt eksplodował. Ale przedtem włożył swój dziennik razem z dodatkowymi notatkami na pański temat do wodoszczelnego kapciucha na tytoń i wetknął mi go pod koszulę. To naprawdę cholernie interesująca lektura, zwłaszcza dla prezydenta i dyrektora Narodowej Agencji Bezpieczeństwa.

A tak przy okazji – kontynuował Pitt. – Ta fałszywa wiadomość, w której wskazał pan na premiera Koertsmanna, nie została potraktowana poważnie. Biały Dom był zadowolony, że operacja "Dzika róża" została wymyślona i przeprowadzona za jego plecami. W ten sposób pański plan przejęcia rządów spalił na panewce. W końcu Fawkes załatwił pana ostatecznie, chociaż dopiero po własnej śmierci. Resztę szczegółów dostarczył major Machita, który już

dawno temu dogadał się z pułkownikiem Zeeglerem, by zakopać topór wojenny w celu załatwienia porachunków z panem. A jeśli chodzi o moją obecność, to poprosiłem i zgodzono się, żebym był mistrzem ceremonii z powodu długu, jaki mam wobec kapitana Fawkesa. De Vaal popatrzył na Pitta, pokonany. Potem zwrócił się do Zeeglera:

–Joris, ty to zorganizowałeś?

–Nikt nie zostaje po stronie zdrajcy.

–Jeśli ktokolwiek zasługuje na śmierć, De Vaal, to ty – powiedział Machita, dysząc nienawiścią.

De Vaal zignorował Machitę.

–Nie możecie tak po prostu wykonać egzekucji człowieka na moim stanowisku. Prawo wymaga przeprowadzenia procesu sądowego.

–Premier Koertsmann zażyczył sobie, żeby nie robić skandalu – przemówił Zeegler, nie patrząc swemu szefowi w oczy. – Zaproponował, żeby pan zginął podczas wypełniania swoich obowiązków.

–Ale wówczas zostałbym męczennikiem. – Na twarzy De Vaala pojawił się cień pewności. – Czy wyobrażacie sobie mnie jako męczennika?

–Nie, sir. I właśnie dlatego premier zgodził się na moją propozycję, żeby pan zginął. Lepiej niech pan się stanie zapomnianą tajemnicą niż bohaterem narodowym.

De Vaal za późno spostrzegł błysk stali, kiedy nóż Machity łukiem trafił go w podbrzusze. Minister obrony wybałuszył oczy ze zdziwienia. Chciał coś powiedzieć, poruszył lekko ustami, lecz wydał z siebie tylko słabe, zwierzęce sapnięcie. Jego mundur zaczął zabarwiać się na czerwono.

Machita trzymał za rękojeść, patrzył, jak śmierć zabiera De Vaala. Po chwili, gdy ciało zwiotczało, wyszarpnął nóż i De Vaal upadł prosto do wykopanego grobu. Trzej mężczyźni podeszli na skraj dołu i stali, przyglądając się, jak piasek osypuje się na postać leżącą na dnie.

–Stosowny koniec jak na człowieka tego rodzaju – mruknął Machita.

Zeegler zbladł. Był przyzwyczajony do widoku zabitych na polu walki, ale tutaj śmierć przyszła w inny sposób.

–Każę kierowcy zasypać grób.

Pitt pokręcił głową.

–Nie ma potrzeby. W swoim dzienniku Fawkes zapisał ostatnią prośbę: Obiecałem sobie, że ją wypełnię.

–Jak pan sobie życzy.

Zeegler odwrócił się, by odejść. Machita chciał chyba coś powiedzieć, ale zastanowił się i ruszył w kierunku zarośli otaczających cmentarz.

–Zaczekajcie – powiedział Pitt. – Żaden z was nie może stracić tej okazji.

–Okazji? – spytał Zeegler.

–Po tym, jak działaliście wspólnie w celu zniszczenia zżerającego was obu raka, byłoby głupotą nie stanąć twarzą w twarz i nie omówić kwestii spornych.

–Szkoda słów – rzucił pogardliwie Zeegler. – Thomas Machita potrafi rozmawiać wyłącznie przemocą.

–Jak wszyscy ludzie z Zachodu pan, panie Pitt, dość naiwnie podchodzi do naszej walki – oznajmił z absolutnym spokojem Machita. – Rozmowa nie jest w stanie zmienić tego, co ma się stać. Z czasem rasistowski rząd Afryki Południowej wpadnie w nasze ręce.

–Słono zapłacicie, zanim wasza flaga zacznie powiewać nad Kapsztadem – odparł Zeegler.

–To bez sensu – powiedział Pitt. – Obaj gracie ze straconych pozycji.

Zeegler spojrział na niego.

–Według pana, może i tak, panie Pitt. Dla nas jednak rzecz jest tak głęboka, że żaden

człowiek z zewnątrz nie jest jej w stanie zgłębić.

Pułkownik poszedł do samochodu, a Machita zniknął w buszu. Rozejm się skończył. Przepaść była zbyt wielka, by ją przekroczyć. Pitta ogarnęła fala niemocy zmieszanej z gniewem.

–A jakie to będzie miało znaczenie za tysiąc lat?! – krzyknął za nimi.

Podniósł łopatę i zaczął wolno zasypywać grób. Nie mógł się zmusić, by spojrzeć na De Vaala. Wkrótce usłyszał, jak ziemia spada na ziemię, i wiedział już, że nikt nie ujrzy więcej ministra obrony.

Kiedy skończył i przyzwoicie usypał grób, otworzył leżące obok tablicy pudełko. Wyjął z niego cztery kwitnące rośliny. Posadził je w rogach grobu Fawkesa. Potem wyprostował się i cofnął o krok.

–Spoczywaj w pokoju, kapitanie Fawkes. Być może nie zostaniesz osądzony zbyt srogo.

Nie czując żalu ani smutku, a raczej rodzaj zadowolenia, Pitt wsadził puste pudełko pod pachę, zarzucił łopatę na ramię i ruszył w kierunku wioski Umkono.

Tymczasem cztery bugenwille przechyliły swe kwiaty do afrykańskiego słońca.

Południowy Pacyfik, styczeń 1989 Omega

Wyspa Rongelo – a właściwie niewielki atol – była samotnym skrawkiem lądu na ogromnym Pacyfiku. Wznosiła się zaledwie na dwa metry ponad połyskujący ocean; z odległości kilku kilometrów nie było jej widać. Gnane wiatrem fale nacierały na kruchą rafę otaczającą wąski pas białej plaży, a po drugiej stronie zwierwały swe szeregi, by po przemierzeniu następnych setek kilometrów dotrzeć do innego lądu.

Wyspa była pusta, z wyjątkiem kilku zgniłych palm kokosowych, zniszczonych uderzeniami tajfunów. Na samym jej środku, na ostrych koralowcach leżały szkielety doktora Vetterly'ego i jego pomocników, po latach zbielewały i porowate. Puste oczodoły były zwrócone w niebo, jakby czekały na wybawienie.

O zachodzie słońca burzowe chmury poza Rongelo błyszcząły złotem. Wówczas rakieta spadła z nieba, a jej huk pozostawał daleko w tyle.

Nagle na przestrzeni setek kilometrów błysnęło białoniebieskie światło i wielka kula ognia pochłonęła atol. W ciągu ułamka sekundy eksplodowała ognista masa i pękła jak monstrualna bańka. Oślepiająca barwa jej powierzchni zmieniła się z pomarańczowej na różową, a w końcu na ciemnopurpurową. Fala uderzeniowa buchnęła nad wodą, wygładzając fale.

Po chwili kula ognia oderwała się od powierzchni i skierowała w niebo, pożerając miliony ton koralowców, nim wypluła je gejzerem pary i popiołu. Na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych zapanował ogień, a po niecałej minucie piekło osiągnęło wysokość trzydziestu tysięcy metrów. Tam zawisło, stopniowo ochładzając się, po czym wielka ciemna chmura odpłynęła na północ.

Wyspa Rongelo zniknęła z powierzchni ziemi. Pozostała po niej depresja o

głębokości pięćdziesięciu metrów i przekątnej trzech kilometrów. Woda błyskawicznie wypełniła zagłębienie, okrywając powstałą ranę. Znikając za horyzontem, słońce zabarwiło się na niesamowity żółtozielony kolor.

Plaga Szybkiej Śmierci przestała istnieć.

This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-11-06

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/